ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXI.

TOM I. — ZESZYT I.

412

Styczeń.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

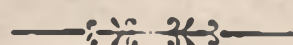
Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 14.

Druk ukończono dnia 8 stycznia 1891 r.



NOWY EXODUS

czyli WYJŚCIE LUDU.



W październiku i listopadzie roku pańskiego 1890-go, ukazały się w dziennikach warszawskich i prowincyonalnych niepokojące wieści, z rozmaitych miejscowości leżących nad granicą pruską, że lud wiejski gromadnie opuszcza swoje zagrody i uchodzi w daleką podróż, na drugą półkulę, do Brazylii i Argentyny. Opisy brzmiały mniéj więcéj jednakowo, a mianowicie, że ludność bezrolna lub małorolna, a rzadko gospodarz siedzący na paru dziesiątkach morgów, zaraz pożniwach zaczęła się niezwykle ruszać, to jest działki ziemi i nędzne ruchomości na pół darmo sprzedawać i chyłkiem podążać ku granicy pruskiéj. Największy kontyngens emigrantów dostarczyła gubernia Płocka; z wnętrza kraju zaledwie po kilkanaście osób puszczało się na ten hazard.

Sam fakt tłumnego opuszczania kraju przez ludność wiejską, z pozoru najmniéj ruchawą, obudził w prasie naszéj najrozmaitsze komentarze o przyczynach i skutkach tego niespodziewanego zdarzenia. Jedni przypisywali je zagranicznym spekulantom i naganiaczom, drudzy brakowi wszelkiego przywiązania do ziemi i ojcowizny, trzeci brakowi zarobku, osobliwie przez późną jesień i zimę, czyli innemi słowy, nędzy materyalnéj. Przewidywano stąd podrożenie rąk do roboty, upadek lub co najmniéj zachwianie się gospodarstw większych, potrzebujących najmity wiosną i latem, ale obywających się bez niego wtenczas, kiedy i jemu najtrudniéj przeżyć. Taki jest fakt, który pod koniec roku 1890-go bardzo zajmował dziennikarzy, a zapewne jeszcze więcéj gospodarzy, mieszkających w pasie granicznym. Nie będzie może zbytecznym jeszcze jeden głos w téj sprawie, témbardziéj,

że faktów nieco przybyło i rozumowania na nich oparte mogą być zasadniejsze, a przewidywania prawdopodobniejsze.

Dlaczego, pytamy się, wychodźtwo ludu w drugiéj połowie roku 1890-go tak żywo zainteresowało prasę, gospodarzy i ludzi iletyle myślących? Przecież wychodźtwo ludu naszego datuje się conajmniéj od pół wieku i widocznie emigranci nie potonęli, skoro ich w Ameryce liczą na milion. Nie interesowaliśmy się tym faktem może dlatego, że nie bardzo blisko nas dotykał, gdyż wiadomo, że dawniejszemi laty najwięcéj wychodźców dostarczały Galicya i Poznańskie, a znów z Królestwa daleko mniéj ich było i dopiéro w ostatnich, jakichś 20-tu latach, liczba wzrosła do 3 lub 4 tysięcy rocznie. Tymczasem obecnie, wedle wiadomości otrzymanych z biura ekspedycyi emigrantów w Bremie, w samym roku 1890-ym od stycznia do września wyekspedyowano stamtąd do Brazylii i Argentyny 9,979 ludzi pochodzących z Rosyi. Ponieważ w obecnéj emigracyi dalsze gubernie Cesarstwa nie biorą udziału, lub bardzo drobny, więc nie omylimy się przypuszczając, że conajmniéj 9 tysięcy ludzi wyemigrowało z samego Królestwa i to w ciągu półrocza. Wszakże fala emigracyjna daleko większa ruszyła dopiéro w październiku i listopadzie tak, że może nie bardzo zbłądzimy przypuszczając, iż porwała drugie 9 tysięcy. Otóż, takich wymiarów nigdy dawniéj emigracya ludu nie dochodziła, a stąd i uwaga publiczna musiała się tak grubym faktem zainteresować.

Byłoby rzeczą ciekawą, a dla zasadności wniosków konieczną wiedzieć, jakie grupy stanowi ta przypuszczalna cyfra wychodźców, mianowicie trzebaby znać: płeć, wiek, stan, czyli ilu się znajdowało mężczyzn, a ile kobiét, w jakim wieku, rolni czy bezrolni, parobcy czy najmici. Na te pytania nie możemy dać ścisłéj, cyfrowéj odpowiedzi; tylko z rozmaitych dziennikarskich korespondencyi wnosimy, że ludność emigrująca składa się w $^{9}/_{10}$ lub blisko tego, z proletaryatu, a więc z bezrolnych czyli najmitów, małorolnych, t. j. trzy lub cztery morgi posiadających, służących czyli parobków i w bardzo małéj ilości z gospodarzy, mających kilkanaście morgów ziemi.

Jeżeli małorolnych zaliczymy do najmitów, a musieli być nimi, bo z takiego kawałka nieraz bardzo lichéj ziemi rodzina się nie utrzyma; to zrozumiemy dlaczego i małorolni już przeszli, albo wkrótceby przeszli do szeregów proletaryatu wiejskiego Można więc bez przesady twierdzić, że ludność emigrująca, to żywioł ruchomy, wiszący między niebem a ziemią, mający pod nogami zaledwie gościniec publiczny, a stąd niezmiernie podatny do namowy, gdy mu obiecują i zie-

mię na własność i swobodę od podatków. Próżno się odwoływać do moralnych pobudek, pusty żołądek jest silniejszą pobudką od wszystkich morałów, albowiem zarówno chłopski, jak szlachecki żołądek jednakowo głód odczuwają i do jednakich kroków popychają ludzi.

Tyle co do gatunku ludności emigrującéj; a teraz co do przyczyn, powodujących obecną emigracyą z Królestwa do Ameryki.

Przyczyn okoliczności każdego donioślejszego faktu musi być nie mało; my zwykle uważamy za przyczynę fakt najbliższy, uderzający w oczy; stąd nieporozumienie między ludźmi mówiącymi o tym samym przedmiocie. Należy tedy przypuścić, że teraźniejszą emigracyą spowodowało wiele przyczyn, leżących w całéj organizacyi społecznéj, u podstaw bytu ekonomicznego. Tymczasem korespondenci, jako przyczyny emigracyi, podają np. odezwy agentów, obrazki przedstawiające raj brazylijski, mniemane błogosławieństwo papieża dla wychodźców i t. p. bajki, któremi głupi chłopi karmili mądrych autorów. Że w Brazylii po zniesieniu niewolnictwa potrzebują do uprawy ziemi ludzi, że rząd brazylijski może dostawcom ludzkiego towaru bonifikować wyłożone koszta, że ci przedsiębiorcy wraz z towarzystwami przewozowemi na emigrantach zrobią dobry intezes: to jest więcéj, niż prawdopodobne. Czemu jednakże pośrednicy w dostawie towaru zwrócili się właśnie w nasze strony, i to nie do obywateli, ani do bankierów, ani nawet do korespondentów dziennikarskich, lecz do włościan, a *respective* do karczmarzów, przemytników i tym podobnych naganiaczów? Prawdopodobnie agenci wiedzieli, gdzie szukać towaru; brali go oni potroszę lat poprzednich, a teraz założyli pojemniejsze sieci i wcale się nie zawiedli. Kupiec, czy handlarz jest od tego, żeby się wywiedział, gdzie jest i gdzie najtańszy towar. Znalazł go u nas i bardzo tani. Nie chcemy go za to rozgrzeszać, że handluje ludźmi, objaśniamy tylko fakt, który nie zdaje się być bardzo ciemny.

Niektórym się widzi, że gdyby nie agenci, gdyby nie Żydzi i Niemcy, Bartki, Wojtki i Magdy siedzieliby doma, i aniby się im zamarzyło o Brazylii. Możeby siedzieli, a możeby się położyli na wieczny spoczynek. Coby się w takim razie stało, nie wiemy; ale to pewna, że nadmiar rąk i brak na nie popytu prowadzą za sobą chorobę, głód, nędzę, występek, śmierć, a w najlepszym razie wychodźtwo.

Ze wszystkiego, cośmy w niniejszéj sprawie czytali, wychodzi na czoło fakt, iż rąk jest zadużo, a popytu na nie zamało, i że to właśnie jest **główną** przyczyną emigracyi ludu. Brak pracy i co się temu równa brak chleba, skłania głodne żołądki do szukania chleba najprzód między swoimi, a gdy tu nie ma, między obcymi.

Czyżby na prawdę brak pracy, brak chleba i pusty żołądek i grzbiet nagi stanowiły ową główną przyczynę emigracyi ludu za ocean? A przecież tu i owdzie zdarzało się, że parobcy zostawili służbę we dworach, gdzie i praca i chléb były gotowe, że gdzieindziéj rzemieślnik spieniężył całą chudobę i powędrował na kraj świata nie z braku roboty, jedno z głupoty lub grzesznéj chuci bogactwa; że tam a tam nareszcie, gospodarz zbył za byle co 20 morgów gruntu i przyłączył się do nowego egzodu. Wszystko to może być najszczerszą prawdą, a mimo tego, nie osłabia naszego twierdzenia, że główną i najbliższą przyczyną wychodźtwa były: brak pracy i za nim tuż idący brak chleba.

Jakby téż dowieść tego twierdzenia?

Po nadaniu włościan ziemią dostali jedni po kilkanaście, drudzy po kilka morgów, a zapewne niewielu otrzymało po włóce; reszta pozostała tém, czém była, t. j. najmitami. Od tego czasu upłynęło ćwierć wieku, podczas któréj nadrosło nowe pokolenie. Zamożniejsi gospodarze, wydając córki za mąż i żeniąc synów, musieli ich wyposażać, t. j. dzielić swoje kawałki gruntu na jeszcze mniejsze cząstki. Ubożsi w takiéj saméj potrzebie, lub téż nie mogąc wyżyć ze swoich działków, sprzedawali je zamożniejszym i stawali się w ścisłém znaczeniu proletaryuszami. Tym sposobem liczba rąk poszukujących pracy musiała się znacznie powiększyć, nie powiadamy zdwoić, ponieważ nie znamy ani cyfry ludności bezrolnéj w czasie uwłaszczenia chłopów, ani obecnéj liczby tych, którzy nie mają nic więcéj oprócz dzieci. Czy téj ludności jest obecnie w Królestwie milion, czy mniéj, orzec trudno; ale jest jéj więcéj, niż się dla niéj znajduje pracy. Ten nadmiar, to *plus*, musi coś ze sobą zrobić, ochotnie nikt nie umiéra. Nie jest to przeludnienie w stosunku do obszaru ziemi w Królestwie, lecz nadmiar w stosunku do zapotrzebowania rąk nieczynnych.

Może to jednak złudzenie. Zobaczmy tedy, gdzie i kiedy proletaryat wiejski znajduje pracę. Największa część téj ludności znajduje pracę w polu około uprawy ziemi i zbioru zboża. Trwa to mniéj więcéj pół roku. A co robić przez drugie półrocze, cięższe, bo zimowe? Zarobki letnie, gdyby nawet były wyższe, niż są średnie, nie wystarczą na opędzenie wydatków całorocznych. Najczęściéj tak bywa, że co Maciek zarobił, to własny maciek zjadł; oszczędzić nie było z czego, a jeżeli oszczędzono jakiś grosik, czeka na niego dziur kopa i mendel. W takiém położeniu nawet hartowne cnoty miękną i człowiek radby uciec od nędzy. Może na niego rzucić kamieniem tylko ten, co głodu nie zaznał i chłodu nie doświadczał.

Inna część ludności roboczéj wiejskiéj znajduje pracę u wię-

kszych właścicieli zwanych szlachtą. Są to parobcy i dziewki, godzeni zwykle na rok, a stąd pozornie w lepszych będący warunkach, od zwykłych najemników. Rzeczywiście, bywało im trochę lepiéj niegdyś; obecnie dowiedzieliśmy się o fakcie, który nam w części objaśnia nieznane przedtém zjawisko, mianowicie, że służba z wielu dworów porzuca obowiązek i ucieka do Brazylii. Dla czego ucieka? Krótka odpowiedź. Parobek otrzymuje rocznie około 30 rubli, kilka korcy ordynaryi, parę zagonów na kartofle. Dobra! Cóż stąd, kiedy dwory podupadły, ordynaryę wprawdzie kapaniną wydają, ale pieniędzy po dwa i więcéj lat nie płacą. Dola służby żeńskiéj nie weselsza. I oto mnożą się ochotnicy do emigracyi.

Na domiar złego, liczbę rąk próżnujących i gąb głodnych powiększyły rugi pruskie. Mówiono o 30 tysiącach ludzi wygnanych siłą z Prus i teraz jeszcze od czasu do czasu piszą dzienniki o wypędzaniu pojedyńczych rodzin ubogich pracowników. Kapitalistów, o ile wiadomo, landraci nie wysyłają ciupasem. Wyrugowana ludność pochodziła z nadgranicznych gmin Królestwa i do nich też wróciła, zwiększając proletaryat wiejski. Otóż zdaje mi się, że wziąwszy w rachubę to, co powiedziano, będziemy mieli wytłómaczone pobudki do emigracyi.

Gdyby się czytelnik zgodził ze mną, że najwalniejszą przyczyną teraźniejszego wychodźtwa ludu jest względne przeludnienie czyli nadmiar rąk próżnujących w stosunku do ich zapotrzebowania, to i ja zgodziłbym się na uznanie za okoliczności sprzyjające wychodźtwu, za przyczyny drugorzędne i tych faktów, które korespondenci przytaczają, a mianowicie: obietnice agentów, faktorów, karczmarzy i innych pośredników; chęć ucieczki przed służbą wojskową, nareszcie złudzenia fantazyi, które na ciemną duszę chłopa mogą skuteczniéj wpływać, niż na człowieka świadomego zamorskich rozkoszy.

Że pomimo kar grożących podszczuwaczom, znaleźli się odważni Mendle, Kwiatkowscy lub inni karczmarze i szwarcownicy, przeprowadzający emigrantów za granicę, to nie przedstawia nic tak znów dziwnego. Chęć zysku nieraz bywała silniejszą od obawy kary i to nietylko między szynkarzami. Nie byłoby Mendla, znalazłby się Icek i pokazałby Bartkom drogę do Brazylii; ważniejsza, iż było tylu Bartków gotowych do szukania guzów raczéj, niż siedzenia na przyźbie z założonemi rękoma i rozwartą gębą. Mendlów, Schultzów i Bartków znał już nieboszczyk Anczyc, gdy pisał „Emigracyę chłopską"; słyszeliśmy o nich z niedawnego procesu galicyjskiego i pojawili się i u nas, jako poszukujący towaru. Towar znaleźli, kupili za bezcen i odjechali, o ile ich do kozy nie wzięto. Czy są winni? Niezawo-

dnie, ale nie oni są przyczyną emigracyi. Ułatwiali przejście granicy i obdzierali wychodźców.

Bardzo być może, iż między okolicznościami, popychającemi do wychodźtwa, jest chęć uchylenia się przed służbą wojskową. Donoszono np. z Mławy, że popisowych z powiatu mławskiego wyemigrowało 167, co na 742 losujących czyni poważny procent. Tenże korespondent, piszący z miejsca, dodaje, że we wsi Bagienicach, powiatu sierpskiego, emigranci zabrawszy się na 10 wozach, brnęli po pas w wodzie przez błotniste łąki, byle ujść za granicę przed goniącą ich strażą pograniczną. Dotychczas t. j. do 14 listop. 1890 aresztowano na granicy w jednym tylko powiecie mławskim 618 emigrantów („Gazeta Warszaw.“ Nr. 307 r. 1890).

Zgodzić się też można, iż do wychodźtwa ludu niemało się przyczyniła i fantazya, matka głupich. Jest ona, jak wiadomo, tém potężniejsza, im rozum słabszy. Mówiono, że agenci rozsyłali nietylko *szyfkarty* na bezpłatny przejazd morzem, ale także i świstki z obrazkami, przedstawiające Brazylią jako raj ziemski, gdzie słońce nie zachodzi, a perły garściami zbiérają. Mogło to w części działać na fantazyą ciemnego ludu, który nietylko siedzi w otchłaniach nocy umysłowéj, ale i fizycznéj. Ubogi wieśniak nie pali, jak wiadomo, światła, bo go na to nie stać; a jeżeli pali, to drzazgę na kominie lub swędzący knotek w skorupce. Długie nocy zimowe muszą być u chłopów okrutnie nudne i smutne; przespać tyle czasu niepodobna; w karczmie się świéci, ale karczma nie w każdéj wiosce, a co gorsza, goły nie ma kredytu. Nie dziwilibyśmy się, gdyby nawet ta drobna okoliczność, jak światło darme, mogła w niejednéj głowie ozłocić raj zamorski. Całe życie nasze, równie głupich jak mądrych, składa się z szeregu złudzeń i majaków, bez których byłoby ono jeszcze nieznośniejsze. Łudzą się pany, łudzą się i chłopy, a wielka Maja snuje przed nimi złocistą przędzę uroczych widziadeł. Więc ten lub ów parobczak, jedna lub druga dziewucha mogli pójść na lep fantazyi, zwłaszcza, gdy i rzetelne listy przybywały z Ameryki od kumotrów zachęcające do porzucenia ojcowizny, lub zgoła z przekazami na odbiór pieniędzy. To już były argumenta, któreby przekonały nawet sceptycznych doktorów filozofii.

Wyszło tedy ludu sporo, zaczém, wzięły się i władze administracyjne do tamowania dalszéj wędrówki. Zakazano urzędnikom stanu cywilnego wydawać metryki emigrantom bez szczególnego upoważnienia odnośnych urzędów, któreby metryki potrzebowały; obostrzono nadzór pograniczny: chwytano po paruset ludzi i odsyłano do gmin, skąd wyszli. Obecnie słychać, że emigracya bardzo zmalała,

że się redukuje do kilkunastu ludzi na rozmaitych przesmykach; ale obiecują, że się ku wiośnie znowu ruszy falą.

Nie dosyć na tych negatywnych, zakazowych środkach; władze krajowe rozesłały do naczelników powiatowych i burmistrzów miast kwestyonaryusze, wymagające odpowiedzi na liczne pytania, dotyczące emigracyi w ciągu 2 lat ostatnich. Pytań tych nie przytaczamy jako znanych z dzienników; jedno tylko możemy dodać, że sumienne wypełnienie rubryk, zawartych w kwestyonaryuszach, mogłoby wielu rzeczy nauczyć miejscowych ekonomistów i moralistów, a przytém stanowiłoby pewniejsze źródło informacyi od dziennikarskich korespondencyi.

A co zrobili prywatni w interesie wychodźtwa? Szlachcice, księża i biskupi perswadowali, zaklinali emigrantów w imię własnego ich dobra, ażeby zostali w domu. Trafili na głuche uszy; odpowiadano im tu i owdzie, że panom nie chodzi o chłopską skórę, lecz o taniego robotnika.

Jakie skutki na razie i w przyszłości może za sobą pociągnąć emigracya? Podrożenie robocizny, a stąd przewidywane zachwianie się większych właścicieli ziemskich, co ani pod względem ekonomicznym, ani społecznym pożądaném-by nie było. Powtóre, zubożenie kraju. Ziemia, chociażby najlepsza, nabiéra wartości dopiéro przez ludzi, i to nie jakichkolwiek, ale pracujących. Otóż, kraj nasz nie ma, jak wiadomo, do zbytku ludzi w ogóle, a w szczególności pracowitych; na przestrzeni Królestwa mogłoby wyżyć conajmniéj trzy razy tyle ludzi, ile ich jest obecnie. Co większa, emigrujący są pospolicie ludźmi młodymi i energiczniejszymi; ponieważ zaś i wojsko takichże potrzebuje, więc do uprawy ziemi musi zostać żywioł słabszy, i coraz więcéj marniejący fizycznie i duchowo. Nareszcie, wychowanie emigrantów do wieku, w którym pracować mogli, kosztowało społeczeństwo poważne sumy, jeżeli nie w gotówce, to *in natura*. Zubożenie tedy kraju przez emigracyą, zwłaszcza liczniejszą, jest niewątpliwe.

18 listopada 1890 r.

K.





Z GALICYI.

Dnia 4 grudnia 1890 r.

Z sejmu.—Zmiany w wydziale krajowym.—Sprawa Kulparkowska i szkoła w Dublanach. — Wybory w Krakowie. — Przyczynek do emigracyi ludu polskiego za Atlantyk.—Szkoła Sztuk pięknych i rezygnacya Jana Matejki ze stanowiska dyrektora.—Schronisko Domsa we Lwowie.

I.

Sejm tegoroczny, chociaż nie trwał długo, i nadzwyczajnych rzeczy nie dokonał, pozostanie pamiętnym w dziejach naszéj autonomii. Na nim pierwszy raz przedstawił się nowy marszałek, szerokie zaś koła publiczności, przez czas trwania jego obrad, wciąż się pytały: na jakąż stronę, w polityce ekonomicznéj, przechyla się większość sejmowa? Czy pójdzie za tymi, którzy, pragnąc ruszyć z posad bryłę Galicyi, doradzają jéj podejmować nakłady produkcyjne na szeroką skalę, — które możnaby przedsięwziąć tylko przy pomocy kolosalnych długów, — czy też pozostanie tym wierną, którzy acz mają na względzie dobro kraju, boją się jednak zbłądzić i zdążają do celu oględnie, i wolą, przynajmniéj teraz, mieć mniéj nadziei, ale i mniéj długów.

A więc najpierw słowo o nowym marszałku.

Społeczeństwo galicyjskie, przesiąknięte od wieków ideami arystokratycznemi, a nie umiejące samo gorliwie pracować, przy zmianie każdego marszałka pożąda zawsze dwóch rzeczy: aby nim był wielki pan, tak z imienia, jak z majątku, następnie, żeby był człowiekiem tak genialnym, iżby sam jeden mógł wszystko zdziałać, poczém spo-

łeczeństwo będzie już spokojnie spożywało owoce jego pracy. Dlatego to z prawdziwym zapałem biliśmy oklaski Sapiehom, Potockim, Dieduszyckim, Wodzickim i Tarnowskim, a z wielką niechęcią spoglądaliśmy na Mikołaja Zyblikiewicza, dzierżącego w dłoni mieszczańskiéj laskę marszałkowską; obecnie zaś nasz entuzyazm znów się spotęgował, ponieważ obradom sejmowym przewodniczy magnat prawdziwy i dziedzic sławnego imienia, a pan wielkiéj fortuny, ks. Eustachy Sanguszko. I nie sądzę, by nam ktokolwiek mógł wziąć za złe tę próżność. Wszak jest ona wszechludzką, więc jako z czynnikiem przyrodzonym każdy rząd musi się z nią liczyć.

Osoba marszałka zadowoliła nas tedy zupełnie; teraz idzie o to, czy nowy dostojnik ziści drugie nasze pragnienie i za nas sam wszystko zrobi.

Co do tego, zdaje mi się, że się łudzimy. Ks. Sanguszko radby zdziałać jak najwięcéj, z tém postanowieniem stanął na czele autonomii krajowéj, ale jeśli go wszyscy nie poprzemy, najlepsze jego chęci nie wydadzą owoców. W mowie zagajającéj sesyę sejmową nie wahał on się także powiedzieć, że gdyby utracił zaufanie kraju, bezzwłocznie podałby się do dymisyi. Nie chce więc zostać autokratą, lecz chce być już zwierzchnikiem konstytucyjnym. Ponieważ już na kilka miesięcy przed otwarciem sejmu w Galicyi głośno o tém mówiono, że sejm tegoroczny musi zainicyować politykę nakładową, przeto nowy marszałek w swojéj mowie uznał za stosowne tak się o niéj wyrazić. „Inwestycye, nigdy same przez się nie zdołają kraju ekonomicznie podnieść. Są one niejako ziarnem, rzuconém w grunt w nadziei, że stokrotny plon przyniosą; otóż plonu tylko wtedy można się spodziéwać, jeżeli ziarno padnie na grunt należycie przygotowany. Do podniesienia ekonomicznego kraju, potrzebny jest kapitał o wiele większy, niżeli ten, którego fundusz krajowy, nawet przy największém wysileniu mógłby na te cele dostarczyć. Tym kapitałem jest kapitał pracy i kapitał inteligencyi mieszkańców kraju; ten kapitał powiększa się w każdém społeczeństwie tylko bardzo powoli, a miarą polityki inwestycyjnéj i regulatorem téjże, powinien być wzgląd na ten czynnik.“ Po tych słowach każdy mógł się już spodziéwać, że większość sejmowa nie stanie po stronie p. Szczepanowskiego, który o inwestycyach marzy, — lecz pójdzie drogą pośrednią i w najlepszym razie uchwali wniosek posła Dawida Abrahamowicza, który, aby zasilić skarb krajowy, zaproponował nowe opłaty konsumcyjne od gorących napojów.

Chociaż sejm tegoroczny miał na oku głównie sprawy finansowe,

nie będę ich roztrząsał, a tylko rzucę kilka uwag ogólnych, które może przyczynią się do ich oświetlenia.

Poseł Stanisław Szczepanowski, autor głośnéj broszury „Nędza Galicyi w cyfrach", a najwybitniejszy dziś u nas krzewiciel zasady, że narody nie powinne bać się pożyczać, jeśli tylko pieniądze na téj drodze uzyskane obrócą na produkcyjne nakłady, nie chce ani czekać, ani téż pamiętać o jednéj rzeczy kardynalnéj, mianowicie o téj, że nam nie wolno naśladować ani Węgier, ani Włoch, ani nawet małéj Bułgaryi, do czego on nas zachęca, są to bowiem p a ń s t w a, rozwijające się samodzielnie, mające własną skarbowość i własną politykę ekonomiczną, kiedy Galicya jest tylko p r o w i n c y ą, cząstką obcego organizmu państwowego, który jedynie to czynić jéj pozwala, co jemu samemu może wyjść na zdrowie. Zresztą do dziś jeszcze nie wiemy, jak na wielkich nakładach wyjdą nasi najbliżsi sąsiedzi, Węgrzy; co do Argentyny zaś, która takie olbrzymie długi zaciągnęła, by kraj zaludnić i wzbogacić, to historya ostatnich miesięcy mówi nam wyraźnie, że wielkie nakłady mogą być niebezpieczną operacyą nawet na dziewiczéj ziemi amerykańskiéj.

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, lat temu cztery, pisząc na tém tu miejscu o smutnym stanie naszego skarbu krajowego, ośmieliłem się wypowiedziéć zdanie, że dopóki nie uzyskamy od rządu choć cząstki dochodów krajowych, np. salin wielickich, dopóty nie będziemy mogli marzyć o utrwaleniu autonomii. Gmach należy budować nie od dachu, lecz od podwalin — nie przez robienie długów zaczynajmy odradzać Galicyę, ale przez wywalczenie jéj własnéj skarbowości, co gdy raz nastąpi, reszta przyjdzie sama z siebie.

Ktokolwiek patrzy bezstronnie na działalność posła Szczepanowskiego, tego *par excellence* szermierza polityki inwestycyjnéj, i słucha uważnie, czy to jego odczytów, czy mów parlamentarnych, ten wraz ze mną musi przyznać, że jestto umysł szerszego kroju, polityk oczytany. Wielka atoli szkoda, iż w Szczepanowskim przeważa nie statysta, wiedzący dokładnie, że dwa a dwa to cztery, ale szlachetny ideolog-poeta, który głęboko wierzy, że gdy się do dzieła natychmiast, przytém energicznie zabierzemy, to dwa a dwa dadzą nam ośm. Ten rys piękny, bo prawdziwie idealny, robi posła Szczepanowskiego w naszém społeczeństwie osobistością niezmiernie sympatyczną, wszakże równocześnie odejmuje mu on możność wywierania właściwego wpływu na szerokie masy. Ludzie będą go kochali, ale go nie posłuchają i za nim nie pójdą. Przyjaciół będzie liczył na krocie, lecz na czele stronnictwa politycznego nigdy nie stanie. Chyba, że się przetrawi i wyziębi.

Choćby mi kto miał zarzucić, że piszę jak zacofaniec, stoję przy mojém zdaniu i z naciskiem zaznaczam, że w Galicyi nikt dziś nie żałuje, iż w sprawach finansowych zwyciężyła polityka umiarkowania i ścisłego rachunku, nad piękną w teoryi, lecz wątpliwą w praktyce polityką inwestycyjną.

II.

Nim jeszcze sejm się zebrał, z wielu stron dawały się słyszéć głosy, które przedarły się nawet do dziennikarstwa, że hr. Jan Tarnowski jedynie dlatego porzucił laskę marszałkowską, że z wydziałem krajowym nie mógł sobie dać rady. Chociaż wiadomość powyższa nie była prawdziwą, Tarnowski bowiem ustąpił ze względów osobistych, mimo to nie da się zaprzeczyć, że stosunki w wydziale kr. pozostawiały wiele do życzenia, głównie dlatego, iż skutkiem wadliwéj instrukcyi, marszałek był więcéj *de jure* niż *de facto* zwierzchnikiem radców przez sejm wybiéranych. Sejm tegoroczny zaradził téj niedogodności, uzupełniwszy na wniosek posła Madeyskiego powyższą instrukcyę, prócz tego wydział uległ radykalnéj przemianie, w ciągu roku z sześciu dawniejszych jego członków zostało tylko dwóch, dr. Hoszard i dr. Wereszczyński, czterech zaś mamy całkiem nowych. W roku ubiegłym weszli Romanowicz i rusin Sawczak, teraz zaś wybrano Jędrzejowicza na miejsce jego brata, który ustąpił, i Chamca na miejsce Oktawa Pietruskiego. Ten ostatni był w wydziale od zawiązku naszéj autonomii, więc słuszną jest rzeczą, bym mu na tém miejscu kilka słów poświęcił.

Oktaw Pietruski w onéj jeszcze epoce, kiedy szlachta galicyjska stroniła od urzędów, zdawszy egzaminy prawnicze, rozpoczął karyerę w administracyi państwowéj i dosłużył się wysokiéj u nas rangi radcy. Ledwie z konstytucyą otrzymaliśmy autonomię, na życzenie pierwszego marszałka, ks. Leona Sapiehy, przeniósł się do wydziału krajowego i odtąd przez lat blisko trzydzieści wcale go nie opuszczał. Zastępując marszałka, miał tytuł prezydenta téj instytucyi, za co pobiérał pensyę o 1,000 guldenów wyższą, niż reszta jego kolegów, więc 5,000 rocznie. Mąż prawości nieskazitelnéj, ze sprawami krajowemi doskonale obeznany, przytém rzadkiéj pracowitości, wywiérał on w wydziale wielki wpływ, ale po za biurami nie miał go już ani w sejmie, ani w kraju. Szanowali go wszyscy, ale nikt za nim nie szedł, bo i on o to się nie starał. Był to przedewszystkiém urzędnik, pilnujący sumiennie swoich obowiązków, ale nie mąż polityczny, usiłujący miéć własne stronnictwo, bądź téż pragnący w którémkolwiek z cu-

dzych stronnictw wybitną rolę odgrywać. W téj jego rezerwie politycznéj należy przeważnie szukać przyczyny, dla któréj nawet wówczas, gdy marszałka na gwałt szukano, jak np. po ustąpieniu hr. Ludwika Wodzickiego, wzrok monarchy nie padł na Oktawa Pietruskiego. Za mało go znano. Do sejmu wybiérała go zawsze większa własność obwodu stryjskiego. Przekonań był konserwatywnych.

Znękany ciężką chorobą, która w jego wieku sędziwym jest wielce niebezpieczną, postanowił usunąć się całkiem od pracy, aby resztę dni swoich spędzić w zaciszu domowém. Ponieważ członkowie wydziału krajowego, mający charakter prędzéj dygnitarzy niż urzędników, nie otrzymują emerytury, przeto tylko sam sejm mógł orzec, azali ustępujący prezydent ma otrzymać *panem bene merentium.* W roku ubiegłym zaszedł był już tego rodzaju wypadek. Kiedy sędziwy Smolka z wydziału ustępował, aby zrobić miejsce Tadeuszowi Romanowiczowi, wtedy sejm uchwalił dlań emeryturę w wysokości 4,000 guld. rocznie. Obecnie przyznano Pietruskiemu także całą jego pensyę, t. j. 5,000 guld. rocznie. Koło polskie zgodziło się na nią bez dyskusyi, ale kto wnioskowi w izbie postawionemu robił namiętną opozycyę, to panowie rusini. A z jakiéj przyczyny? Jedynie dlatego, że Pietruski jest polakiem.

Na miejsce Pietruskiego wszedł do wydziału poseł Chamiec, i o ile się zdaje, zostanie on także prezydentem téj instytucyi.

Poseł Chamiec pochodzi z Wołynia. Dziś ma lat niespełna 50. Rozpoczął karyerę we Lwowie jako urzędnik wydziału kr., następnie przeniósł się do Wiednia, gdzie dłuższy czas pracował w ministeryum, nakoniec jako starosta przybył do Galicyi. Zrezygnowawszy z téj posady, oddał się życiu politycznemu. Koledzy sejmowi wysoko cenią jego umysł bystry, energię i pracowitość, a że zna sprawy krajowe lepiéj, niż którykolwiek inny starosta galicyjski, bo jako urzędnik państwowy, musiał się z niemi dobrze zaznajomić, przeto w wydziale kr. będzie on teraz radcą wielce użytecznym.

O drugim, świéżo wybranym członku, pośle Jędrzejowiczu nie można jeszcze nic powiedzieć, za to z wielkiém uznaniem są wszyscy dla Tadeusza Romanowicza. Dopóki on był naczelnym redaktorem „Nowéj Reformy“, wychodzącéj w Krakowie, i w niéj walczył z polityką Stańczyków, dopóty sfery rządowe z pod oka na niego patrzyły, posądzając go o demagogię, ówczesny zaś delegat namiestnictwa w Krakowie, a dzisiejszy namiestnik, hr. Badeni, wytężał wszelkie siły, by Romanowicz nie wszedł do rady państwa, i w rzeczy saméj, udało mu się uniemożliwić jego wybór. Zapewne zdawało się wtedy stronnictwu rządzącemu, że gdy ten człowiek wejdzie do parlamentu,

dynamitem całe państwo rozsadzi. Tymczasem, jak płonne były te obawy! Romanowicz został członkiem wydziału, pracuje od rana do wieczora z benedyktyńską gorliwością, sprawom publicznym oddaje się z największém zamiłowaniem, dawna żyłka polemiczna z dniem każdym bardziéj w nim zasycha, wszyscy konserwatyści chwalą go niezmiernie, a za lat kilka, gdy do sejmu będą się odbywały wybory, ręczę, że sam rząd będzie za nim agitował. I zjawisko to uznamy za całkiem naturalne. Skoro nie był szkodliwym, a okazał się użytecznym, czemu go więc nie popiérać? Czyż tak dużo mamy zdolnych ludzi, byśmy mogli od wspólnéj pracy tych wykluczać, którzy niegdyś byli warchołami, lecz dziś nimi nie są? Zresztą każda opozycya jest warcholska, boć leży to w jéj naturze, wszelako w dniu, w którym staje się rządem, zrywa ze swą przeszłością i robi się umiarkowaną, ponieważ konwulsyjnemi krzykami nie można rządzić. Zresztą i wiek robi nas spokojniejszymi. Jakimi byli niegdyś Smolka, Ziemiałkowski, a jakimi są dziś!... A więc miło nam, że i w pośle Romanowiczu kraj pozyskał siłę zdolną do rządzenia.

Prócz jednego d-ra Hoszarda, stojącego na czele spraw sanitarnych, a reprezentującego dotąd w wydziale historyę naszéj autonomii, wszyscy inni członkowie są ludzie nowi i stosunkowo młodzi. Że z nimi w kraju nowy duch zapanuje, to rzecz równie naturalna, jak pożądana. Świat na jedném miejscu nie stoi, wszystko się przekształca i udoskonala. Przez lat trzydzieści walczyliśmy o język i szkołę. Dziś, po wygraniu pierwszéj kampanii, musimy stoczyć bój o podstawę materyalną, bez któréj żaden organizm nie może istniéć. Nadchodzi tedy epoka walki ekonomicznéj, w któréj młodzi szermierze muszą złożyć dowody wielkiéj roztropności.

III.

Żaden z departamentów wydziału krajowego nie był nigdy narażony na tak namiętne ataki, jak departament sanitarny, którego szefem jest dr. Hoszard. Ktokolwiek zna sprawy galicyjskie, wié, że w zarzutach czynionych zarządowi naszych szpitali, jest dużo racyi, ale niemało także i prywaty. Czasy dziś ciężkie, wyżyć trudno, posad dobrych mamy niewiele, ilekroć tedy nastręcza się sposobność opanowania jakiego stanowiska, choćby nawet przemocą, natychmiast zjawiają się kandydaci...

Kilka miesięcy temu, nietylko po całéj Galicyi, lecz także daleko po za jéj granicami obiegała wiadomość, że w zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie pod Lwowem, naczelny dyrektor, dr. Neusser

biédnych chorych formalnie torturuje. Miał on się tego dopuścić na poruczniku Zakrzewskim, za to, że go tenże czynnie znieważył. Ponieważ przed kilkoma laty w Kulparkowie dozorcy połamali żebra hr. Izydorowi Dzieduszyckiemu, przeto w to, co teraz mówiono, wszyscy uwierzyli, a to tém łatwiéj, ile że powszechnie wiadomo, iż dr. Neusser nie należy do ludzi wyrozumiałych i delikatnych.

Gdy krzyk dosięgnął zenitu, wydział kr. zarządził dochodzenie, poczém ogłosił, że dyrektor Neusser postępował prawidłowo. Równocześnie sąd karny, na wniosek prokuratora, wdrożył śledztwo, lecz to nie zostało dotąd ukończone. Ponieważ komunikat wydziału o tym smutnym wypadku, mimo że we wszystkich dziennikach został ogłoszony, nikogo nie zadowolił, więc słuszną było rzeczą, by celem usposokojenia zatrwożonéj opinii publicznéj, sejm tę sprawę podniósł i wyświecił. Jeden z jego najmłodszych, lecz zarazem najinteligentniejszych członków, poseł Włodzimierz Kozłowski podjął się tego zadania, i przed forum izby, a tém samém kraju, wytoczył drażliwą sprawę kulparkowską. A poseł Kozłowski nim poddał krytyce postępowanie dyrektora Neussera, wprzód nad zakładami dla obłąkanych porobił wyczerpujące studya i w tym celu zwiedził Austryę, Niemcy, Francyę, nawet Portugalię. Niektórzy dziwią się, że w ciągu lata bieżącego, chciało mu się takie dalekie i kosztowne odbywać podróże, ja jednak mniemam, że gdyby każdy z naszych posłów oddał się fachowo jednéj sprawie i zbadał ją nietylko u siebie w kraju, lecz także zagranicą, wtedy działanie naszéj najwyższéj reprezentacyi autonomicznéj, byłoby bez porównania w plon bogatsze, niźli jest teraz. Poseł Kozłowski miał zakładowi kulparkowskiemu nie jedno do zarzucenia. Najpierw wytknął braki natury technicznéj, wynikające ze złéj budowy gmachu, następnie wykazał, że zakład ma także usterki natury organizacyjnéj, szczególnie źle jest w nim urządzony oddział obserwacyjny, a już najostrzéj krytykował postępowanie samego dyrektora, który umysłowo chorych zamyka do separatki lub na oddział szałowy, mimo iż się spokojnie zachowują, a nawet wstrzykuje im czasem eter, jak to czynił Zakrzewskiemu.

Chociaż dr. Hoszard usiłował dra Neussera obronić, jednakowoż tym razem celu nie osiągnął, i sejm wybrał komisyę, złożoną z ludzi fachowych, która zastanowi się nad ulepszeniami w naszych zakładach dla obłąkanych. Komisya będzie mogła zasięgnąć także rady znakomitych psychiatrów zagranicznych, gdyż sejm na ten cel przeznaczył 2,000 guldenów. Teraz mamy przynajmniéj nadzieję, że sprawa kulparkowska będzie ostatecznie załatwiona, czego należy pragnąć zarówno przez wzgląd na honor naszéj prowincyi, jak i spo-

kój tych wszystkich, którzy w zakładzie mają swoich krewnych i przyjaciół.

Znana powszechnie szkoła w Dublanach, ulegnie także pewnéj przemianie. Komisya sejmowa, która badała stan téj szkoły, przedłożyła izbie obszerne i wyczerpujące sprawozdanie, z którego wyjmę kilka charakterystycznych ustępów.

Od lat kilku, można nawet powiedzieć od chwili przyjęcia szkoły dublańskiéj w zarząd krajowy, dawały się słyszeć głosy, tak w sejmie, jak po za sejmem, że należy tam unikać zbytniego rozszerzenia granic nauk teoretycznych, że nie dążąc do zniżenia poziomu nauk, należy dać im charakter praktyczny; utrzymywano, że z Dublan nie mają wychodzić kandydaci na katedry profesorskie, że tam ma się kształcić właściciel dóbr, który w przyszłości będzie gospodarzył na swoim większym lub mniejszym majątku, rządca, który ma administrować większemi dobrami; nie pominięto i téj wskazówki, że szkoła rolnicza nietylko ma udzielać nauki, ona ma naginać wychowanie ucznia do przyszłego jego zawodu, budzić energię, zamiłowanie pracy, kształcić zmysł obejmowania całości, wyrabiać baczny wzrok na wykonanie szczegółów. Taką powinna być szkoła rolnicza w Dublanach. Ale w stosunki szkolne wkradł się tamże rozstrój, który dłużéj bez niebezpieczeństwa dla zakładu cierpianym być nie może. Pośrednich do tego przyczyn było bardzo wiele, najbliższa atoli i bezpośrednia jest brak władzy nad licznie zgromadzoną w jedném miejscu młodzieżą, który dyrekcyę i profesorów wszelkiego pozbawił wpływu, tudzież wolność nieograniczona, która pozwalała nadużywać swobody i która z ujmą dla nauki dopuszczała zajmować się sprawami, nie stojącemi w żadnym związku z powołaniem ucznia. Po skończeniu szkół, zdobytą wiedzą wzbogacony, ma uczeń prawo wybiérać sobie zakres działania odpowiedni jego siłom intelektualnym; wszakże póki jest w szkole, nie wolno mu miéć innego celu przed sobą po za nauką, a przedewszystkiém nie wolno opiérać się zarządzeniom dyrekcyi, nie wolno marnować drogiego w młodości czasu, nie wolno zaszczepiać wkoło siebie rozprzężenia i nieładu. Ze szkoły rolniczéj w Dublanach rozchodzą się po kraju młodzi ludzie, przyszli administratorowie swojéj lub cudzéj własności, którzy mają być wzorem pracy, porządku i ścisłości wykonania. Nie będzie nim ten, kto nie włożony do pracy i ścisłości, stał się na ławach szkolnych krzewicielem nieładu i rozluźnienia.

Wobec tego komisya sejmowa mniema, że dopiéro wtedy ze szkoły dublańskiéj dadzą się usunąć niezdrowe stosunki, jeżeli kraj założy tamże internat dla jéj wychowańców. Zagranicą istnieją już

takie internaty i wszędzie okazały się one praktyczne. Internat, t. j. budynek z całém urządzeniem, będzie kosztował 40,000 guldenów, na które rocznie kraj będzie przeznaczał po 10,000 guld. Wydatkiem tym, stosunkowo niewielkim, wychowywać się będzie w internacie, za niewysoką opłatą 40 uczniów, prócz tego uzdrowi się wewnętrzne stosunki szkoły i wprowadzi zmianę, która i po za jéj ścianami na społeczeństwo zbawiennie oddziała.

Prócz niższych szkół rolniczych, zwanych także szkołami parobków, z których mamy już kilka w Galicyi, a wszystkie rozwijają się prawidłowo i korzystnie — następnie prócz wyższéj szkoły w Dublanach, mamy jeszcze coś w rodzaju uniwersytetu rolniczego, gdyż od października r. b. istnieje przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie tak zwane „Studyum rolnicze“, o którém przed trzema miesiącami wszystkie dzienniki obszernie pisały. Słuchaczów ma studyum 43. Jak na początek nie jest ich bynajmniéj mało, w roku zaś przyszłym będzie ich znacznie więcéj. Rozmawiałem z inteligentnymi słuchaczami tego wydziału i wszyscy mnie upewniali, że wykłady profesorów nie pozostawiają nic do życzenia. Jest nadzieja, że powoli studyum przeistoczy się w prawdziwą akademię rolniczą.

IV.

Kilka miesięcy temu umarł w Wiedniu adwokat Machalski — człowiek zdolny, ale bez wybitnego kierunku politycznego, którym posługiwały się kolejno rozmaite stronnictwa, począwszy od skrajno-liberalnego, skończywszy na skrajno-zachowawczém. Długo nie mógł on wejść do parlamentu, nakoniec dzięki czynnéj pomocy rządu, przeparli go konserwatyści przeciw Romanowiczowi, który równocześnie z nim ubiegał się wtedy o mandat do rady państwa. Teraz, po jego śmierci, rozpisano wybory na 25 listopada, a więc odbywały się one pod okiem obradującego sejmu, gdyż ten został zamknięty dopiéro d. 29 listopada.

I znów stanęły naprzeciw siebie w starym grodzie podwawelskim dwa stronnictwa. Pierwsze wysłało w bój dra Tomkowicza, drugie dra Augusta Sokołowskiego, który jest nietylko historykiem i publicystą, lecz także profesorem w gimnazyum Św. Anny.

Gdym na kilka tygodni przed wyborami przyjechał do Krakowa i zapytał jednego ze znajomych, jaki będzie ich wynik, otrzymałem odpowiedź następującą:

Wynik nie może być inny, niż taki, jaki przewidują ci wszyscy, którzy ze sprawami miejscowemi dobrze są obeznani. Tomkowicz

przejdzie, bo przejść musi. Kraków, mimo pozornych tryumfów stronnictwa postępowego, jest na wskroś konserwatywny. Zresztą zachowawcy mają tu wszystko w ręku. Kościół, uniwersytet, szkoły, sądy, urzędy, banki, Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, bogatsze mieszczaństwo, słowem wszystko z nimi trzyma. Jeśli do tego dodam żydów, którzy zawsze władzy słuchają, a sami żydzi dostarczają u nas blisko 1,000 głosów, to czy można przypuścić, by Sokołowski mógł zwyciężyć?

Niedługo po téj rozmowie odbyło się walne zgromadzenie wyborców, którym przedstawili się obadwa kandydaci. Mówili spokojnie i powiedzmy to szczerze, w poglądach swoich na sprawy krajowe prawie całkiem się nie różnili. Obadwa byli umiarkowani. Muszę tu jednak zaznaczyć, że dr. Sokołowski zrobił na słuchaczach dodatniejsze wrażenie, niż jego przeciwnik, ma bowiem wielką łatwość słowa i należy w mieście do osobistości bardzo popularnych. Za to dra Tomkowicza mało kto zna, jego zaś swada słuchaczów nie olśniewa ani zachwyca. I kto wié, czy mu to najwięcéj nie zaszkodziło. Żywe słowo, dobrze wypowiedziane, wywiéra urok nieprzezwyciężony i ono masy najłatwiéj podbija. Dla tego to Rzymianie, politycy *par excellence*, sztukę krasomówczą z wszystkich najwyżéj stawiali.

Wypadek zrządził, że w sam dzień wyborów przybyłem znów do Krakowa. Na rogach ulic, jak zazwyczaj, jedne plakaty zapewniały ludek podwawelski, że Galicyę może zbawić tylko dr. Tomkowicz; przeciwnie drugie w wyrazach jeszcze dobitniejszych utrzymywały, że prócz dra Sokołowskiego, sztuki téj nikt inny nie dokaże. Przed gmachami, w których odbywało się głosowanie, stały tłumy wyborców. Wśród nich agitatorowie ciągnęli jednych w prawo, drugich w lewo. Rząd, acz oględnie, torował drogę panu Tomkowiczowi.

Późnym wieczorem skończyło się skrutynium. I wtedy Kraków z największém zdumieniem usłyszał, że dr. Sokołowski otrzymał 1677 głosów, zaś dr. Tomkowicz ledwie 1044.

Cóż się więc stało? Jakim sposobem mój przyjaciel, o którym wyżéj wspomniałem, mimo, że zna stosunki krakowskie, mógł się tak srodze omylić?

Jeden z publicystów podwawelskich, p. K. Bartoszewicz, tak ten fakt tłómaczy:

„Oba wielce szanowne stronnictwa, działają tylko w pewnych kierunkach i tylko w pewnych sferach widzą moc i potęgę swoją. Tak do „Reformy“ jak i do „Czasu“ przyznaje się tylko garść ludzi z tak zwanéj inteligencyi, znaczna zaś większość gra rolę widzów z wesołéj komedyi, która jednak dla spraw krajowych kończy się dramatycznie.

Liberałom zdaje się, że jak powiedzą kilkanaście mówek, wycałują się kilkaset razy w oba policzki z rękodzielnikami, to już mogą być pewni wygranéj—a konserwatystom znowu wydaje się, że pobiją każdego wroga, jeżeli wezwą na pomoc płatne zaciągi lisowczyków kazimierskich. Ani jedni, ani druzy nie pomyśleli dotąd o tém, że w naszém mieście znajduje się dużo inteligencyi, obywateli, właścicieli kamienic, nieco kupców i przemysłowców, mających razem kilkaset głosów wyborczych, któremi w braku sympatyi do obu stronnictw, obdarzają według swego przekonania tych, którzy wydają im się więcéj zasłużonymi i zdolnymi, lub téż tych, co są im więcéj znani i sympatyczniejsi. Cała rzecz w tém, że dr. Sokołowski był więcéj znany i miał więcéj sympatyi od swego przeciwnika, a nikt przytém nie chciał wierzyć, aby był tak czerwonym, jakim go malowano".

Zdaniem mojém, rozumowanie p. Bartoszewicza, acz trafne, nie jest wystarczające. Prócz osobistéj sympatyi dla zwycięzcy, przy wyborze dra Sokołowskiego, odegrał ważną rolę jeszcze jeden czynnik, o którym tu wspomniéć należy.

Stronnictwo stańczyków, lubo do téj chwili jest jeszcze w Galicyi wszechpotężném, gdyż najwybitniejsze stanowiska zajęli jego zwolennicy, wskutek niezręcznéj taktyki oddziela się coraz więcéj od kraju, i z licznego niegdyś stronnictwa, przeistacza się w małą garstkę prawowiernych rycerzy, którzy zamknąwszy się w okopach Św. Trójcy, walczą czasem z istotnym nieprzyjacielem, ale częściéj z wiatrakami. Wziąwszy sobie za hasło: „Kto nie z nami, ten przeciw nam!" żądają stańczycy od każdego, ktoby do nich chciał się zbliżyć nie wspólnéj pracy, lecz bezwarunkowego posłuszeństwa, własne przekonania poczytują za kwintesencyę wszelkiéj mądrości politycznéj, a że prócz tego są *plus catholiques que le pape*, więc chcą także, żeby duchowieństwo przychodziło do nich po rady i nauki. Że tego rodzaju taktyka musiała nawet konserwatystów zniechęcić, to rzecz jasna. W Krakowie też znajdziesz dziś nie dziesiątki, ale setki prawdziwych zachowawców, którzy nie piszą się na to, co „Czas" głosi. A ten ich organ! Boże litościwy, cóż to za nuda szlafrokowa! mimo, że ma on zawsze dobre informacye, nikt go nie chce czytać, a w roku ubiegłym sam hr. St. Tarnowski w swoich „Próbach rozstroju" nie wahał się powiedzieć, że jest on przerażająco nudny. Skutki tego są widoczne. Po odtrąceniu 700 głosów żydowskich, które padły na p. Tomkowicza, głosów innych, nie zawisłych zdobył on ledwie 300. Więc tylko tyle wywalczył mu organ, istniejący w Krakowie od lat przeszło czterdziestu, znany daleko po za granicami kraju, którego głosu jeszcze niedawno słuchano w Galicyi? Zaiste, w chwili obecnéj

jest to zjawisko wielce charakterystyczne, a kto w dniu 25 listopada widział twardych konserwatystów, oddających swoje głosy Augustowi Sokołowskiemu, ten musiał powiedzieć, że chyba frakcya „Czasu“ w samym nawet Krakowie traci grunt pod nogami, skoro ją właśni przyjaciele opuszczają.

Przypominam sobie dobrze, że gdy lat temu 8, za ostatniéj swojéj bytności u Kraszewskiego w Dreźnie, rozmawiałem z nim o prasie warszawskiéj, sędziwy pisarz tak się wtedy wyraził o „Przeglądzie Tygodniowym“.

— Nie czytam go, ale musi go społeczeństwo potrzebować, skoro istnieje. Każde społeczeństwo powinno miéć rozmaite stronnictwa i rozmaite organy, inaczéj nie mogłoby się rozwijać w sposób prawidłowy.

Podzielając najzupełniéj to zdanie, bynajmniéj z tego się nie cieszę, że obóz zachowawczy nie ma dziś w Galicyi ani spójni należytéj, ani organu wpływowego, któryby go na zewnątrz godnie reprezentował. Radować to może samych tylko zwolenników „Reformy“, którzy z porażki przeciwnika starają się korzyść dla siebie wyciągnąć, ale nie ludzi stojących po za stronnictwami, którzy pragną by społeczeństwo rozwijało się należycie. Jak w maszynie musi być jedna siła, która ją porusza, tak musi być i druga, która rozpęd w należyte karby ujmuje. Usuńcie tę drugą, a maszyna się rozleci. Czyż trzeba dodawać, że w każdém zdrowém społeczeństwie, obóz zachowawczy, spokojny, rozsądny, nie stojący jednak na jedném miejscu, lecz odżywiający się wciąż nowemi sokami, jest niezbędnie koniecznym?

Upadku pana Tomkowicza nie należy tedy przypisywać jego własnéj osobie, lecz raczéj rozluźnieniu się stronnictwa konserwatywnego i nie dającemu się zataić faktowi, że „Czas“ na szersze masy już żadnego wpływu nie wywiéra.

V.

W chwili obecnéj, obok limfy Kocha, sprawa emigracyi ludu polskiego za Atlantyk, mówiąc językiem dziennikarskim, jest najaktualniejsza. Cała prasa nasza nią się zajmuje. Pan Kłobukowski poruszył ją rok temu na zjeździe prawników we Lwowie, a piękny jego referat był w waszém piśmie drukowany. Późniéj komisya przez ów zjazd dla zbadania téj sprawy wybrana, rozesłała kwestyonaryusz z prośbą, by go wypełniali ci wszyscy, którzy mają sposobność patrzéć zblisks na emigracyę ludu. Ponieważ i mnie ta rzecz w wysokim stopniu interesuje, przeto udałem się niedawno do jednego z przyja-

ciół, który od lat kilkudziesięciu mieszka w Jasielskiém, a więc w okolicy, skąd lud licznie emigruje, i prosiłem go, aby mi zakomunikował swoje spostrzeżenia. Oto co mi odpowiedział:

„U nas prąd emigracyjny, dzięki szerzącéj się oświacie, nie jest tak groźny jak gdzieindziéj. Powiat krośniański, w którym mieszkam, mógłby wielu innym za wzór służyć. Ktokolwiek przypatrzy się tu bliżéj stosunkom włościańskim, postrzega z prawdziwém zadowoleniem, że nasz powiat pod względem oświaty ludu, stoi może najwyżéj z całéj Galicyi, tu bowiem każdy nawet biédak czuje potrzebę nauki. I nie da się również zaprzeczyć, że lud ten, dla którego religia nie jest czczą formułką, pod wpływem zacnych kapłanów wyrabia w sobie coraz gorętszą miłość téj ziemi, która na świecie jest jego dobrem największém.

„Co do emigracyi saméj, to przedewszystkiém muszę zaznaczyć, że lubo wychodzą tłumy, rzadko jednak się zdarza, żeby z tych stron emigrowały całe rodziny; przeważnie wychodzą mężczyźni i to zdrowi a silni.

Inaczéj ma się rzecz z emigracyą do Brazylii, gdzie potrzebują teraz nie wolnych robotników, lecz białych murzynów, ale ponieważ wychodźtwu w tamte strony prasa warszawska szczególniejszą w chwili obecnéj poświęca uwagę, przeto o niém mówić nie będę, a tylko dorzucę jedno jeszcze własne spostrzeżenie.

Emigracyę do Brazylii, w zamiarze stałego osiedlenia się tamże poczytuję nie tyle za rzecz w stosunkach obecnych wielce niebezpieczną, jak za niemożliwą, a to ze względów czysto przyrodzonych. Wychodźtwo *en masse* może się odbywać jedynie w kierunku mniéj więcéj téj saméj szerokości geograficznéj, pod jaką ludność emigrująca znajdowała się we własnéj ojczyźnie. Człowiek urodzony w klimacie zimnym, nie zaaklimatyzuje się pod zwotnikiem, i na odwrót murzynowi z nad brzegów wielkich jezior nie będzie nigdy ani zdrowo, ani przyjemnie nad fiordami szwedzkiemi. Dla tego to Anglicy, Irlandczycy i Niemcy, ciągnęli do Ameryki północnéj i tę zaludnili, Hiszpanie do środkowéj, Portugalczycy do południowéj. Dla Polaków podzwrotnikowa Brazylia nie stanie się nigdy krainą odpowiednią.

VI.

Gdy w sierpniu r. 1873 przyjechałem na wystawę wiedeńską, poszedłem złożyć moje uszanowanie d-rowi Ziemiałkowskiemu, świéżo mianowanemu ministrowi dla Galicyi. Wśród rozmowy o sprawach publicznych, pan minister rzekł:

— Powiodło mi się nakoniec przeistoczyć oddział rysunkowy przy szkole przemysłowéj w Krakowie na samodzielną szkołę sztuk pięknych, któréj dyrektorem będzie Jan Matejko.

Wiadomość o tém rozeszła się wnet po kraju i wszędzie została z radością przyjęta. Sztuka nasza zaczęła się dopiéro krzewić, więc téż każdy wierzył, że pod kierunkiem tak genialnego mistrza, jak Jan Matejko, rozrośnie się i spotężnieje. Tak sądził ogół, ci atoli, którzy mieli przedtém czas i możność wmyśléć się w talent mistrza krakowskiego, nie podzielali tego zapatrywania. Piszący te słowa wydał właśnie wtedy we Lwowie, a więc przed laty 17-tu, dziełko poświęcone Grottgerowi i Matejce, w którém, acz z wielkiém jest uwielbieniem dla twórcy „Kazania Skargi", jednakowoż przy końcu nie wahał się powiedziéć, że Matejko szkoły nie stworzy i naśladowców miéć nie może. To, co w nim jest prawdziwie wielkie, mianowicie umiejętność stwarzania niezrównanych indywidualności, i siła w rysunku, jako rzeczy wypływające wprost z jego geniuszu, usuwa się z pod wszelkiego naśladownictwa, to zaś, co krytyka jemu samemu słusznie zarzuca, jak brak perspektywy powietrznéj, zbytnią jaskrawość kolorytu i wadliwość w grupowaniu osób działających, nie powinno być naśladowane. Mówiono wprawdzie, i sam Matejko takie miał zamiary, że pod jego kierunkiem wyrobi się osobna szkoła malarstwa historycznego, która nie tyle będzie zważała na formę, co na głębokość treści. Jakkolwiek z tém zdaniem niekoniecznie można się zgodzić, o wartości bowiem każdego dzieła sztuki, rozstrzyga najpierw jego forma, a dopiéro potém o treść pytamy, to jeszcze i z tego powodu ci, którzy znają historyę sztuki, nie mogli uwierzyć, by coś podobnego mogło się udać, że malarstwo historyczne, tak samo jak religijne, jest już, że tak się wyrażę, koroną każdéj wielkiéj szkoły. Wpierw musi wyrobić się cały zastęp uczniów, malujących wyborne pejzaże, portrety, sceny rodzajowe, a dopiéro potém podniosą się mistrze, którzy wtargną w najwyższe regiony sztuki i ukażą nam bądź ludzkość wśród walki lub pracy nad dziełami wiekopomnemi, bądź téż Boga i jego świętych. Bez iskry genialności każdy obraz czy to historyczny, czy religijny jest martwy, a genialności czy można nauczyć?

Jak niebezpieczną jest rzeczą naśladować mistrza, tak nawskroś samodzielnego, jak Matejko, o tém może się każdy przekonać, kto w tych dniach zechce zwiedzić wystawę obrazów w Sukiennicach krakowskich. Na końcu głównéj sali, po prawéj ręce znajduje się tam obraz Piccarda, jednego z najbardziéj utalentowanych naszych artystów, przedstawiający scenę historyczną z w. XVI-go. Nie potrzeba być znawcą sztuki, żeby na tém płótnie poznać natychmiast wpływ

Matejki. Ten sam, co u mistrza krakowskiego rysunek niesforny, te same palce powykrzywiane, a brody rozwiane, ta sama co u niego apokaliptyczność w ruchach ciał i ich układzie. W charakterystyce osób poszczególnych widać niezmiernie wiele talentu, każdy, kto na ten obraz spojrzy, musi przyznać, że malował go artysta niepospolity, a mimo to całość robi wrażenie bohomaza. I musiało tak być. Geniusza można tylko sparodyować, ale nie naśladować.

Komu się zdaje, że pod Janem Matejką krakowska szkoła sztuk pięknych mogła stać się dobrą szkołą średnią, przygotowującą uczniów do szkoły mistrzów, tak zwanéj *mejsterszuli*, ten nie bierze w rachubę indywidualności Matejki. Wielkiego artystę drobiazgi męczą, on się do nich zniżyć nie może. Zresztą taka szkoła wymaga fachowéj organizacyi i doskonałych profesorów, których, jak się dziś okazuje, przed laty 17-tu u nas jeszcze nie było. Prócz tego, rząd wyposażył ją mniéj niż skąpo. Czy dałby kto wiarę, że na modele szkoła ma zaledwie 800 guldenów rocznie, tymczasem potrzebuje ona najmniéj dziesięć razy tyle, bo malowanie z natury, zwłaszcza ciała ludzkiego, jest rzeczą podstawową i niezbędną w każdéj dobréj szkole malarskiéj.

Te niedostatki musiały mistrza także zniechęcić, nie dziw więc, że, widząc bezowocność swojéj pracy, w końcu sam ustąpił.

Fakt ten, acz niespodziewany, kraj przyjął spokojnie; żaden nawet dziennik nie żądał, by Matejko cofnął rezygnacyę. Każdy czuł instynktowo, że gdy wielki mistrz odda się teraz cały własnéj pracy, stokroć więcéj zyska na tém nasza sztuka, niż gdyby swój talent daléj rozstrzelał między drobiazgi małéj szkoły i połączone z nią nieprzyjemności.

Jak są znakomici nauczyciele śpiewu, którzy sami nie śpiéwają, tak niezbyt wielkiego artystę można także zrobić dyrektorem szkoły malarskiéj, a jeśli będzie miał talent administracyjny i prawdziwe poczucie piękna, potrafi ją znakomicie prowadzić.

Rezygnacyę Matejki rząd przyjął, dotąd jednak nie wiadomo, kto go zastąpi.

VII.

Znałem przed laty malarza wielkiego talentu, z którym przechadzając się prawie codzień wieczorem po wałach Hetmańskich we Lwowie, długo i szeroko rozmawiałem o sztuce. Umysł to był wyższy, intuicyjny; duch na wskroś artystyczny, odczuwający piękno w jego najszlachetniejszych przejawach, ale temperament nawskroś nerwowy, a charakter nierówny. Wspominał mi często o zamiarze

wymalowania „Reformacyi“, a gdy mi swego dzieła cały plan opowiedział, nie wątpiłem, że zaćmi niém Kaulbacha. A jednak, choć od tego czasu już dwadzieścia lat ubiegło, „Reformacyi“ nie widać... Mógłby ją wykonać, gdyby miał wytrwałość... Czuje, że jego talent może arcydzieło stworzyć, uroczyście przyrzeka, że już jutro zabierze się do pracy, tymczasem, aby żyć, maluje malutkie obrazki. Wielki talent marnieje, nikt go nie zna... Dziś jeszcze pół biédy, ale co będzie, gdy wiek go złamie, a choroba rzuci na łoże niemocy?

Znam inżyniera, zdolność pierwszorzędną, który o niczém więcéj nie myśli, tylko o połączeniu spławnym kanałem Sanu z Dniestrem. Plan to dobry, tak przynajmniéj fachowi ludzie twierdzą, lecz czy Galicya może dziś przystąpić do jego urzeczywistnienia, skoro w chwili obecnéj biédaczka nie ma nawet tyle pieniędzy, ile potrzebuje na utrzymanie swojéj autonomii? Może to przyjdzie do skutku, kiedyś, za sto lat... Ale mój inżynier nie chce tak długo czekać. Jemu pilno i myśl ta do tego stopnia go zajęła, że czém inném nie może się zająć. Walczy tedy z nędzą, a gdzie umrze?

Znam przedsiębiorcę stworzonego na miarę Tyzenhauza. Ten, gdyby miał miliony, dźwignąłby w Galicyi przemysł i nasz handel wprowadziłby na nowe tory. Ale jak są wodzowie, którzy umieją poruszać armiami krociowemi, a nie potrafiliby dowodzić batalionem, tak mój przedsiębiorca może tworzyć tylko w wielkim stylu, małéj zaś fabryczki nie umiałby prowadzić. Zaczął z niewielkim kapitałem, stracił go, ci, którym dziś mówi o swoich planach, nazywają go maniakiem, popadł w nędzę, a skończy?...

Czy jest zawód, któryby nie miał talentów wykolejonych, ludzi przez walkę życia złamanych, swoich ofiar?

Ci nieszczęśliwi błąkają się wśród społeczeństwa i bladą twarzą straszą przechodniów, którzy spoglądają na nich rzadko ze współczuciem, częściéj z pogardą.

Czy nikt o nich nie pomyśli, nikt im ręki nie poda?

Znalazł się w Galicyi człowiek, który ulitował się nad tymi biédakami.

Nazywa się on Robert Doms, jest Prusakiem z pochodzenia, we Lwowie na młynach dorobił się prawie milionowéj fortuny, a że to człowiek o umyśle głębszym, więc powiedział sobie, że w kraju, który go przytulił i dał mu majątek, utworzy zakład dla tych, co nigdy nie żebrzą, a których umysł jest bądź co bądź chlubą ludzkości.

Doms kupił tedy za 33,000 guldenów dwupiętrowy dom we Lwowie, na ulicy Św. Teresy, w miejscu ustronném a zdrowém i złożywszy w gotówce, jako fundusz wieczysty 107,000 guld., przeznaczył odsetki

od tego kapitału na utrzymanie ludzi niezwykłych a wykolejonych, jednakowoż o przeszłości nieskazitelnéj, którzy, nie mogąc utrzymać się sami, mają prawo żądać od społeczeństwa uczciwéj pomocy. W tym domu znajdują się pokoiki schludnie umeblowane. Każdy stypendysta dostaje osobny apartament, w którym może mieszkać nawet z żoną, ma w zakładzie całe utrzymanie, może oddawać się swojemu zajęciu, jeżeli ma jakie, osobistéj jego wolności nikt nie krępuje, w razie choroby odwiedza go lekarz, a gdy umrze, pochowają go po chrześciańsku. Powiedziałem po chrześciańsku, fundator bowiem żydów nie lubi i tych na zawsze ze swego zakładu wykluczył.

Obecnie znajduje się w nim 12 stypendystów, późniéj będzie się ich tam mogło pomieścić 24.

Nie wątpię, że niejeden słowa te czytając, powie:

— Jakto, więc taki zakład istnieje we Lwowie, a my o nim nic nie wiemy?

Tak jest, istnieje, nikt o nim nie mówi, dzienniki galicyjskie wspomniały o fundacyi króciutko i znów umilkły, w samym Lwowie rzadko kto widział ów dom, a dzieje się to dlatego, że cichy filantrop nie stara się o reklamę...

Józef Rogosz.





Franciszek Crispi.*)

W chwili, gdy to piszemy, Crispi wygłosił na uczcie we Florencyi, w przytomności mnóstwa senatorów i deputowanych wielką mowę polityczną, któréj treść podały telegrafy dziennikom całego świata. Według telegramów, zamieszczonych w naszych dziennikach, treść owéj mowy brzmiała jak następuje: Mówca wykazał między innemi, że irredentyzm jest dla Włoch czynnikiem osłabienia i zamętu; zaszkodził on już nieraz żywotnym interesom narodu, tamując swobodę jego akcyi dyplomatycznéj w chwili, gdy inne państwa odnosiły korzyści. Dzięki jemu, Francya mogła spokojnie zająć Tunis. Dopiéro przymierze potrójne wydobyło Włochy z odosobnienia. Cesarz Wilhelm dwukrotnie podnosił toast na cześć nietykalności Rzymu (*Roma intangibile*). Austrya potrzebna jest dla Włoch jako tarcza przed zalewem innych narodowości. Irredentyzm służy Watykanowi, który dla swoich celów podkopuje potrójne przymierze. Radykaliści téj sekty służą interesowi wojny; całe Włochy muszą ich potępić. Oni to pragną obalić dynastyą sabaudzką, która stanowi pancerz i tarczę jedności włoskiéj. Rzeczpospolita byłaby grobem Włoch; naród bezsilny i rozdarty, stałby się wówczas niewolnikiem Watykanu. Tak mówił Crispi 8 października 1890 r., wobec 360 słuchaczów.

Ale kto jest Crispi? Minister spraw wewnętrznych i zagranicznych, oraz naczelnik gabinetu królestwa włoskiego, jeden z pierwszorzędnych mężów stanu spółczesnéj Europy. Tyle wiadomo z dzienników. Wszakże dopiéro przyjrzawszy się działaniu i życiu czło-

¹) Francesco Crispi. L'homme public — L'homme privé. Par Félix Narjoux Paryż, 1890, str. 333 z portretem Crispi'ego.

wieka poszczególe, można odpowiedzieć na powyższe pytanie i ocenić, czy słusznie uważają Crispiego za znakomitego męża stanu, za drugiego Bismarcka, naturalnie *mutatis mutandis*. Mamy do tego dobrą sposobność w świeżej pracy publicysty francuskiego, której tytuł przytoczono. Narjoux datuje swoją książkę z Rzymu, dobrze obeznany ze sprawami włoskiemi, jest bezstronnym, o ile Francuz w obecnych stosunkach być może, daje więc jako świadek kompetentny, dużą rękojmię prawdziwości sądów swoich o człowieku, którego życie publiczne i prywatne kreśli. A życie to niezmiernie ciekawe, poświęcone jednéj i jedynéj myśli utrzymania Włoch silnych i zjednocznych. Nie brak w niém nawet elementu romantycznego, co sprawia, że dzieło o Crispim czyta się jak powieść pełna żywego interesu—gdy tymczasem nie masz w niém nic zmyślonego. Trudno oczywiście powtórzyć w niniejszym obrazie wszystko, co książka zawiéra; postaramy się jednak przytoczyć szczegóły najlepiéj charakteryzujące Crispiego, jako męża stanu i człowieka prywatnego.

I.

Życiorysy wszystkich wielkich i małych śmiertelników zaczynają się od ich urodzenia. Crispi urodził się w r. 1819. Rodzina Crispich, pochodzenia greko-albańskiego, wyemigrowała na Sycylią i osiadła w Palazzo-Adriano, małéj mieścinie, leżącéj niedaleko Palermo. W okolicy Palazzo-Adriano znajduje się osada albańska, któréj ludność dotychczas zachowała język, religię i obyczaje greckie. Herb Crispich wyrznięty na pieczęci, któréj używa minister, przypomina ten ich grecki początek: drzewo oliwne, otoczone napisem greckiemi literami: *Nunc et sempre.*

Tomasz Crispi, ojciec Franciszka, urodził się w Palazzo-Adriano, wkrótce jednak przesiedlił się wraz z rodzicami do Ribery, małego miasteczka, leżącego w górach między Girgenti a Sciarrą, o 7 kilometrów od morza Śródziemnego. Tomasz został adwokatem i w Riberze trudnił się adwokaturą, gdzie długi czas był oraz merem. Tam też ożenił się z panną Józefiną Genova, z któréj miał siedmioro dzieci, między któremi Franciszek, dzisiejszy minister i dyktator Włoch, najgłośniéj zasłynął. Dwaj stryjowie Franciszka byli duchownymi: jeden biskupem, drugi kanonikiem. Franciszek rozpoczął nauki w kolegium w Villafranca, a dokończył ich pod kierunkiem stryja biskupa, który chciał go również do stanu duchownego nakłonić; synowiec wszakże stanowczo się temu oparł. Stąd to prawdopodobnie urosła legenda, jakoby Franciszek porzucił stan duchowny, gdyż początkowe

i średnie studya odbywał w szkole duchownéj, sposobiącéj seminarzystów i jako taki, nosił suknią seminarzysty. Po skończeniu nauk średnich, wstąpił do szkoły prawa w Palermie, gdzie w r. 1841 otrzymał dyplom doktorski i tamże osiadł jako adwokat. Będąc jeszcze studentem, ożenił się z Rozyną Sciarra wbrew woli rodziców; małżeństwo to jednak krótko trwało, gdyż Rozyna we dwa lata potém umarła. Zrozpaczony Crispi chciał pojąć za żonę siostrę nieboszczki, ta przecież odmówiła i obrała sobie żywot klasztorny. W r. 1843, Crispi zostawszy patronem interesów kościoła greckiego w Sycylii, musiał dla obrony jego spraw przenieść się do Neapolu.

Królestwem neapolitańskiém rządził wtenczas Ferdynand II, o którym pisał Gladstone do Palmerstona, że się uważał za obraz Boga na ziemi, a ludowi swemu dawał przykład najwstrętniejszych występków. Panowanie jego zakłócały nieustające spiski, z których najgłośniejszy był uknuty przez młodą Italią; związkowi zwali się unitaryuszami. Znalazł się między nimi i Crispi, wyćwiczony w sztuce spiskowania już za czasów studenckich. Jako wymowny i zapalny zyskał wnet prozelitów i stał się ich głową. Zdatny do słowa i do pióra, będąc jeszcze w Palermie, pisywał do dziennika *Oreteo* liczne artykuły prozą i wierszem, zatytułowane: „Hymn do Chrystusa“, „Medytacye filozoficzne, religijne i społeczne,“ „Medytacye filozoficzne o śmierci“, „Wzniesienie duszy do Boga“, „Studyum o instytucyach dobroczynnych“, „O posłanictwie kapłana“ i t. d.

Utwory te 20-letniego młodzieńca, pełne podniosłych religijnych uczuć, przypomniała w 1889 r. rzymska *L'Unita Cattolica*, chcąc mu pokazać sprzeczność dawnych i obecnych jego dążności. Egzekucya dwóch braci Bandiera, oficerów marynarki, w r. 1844 popchnęła młodą Italię do kroków, które w r. 1848 doprowadziły Neapolitańczyków do ruchu rewolucyjnego; Crispi został jednym z jego przywódzców. Nim przyszło do jawnego wystąpienia, namiętnie oddał się agitacyi i zawodowi obrończemu, który mu pozwalał żyć skromnie przy małéj pomocy ze strony rodziny. Hasło do ruchu miała dać Sycylia; Crispi, jako znający dobrze tamte strony, wyjechał do Palermo, gdzie 12 stycznia 1848 wybuchło powstanie, z początku zwycięskie. Crispi został prezesem rządu tymczasowego i natychmiast zorganizował administracyą wyspy. Król Ferdynand, chcąc zażegnać niebezpieczeństwo, nadał Sycylii administracyą samorządną i poczynił inne ustępstwa, obiecał konstytucyę, zmienił ministrów. Ale gdy te obietnice nie wchodziły w wykonanie, parlament sycylijski odsądził Burbonów od tronu. Następuje wybuch w Neapolu, stłumiony przez najemników szwajcarskich i lazaronów. Przyszła koléj na ukaranie Sycylii.

Parlament sycylijski uchwalił odłączenie Sycylii i ofiarował koronę ówczesnemu księciu Genui, ojcu dzisiejszéj królowéj włoskiéj. Crispi ze swoimi głosował za rzecząpospolitą. Wkrótce jednak pierzchły nadzieje, flota królewska stanęła 3 września 1848 pod Messyną z wojskiem, pod dowództwem generała Filangieri. Messyńczycy bronili się dzielnie przez cztery dni i nie dopuścili wylądowania. Wdały się Anglia i Francya, narzucając stronom zawieszenie broni, które przetrwało do marca 1849 r. Crispi tymczasem gotował się do obrony; ale Sycylijczycy stracili ducha, dowiedziawszy się o przegranéj pod Novarą, skutkiem któréj król sardyński, Karol Albert, złożył koronę. Rząd tymczasowy w Sycylii spodziewał się pomocy od Piemontu, a gdy ta nadzieja zawiodła, poddały się Messyna i Katania; dla oszczędzenia Palerma, floty francuska i angielska zapośredniczyły. Umiarkowani członkowie rządu tymczasowego zgodzili się na pośrednictwo, ale egzaltowani nie chcieli się układać z Burbonami, gotowi głowami przypłacić niepowodzenie. Crispi oczywiście był na ich czele. Poddanie się wyspy nastąpiło 6 maja 1849 r. Członkom rządu pozwolono kraj opuścić; wsiadłszy na statek, odpłynęli na Maltę. Crispi został, probując zorganizować dalszy opór, jakoż z garstką przyjaciół usadowił się przy bramie zamku królewskiego. Walka była heroiczna, ale krótka; ostatni obrońcy niepodległości sycylijskiéj legli, wojska królewskie weszły do zamku 8 i 9 maja. Crispi ocalał, jednak nie chciał uciekać; w parę dni potém wyczytał swoje nazwisko między skazanymi bez sądu; wyłączono go od amnestyi. Nie było daléj co robić; miał spokojne sumienie, gdyż dotrwał do końca; musiał się więc zdecydować na wygnanie. Na morzu czekała łódź rybacka, do któréj Crispi wpław się dostał i pod zasłoną nocy dopłynął do statku francuskiego, który go zawiózł do Marsylii.

II.

Zaczął się nowy, długi, dziesięcioletni okres wygnania dla Crispiego, o którym w swojém *Diario* z doświadczenia mógł napisać, że karą najokropniejszą dla człowieka jest wygnanie. Trzeba było myśléć, gdzie głowę skłonić i jak na chléb zarobić. Krótko zabawiwszy w Marsylii udał się do Turynu, gdzie tułacze włoscy znajdowali nieco spokoju. Dyrektor dziennika *Risorgimento* ofiarował mu spółpracownictwo, żądając tylko zmodyfikowania skrajnych poglądów. Crispi odmówił, nie chcąc sprzedać pióra, lubo w dniu tym nie miał grosza na obiad. Na szczęście, znalazł jakieś drobne urzędowanie z marném wynagrodzeniem, ale przekonań za soczewicę nie oddał. Prócz tego

pisywał do niektórych dzienników miejscowych, i tak na chléb zarabiał. Gdy zaś Depretis i Correnti założyli dziennik *Progresso*, wezwali go na spółredaktora. Wszakże profesya dziennikarska, w owe czasy jeszcze nie bardzo popłatna, nie wiele przynosiła; ale redaktorowi takiemu jak Crispi, nietyle chodziło o zyski, ile o możność poruszania opinii. Miesięczne wynagrodzenie Correntiego, naczelnego redaktora, wynosiło 100 fr.; Crispi pobiérał tylko 60 fr. Bywało téż czasami w ubogiéj jego izdebce bardzo skąpo i chłodno. Mgły podnoszące się z rzeki Po, nad którą stał dom, gdzie mieszkał Crispi, przejmowały dreszczami południowca, przywykłego do klimatu Sycylii. Żeby jakotako radzić biédzie, podał się na wakujące sekretarstwo gminy Vero-Lungo, które dawało 1200 fr. rocznéj pensyi. Napisał tedy suplikę do mera owéj mieściny. Mer lękając się miéć sekretarza mądrzejszego od siebie, odmówił prośbie. Było to w grudniu 1852. Następnego rok Mazzini próbował wywołać ruch w Lombardyi i przez to zwrócił uwagę Austryi na tułaczów, ukrywających się w Piemoncie, a podejrzewanych o udział w tych pokuszeniach. Z Wiednia zażądano przeciw nim represyi, Cavour nie mógł odmówić. Crispi zjadliwemi artykułami obudził przeciw sobie podejrzenie policyi; uważano go za najniebezpieczniejszego agitatora partyi liberalnéj i uwięziono wraz z innymi. Raport policyjny stwierdzał, że w nędzném mieszkaniu uwięzionego, znaleziono tylko dowody jego zamiłowania w pracy, podniosłości umysłu i wielkiéj zdolności pisarskiéj. Zabrana przez policyę ogromna kupa papierów zawierała projekta do praw, projekta konstytucyi, memoryały o wszystkich kwestyach polityki spółczesnéj, regulamina urządzenia służby publicznéj. Studya czynione w tych materyach, a prowadzone ciągle i wszędzie, zapowiadały w Crispim nietylko wybornego pisarza, lecz i jednego z największych spółczesnych statystów.

Pewnego dnia, gdy Crispi siedział smutny w więzieniu, zjawiła się w celi hoża dziewucha, Rozalia Montmasson, która pracowała u praczki i roznosiła bieliznę więźniom politycznym, zwolnionym od noszenia odzieży i bielizny więziennéj. Dziewczyna zabrała tłómoczek brudnéj bielizny więźnia, a niedługo potém przyniosła czystą. Crispi miał wowczas 34 lata, smagły, rosły, mógł uchodzić za pięknego. Dziki konspirator i nieustraszony żołnierz przemienił się w amanta; Rozalia odgadła jego uczucia; nastąpiło pokochanie się, można było na chwilę zapomnieć o więzieniu. Wkrótce też policya piemoncka nie znalazłszy nic, coby kompromitowało Crispiego, puściła go na wolność.

Co tu jednak ze sobą robić na wolności bez grosza przy duszy? Trzeba znowu iść na wygnanie, ale o czém? Przyjaciel jego, Wawrzyniec Valerio, deputowany sejmu piemonckiego, zebrał między znajomymi 300 fr. i z tą sumą puścił się Crispi w drogę do Genui, wsiadł na okręt i popłynął na Maltę w towarzystwie Rozalii. Dziewczyna ta pochodziła z Annecy, z małego miasteczka Sabaudyi, a do Turynu przybyła na naukę prania. Urodziwa, odważna, pełna poświęcenia, biédą wypróbowana od dzieciństwa, nie lękała się jéj, postanowiła więc dzielić losy Crispiego. Podróż była długa i uciążliwa, niczém wszakże w porównaniu z nędzą, jaka ich czekała na Malcie. Przyjaciele, tułacze, równie ubodzy jak Crispi, nie mogli mu dopomódz: trzeba było zamieszkać w jakiéjś zrujnowanéj, opuszczonéj chacie, tuż pod bramami La Valetty, sypiać na garści słomy, żywić się suchym chlebem i sałatą. Rozalia znalazła trochę roboty, a Crispi przy pomocy spółrodaków emigrantów założył dzienniczek włoski *La Staffetta*, który przez rybaków dostawał się do Neapolu i Palerma. Nie oszczędzając Anglii za jéj złą wiarę względem Turcyi, *La Staffetta* ściągnęła na siebie gniew gubernatora Malty. Towarzysze wygnania, lękając się wydalenia z wyspy, oskarżyli Crispiego przed gubernatorem, jakoby służył interesom pewnego państwa, chcącego szkodzić interesom Anglii. To dopełniło miary; gubernator kazał mu natychmiast opuścić Maltę.

Zanim wyjechał z Malty, Crispi chciał wprzód uregulować swój stosunek z Rozalią Montmasson i postanowił ją zaślubić. Z projektu swojego zwierzył się wiernemu druhowi, Jerzemu Tamajo, niegdyś koledze w rewolucyjnym rządzie Sycylii. Tamajo wszelkiemi sposobami starał się odwieść przyjaciela, stawiąc mu przed oczy wszystkie następstwa tak nierównego związku. Nic jednak nie wskórał. Crispi uparł się, widząc w doprowadzeniu do skutku małżeństwa obowiązek sumienia, a w obec obowiązku nigdy się nie wahał. Przekonawszy się, że mu z głowy zamiaru nie wybije, Tamajo postanowił dopomódz do urzeczywistnienia projektu, którego nie pochwalał. Czas naglił, bo nazajutrz trzeba było opuszczać niegościnną wyspę. Obadwa przyjaciele zabrali się tedy do koniecznych przygotowań. Największy kłopot stanowił brak pieniędzy. Crispi nie mógł swojéj narzeczonéj nawet pierścionka kupić. Drugą trudność stanowił brak duchownego, któryby się podjął dać ślub w braku dowodów przez władzę kościelną wymaganych. Wśród tych opałów znalazł się jakiś poczciwy spółrodak nazwiskiem Depretis, zegarmistrz z powołania, zdawna osiedlony na Malcie. Ten ofiarował Crispiemu pierścionek dla narzeczonéj i zaprowadził go do jakiegoś błędnego niby Jezuity, który chociaż

dopiéro od dwóch dni przebywał na Malcie, oświadczył gotowość do dania ślubu. O umówionéj godzinie stawili się w mieszkaniu „poczciwego ojca,“ Crispi z Rozalią, a za świadków służyli Tamajo i Depretis. Mniemany Jezuita wziął poduszkę z łóżka, położył ją na podłodze, kazał uklęknąć narzeczonym, pobłogosławił ich, włożył pierścionek na palec Rozalii i oświadczył im, że są małżeństwem związani. Wzajemny uścisk małego orszaku ślubnego zastąpił weselną ucztę. Nazajutrz trzeba było myśléć o wyjeździe, zawiadomiono bowiem Crispiego, że jeżeli będzie zwlekał, wsadzą go przymusem na okręt i wysadzą w Afryce lub na Sycylii. Dzięki pośrednictwu Tamaja zgodził się kapitan statku angielskiéj marynarki handlowéj, odpływający do Londynu, zabrać Crispiego *gratis*, dla braku pieniędzy ze strony pasażera. Rozalia miała nadpłynąć późniéj i w Genui lub Turynie czekać pomyślniejszych czasów. Crispi przybył do Londynu bez przygody, dzięki życzliwéj opiece kapitana statku. Tymczasem przyjaciele jego na Malcie, zebrawszy nieco grosza, wyprawili Rozalią do Genui, stąd wkrótce podążyła za swoim Franciszkiem do Anglii.

W Londynie bawił wówczas Mazzini (od r. 1851), gromadząc koło siebie tułaczów wszelkiéj narodowości wygnanych z Europy. Crispi znalazł się w tém kole, jako jeden z najgorętszych wielbicieli głośnego agitatora, godząc się na jego hasło, z wyjątkiem teoryi rewolucyjnych i środków działania, nienawidził bowiem teroryzmu i krwi rozlewu. Uczył się tedy Crispi polityki u Mazziniego i nie zawiódł nadziei mistrza, pozbył się złudzeń młodocianych, otwiérając na oścież serce swoje sceptycyzmowi i pogardzie ludzi. Zadaniem tułaczów i włoskich i innych było wywrócenie Napoleona III-go, którego uważali za wielką przeszkodę w swych planach. W porozumiewaniu się między sobą wychodźcy, nie ufając poczcie, znaleźli dzielnego pośrednika w Rozalii, która służyła za kuryera między Londynem a Paryżem. Przebrana za przekupkę nosiła kosz otwarty, a w nim olbrzymią rybę lub nieco drobiu, na spodzie zaś zwitek papiérów, które mogłyby były bardzo zdziwić żandarmów lub celników, gdyby byli ciekawi i zajrzeli na spód kosza. Crispi tymczasem, szukając chleba, wszedł jako niższy urzędnik do kantoru bankierskiego, utrzymywanego przez spółrodaka w Londynie, a oprócz tego zarabiał dawaniem lekcyi. Mimo żelaznéj pracowitości, ciężko mu było wydołać potrzebom małego gospodarstwa domowego; co gorsza, klimat londyński podrywał jego zdrowie, tak, że postanowił opuścić Anglią. Ale dokąd i po co jechać? Na szczęście, Carini ofiarował mu spółpracownictwo w dzienniku swoim *Il Corriere Franco-Italiano*, do którego miał pisać korespondencye z Francyi. Crispi zatém opuszcza Londyn i osiedla się w Paryżu

(1856 r.), gdzie częścią piórem, a częścią w pewnym domu handlowym pracą uciążliwą zarabia na życie. Rozalia obok niego prowadzi gospodarstwo. Stosunków z ludźmi nie utrzymują prawie żadnych, tylko od czasu do czasu zawita jaki tułacz do szczupłego mieszkania, pogawędzą o przekształceniu świata i znowu cicho. I byłoby tak cicho i spokojnie, gdyby nie zamach na życie Napoleona III-go, uknuty w czerwcu 1855 r. przez włoskich wychodźców. Między oskarżonymi o zbrodnią znajdował się niejaki Tibaldi, który, przypomniawszy się pamięci spółrodaka, prosił Crispiego o pomoc. Crispi odszukał więzienie, poratował więźnia, wynalazł mu do sprawy obrońców Desmarest'a i Floquet'a. Ponieważ zamach nie nastąpił, udało się adwokatom obronić Tibaldiego od kary śmierci. Tym sposobem głośny dziś Floquet, liczący wówczas 29 lat, wypłynął na widok publiczny dzięki w pewnéj mierze Crispiemu.

Wśród tułaczów włoskich wynikły niesnaski o drogi działania; pochodzący z Sycylii i Neapolu nie zgadzali się z tymi, co przybyli z Wenecyi i Rzymu. Innemi słowy, Mazzini, Crispi i Manini nie jednakowo zapatrywali się na przyszłą organizacyą Włoch i środki wiodące do tego celu. Mazzini pracował dla rzeczypospolitéj, gotów do wszelkiego gwałtu; Crispi już wówczas uważał za możebne zjednoczenie Włoch, w postaci monarchii konstytucyjnéj, na wzór Francyi i W. Brytanii. Te różnice w zapatrywaniu oziębiły stosunki obu wybitniejszych mężów emigracyi włoskiéj.

Zamach Orsiniego (14 stycznia 1858 r.) znowuż zwrócił na nich uwagę policyi francuskiéj. Wprawdzie Crispi w tę sprawę nie był zaplątany, jednakże w sierpniu tegoż roku otrzymał nakaz, by w ciągu 24 godzin opuścił Francyą. Zabiegi czynione u ministra spraw wewnętrznych, u prefekta policyi, nic nie pomogły; nazajutrz, 3 sierpnia, Crispi był już w Londynie Zaczęła się nowa bieda, nie było ani co jeść, ani roboty; Crispi z Rozalią wegetowali, prowadząc bardzo smutny żywot. Nareszcie rok 1859-ty przyniósł wygnańcowi trochę nadziei, wskrzesił jego odwagę. Tegoż roku, 10 maja Napoleon III-ci obiecał Wiktorowi Emanuelowi orężną pomoc i stanął na czele swych wojsk, by rozpocząć na polu walki odbudowę Włoch.

III.

Wiadomość o zawarciu przymierza między Francyą a Piemontem, która doszła do Londynu w marcu 1859-ym budziła otuchę w tamtejszéj kolonii włoskiéj; ale gdy się dowiedziano, że Piemont zobowiązał się odstąpić Francyi Nizzę i Sabaudyą za jéj usługi, ra-

dość i zapał ochłodły. W Neapolu umarł tymczasem Ferdynand II-gi, a syn, obejmując rządy, obiecywał iść w ślady ojca. Na placu boju wypadki następowały szybko, ale Napoleon zatrzymał się w pół drogi; Cavour musiał wziąć dymisyą, stanął pokój w Villafranca. Wychodźcy włoscy nie dają przecież za wygraną, przekradają się do ojczyzny, by wziąć udział w przygotowanym ruchu w Emilii i Toskanii. Crispi puszcza się pierwszy. Z paszportem w kieszeni, wydanym na imię Manuela Parody przez rząd argentyński, zmieniwszy fizyognomią przez ogolenie brody i przystrzyżenie wąsów, w niebieskich okularach, odpłynął na Sycylią 16 lipca 1859 r. Po drodze wstąpił do Marsylii, Genui, minął Neapol, gdzie obchodzono koronacyą nowego króla Franciszka II-go, i przybył do Messyny. Zanim wysiadł na ląd, musiał się poddać ścisłéj rewizyi policyi, która jednak nic nie zwietrzyła.

W Messynie zabawił od 26 lipca do 17 sierpnia, a czasu tego użył na obejrzenie fortyfikacyi, porozumienie się z przyjaciołmi i przygotowanie powstania, poczém wyjechał do Palermo. Tu również ułożono plan postępowania i czas wybuchu. Z Palermo udał się Crispi na Maltę, gdzie na wybrzeżu czekał go już Tamajo, wcześniéj zawiadomiony. Uścisnąwszy przyjaciela, odpłynął tegoż dnia (3 września) do Marsylii, stąd udał się do Turynu, następnie do Genui. Tutaj jeden z przyjaciół zawiadomił go, że Mazzini czeka nań we Florencyi. Krótko zabawiwszy w Genui puścił się do Florencyi, ażeby odszukać Mazziniego. O kryjówce tegoż wiedział jedyny Beppo Dolfi, który go zaprowadził do izdebki na 3-ém piętrze w domu przy ulicy Cardellino; brama tego domu otwierała się tylko w nocy. Po konferencyi z Mazzinim, Crispi udał się przez Paryż do Londynu, dokąd przybył 22 września. Od czasu wyjazdu z Londynu upłynęło 65 dni, a policya angielska nie wiedziała nawet, że wyjechał. W ciągu tego czasu przebył Francyę, Piemont, Toskanią, państwo Kościelne, bawił w Neapolu, na Sycylii niepoznany i bez żadnej przeszkody, a to dzięki fałszywemu paszportowi i niebieskim okularom.

W Londynie miał czekać do 4 paźdz. t. j. daty, oznaczonéj na wybuch powstania w Sycylii. Tymczasem odebrał depeszę od Tamaja, że nastąpi ono dopiero 12 paźdz. Pozostających kilku dni użył Crispi na przygotowania się do podróży. Dawny paszport już mógł się stać niebezpiecznym i fizyognomia także podejrzaną. Teraz zatém Crispi w nowym paszporcie nazywał się Tobiasz Glivaïe, włosy czarne (jako Paroda miał siwe), ubranie jasne zmienił na ciemne, zrzucił okulary, słowem stał się zupełnie innym. W tém przebraniu 6-go paźdz. opuszcza Londyn, 7-go rano przybywa do Paryża, nazajutrz już

jest w Marsylii, wsiada na statek francuski, 10-go znajduje się w Messynie, gdzie przyjaciele nietylko powstania nie zrobili, ale radzą mu, by co prędzéj odjeżdżał i nie kompromitował ich napróżno. Ze ściśnionem sercem Crispi wrócił na statek, który płynął dalej do Pireus, dokąd przybył 13 paźdz. Mimowoli tedy znalazł się w Grecyi, chociaż zabawił tam tylko parę tygodni i już 28 tegoż miesiąca widzimy go na Malcie, gdzie wierny przyjaciel Tamajo pocieszał go w tém ciężkiém dla obu niepowodzeniu.

Powtórna ta podróż Crispiego na Maltę mniéj była pomyślną od pierwszéj, gdyż policya wnet dała znać gubernatorowi o jego tu pobycie. Jakoż 3-go listopada otrzymał nakaz, by się natychmiast wynosił. Nic nie pomogło tłómaczenie, że wyrok banicyjny przeciw niemu był wydany jeszcze w r. 1854, że zatém w r. 1859 już nie mógł go obowiązywać. Naczelnik policyi ani chciał słuchać i zgodził się zaledwie na zwłokę dwudniową. A zatém 6-go listopada puszcza się znów na tułactwo; 7-go płynie około Sycylii, 10-go wylądowywa w Gibraltarze, chciałby dotrzéć do Genui, ale brak okrętu zatrzymuje go dwa dni na miejscu. Dowiedziawszy się, że statek angielski *The Crimean* odpływa 12-go wieczorem do Genui, wsiada do łodzi, mającéj go dowieść do okrętu. Na nieszczęście, majtek był pijany i nie może trafić do statku; pytają wszystkich spotykanych marynarzy o *Crimean*, ale bez skutku. Po długich bezowocnych poszukiwaniach spotykają okręt hiszpański, wracający z Tangeru. Crispi prosi o gościnność. Kapitan Beppo zgadza się na propozycyą, prowadzi go do brudnéj, ciasnéj kabiny i żąda na wino. Wkrótce powraca pijany, jak bela, trzymając fuzyą i nóż w ręku na obronę gościa. Beppo zostawał w wielkiéj zażyłości z prosiakiem, z którym rozprawiał niby z przyjacielem, a ten widocznie przywykły do takich pogadanek odpowiadał czułém chrząkaniem. Dla Crispiego była to noc okropna. Nareszcie strzał działowy oznajmił porę otwiérania bram miasta. Beppo, zdjąwszy z siebie uzbrojenie, zamknął wieprzka i odprowadził na ląd swojego pasażera. Dopiéro 14-go listopada dostał się Crispi na okręt hiszpański, który go wysadził w Maladze. Tu znowu policya zabrała mu paszport z walizą i zaledwie 17-go zwróciła. We dwa dni późniéj wsiada na okręt francuski, ale w chwili podnoszenia kotwicy, załoga odmawia posłuszeństwa, podróżni radzi nie radzi wysiadają. Widząc, że się nie wiedzie morzem, Crispi postanawia jechać lądem, bierze dyliżans jadący z Malagi do Grenady, stąd inny do Madrytu, gdzie staje 22-go. Zabawiwszy parę dni w Madrycie, wyjeżdża do Irunu, na granicy francuskiéj, następnie do Bayonny i w końcu do Bordeaux. Stąd przez Orléans, Roanne, Saint-Etienne, Lyon, przybywa

4-go grudnia do Genui. 9-go tegoż wybrał się do Modeny, gdzie Farini, dyktator naówczas Parmy, Modeny i Bononii zawiadomiony o jego przyjeździe, oznajmia mu przez Fabrizziego, że radby go widzieć. Crispi udaje się do pałacu książęcego i bez korowodów zostaje wpuszczony do dyktatora. Opowiedziawszy mu o swoich przygodach, dodaje, że najmniejsza pomoc ze strony rządu okazana Sycylii, przyniosłaby Włochom wyspę w podarunku. Farini podzielał widoki Crispiego, ale bał się narazić rząd na odpowiedzialność przed Europą, więc rozmowę zakończył pytaniem, czémby mógł pomódz. „Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, mogę do waszéj dyspozycyi dać milion.“ Zgoda—odrzekł Crispi—ale potrzeba czegoś więcéj. „Mów“.—Jako gubernator Emilii masz pan obowiązek powściągać ochotników Garibaldiego od granic papieskich. Nie znam przyczyn, które spowodowały nieporozumienie między rządem a Garibaldim. Jest on zniechęcony, od listopada nie wraca na Caprerę. Co myślicie zrobić z jego ochotnikami? Rozwiązać oddziały? Rzecz niebezpieczna, a srożyć się przeciwko nim trudno. Ja chciałbym ich zebrać na wyspie Elbie, utworzyć korpus złożony z tysiąca ludzi, postawić na czele Garibaldiego, wsadzić na dwa lub trzy okręty i popłynąć ku Sycylii.—„Ależ ja nie mam żadnéj władzy — rzecze Farini — by pomagać do wykonania takiego zamiaru. Potrzebaby najprzód zgody Rattazziego i Ricasolego. Jak z nimi jesteś?“—Znałem Rattazziego w 1853 r., w czasie gdy mnie wyganiano z Piemontu, a co do Ricasolego, proszę mnie zarekomendować. „Bardzo chętnie dam ci list do pułkownika Malenchiniego, który obecnie jest we Florencyi. Porozumiéj się z nim, on cię zaprezentuje Ricasolemu. Trzeba również jechać do Turynu, zobaczyć się z Rattazzim i zapytać o jego zdanie. Jeżeli rząd królewski nie będzie uważał waszego projektu za stosowny, nie ma co daléj kołatać. Co do mnie, nie mogę nic zrobić.“ Tak zakończył Farini. Nazajutrz, 10 grudnia, Crispi był już w Turynie.

IV.

Pełen wiary w niedalekie już ziszczenie się swoich nadziei, póki był w Modenie i konferował z Farinim, gdy stanął w Turynie, Crispi przekonał się, że sprawa nie pójdzie tak gładko jak sobie obiecywał. Rattazzi przyjął go z otwartemi rękami, zapewniał, że podziela jego zamysły, ale sam nic nie może zrobić; trzeba mówić z Cavourem; bez niego ani myśléć. Crispi udał się do Cavoura, ale ten uprzedzony przez Rattazziego, przyjął go dość chłodno. W jego przekonaniu, Crispi był zapamiętałym republikanem, wilkiem, którego nie należało

wpuszczać do owczarni. Oświadczył więc, że mimo dobréj woli, nie może brać na siebie odpowiedzialności, ani dać inicyatywy bez zezwolenia króla. Wiktor Emanuel, zawiadomiony o bytności Crispiego i jego projekcie, chciał się naradzić z Cavourem, a ten znów potrzebował opinii Ratazziego, który jak na to był nieobecny.

Z tego wszystkiego zmiarkował Crispi, że wszyscy ci ludzie jedliby chętnie kasztany, gdyby je kto z żaru wydobył, lub gdyby same wylazły. Opuścił tedy Turyn i udał się samotrzeć z Rosolino Pilo i Fabrizzim do Genui, ażeby następnie już wprost traktować z Garibaldim, bawiącym wówczas na Caprerze. Garibaldi zawiadomiony przez Bertaniego o co chodzi, przyrzekł spółdziałanie i zaraz przybył do Genui, ażeby bezzwłocznie przystąpić do roboty. Otóż, kilku tych ludzi bez pieniędzy i poparcia zdołali zgromadzić broń, amunicyą, żołnierzy; przedsięwzięli i doprowadzili do pomyślnego skutku najcudowniejszą epopeę czasów nowożytnych.

Milion obiecany przez Fariniego zawiódł; rząd nie mógł go upoważnić do zaliczenia téj sumy, nie chcąc się okazać spółwinnym wyprawy, trzeba więc było szukać pomocy u ludzi prywatnych. Garibaldi odwołał się do przyjaciół, do starych towarzyszów broni, strzelców alpejskich, wzywając ich pod chorągwie. Wszyscy dopisali i w liczbie tysiąca stawili się w Genui (kwiecień, 1860 r.). Na czele ich stanęli: Crispi, Türr, Sertori, Jerzy Manini, La Massa, Caïroli, Orsini, Nino Bixio, Rosolino Pilo, Orlando i inni. Brakło tylko okrętów do przewiezienia ochotników. Z Sycylii nadchodziły wiadomości pomyślne, zaczął się objawiać ruch zwłaszcza w Palermie, zbliżał się termin wyprawy. Ale w téj stanowczéj chwili Garibaldi się zawahał, Mazzini odradzał, wiadomości z Sycylii były znowu sprzeczne, postanowiono się wstrzymać, mimo nalegania Crispiego. Widząc zabagnienie sprawy, Crispi użył podstępu. Na zebraniu następném odczytał zgromadzonym depesze, jakoby otrzymane z Sycylii, a zwiastujące, że cała wyspa powstała. Podstęp się udał; zapał ogarnął wszystkich; postanowiono nie zwlekać dłużéj. W pierwszych dniach maja Genua widziała mnóstwo obcych sobie marsowych twarzy, snujących się po ulicach. Nikt tych ludzi nie pytał skąd i po co przybyli, policya także zakryła sobie oczy. Nagle, 5-go maja, wszystko to gdzieś znikło. Wieczorem tegoż dnia oddział Garibaldczyków sformowany w okolicy wszedł pod dowództwem Crispiego do miasta, kierując się ku portowi, gdzie stały dwa statki przewozowe, gotujące się do odpłynięcia. Crispi, Bixio i Castiglio czuwali całą noc w porcie, a gdy zaczęło świtać, stanęli na czele towarzyszów. Utworzono dwa oddziały, z których jeden pod komendą Bixia, drugi pod komendą

Castiglia, i kazano im się zbliżyć do statków. Okręty te czekały niby na podróżnych. Rzeczy były widocznie ukartowane. Garibaldczycy wpadli na statki, uwięzili komendantów i sami objęli dowództwo; majtkowie nie stawili oporu: po chwili okręty odpłynęły na morze.

Garibaldi tymczasem czekał, jak się to zuchwalstwo powiedzie, a gdy rozedniało i rzeczy się wyjaśniły, odbył przegląd reszty ochotników i razem z nimi wsiadł na pokład *Piemonte*, który podpłynął. Na drugim okręcie, *le Lombardo*, objął dowództwo Bixio. Tysiąc ochotników jadących na zdobycie Sycylii składali: 170 studentów uniwersytetu z Pavii, 170 bergamasków, 190 medyolańczyków, 100 emigrantów weneckich, 100 sycylijskich i 322 awanturników wszelkiéj narodowości, nie licząc przywódzców wyprawy. Crispi znajdował się na pokładzie *Piemonte* obok Garibaldiego. Nie brakło i pani Crispi w kostyumie wojskowym, nie dała się bowiem za nic skłonić do opuszczenia pana Franciszka.

Okręty płynęły ostrożnie, niedaleko siebie, by się mogły ratować, morze było niespokojne, statki przeciążone, żegluga szła leniwo. W kilka godzin po opuszczeniu portu, *Piemonte*, płynący na przedzie, dał znak *Lombardowi*, ażeby się doń przybliżył. Gdy podpłynął o tyle, że można było głos słyszéć, Garibaldi zapytuje Bixia, jaką broń i amunicyą ma na pokładzie? Tysiąc karabinów. — A rewolwery i amunicya? Te są na pokładzie *Piemonte*. — Gdybym je tutaj miał, tobym się nie pytał, odrzekł Garibaldi. Okazało się, że rewolwery i amunicya zostały na lądzie. Zaczęto wołać: zdrada! Wtedy Garibaldi kazał płynąć okrętom ku Piombino w nadziei, że przecież w forcie znajdzie i broń i amunicyą. Gdy podpłynęli, pułkownik Türr, adjutant Garibaldiego, wysiadł na ląd i za chwilę powrócił oznajmiając, że wszystek materyał wojenny wywieziono do fortecy Orbitello. Znów tedy żegluga ku Orbittello. Tutaj udało się Türr'owi przekonać komendanta twierdzy, pułkownika Giorginiego, że działa w imieniu króla Wiktora Emanuela. Komendant, na prawdę, czy z pozoru łatwowierny, dał kartaczów, prochu i cztery armaty. W dwa dni później komendanta zaaresztowano i osadzono w twierdzy Alessandryi. Potém za wstawieniem się Türra, król kazał go uwolnić. Powiadają, że cała ta mistyfikacya z okrętami, bronią i amunicyą w Orbitello była urządzona przez Cavoura; punkt-to jednak dotychczas niejasny, a Cavour się nie zdradził.

Po różnych przygodach na morzu, *Lombardo* i *Piemonte*, 11 maja, przypłynęły ku brzegom Sycylii. Ale z któréj strony i gdzie wylądować? Od schwytanego rybaka dowiedziano się, że trzy wojenne okręty neapolitańskie strzegą brzegów wyspy od Palerma do Marsali, że jednak

w téj chwili skutkiem fałszywego alarmu popłynęły ku Trapani. A więc Marsala była wolna. Ludność miejscowa rozpoznała Garibaldczyków po czerwonych koszulach i zbiegła się nad brzeg. Tymczasem i okręty neapolitańskie nadążały, *Amalia* na przedzie, a za nią *Capri* i *Stromboli*. Rozpoczęły się tedy między niemi a statkami Garibaldczyków wyścigi, kto pierwszy dotrze do brzegów i drugiego nie puści. *Piemonte* i *Lombardo* pierwsze dobiły, ale *Lombardo* zarył się w piasku i nie mógł ruszyć pod ogniem *Amalii*. Położenie Garibaldczyków mogło się stać krytyczném, gdyby w téj chwili statki angielskie nie były stanęły między stronami i nie zasłoniły *Lombarda*. Figiel to również niewyjaśniony; dowódca angielski twierdził, że kazał swoim podpłynąć, by zabrać oficerów znajdujących się na lądzie. Skorzystał z téj okazyi Garibaldi, i gdy okręty neapolitańskie wstrzymały na chwilę ogień, by nie uszkodzić Anglików, wysadził swoich na ląd przy pomocy rybaków i przewoźników portowych. Neapolitańczyczy podążyli za nimi i chcieli także wylądować, ale przyjęci gęstemi strzałami ochotników musieli się cofnąć.

Bajeczna niemal wyprawa Garibaldiego udała się; towarzysze jego nareszcie stanęli na Sycylii; teraz chodziło o to, ażeby się tam utrzymać. Garibaldi zajął się natychmiast zorganizowaniem sił swoich i już 12 maja rozpoczął pochód. Zewsząd zbiegali się doń ochotnicy; w Salemi, proboszcz parafii na czele wielu księży przybył do wodza, aby mu błogosławić. Garibaldi musiał równocześnie myśléć o zorganizowaniu służby publicznéj; sam w imieniu Wiktora Emanuela objął dyktaturę. Posuwając się szybko naprzód, pierwszy opór ze strony wojsk neapolitańskich spotkał pod Catalafimi. Starcie było bardzo krwawe; z 1,000 swoich stracił 500 ludzi, ale nieprzyjaciela pokonał; resztki jego w nieładzie uciekły do Catalafimi. W bitwie téj Crispi był między wielu innymi, a tuż przy nim Rozalia, dodając odwagi żołnierzom, opatrując rannych wśród największych niebezpieczeństw. Widziano ją jak własną koszulą, podartą na szarpie i bandaże, obwijała żołnierzy. Po bitwie Crispi udał się na prowincyą między lud wiejski, by go zapalić do walki.

Zwycięstwo pod Catalafimi otworzyło Garibaldiemu drogę do Palerma; 24 maja nagle ukazał się pod miastem. Barykady wzięto bagnetem; pałac, gdzie mieszkał głównodowodzący, generał Lanza, odcięto od reszty wojsk. Rozpoczęła się walka na ulicach, trwająca dwa dni; flota neapolitańska pomagała swoim, bombardując miasto. Wkrótce cały jeden cyrkuł leżał w gruzach. Nareszcie konsulowie zagraniczni zapośredniczyli między stronami. Generał Lanza wysyła 29-go maja parlamentarza do Garibaldiego. Po krótkiéj rozmowie

na statku angielskim obaj generałowie nie mogli się zgodzić na warunki. Kroki nieprzyjacielskie miały się wznowić nazajutrz o południu. Ale wojskom neapolitańskim brakło żywności; Crispi posyłał im nietylko żywność, lecz i chirurgów i wszelką pomoc; są to przecież Włosi, mówił, trzeba ich oświecić, mieć litość nad nimi.

Rozpoczęto na nowo układy i warunki kapitulacyi Palerma posłano Franciszkowi II-mu, który rad nierad musiał je przyjąć. Po wyjściu wojsk królewskich, lud zburzył doszczętnie twierdzę Castelamanę. Teraz trzeba było organizować nowy rząd tymczasowy; Garibaldi mianował Crispiego dyrektorem spraw wewnętrznych i skarbu, który w imieniu Wiktora Emanuela przejął fundusze i zamianował niższych urzędników.

Cavour, patrzący na to wszystko przez szpary, zdumiał się tak niespodziewanym i szybkim rozwojem rzeczy, a z drugiéj strony przewidywał niemałe kłopoty, gdyż posłowie Franciszka II-go na dworach zagranicznych protestowali przeciw najściu wśród pokoju dzierżaw swojego monarchy, a znów skrajni republikanie chcieli z Sycylii uczynić rzeczpospolitą. Wysłał tedy La Farinę na Sycylią, by porozumiał się z Garibaldim o anneksyą wyspy do Piemontu. Garibaldi, nieświadom dyplomatycznych wybiegów, zwrócił się o radę do Crispiego. Ten bez ogródek oświadczył, że dzieło jeszcze nieskończone, póki Neapol nie będzie wolny, a potém naród zdecyduje o formie rządu. La Farina, niezadowolony takim obrotem sprawy, zaczął intrygować i zmusił przez to Crispiego do ustąpienia ze składu rządu. Garibaldi nie mógł tego ścierpiéć i przywrócił go do urzędu sekretarza stanu. Zdecydowano się zaraz iść na Messynę. Jakoż 20-go lipca (1860 r.) puścił się w pochód, a 29-go zajął miasto. Wdała się dyplomacya, by go powstrzymać, ale bez skutku. Przeprawiwszy wojsko przez cieśninę ruszył ku Neapolowi. Zdobywszy Reggio, zaopatrzył się w artyleryą z tamtejszych fortów; Anglia przysłała mu okręt napełniony amunicyą. Od Reggio do Neapolu Garibaldi nie napotkał żadnego poważniejszego oporu. Na samą wieść o posuwaniu się jego armii Neapolitańczycy uciekli z Salerna, Franciszek II-gi, nie czekając dłużéj opuścił Neapol 6-go września (1860 r.) i schronił się do Gaëty.

Garibaldi wkroczył do Neapolu 8-go września i zaraz udał się do kościoła Ś. Januaryusza dla podziękowania Bogu za zwycięstwo; lud w uniesieniu o mało go nie posadził na ołtarzu. Crispi został w Sycylii w celu czuwania nad reorganizacyą zarządu wyspy; Rozalia pomagała mu w swoim zakresie, stojąc na czele zakładów dobroczynnych. Wkrótce jednak Garibaldi wezwał go do Neapolu, by i na lądzie

reorganizował służbę publiczną. Zaraz téż po przybyciu na miejsce nowego urzędowania, zadekretował wypuszczenie na wolność więźniów politycznych, zwrot depozytów, umieszczonych w tak zwanych bankach pobożnych (*mont-de-piété*), zniesienie ceł między Neapolem a Sycylią, założenie przytułków dla dzieci po obywatelach poległych w czasie wojny, zniesienie funduszów tajnych, wygnanie jezuitów, zakaz kumulacyi urzędów, zaprowadzenie sądów przysięgłych w materyach kryminalnych, uznanie długu publicznego. Władzê cywilne i wojskowe utrzymał, o ile urzędnicy i oficerowie przyrzekli spółdziałanie w nowym porządku rzeczy. Przebieg całéj kampanii streścił Crispi w mowie z r. 1885 temi słowy: 5 maja wsiedliśmy na okręty; 11 wylądowaliśmy w Marsali; 13 odnieśliśmy zwycięstwo pod Catalafimi; 27 wkroczyliśmy do Palerma; 23 lipca do Milazzo; 29 do Messyny; 7 września byliśmy w Neapolu; 4 października odnieśliśmy zwycięstwo nad Volturnem. Roboty dokonaliśmy w 150 dni. Trzeba dodać, że oblężenie Gaëty, dokąd się schronił Franciszek II, prowadziły wojska piemonckie pod dowództwem generała Cialdiniego.

Dokonawszy dzieła, Garibaldi i Crispi chcieli pozostać wierni obietnicy i odwołali się do ludu neapolitańskiego, czy się zgadza na przyłączenie do Włoch pod berłem Wiktora Emenuela. W tym duchu wydał Garibaldi odezwę, a Crispi zredagował formę plebiscytu. Za przyłączeniem oświadczyło się w neapolitańskiém głosów 1,310,266, przeciw 10,102. Na Sycylii 433,054 za; 667 przeciw. Wiktor Emanuel, wezwany plebiscytem narodu, przybył, ażeby urzędowo objąć w posiadanie królestwo Obojga Sycylii. Garibaldi spotkał króla na drodze z Teano, złożył w ręce jego władzę i dokumenta stwierdzające plebiscyt. Wiktor Emanuel przyjął go chłodno; gniewało go, że całe królestwo otrzymywał niejako darmo z rąk swojego poddanego, przytém podejrzewał Garibaldiego, że może się z czasem pokusić o ogłoszenie rzeczypospolitéj włoskiéj. Obrażony i zasmucony tém przyjęciem bohatér nie chciał zasiąść u stołu królewskiego. Więc z Crispim weszli do wagonu kolei konnéj i zamknąwszy się, spożyli po kawałku chleba z sérem. Następnie król odbył uroczysty wjazd do Neapolu w towarzystwie Garibaldiego, który nie czekając już na dalsze ceremonie w pałacu królewskim, udał się wraz z Crispim do starych towarzyszów broni, uścisnął ich dłonie i pożegnał słowami: do widzenia się w Rzymie. Wkrótce potém angielski statek „Washington“ wiózł go na Caprerę. Pakunek jego był skromny: 15 franków w kieszeni i woreczek nasion z kwiatów neapolitańskich, które chciał hodować w swoim ogrodzie. Crispi odpłynął do Palerma, nic ze sobą nie wziąwszy. Dwaj ci ludzie zdobyli dla swojego monarchy

prowincyę, liczącą dziesięć milionów mieszkańców i zapewnili zjednoczenie i niezależność Italii.

V.

Odbudowa jedności włoskiéj postępowała szybko; w r. 1860 przyłączono Emilię, Romanie, Toskanię i Modenę do Piemontu, w r. 1861 królestwo Obojga Sycylii, i w tymże roku zebrał się w Turynie pierwszy parlament włoski. Crispi został wybrany w wielu miejscach południowych Włoch, ale mandat przyjął z Castelvetrano. Wybór ten jednak o mało nie chybił, ponieważ wybrany nie miał o czém jechać i z czego żyć w ciągu trwania sejmu, albowiem deputowani jak teraz. tak i wówczas, nie pobierali dyet. Zaradzono téj biédzie przez publiczną składkę. Przybywszy do Turynu Crispi spotkał kwaśne miny u dworu, a za przykładem dworu i inni spoglądali nań krzywo. W sejmie patrząc na mnóstwo deputowanych figurantów i porównywając swoje zasługi z ich nicością, poczuł się wyższym, pogardliwie traktując parlamentarnych kolegów. Razu jednego zapytał go sąsiad: Będziesz zapewne trzymał z Mazzinim?—Nie.—Z Garibaldim?—Nie.—A więc z kimże?—Z Crispim. Odpowiedź ta cechuje dumę i świadomość własnéj wartości. Téj dumy nie przebaczano mu i stąd nieprzyjaciele polityczni mówili i pisali o nim najniepochlebniéj, zarzucając, jak np. Ruggero Bonghi w dzienniku *Perseveranza*, że tylko o sobie, o swojéj wielkości rosprawia. Nadto, długie życie strawione na tułaczce i spiskowaniu uczyniły Crispiego podejrzliwym, odludkiem, cierpkim i niesmacznym. W parlamencie odrazu zajął stanowisko opozycyjne, krytukując ciągle rząd, ministrów i stronę przeciwną. Ale i w téj zgorzkniałéj krytyce występował zwykle zasadnie, w interesie publicznym, z okiem zwróconém na przyszłość Włoch, z gorącém pragnieniem ich szczęścia. Taką dumę można zrozumiéć, a jeżeli nie obyło się bez miłości własnéj, chęci imponowania i błyszczenia, wady te nikną, wobec niepospolitych jego zasług publicznych.

Nie mogąc nawet streszczać parlamentarnéj działalności Crispiego, który żadnéj sesyi nie opuszczał bez dosadnych przemówień; poprzestaniemy na przypomnieniu ważniejszych zdarzeń z jego życia w téj epoce. Najprzód trzeba zaznaczyć, że dwór, deputowani i publiczność przysłuchując się jego wystąpieniom w sejmie i widząc, jak wszelkie jego projekta reformy zmierzały w istocie swéj do szczęścia ojczyzny, zaczęto się z nim powoli oswajać i szanować. Wiele z tych projektów stało się prawami, a niektóre, jak np. o rozszerzeniu prawa wyborczego, złożone i odrzucone jeszcze w 1864, zostały przyjęte do-

piéro 1882. Można śmiało twierdzić, że organizacya administracyjna i polityczna Włoch, oraz dzisiejsze ich prawodawstwo są jego dziełem, noszą piętno jego geniuszu. Powtóre, Crispi zrozumiał, że forma republikańska zgubiłaby Włochy na nowo; więc też stał się obrońcą monarchii konstytucyjnéj, za co go Mazzini nazywał „dezerterem"

W roku 1864 stolicę kraju przeniesiono z Turynu do Florencyi, a zatém i Crispi przesiedlił się tamże, dzieląc życie między zacięte walki parlamentarne i adwokaturę, pozwalającą mu na utrzymanie pracować. Tak rzeczy trwają do r. 1867, kiedy cała opozycya sejmowa uznała go za swojego naczelnika. Ministerya włoskie zmieniały się szybko jedno po drugiém i opozycya sejmowa, czyli tak zwana lewica, zaczęła nabiérać przewagi, opinia publiczna za pomocą prasy powtarzała: „Rzym, albo śmierć! Chcemy Crispiego na ministra". Wiadomo, że po wojnie austryacko-pruskiéj z r. 1866, w któréj Włochy niebardzo zaszczytny brały udział, Wenecyańskie dostało im się z łaski Napoleona III; ale do zaokrąglenia jedności brakło jeszcze Rzymu i państwa Kościelnego. Otóż gorętsi widzieli w Crispim jedynego człowieka, który się nadawał do sytuacyi. Tymczasem król powołał na prezesa gabinetu generała Menabreę. Ten chcąc się pozbyć kłopotu, kazał uwięzić Garibaldiego, który ze swymi ochotnikami zagrażał państwu Kościelnemu. Krok ten wzniecił straszną burzę w parlamencie, a gdy się Menabrea ukazał w izbie, Crispi wszedł na trybunę i w gwałtownych słowach potępił ministeryum, kończąc rzecz swoją temi słowy: „Pierwsza wyprawa Francuzów przeciw Rzymowi w r. 1849, skończyła się upadkiem rzeczypospolitéj; druga, z r. 1867, przyniesie zgubę cesarswu". Proroctwo się spełniło w r. 1870. Lata 1868 i 1869 schodzą Crispiemu na ciągłych utarczkach parlamentarnych i bronieniu się od paszkwilów; byłoby to jeszcze fraszką, bo się w tych językowych bojach już dobrze zahartował, gdyby do jednéj biédy nie przyszła druga, daleko gorsza, domowa. Umiał on sobie radzić ze wszystkimi, ale z babą poradzić nie mógł. Dobrze mu wróżył poczciwy Tamajo, gdy się pan Franciszek kwapił z poślubieniem panny Rozalii Montmasson, a obecnie pani Crispi. Teraz przyszła koléj na zapłacenie głupstwa.

Pani Rozalia towarzyszyła wszędzie mężowi: on do Turynu, ona za nim, on do Florencyi, ona za nim. Zawróciło się kobiecie w głowie. Ochotnicy Garibaldiego zebrali składkę między sobą i ofiarowali jéj krzyż dyamentowy. Skarb państwa wyznaczył jéj pensyą. U króla doznała życzliwego przyjęcia. Wszyscy wybitniejsi mężowie stronnictwa, którego mąż był naczelnikiem, otaczali ją uznaniem. A gdy Crispi w r. 1866 gościł u siebie Garibaldiego we Florencyi,

cały świat urzędowy nawiedzając bohatéra, prawił komplementa i pani Rozalii. Nawet lepsza, niż jéj, głowa, mogła dostać zawrotu. Nowe stanowisko, nieprzewidywane, do którego tak mało była przygotowana, wykoleiło ją. Po wielu tarapatach i niedostatku, przyszła zamożność i próżniactwo; przywykła od młodu do ograniczania się na małém, teraz nie umiała sobie niczego odmówić. Zaczęła na drobiazgi i gałganki, na wyszukaną toaletę, wyrzucać bajeczne sumy. Psy, koty, białe myszy i wszelkiego rodzaju zwierzęta napełniały jéj salon, utrzymywany w wielkim nieładzie. Nadawała im dziwaczne imiona, pieściła jaknajczuléj.

Pewnego dnia, Tamajo zastał Crispiego w niepohamowanym gniewie, który pokazywał mu w salonie rozrzucone na meblach siedm sukien zielonych jedwabnych, tylko co przyniesionych od modniarki, a na każdéj z nich wylegał się pies, kot lub inne zwierze. Tamajo brał się za boki od śmiechu, jednak wstrzymał się od nauk moralnych i nie przypominał gospodarzowi dawnych ostrzeżeń. Pani Rozalia stawała się coraz nieznośniejszą; przyjaciele Crispiego opowiadają, że nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwym, jak w téj epoce swego życia. Ledwie się gdzie ruszył, ona powodowana zazdrością zjawiała się przy nim najniespodziewaniéj. Położenie materyalne nie świetne, jednak wystarczające dzięki adwokackiemu powodzeniu Crispiego, zaczęło się chwiać i grozić ruiną. Wśród tych domowych opałów, stolica Włoch została przeniesiona z Florencyi do Rzymu (1870) i zjednoczenie ojczyzny ogłoszone na Kapitolu w marcu r. 1871. Musiał więc i Crispi rzucić Florencyą i pałacyk, który tam sobie zbudował, a przenieść się do Rzymu. Stracił więc klientelę i pałacyk za cobądź sprzedał, ponieważ wyniesienie się rządu pociągnęło za sobą obniżenie wartości domów. Struty ciągłemi swarami z Rozalią, chciał się już zrzec poselskiego stanowiska, ażeby złym językom odjąć przedmiot szykany i swobodniéj oddać się adwokaturze. Jakoż 13 grudnia 1871 r. postanowił pożegnać się z izbą i przy téj okazyi miał świetną mowę, okrytą gorącemi oklaskami słuchaczów.

Wróciwszy z tego posiedzenia, zastał swoją magnifikę nietylko brudną, ale i jak ostatni szewc pijaną, trzeba bowiem dodać, że Rozalia od niejakiego czasu zasmakowała w mocnych napojach. Crispi, zrospaczony, wyleciał jak obłąkany z domu, pobiegł do Tamaja i tak mniéjwięcéj jął rozprawiać: Co tu począć? Co ze mną będzie? Do domu zanic nie wrócę, utopię się, powieszę, ucieknę na kraj świata. Tamajo zaczął mu perswadować, przypominać piękne dni z życia Rozalii, pocieszać, że jeszcze nie wszystko stracone, że może się Rozalia upamięta i znowu wróci spokój. Mówił przyjaciel wymownie, ale do głu-

chych uszu. Crispi ciągle powtarzał: Niech sobie idzie na złamanie karku, dam jéj ile zechce, tylko niech mi zniknie z oczu. Tamajo widząc, że mu się misya jednacza nie udała, postanowił ratować przyjaciela i poszedł do Rozalii; zaczął perswadować, burczéć i łajać, że Crispiego kompromituje, obiecywał w jego imieniu, że jéj na niczém zbywać nie będzie, byle sobie w świat poszła. A ona znowu nuż się rozwodzić nad swojemi prawami, nad mężem, nad małżeństwem i t. d. Tamajo ruszał ramionami wiedząc, że żadnego małżeństwa nie było, więc jéj znów dowodził, że nic nie wskóra, że lepiéj wyjdzie, przystając na warunki proponowane przez Crispiego. I to nie wiele skutkowało; zatém od groźb i huków przeszedł do słów łagodniejszych, przypominał czasy młodości, przywiązanie Crispiego do niéj, które przez własne postępki utraciła. Chciałażby mu teraz stawać na drodze i postępować jak nikczemna istota, ona, co go tak uwielbiała? Nareszcie po długich wymownych perswazyach, Rozalia Crispi zgodziła się napowrót zostać Rozalią Montmasson. Zwycięstwo to kosztowało Tamaja niemało potu i nie w jednym dniu zostało odniesione.

Crispi, gdy się dowiedział o rezultacie układów, nie bardzo chciał mu wierzyć. Byłożby to możebném, mówił do siebie, bym się mógł z tego piekła wydobyć? Ale Tamajo, któremu ufał, nietylko prawdę powiedział, ale wziął jeszcze na siebie uregulowanie stosunków między mniemanymi małżonkami. Rozalia Montmasson zamieszkuje dotychczas w Rzymie zdala od świata; umysł jéj odzyskał spokój, a zachowanie się jest bez zarzutu. Od czasu do czasu przesuwa się po ulicach miasta, z krzyżem dyamentowym na piersiach, otoczona ulubionemi pieskami.

Po tym rozwodzie Crispi odżył na nowo, odzyskał dawną energię i spokój nieodzowny w jego zawodzie. Swoją drogą jednakże prosił izby o zwolnienie z urzędu poselskiego na posiedzeniu z r. 1872, lecz ta się się nie zgodziła. W tymże roku umarł Mazzini, nie pojednawszy się z Crispim [1]).

Rok 1872 zaznaczył się w życiu Crispiego nowym epizodem romantycznym. Pewnego dnia został zaproszony do Palerma dla wzięcia udziału w zgromadzeniu polityczném. Wieczorem tegoż dnia znajdował się w salonie u jednego z przyjaciół. Wtém, rozmawiając w grupie znajomych, usłyszał jakiś głos niewieści, dopytujący się o Cri-

---

[1]) Mazzini mieszkał wówczas w Pizzie pod imieniem Jerzego Browna i zawsze mówił po angielsku, lękając się. by go nie wytropiono. W dzień śmierci, zapadł w omdlenie, a odzyskawszy na chwilę przytomność zaczął ku zdziwieniu doktora, mówić czysto po włosku. W kilka godzin potém skonał.

spiego dzielnego żołnierza, zręcznego polityka, świetnego mówcę, zbawcę Sycylii, oswodziciela Włoch. Głos ten domagał się ujrzenia wielkiego męża i niecierpliwił, że nie może z nim mówić. Nieznajomą wielbicielką była młoda wdowa, córka urzędnika z Syrakuz nazwiskiem Barbagallo. Nazajutrz Crispi miał wielką mowę publiczną; nieznajoma znalazła się w pierwszym rzędzie słuchaczów i nie uszła oczu mówcy.

Powróciwszy do Rzymu, kiedy już zapomniał prawie o nieznajoméj, spotkał ją w wiecznèm mieście, dokąd przybyła z ojcem wezwanym tam czynnościami urzędu. Nastąpiły zaręczyny, a potém ślub tylko religijny. Crispi nie chcąc zwracać na siebie uwagi i lękając się jakiego wybryku ze strony Rozalii, nie wziął ślubu cywilnego, jak tego wymagał kodeks włoski. Za to znów, o czém późniéj, nie minęła go bolesna kara. Z tego małżeństwa urodziła się mu następnego roku córka, Pepina, dotychczas żyjąca.

Następne lata 1874, 1875 i 1876 schodzą Crispiemu na walkach parlamentarnych i pracy adwokackiéj. Wprawdzie po ożenieniu się już nie był tak szorstkim, wyzywającym względem ministrów i kolegów sejmowych, ale od idei liberalnych, często nawet skrajnych, na jotę nie ustępował, skutkiem czego nawet własne stronnictwo nie zawsze mogło iść za nim. Lewica sejmowa, któréj był przywódzcą zyskiwała coraz więcej przewagi, zmuszając przez to króla do powoływania coraz nowych ministrów. Nareszcie wybory powszechne, dokonane w listopadzie 1876 r. przyniosły opozycyi 400 krzeseł; Crispiego wybrano prezesem izby. Zająwszy fotel prezydyalny, marszałek wygłosił świetną mowę, w któréj między innymi powiedział: „Jak Etna, śmiała góra mojego kraju, mam czoło pokryte śniegiem, ale serce moje pozostało gorącém i pali się dla ojczyzny“. Retoryczną figurę pochwycili nieprzyjaciele i zaczęli szydzić z niego, że się porównywa z Etną.

Jako marszałek izby, Crispi nie zawsze umiał panować nad sobą, czém ciągle obrażał kolegów. Raz, podczas sesyi 28 listopada, gdy już wybiła godzina rozpoczęcia obrad, a żadnego z mówców zapisanych do głosu jeszcze nie było, nie chciał na nich czekać i ogłosił posiedzenie za otwarte. Deputowani okrutnie się obrazili na prezydującego, ale prasa wzięła jego stronę, przypominając im, że czasu napróżno tracić i lenistwem paraliżować biegu czynności sejmowych nie wolno.

Korzystając z feryi parlamentarnych, wybrał się Crispi r. 1877 w podróż po Europie, odwiedzając po kolei Bismarcka w Gasteinie i Berlinie, lorda Derby w Londynie, Andrassego w Peszcie i Gambetę w Paryżu. Ciekawe było poznanie się z Bismarckiem. Konferowali

o sprawach politycznych, o zakusach Włochów na Trentino i sprostowaniu granicy od strony Austryi. Nagle Bismarck przerywa rozmowę i zapytuje: Czemużby Włochy nie mogły szukać kompensaty w Albanii—a gdy Crispi zdumiony milczał, kanclerz niemiecki dodał: Bylibyście w takim razie narodem europejskim, mającym mieszkańców, noszących najbardziéj malownicze kostiumy. Gorzką pigułkę Crispi połknął w milczeniu.

Niktby wówczas nie był przewidział, że dwaj ci ludzie zostaną następnie najgorętszymi przyjaciółmi.

Po otwarciu nanowo sejmu włoskiego, gabinet spotkał ze strony lewicy taki opór podczas rozpraw nad etatem robót publicznych, że wystąpił z kwestyą zaufania. Porządek dzienny wprawdzie uchwalono, ale tak drobną większością głosów, że ministeryum uważało za obowiązek podać się do dymisyi. Król przyjął dymisyę i powierzył niebardzo chętnie utworzenie nowego gabinetu Depretisowi i Crispiemu. W tym nowym gabinecie, Crispi nareszcie doczekał się władzy, otrzymał tekę spraw wewnętrznych.

VI.

Pożądał on dawno i gorąco władzy nietyle dla zadowolenia osobistéj dumy, chociaż i to uczucie zapewne nie było mu obce; ale dla przeprowadzenia idei politycznych i ulepszeń społecznych, dla podźwignienia narodu z głębokiego upadku. Pierwszy dzień urzędowania zeszedł Crispiemu na przyjmowaniu odwiedzin rozmaitych pochlebców i dworaków, którzy się przedtém od niego odwracali, a teraz bili czołem, szukając równocześnie protekcyi. Nie wiele ceniąc ludzi, poznał ich przy téj sposobności jeszcze lepiéj i mocniéj zaczął nimi gardzić. Mianowanie ministrem Garibaldczyka, demokraty, spiskowca, uderzyło w całą klikę lojalnych i bezmyślnych dworaków, jak kamień w bagnisko. Potrząsano głowami, widząc, jak najstarsza monarchia w Europie powołuje do steru rządu ludzi, którzy nie tak dawno zaprzysięgali zgubę królewskości.

Ale stało się; Crispi został ministrem i musiał się uczyć nowéj swojéj roli. Na pierwsze posiedzenie rady gabinetowéj, udał się z bijącém sercem do Kwirynału, nie tracąc przecież animuszu. Sala była jeszcze pusta; nie długo jednak zaczęli przybywać ministrowie, zjawił się téż i król, usiadł, kręcąc olbrzymie wąsy i kazał Depretisowi mówić. Posiedzenie widocznie go nudziło, czytanego programu z jakim nowy gabinet miał wystąpić, słuchał nie słuchając, a gdy Depretis skończył czytanie, król w kilku słowach odpowiedział, że program

jest osobistą sprawą ministrów i że sami powinni go bronić, nie potrzebuje zatém ani go chwalić, ani ganić. Znać było, że monarcha był nie w humorze, marszczył brwi i już oburącz kręcił wąsy. Minister zatém, znający gust swojego pana, schował program do teki i przeszedł do spraw bieżących. Wszystko odbyło się prawie w milczeniu, zaledwie jeden lub drugi minister bąknął słowo i na tém się skończyła rada gabinetowa. Crispi był rozczarowany co do rad gabinetowych; wyobrażał je sobie nieco inaczéj, przytém z otwartego okna w sali zaciągnęło chłodne powietrze i nabawiło go bólu głowy i kataru; wracał tedy do domu wielce skwaszony. Tak się skończył pierwszy jego występ ministeryalny.

Na domiar złego, zaczęły go niepokoić pewne okoliczności, dotyczące ostatniego małżeństwa. Było ono tylko religijnym związkiem i mogło zadowolnić żonę; ale Crispi jako minister, powinien był zadość uczynić prawu, ustanawiającemu małżeństwa cywilne. Chciał więc uregulować ten stosunek i udał się w tym celu do Neapolu wraz z żoną. Ażeby nie zwracać na krok ten uwagi publicznéj, prokurator generalny przy sądzie apelacyjnym w Neapolu dyspensował go od wymaganych przez prawo zapowiedzi. Po dokonaniu formalności, oboje państwo Crispi wrócili do Rzymu. Pani Crispi, z domu Barbagallo, a z pierwszego męża Capellani, uspokoiła się, widząc małżeństwo swoje ulegalizowane przez związek cywilny; córeczka Beppina t. j. Józefina, chowała się zdrowo, sam Crispi nabrał więcéj zaufania do przyszłości, uśmiechało mu się szczęście domowe. Na nowy rok było przyjęcie u dworu, na które minister wraz z żoną byli zaproszeni. U stołu pani Lina t. j. Filomena siedziała po lewéj ręce króla, co niezmiernie głaskało dumę Crispiego. Król nie jadł nic, wodził tylko oczyma po biesiadnikach, przyczyniając im nieco kłopotu. Był to obyczaj Wiktora Emanuela, wynikający prawdopodobnie stąd, że nie chciał sobie powalać olbrzymich wąsów, które zwykle przy jedzeniu mocno trzeba było wstęgą zawiązywać z tyłu głowy. Crispi naśladując swojego monarchę także prawie nic nie jadł i nie pił tylko obserwował spółbiesiadników. I tu nie obyło się bez pewnéj przykrości. Żona jego, którą u stołu miał prawie naprzeciw siebie, trzymała widelec po sycylijsku, t. j. całą rękojeść niemal po zęby w dłoni, gdy tymczasem elegantki turyńskie trzymały swoje widelce zaledwie dotykając rękojeść za koniuszczki t. j. po piemoncku; toż samo było z trzymaniem wachlarza—dwie mody, jak dwa ludy, nie godziły się ze sobą. Crispi chcąc żonę ustrzedz śmieszności, o mało, że jéj nie dał ostrzeżenia; ale ugryzł się w język i dumą pokrył małe niezadowolenie.

Była to ostatnia uroczystość, na któréj się znajdował Wiktor

Emanuel; w kilka dni późniéj zachorował i umarł. Wstąpił po nim na tron syn Humbert I. Na pogrzeb królewski przybył Fryderyk Wilhelm, następca tronu prusko-niemieckiego i zgromadzonemu na placu przed Kwirynałem ludowi, okazał na ręku młodziutkiego następcę tronu włoskiego. Był to zawiązek potrójnego przymierza.

W miesiąc późniéj umiéra Pius IX (7 lutego 1878). Burzące się radykalne umysły gotowały niespodzianki, ale Crispi ująwszy twardą ręką rządy, zdołał spokojność w Rzymie utrzymać. Poczuł się na siłach, usiadł w siodle krzepko, nie przewidując bliskiéj nad swoją głową burzy.

Dnia 27 lutego, gdy mu przyniesiono dzienniki, w neapolitańskim *Piccolo* wyczytał artykuł oskarżający go o dwużeństwo i na pięciu szpaltach opowiadający ze wszelkiemi szczegółami, jako pan Crispi w r. 1854 zawarł związek małżeński z panną Rozalią Montmasson i następnie za życia jéj wszedł w powtórne związki 1878 r. z panią Filomeną Capellani, z domu Barbagallo. Otóż, sekret ten wytropił Nicotera, po którym Crispi objął tekę spraw wewnętrznych, i żywił urazę do niego za swój upadek. Stał się wielki skandal, zaczęły młynkować języki wszystkich porządnych obywateli i obywatelek na całym półwyspie. Nie było co robić; Crispi podał się do dymisyi 7 marca 1878 r., a 14 tegoż miesiąca sąd w Neapolu rozpoczął przeciw niemu dochodzenie kryminalne.

Po zebraniu dowodów z Malty, gdzie było zawarte niby małżeństwo z Rozalią Montmasson, sąd przyszedł do przekonania, że w istocie małżeństwa nie było i oskarżonego od zarzutów uwolnił. Crispi wrócił znowu do izby i z nowym zapałem brał udział we wszystkich posiedzeniach sejmowych w ciągu 10-ciu lat, t. j. aż do 1888 r. Pomimo, że gabinet kilkakrotnie się zmieniał, nie powoływano go ani razu na urząd ministeryalny; zauważono jedynie, że nieraz występował w obronie gabinetu i stał się mniéj zawziętym opozycyonistą, jak gdyby chciał sobie torować drogę do serca królewskiego, a przez to i do władzy.

Nie potrzebujemy tu przytaczać szczegółów, dotyczących historyi Włoch w ciągu tych lat 10, ani opisywać zajadłych walk partyjnych w sejmie włoskim, jakkolwiek w nich Crispi żywy brał udział. Nareszcie po długoletniém czekaniu zbliżyła się pożądana dla niego sytuacya. Wyprawa do Afryki i przegrana pod Dogali odrazu pozbawiła Włochy nadziei założenia tam swoich osad. Wszyscy potracili głowy, sam Depretis złamany smutkiem i wiekiem nie wiedział co począć. Zaraz téż przypomniano sobie Crispiego, widząc w nim męża mogącego wydobyć Włochy z trudnego położenia. Dwór tylko,

król, królowa i całe ich otoczenie, jak dotychczas, tak i w obecnéj chwili opiérali się wezwaniu go na ministra. Kłopoty jednak przełamały niechęć ku niemu dworu i Depretis ofiarował mu w gabinecie utworzonym w r. 1887 tekę spraw wewnętrznych. W trzy miesiące później Depretis umiéra, a Crispi obejmuje po nim sprawy zewnętrzne i zostaje razem prezesem gabinetu.

Tym sposobem nowe stronnictwo przyszło do władzy, a Crispi na jego czele. Znowuż tedy uśmiechnęła mu się fortuna. Wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem radykalistów, życzliwie powitały go na tém wysokiém stanowisku. Dwór przecież, który tylko pod naciskiem okoliczności zgodził się na wezwanie Crispiego do rady koronnéj, zachowywał ku niemu swoję niechęć. Król przyjmował go obojętnie, królowa z nietajonym wstrętem, a dworacy, oczywiście zgodnie ze swoją rolą, przytakiwali. Crispi szybko ocenił sytuacyą i postanowił zażegnać burzę, którą dla siebie przewidywał z téj strony.

Na dworze włoskim w tym czasie zaczął przeważać wpływ niemiecki. Początek jego można odnieść do r. 1873, kiedy Wiktor Emanuel złożył wizytę w Wiedniu i Berlinie. Powoli wykluło się z tych stosunków potrójne przymierze. Poseł niemiecki przy Kwirynale stał się poufnym gościem rodziny królewskiéj, stary cesarz Wilhelm okazywał życzliwość królowi Humbertowi i królowa nabiérała coraz więcéj sympatyi do Niemców. Crispi zrozumiał skąd wiatr wieje i postanowił korzystać z tego położenia.

Nim jednak przyszło do wykonania planu, zaszedł drobny na pozór epizod, który mógł pokrzyżować wszystkie jego zamiary.

Jako prezes rady ministrów otrzymał zaproszenie na obiad do Kwirynału. Zdziwiło go jednak niepomału, że zaproszenie adresowane było tylko do niego z pominięciem żony. Dotknięty do żywego, przeczuwając, że to lekceważenie mogło wyjść tylko od królowéj, pobiegł do Kwirynału, a wyszukawszy sekretarza od zaproszeń, zaczął go pytać o przyczynę doznanego afrontu. Sekretarz cedził przez zęby ni to, ni owo. Wtedy Crispi w uniesieniu zawołał: „Powiedz pan Jéj Król. Mości, że jeżeli pani Crispi dziś wieczór nie otrzyma zadośćuczynienia, to w ciągu 48 godzin w całych Włoszech będzie ogłoszona rzeczpospolita.“ Była to tylko pogróżka, ale skutek odniosła. Król zawiadomiony o zajściu ustąpił, pani Crispi otrzymała zaproszenie.

Po tém niemiłém zdarzeniu Crispi dał znać Bismarckowi, że pragnąłby z nim pomówić w interesie pewnych zmian w potrójném przymierzu. Odebrawszy zaproszenie udał się do Warcina. Konferencya z Bismarckiem dotyczyła drobiazgów, na które kanclerz nie-

miecki bez trudności przystał. Z rozmowy Crispi wyniósł przekonanie, że na Bismarcku uczynił korzystne dla siebie wrażenie; więc kując żelazo póki gorące, zaczął mówić o swojém poświęceniu dla króla, powtarzając na wszystkie tony hasło: Włochy zjednoczone z dynastyą sabaudzką na czele. Następnie jął wysławiać nadzwyczaj wymownie zasługi Bismarcka dla Niemiec i tak go okadzał, że nareszcie żelazny książę rozmarszczył czoło i wierząc nie wierząc pięknym frazesom interlokutora, stał się miększym i dostępniejszym. Crispi wygrał sprawę.

Nie czekając na ostygnięcie życzliwości kanclerza niemieckiego i nie chcąc zadługo kuć żelaza, opuścił Warcin, lubo starano się dłużéj go zatrzymać. Wróciwszy do Rzymu, wnet poczuł zmianę w usposobieniach dworu ku sobie; i król i królowa zmienili ton i zaczęli mu dawać do zrozumienia, że znają jego poświęcenie dla dynastyi sabaudzkiéj i dla pomyślności Włoch. Czarny punkt z jego horyzontu zaczął znikać, a dziś śladu jego nie widać. Mógł tedy bezpieczniéj od tego czasu pracować nad urzeczywistnieniem reform, dążących do odrodzenia zjednoczonéj Italii.

Obecnie Crispi znajduje się u zenitu powodzenia, uwielbiany przez swoich, podziwiany przez obcych. Gdy opuszczał Palermo w r. 1849, był ubogi, ścigany, szukający schronienia dla swéj głowy; w 40 lat późniéj, t. j. 14 października 1889 r., wjeżdżał do tegoż Palerma okryty chwałą i zaszczytami. Ludność całego miasta wyległa na ulice, cisnąc się około jego powozu. Ministrowie, senatorowie, deputowani, oficerowie i żołnierze stanowili jego orszak, a w hotelu, gdzie stanął, musiał dwa razy wychodzić na balkon, by odpowiedzieć na pełne zapału okrzyki ludu.

Jako naczelnik gabinetu, a razem minister spraw wewnętrznych i zagranicznych, Crispi jest teraz pierwszą osobą po królu; nazywają go dyktatorem, a król podobno chce go mianować hrabią. Gdy Humbert I-szy oddawał cesarzowi Wilhelmowi II-mu rewizytę w Berlinie (17 maja 1889 r.), Crispi towarzyszył swojemu monarsze. Festyny, owacye, przyjęcia u dworu, oklaski ludu berlińskiego trwały przez pięć dni z rzędu. Nareszcie trzeba się było gotować do odjazdu. W tém panu ministrowi dają znać, że król Jego Mość prosi go do siebie. Gdy wszedł do komnaty królewskiéj, Crispi zastał Humberta bladego jak chusta; zdawało się, że król ważył w sobie jakieś ciężkie myśli. Pokój był w nieładzie, świadczącym o gotowaniu się do podróży. To, co Crispiego najprzód uderzyło, był niedbale na fotel rzucony uniform huzarów heskich, który król zrana przywdział na przegląd wojskowy. Minister, nie śmiąc pytać, czekał na zapytanie.

Czy wiesz pan? — rzecze monarcha.—Nie rozumiem do czego zmierza pytanie Waszéj Król. Mości. — Do naszego odjazdu. Wyjeżdżamy jutro; cesarz będzie nam towarzyszył, wracamy do Włoch przez Strassburg.—Crispi postąpił krok naprzód i cały drżąc powtarzał: To niemożliwe, Najjaśniejszy Panie. — Cesarz mi to zaproponował, jako rzecz naturalną,—odparł król i daléj mówił sam do siebie: być może, iż nie ocenił doniosłości tego kroku, być może, iż po rozwadze zaniecha tego zamiaru.—Nie sądzę, Najj. Panie—projekt to dobrze rozważony i zawczasu przygotowany. Wystąpiono z nim w ostatniéj chwili, by go nie można było odrzucić.—Następnie po długiéj pauzie milczenia Crispi ciągnął daléj: Wasza Król. Mość wié, czy kocham mój kraj i czym się wahał przed wszelką ofiarą, gdym ją uważał za pożyteczną do jego wielkości i szczęścia. Ta podróż do Berlina była mi nieznośną, jednak się jéj podjąłem. Chodziło o interesa państwa, o interesa króla, gdyż w moich oczach interesa Włoch są ściśle związane z interesami ich króla. Więcéj nie zdołam uczynić. Nie mógłbym poświęcić swojego honoru, a zniesławiłbym się, towarzysząc Waszéj Król. Mości. Jechać do Strassburga w takich okolicznościach, znaczyłoby to rzucić rękawicę Francyi, za co znów nie mogę przyjąć odpowiedzialności. Pozwól mi, Najj. Panie, ustąpić; wiadomość o téj podróży rozejdzie się w Europie spółcześnie z moją dymisyą.

Tymczasem zbliżała się godzina, w któréj cesarz, król i obaj ministrowie mieli wspólnie pojechać dla złożenia wieńca na grobie Wilhelma I-go. Crispi zatém pożegnał króla, przeczuwając, że Humbert zaszedł w swoich zobowiązaniach daléj, niż wypadało. Ale uważał się w téj chwili za uwolnionego ze służby i rozważał, co za hałas wznieci ta fantazya Wilhelma II-go. Wkrótce potém Crispi spoglądał na dwóch monarchów siedzących w powozie naprzeciwko niego. Cesarz bystro obserwował żołnierzy, oficerów, wyciągniętych szpalerem na ulicy, którą przejeżdżali. Król, bardziéj milczący niż zwykle, rozmyślał prawdopodobnie o tém, jakby też nieboszczyk ojciec przyjął wiadomość, że syn wraz z monarchą niemieckim gotuje się do wymierzenia ciosu opiekunce swojéj, Francyi. Powóz toczył się aleą pod Lipami; gdy już był niedaleko bramy Brandenburskiéj, Crispi, odwróciwszy głowę, spostrzegł po lewéj ręce ogromną chorągiew, zwieszającą się z balkonu ambasady francuskiéj i w mgnieniu oka powstał i odkrył głowę. Król Humbert machinalnie uczynił to samo.

Cesarz zajęty postawą wojska, nie dostrzegł tego poruszenia; Bismarck udał, że nic nie widzi. Od téj chwili już nie było więcéj mowy o podróży do Strassburga.

VII.

Teraz jeszcze niewiele słów o Crispim, jako człowieku prywatnym. Wprawdzie już poprzednio dotknęliśmy gdzieniegdzie życia prywatnego pierwszego ministra Włoch, ale było to przygodnie. Obecnie dla jakiéj takiéj pełności obrazu, przyjrzyjmy się jego prywatnemu charakterowi, stosunkom rodzinnym, trybowi życia domowego.

Crispi liczy sobie już przeszło siedm krzyżyków, przeżytych w ciągłéj agitacyi, tułactwie, częstym niedostatku, a pomimo tego trzyma się jędrnie, prosto i wcale na swój wiek nie wygląda. Pod tym względem przychodzi mu sztuka w pomoc. Wiedząc, że człowiek im starszy, tém troskliwiéj dbać o siebie powinien, by niechlujną starością ludzi nie straszyć, po parę godzin codzień poświęca na toaletę; szczególnie starannie pielęgnuje ręce. Dotychczas zdrowie służyło mu wyśmienicie; obecnie zaczęła go nawiedzać podagra, mimo to nie daje się, chodzi żwawo i pewnym krokiem.

Crispi jest Sycylianinem, a portret Sycylijczyka, według autora, za którym idziemy, tak wygląda: Jest on szlachetnym i pamięta o swojéj godności; w żyłach jego płynie krew arabska; duma jego nie zna granic, lubi odznaczenia, tytuły, zadowolenie miłości własnéj, wszędzie chciałby być na pierwszém miejscu. Crispi w wielu punktach te rysy przypomina.

Charakteru otwartego, nieco skupiony w sobie, łagodny w domowém obejściu, Crispi staje się opryskliwym, gdy go interlokutor nie rozumié, lub zdaje się być człowiekiem złéj wiary. Ile razy przemawia z trybuny, jest w odpowiedziach nagły i gwałtowny, ale wnet potém odzyskuje panowanie nad sobą i nie pamięta doznanych ukłuć.

Obdarzony nadzwyczaj żywym i czynnym umysłem, jest Crispi niestrudzonym pracownikiem. Dzięki zdumiewającéj pamięci, zna najdrobniejsze szczegóły dwu ministeryów, któremi kieruje. Stąd też podwładni urzędnicy boją go się jak ognia: takiego ministra podejść lub obejść nie łatwo. Świadom swoich zdolności, nie grzeszy skromnością; mówią tedy, że duma jest największym jego wrogiem.

Gdy doszedł do władzy, Crispi przebaczył najzaciętszym swoim nieprzyjaciołom, którzy szarpali jego życie prywatne. Kładziono to na rachunek wspaniałomyślności, tymczasem był to wynik pogardy dla ludzi i ich opinii. Zwykle milczymy na szkalowanie tych, któ-

rych za nic sobie mamy; tak postępował i Crispi względem swoich nieprzyjaciół.

W przyjaźni stały i wierny, pamiętał o dawnych towarzyszach niedoli i zapewnił im byt spokojny; nawet o Rozalii Montmasson nie zapomniał i nad losem jéj czuwał. Najbliżéj łączyły go stosunki z Garibaldim i Cezarem Correntim, których śmierć rzetelną rozpaczą go przejęła.

Po zniesieniu zakonów pozostało mnóstwo ubogich, którzy w nich znajdowali pomoc; ażeby temu stanowi zaradzić, Crispi postarał się o założenie w całych Włoszech wielu instytucyi dobroczynnych, zostających pod opieką żony jego. Dłoń jego nie zamyka się dla prawdziwie ubogich. Pod względem religijnym Crispi nie należy wcale do wolnomyślicieli, a chociaż czasami w mowach swoich dotykał z mniejszém, niż należało, poszanowaniem Kościoła, przecież w gruncie pozostał katolikiem i będąc w Berlinie uczęszczał wraz z królem na mszą do kościoła.

Crispi jest nietylko mężem stanu, ale oraz miłośnikiem nauki i literatury; w młodszym wieku uprawiał z powodzeniem poezyą i dziennikarstwo. Mówi on płynnie oprócz swojego angielskim i francuskim językami, a nadto uchodzi za uczonego helenistę. Wzorem wielu znakomitych polityków, ulubioną jego lekturę stanowią „Żywoty sławnych mężów“ Plutarcha.

Tryb życia prowadzi nadzwyczaj prosty; mimo wysokiego stanowiska i licznych zatrudnień, Crispi jest wielce przystępny, łatwy w obcowaniu, czém sobie odrazu jedna życzliwych. Wypróbowany przeciwnościami losu, znosząc nieraz ubóstwo, a nawet nędzę; gdy się dobił wydatnéj pozycyi nie zapomniał o czasach niedoli i nie pozwala sobie na żaden zbytek. Sypia zaledwie 6 godzin, a resztę czasu poświęca pracy. W innych przyjemnościach, oprócz tych, jakie daje życie na łonie rodziny, nie ma upodobania. Nawet do teatru uczęszcza rzadko; jak na Włocha rzecz to osobliwa. Osobisty majątek Crispiego jest bardzo skromny, a pensya z trzech urzędów (minister spraw wewn., zagr. i prezes gabinetu) dochodzi 2,021 fr. 13 cent. miesięcznie. Oszczędności uzbierane z adwokatury i spieniężenie domu we Florencyi, posłużyły na zbudowanie willi Lina w Neapolu, gdzie w wolniejszych od zajęć urzędowych chwilach, mieszka wraz z rodziną.

Jego ekscelencya pan minister wstaje zwykle o godzinie 6 rano; kąpiel i toaleta zajmują następne dwie godziny: stary nie daje się starości. O 8-éj idzie do gabinetu i zasiada do roboty, w któréj pomagają mu dwaj zaufani sekretarze: siostrzeniec Tomasz Palamenchi

i synowiec Tomasz Crispi. O godzinie 10 następuje *colazione* w gronie rodziny. Minister, nie przerywając rozmowy, czyta ranne depesze. Obok stoją dwa kosze; do jednego idą depesze małéj wagi, do drugiego te, na które trzeba odpowiedzieć. Słowo zaznaczone ołówkiem na marginesie depeszy, zawiéra treść i ducha odpowiedzi.

Crispi jada mało, ale lubi wykwintne i dobrze sporządzone potrawy; wina używa również bardzo mało, innych napojów wcale; tytoniu nie pali. Po śniadaniu wraca do roboty, następnie udziela posłuchań, a natrętów bywa wielka moc, których słucha nie słuchając i wreszcie uprzejmie do drzwi odprowadza. Gdy upał po południu dochodzi *maximum*, wsiada wraz z córką do powozu i udaje się na przejażdżkę. W czasie jednéj z takich wycieczek, 9 września 1889 r. zaczaił się na jadących nędznik Caporali i kamieniem ugodził Crispiego w głowę. Rana nie była groźną, minister w tydzień wyzdrowiał. Zamach nie nosił żadnéj barwy politycznéj; Caporali przyznał się, że chciał tylko zwrócić na siebie uwagę.

Wróciwszy ze spaceru, Crispi obiaduje wraz z rodziną, zwykle o 7-éj; po obiedzie odbywa półgodzinną s i e s t ę, a przebudzony rozpoczyna gawędę z obecnymi; właściwie nie jestto gawęda, lecz opowiadanie o dawniejszych czasach, o wypadkach sycylijskich, rewolucyi z r. 1848, wyprawie Tysiąca i t. d. W opowiadaniach jest niestrudzony. O godzinie 10-éj Crispi udaje się do swego gabinetu i znowuż zasiada do prâcy.

Rodzinę składają: owdowiała teściowa, pani Maryanna Solonia, żona Crispiego pani Lina (Filomena), córka Peppina (Giuseppina), oraz dwaj wspomnieni wyżéj krewni, siostrzeniec i synowiec, będący sekretarzami ministra. Dzisiejsza żona Crispiego urodziła się w r. 1845-ym w Lecce (prowincya Neapolitańska), gdzie ojciec jéj, Barbagallo, był prokuratorem królewskim przy trybunale pierwszéj instancyi. Późniéj przeniesiono go na takiż urząd do Syrakuz i tam Lina spędziła dzieciństwo. Gdy miała lat 14 wydano ją za mąż za signora Capellani, bogatego właściciela ziemskiego z Palazzuolo na Sycylii. Było to w r. 1859. W dwa miesiące po ślubie nastąpił rozwód z winy męża; młoda mężatka i tuż rozwódka wróciła do rodziców, u których mieszkała do r. 1872, t. j. do czasu, gdy ją Crispi pojął za żonę. Pani Crispi, mimo 45 lat życia, jest osobą nadzwyczaj żywą, ruchliwą, ukształconą, wielką patryotką, uwielbiającą męża i dumną z niego. Pod jéj opieką zostają wszystkie instytucye dobroczynne w Rzymie, Neapolu i Palermie.

Polityczny program Crispiego sformułowany przed laty, gdy rozpoczynał karyerę parlamentarną, nie uległ zmianie i teraz po do-

staniu się autora do władzy. Program ten obejmuje następujące reformy dotychczas w małéj zaledwie cząstce wprowadzone:

Należy o jedną trzecią zredukować liczbę urzędników; przyjmować do służby publicznéj tylko ludzi rozumnych i uczciwych; dać im byt znośny za pomocą dostatecznego uposażenia i zapewnić przyszłość, nie dozwalając na samowolną ich destytucyę.

Policyę oddać w ręce władz municypalnych; znieść podprefektury jako bezużyteczną zawadę w administracyi; rozłożyć sprawiedliwie podatki na wszystkich obywateli, zachowując progresyę, stosownie do ich zamożności; uwolnić klasę roboczą od podatku. Utworzyć i uzbroić gwardyę ruchomą tak, by mogła spółdziałać w obronie kraju i posiłkować wojsko regularne, ażeby tym sposobem ulżyć narodowi najcięższego z ciężarów t. j. konskrypcyi.

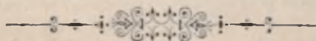
Naukę uniwersytecką uznać za swobodną; zaprowadzić edukacyą elementarną w prowincyach i gminach, a początkową uczynić darmo i pod przymusem.

Utworzyć zakłady kredytowe dla drobnych właścicieli i przemysłowców. Uzupełnić środki przewozu za pomocą dróg żelaznych wewnątrz półwyspu jak niemniéj linii dla żeglugi nadbrzeżnéj. Uzupełnić sieć telegraficzną i służbę pocztową.

Odłączyć stanowczo władzę wykonawczą od prawodawczéj i niedopuścić do izby poselskiéj żadnego urzędnika publicznego. Zabronić deputowanym piastowania urzędów publicznych lub brania udziału w towarzystwach finansowych. Senat uczynić mniéj zależnym od panującego. Uznać wybieralnym na posła każdego obywatela liczącego 25, a na senatora 30 lat życia, byle używali praw cywilnych i politycznych. Wyborcą powinien być każdy obywatel, który ukończył 21 lat, umié czytać i pisać. Deputowanych wynagradzać, by urząd ten uprzystępnić dla wszystkich rozumnych, a być może, uboższych ludzi.

Udzielić prawa stowarzyszania się i zgromadzeń, a prasę poddać jedynie prawu pospolitemu. Nareszcie znieść karę śmierci.

Program ten nie zawiéra w sobie czegoś bardzo nowego w porównaniu z podobnemi urządzeniami w innych krajach; ale jego przeprowadzenie w życie, może napotkać trudności, leżące w obecném położeniu Włoch, które pod względem finansowym i ekonomicznym mocno szwankują. Jeżeli do tego dodamy sprawę papieską, może najtrudniejszą do rozwiązania ku obopólnemu zadowoleniu Włoch i kościoła katolickiego, zrozumiemy, że nowy tytan włoski ma przed sobą nielada zadanie. I tu jednak czas może przyjść w pomoc i sprowadzić rozwiązanie, jakiego spółcześni nie przewidują.





Podwójne „ja."

Schriften der Gesselschaft für Experimental-Psychologie zu Berlin. 1 Stück. „Das Doppel-Ich." Von Max Dessoir. Leipzig, 1890, E. Günther, 8-vo, str. 42.

Dwie dusze mieszkają w mojéj piersi.
Goethe.

Do ostatnich niemal czasów psychologia uważała za pewnik naukowy jedność ludzkiéj jaźni. Mimo codziennego doświadczenia, przemawiającego za zmiennością naszego „ja", mimo utartego poglądu, powtarzającego się nieustannie w dziełach poetów, powieściopisarzy i dramaturgów, a przyznających możliwość dwóch lub kilku nawet walczących z sobą jaźni, mimo licznych odkryć w dziedzinie psychiatryi, wykazujących, iż osobowość nasza może ulegać najcięższym przeobrażeniom, aż do zupełnego rozprzężenia,—psychologia do niedawna żarliwie broniła postulatu jedności, z zapałem dowodziła niepodzielności ludzkiego „ja".

Jaźń, co prawda, straciła dla nowożytnych psychologów dawne swe mistyczne cechy: przestała być jakąś istnością transcendentalną, niepochwytną dla rozumu ludzkiego. Pojmowanie jéj zaczęło się zbliżać coraz bardziéj do racyonalizmu fizyologicznego.

Tak p. Julian Ochorowicz w znakomitéj swéj pracy p. t. „O zjawiskach zdwojenia w życiu duchowém człowieka" (Lwów, 1877) za pomocą licznych przykładów, wyjętych z dziedziny psychiatryi, dowodzi, że cała umysłowość nasza może ulegać zdwojeniu, że nietylko myślenie, uczucia, wola, pamięć ale nawet świadomość i samowiedza mogą się zdwajać. Stąd wyprowadza wniosek, że wiara spirytualistów w metafizyczną jedność jaźni jest fikcyą. Jeżeli osobowość w normalnych warunkach wydaje nam się jednostką, to tylko dlatego, że zazwyczaj zmienia się ona powolnie i niepostrzeżenie. „Poczucie „ja" —

mówi Ochorowicz — jak każdy inny utwór duchowy jest czynnikiem pewnych warunków, i ile razy te warunki się zmienią, tyle razy zmienić się musi i jaźń. W życiu normalném proces ten bezustannie ma miejsce, lecz zmiany są tak drobne i powolne, że stanowią jednociągły łańcuch. „Ja“ czuje się tém samém, mimo że się zmienia ciągle w szczegółach. Lecz gdy zmiany te staną się nagłe, samowiedza dawna ginie, albo zawiesza się, a powstaje i ustala się nowa.“

Ten sam mniéj więcéj pogląd znajdujemy w dziele Ribot'a p. t. „Choroby osobowości.“

Według orzeczenia Ribot'a, świadome „ja“ człowieka jest psychologicznym wyrazem zgodności (*consensus*) organicznéj, wyrazem syntezy wszystkich procesów, zachodzących w organizmie. „Jedność jaźni—powiada Ribot — jest jednością całego splotu, któremu tylko dzięki jakiéjś metafizycznéj iluzyi przypisujemy idealną, fikcyjną jedność punktu matematycznego. Polega ona nie na czynności jakiéjś istoty (*essence*) rzekomo prostéj, lecz na koordynacyi ośrodków nerwowych, które znów z kolei przedstawiają koordynacyą czynności ustroju“ [1]).

Ribot utrzymuje, że „w stanie normalnym osobowość przedstawia możliwie doskonałą koordynacyą psychofizyczną, koordynacyą, która się utrzymuje mimo wiecznych zmian, mimo częściowych i przemijających zaburzeń (nagłe popędy, dziwaczne myśli i t. d.),“ — i że jaźń zaczyna się rozprzęgać jedynie w stanie chorobliwym, t. j. w obłędzie, którego cechą istotną jest właśnie wadliwa psychofizyczna koordynacya.

Tak więc, obaj powyżsi psychologowie, przyznając zmienność ludzkiéj jaźni, twierdzą jednocześnie, iż przy normalnym stanie duchowym, jaźń zbliża się do ideału jedności, i że, ilekroć w zjawiskach życia duchowego występuje mniéj lub więcéj wyraźna dwoistość, jest to już oznaką zboczenia.

Dotychczas pogląd taki był panującym. Dopiéro w zeszłym roku znalazł w nauce zaprzeczenie. Psycholog francuski, Piotr Janet, w znakomitém swém dziele: „*L'automatisme psychologique*“ [2]) pierwszy wyraził myśl, że osobowość ludzka w zwykłych warunkach jest zjawiskiem złożoném. Według Janet'a jaźń tylko w świadomości naszéj tworzy jedność, w rzeczywistości wszakże składa się przynajmniéj z dwóch wyraźnie odgraniczonych od siebie

---

[1]) T. Ribot. „Choroby osobowości.“ Przekł. pols., str. 100.
[2]) Pierre Janet. „L'automatisme psychologique.“ Paris, 1889.

części, z których każda posiada własną pamięć, własny łańcuch wspomnień.

Praca Janet'a znalazła odgłos w literaturze niemieckiéj. Członek świéżo zawiązanego Towarzystwa psychologii doświadczalnéj w Berlinie, dr. fil. Max Dessoir, podjął hypotezę francuskiego badacza, poparł ją całym szeregiem nader ważnych i ciekawych spostrzeżeń, rozwinął filozoficznie i stworzył głęboką teoryą dualizmu jaźni.

Hypotezę dwoistości ludzkiego „ja“ opiéra Dessoir na trojakiego rodzaju faktach: 1) na zjawiskach znanych z codziennéj obserwacyi życia, 2) na spostrzeniach klinicznych nad nerwowo i umysłowo chorymi, 3) na badaniach hypnotycznych.

Rozpatrzmy po kolei cały ten materyał faktyczny.

Od dawien dawna znane są w psychologii czynności t. zw. „automatyczne“ (*Mental automatism*“ Jackson'a), — są to czynności, posiadające wszystkie cechy zwykłych aktów psychicznych, z wyjątkiem tego, iż dana osoba w chwili wykonywania pewnéj czynności nic o niéj nie wié. Weźmy przykład. Odwiedza mnie przyjaciel i przynosi mi z miasta ciekawą nowinę. W chwili, gdy mi ją opowiada, przygotowuję się do wyjścia z domu. Słuchając uważnie przyjaciela, kończę toaletę: wkładam kołnierzyk i mankiety, wdziewam tużurek, jednocześnie chowam klucz do kieszeni, włożywszy wreszcie palto i kapelusz, opuszczam mieszkanie. Na ulicy nagle zjawia mi się myśl, żem klucz zostawił w domu. Biegnę napowrót, szukam klucza po wszystkich kątach, lecz napróżno, kładę nakoniec rękę do kieszeni i znajduję w niéj mniemaną zgubę. Gdy późniéj opowiadam przyjacielowi moją zabawną przygodę, mówi mi: „trzeba mi było to przedtém powiedzieć. Widziałem przecie, jakeś wyjął pęk kluczy z szuflady, jakeś odłączył jeden klucz i schował go do kieszeni.“

Analogiczne wypadki zdarzają się kiedy czytamy na głos, myśląc o rzeczach ubocznych, kiedy robimy korektę, prowadząc jednocześnie rozmowę i t. d.

Fakty te dowodzą, iż istnieje cały szereg czynności, wymagających prawidłowéj funkcyi wielu uzdolnień duszy, a mimo to mogących się odbywać bez wiedzy osoby działającéj. Ćwicząc się, możemy nawet ten dualizm duchowy w wysokim stopniu rozwinąć w sobie i udoskonalić. Barkworth, członek Towarzystwa badań psychicznych w Anglii (*Society for Psychical Research*) doszedł do takiéj wprawy, że podczas najżywszéj rozmowy mógł szybko dodawać ogromne kolumny cyfr, nie myląc się i nie przerywając sobie rozmowy. Ten ostatni eksperyment dowodzi, że możliwą jest nietylko bezwiedna in-

teligencya, ale i bezwiedna pamięć. Aby z dwóch grup cyfr przez dodanie otrzymać trzecią, dwie pierwsze należy mieć w pamięci; tym sposobem wytwarza się cały łańcuch wspomnień, niezależny od tego, na którym opartą jest prowadzona w tymże czasie rozmowa.

Z tych i tym podobnych faktów zdaje się wypływać nieodbicie wniosek, że osobowość ludzka nie jest jednolitą, że składa się z dwóch mniéj lub więcéj niezależnie od siebie funkcyonujących świadomości; jedna jest wyższą, gdyż towarzyszy zawilszym procesom duchowym, druga jest niższą, gdyż warunkuje procesy prostsze,—dlatego to jednę możnaby nazwać „nadświadomością“ (*Oberbewusstsein*), drugą „podświadomością“ (*Unterbewusstsein*).

Myśl ta, lubo mglistą i powiewną wydaje się w świetle codziennéj obserwacyi życia, nabiéra niezwykłéj wyrazistości i wypukłości w obec analizy patologicznych stanów duszy.

Już w śnie zwykłym znajdujemy niekiedy jaskrawy dowód dualizmu jaźni. Wiemy wszyscy, że marzenie senne, które wytworzyła fantazya jednéj nocy, może się odnowić i rozwinąć daléj w noc następną, jakkolwiek na jawie niceśmy o niém nie wiedzieli. Pijak częstokroć w stanie upojenia przypomina sobie doskonale wszystkie szaleństwa, które popełnił dnia poprzedniego w stanie nietrzeźwym.

Rozszczepienie wszakże osobowości najwyraźniéj się objawia w stanach prawdziwie chorobliwych. Maenish w słynném swojém dziele: *Philosophy of sleep* opowiada nader ciekawy fakt, dotyczący życia pewnéj młodéj amerykanki. Dama ta pewnego razu po nienaturalnie długim śnie zapadła w stan zupełnego przeobrażenia jaźni: zapomniała to wszystko, co tylko kiedykolwiek umiała: musiała na nowo uczyć się chodzić, mówić, czytać i t. d. Po kilku miesiącach, znowu w następstwie długiego snu, stan normalny powrócił. I fakt ten powtarzał się w ciągu całych czterech lat: za każdym razem przejście od jednéj osobowości do drugiéj było uwarunkowane snem.

Przykłady te, wyjęte ze sfery nienormalnych objawów duszy, różnią się pewną znamienną cechą od przytoczonych wyżéj faktów z życia zwykłego. Tutaj dwie osobowości kolejno następują po sobie, gdy tam istnieją one współcześnie. Nie zbija to wszakże założenia, albowiem pomiędzy krańcowemi formami współistnienia i kolejności dwóch jaźni zauważyć się daje wiele stanów pośrednich.

Zazwyczaj pamięć jednéj jaźni wyłącza pamięć drugiéj. Atoli już u epileptyków widzimy, że wspomnienia ich z okresu szału odżywają niekiedy w stanie normalnym. Analogiczne zjawisko znajdujemy i w wielu innych obserwacyach.

Dr. Azam obserwował pewną histeryczkę (Félida), która od

czasu do czasu zapadała w stan naturalnego somnambulizmu; w stanie tym świadomą była zwykłego życia i posiadała pamięć poprzedniego snu,—w stanie atoli zwykłym nie pamiętała nic z okresu somnambulicznego snu. W wypadku tym, widzimy, że jedna ze świadomości (somnambuliczna) obejmowała całe życie, druga (zwykła) tylko część życia.

Nader ważne argumenty, przemawiające za dualizmem jaźni, znajdujemy w badaniach nad osobami, cierpiącemi na hysteryę. Dwaj uczeni francuscy, Féré i Binét, dokonali całego szeregu zdumiewających doświadczeń, które prowadzą do bardzo szerokich uogólnień. Doświadczenia swe czynili na hysterykach, dotkiętych miejscowém znieczuleniem (t. j. znieczuleniem jakiejś części ciała). Oto niektóre z nich.

Osobie, posiadającéj znieczuloną prawą rękę, zawiązuje się oczy, następnie wkłada się jéj ołówek między wielki palec i wskazujący prawéj dłoni. Co się okazuje? Oto, jakkolwiek palce, pomiędzy które włożyliśmy ołówek, są nieczułe, zbliżają się jednak do siebie, aby ująć mocniéj przedmiot, inne palce odpowiednio zginają się i cała dłoń przybiéra układ dłoni piszącéj.

Z doświadczenia tego widzimy, że hysteryk, dotknięty anestezyą, może odczuwać podrażnienia, pochodzące ze znieczulonéj części skóry, może nawet na nie odpowiedniemi ruchami reagować — cały ten proces wszakże odbywa się bez wiedzy osobnika, rozegrywa się w sferze jego podświadoméj.

A oto drugi eksperyment, jeszcze bardziéj zadziwiający. Jeżeli znieczuloną rękę hysteryka prowadzić będziemy po papierze tak, aby pisała cyfry lub litery i następnie ją puścimy, ręka sama w dalszym ciągu wypisywać będzie te lub inne liczby, te lub inne litery. Tutaj prócz podświadoméj percepcyi widzimy nadto podświadome myślenie.

W obu powyższych doświadczeniach sprawa psychiczna, odbywająca się w podświadomości, jest dla nadświadomości całkowicie obca: obie sfery sąsiadują ze sobą, żadnym punktem się nie łącząc.

Inne wszakże fakty dowodzą, że dwie te sfery mogą się zahaczać o siebie, i że jedna może przyjąć to, co zrodziła druga. Prawdy téj dowiódł Binét w świeżéj swéj pracy, ogłoszonéj w *Revue philosophique*.

Binét twierdzi, że u osoby hysterycznéj wrażenie dotykowe, wywołane przez podrażnienie okolicy nieczułéj, budzi odpowiednie świadome wyobrażenie wzrokowe. Jeżeli dotkniemy się znieczulonéj ręki hysteryka nożem, to jakkolwiek osoba ta nie będzie świadoma podrażnienia skóry, jakkolwiek n i e o d c z u j e zbliżenia danego

przedmiotu, mimo to w nadświadomości jéj powstanie wyraźny obraz wzrokowy.

Doświadczenie swe Binét urządza w sposób następujący. Badanéj osobie każe skierować uwagę na litery gazety, następnie kłuje ją w nieczułą rękę lub kréśli po niéj linie; okazuje się wtedy, że hysteryk widzi na gazecie punkty lub linie, które zasłaniają mu litery i utrudniają czytanie.

Że wrażenia dotykowe mogą budzić odpowiednie wyobrażenia wzrokowe, wiemy o tém bardzo dobrze z normalnéj psychologii. Jeżeli dotknie się nas kto nożem, wówczas, mając nawet oczy zamknięte, wyobrażamy sobie mniéj lub więcéj dokładnie jego formę i kolor, dzieje się to na mocy prawa asocyacyi wyobrażeń. W powyższych doświadczeniach, nad hysterykami widzimy tylko brak pierwszego ogniwa — wrażenia dotykowego, w zwykłych warunkach świadome wrażenie dotykowe budzi świadome wyobrażenie formy — u hysteryka wrażenie dotykowe jest utajone, świadomość spostrzega tylko skutek.

Śród licznych ciekawych faktów, Binét zauważył jeszcze jeden nader ważny. Jeżeli każemy osobie hysterycznéj pomyśléć o jakiejkolwiek rzeczy, zatrzymuje się ona zwykle na tém wyobrażeniu, które odpowiada jakiemuś bezwiednie otrzymanemu zzewnątrz wrażeniu. Eksperymentator kreśli na znieczulonéj ręce danéj osoby czworokąt, i przed oczyma hysteryka nagle zjawia się figura czworokąta. Wszelako jest wielka różnica między wyobrażeniem, w ten sposób powstałem a wyobrażeniem zupełnie swobodném. W tym drugim wypadku odpowiedź następuje natychmiast, w pierwszym zaś otrzymuje się po 2—5 sekundach, czyli, że tutaj apercepcya trwała dłużéj.

Reasumując fakty powyższe, przychodzimy do wniosku, że świadomość człowieka śniącego, pijanego, somnambulika, epileptyka, podczas ataku jest inną, niż ta, którą posiadamy w zwykłych warunkach; że owa druga świadomość posiada własną pamięć, własny łańcuch wspomnień; pamięć ta wszakże nie jest zawsze ściśle odgraniczoną od życia duchowego normalnéj osobowości (dowodzi tego przykład Azama). Mniéj rozwinięty dualizm znajdujemy u hysteryków—doświadczenia wszakże, dokonywane na nich, znakomicie potwierdzają hypotezę dwoistości jaźni.

Zbliżamy się do trzeciéj kategoryi faktów, na któréj się opiéra hypoteza dualizmu jaźni. Fakty te należą do dziedziny eksperymentu. Gdy świat naukowy zaznajomił się ze zjawiskami hypnotyzmu, badacze powzięli myśl sztucznego wywoływania zboczeń psychicznych, które znane były dotąd tylko ze spostrzeżeń nad chorymi.

Dwaj uczeni francuscy Bourru i Burot śród wielu chorych szpi-

talnych, mieli pewną pacyentkę (wielka hysterya), która po silném wstrząśnieniu moralném, straciła była pamięć całéj swojéj przeszłości. Doświadczenie hypnotyczne, dokonane na niéj, wywołało zdumiewające zjawisko: chora w śnie somnambulicznym odzyskała w zupełności pamięć. Fakt ten tłómaczy się w sposób następujący: silne wstrząśnienie zburzyło równowagę duchową i pogrążyło część duszy w sferę niedostępną dla nadświadomości; sen zaś hypnotyczny wywołuje stan, w którym utajona, podświadoma umysłowość wydobywa się na wierzch.

Wobec podobnego faktu, uczeni mieli słuszne prawo zapytać się, czy nie możnaby za pomocą hypnotyzmu, badać owéj utajonéj dziedziny psychicznéj, owéj podświadomości, niezależnie od sfery nadświadoméj. Badania przyniosły odpowiedź na to pytanie twierdzącą: liczne doświadczenia wyjaśniły bliżéj istotę drugiego „ja“ i stosunek jego do „ja“ pierwszego.

Przedewszystkiém dowiedziono, że osoba, która pogrążona była w stan głębokiéj hypnozy, po przebudzeniu się zapomina wszystko, co się z nią działo we śnie; odzyskuje zaś pamięć snu somnambulicznego dopiéro w czasie powtórnéj hypnozy.

Mówiąc, że dana osoba po przebudzeniu się zapomina, wyrażamy się, co prawda, nieściśle; zapomnieć bowiem można to tylko, co przedtém było wiadome, a wszak normalne „ja“ nie wié nic o tém, co czuło i myślało „ja“ somnambuliczne.

Niezależność dwóch jaźni okazuje się zupełną tylko w razie głębokiéj hypnozy. Przy słabém uśpieniu, osobowość somnambuliczna nie jest całkowicie obcą osobowości zwykłéj — w tym wypadku normalne „ja“ przypomina sobie z jaknajwiększą dokładnością wszystkie wrażenia „ja“ somnambulicznego. Innym znów razem wspomnienia snu hypnotycznego, utajone na jawie, budzą się w śnie zwykłym; osoba, która była hypnotyzowana, śni w nocy o wrażeniach, przeżytych w stanie somnambulicznym, i naodwrót w śnie somnambulicznym przypomina sobie marzenia senne, których była nieświadoma na jawie.

Widzimy więc, że samoistność i niezależność dwóch stanów świadomości nie stanowi prawa; stosunek ich wzajemny bywa nader różnorodny, począwszy od zupełnéj niezawisłości, aż do najściślejszego zespolenia.

Ten sam wniosek wypływa z doświadczeń nad suggestyami pohypnotycznemi. Weźmy przykład. Każę osobie uśpionéj po przebu-

dzeniu się zapalić świécę. Osoba A. w chwili, gdy wykonywa poddaną czynność, na nowo wpada w sen hypnotyczny. B. przeciwnie nie traci świadomości jawu, atoli odczuwa nieprzezwyciężony i niepojęty dla niéj pociąg do wypełnienia danéj czynności. C. wreszcie również nie wychodzi ze stanu czuwania, rozkaz wszakże wykonywa automatycznie, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Rozmaitość stanów duchowych, towarzyszących spełnianiu się suggestyj pohypnotycznych, zależy od wypadkowéj walki dwóch świadomości. U A. świadomość hypnotyczna przeważa nad świadomością jawu, u B. świadomość hypnotyczna zdobywa sobie maleńki teren, tyle tylko, ile potrzeba, aby dana idea mogła urzeczywistnić dany czyn. W trzecim wypadku niezależność dwóch jaźni jest wyraźnie zaznaczona: obie współistnieją, nie łącząc się, ale i nie znosząc wzajemnie.

Doświadczenie powyższe znakomicie ilustruje stosunek dwóch jaźni: obie walczą o lepsze i jedna stara się zapanować nad drugą. Ten sam wniosek wypada z następującego doświadczenia Piotra Janeta. Kobiéta, która była hypnotyzowana, w codziennem życiu nosi miano Leonii, w śnie zaś somnambulicznym przybiéra dowolnie imię Leontyny, które ma oznaczać jéj drugą osobowość. Hypnotyczna Leontyna, która z Leonią ze stanu czuwania, tworzy fizyologiczną jedność, otrzymuje we śnie rozkaz, aby po przebudzeniu się rozwiązywała i zawiązywała fartuch. Obudzona, rozmawia z p. Janetem i kieruje się ku drzwiom. Tymczasem ręce jéj—połączone ręce Leonii i Leontyny, gdyż obie te osoby żyją w jedném ciele, rozwiązują fartuch. Wówczas Janet zwraca jéj uwagę, że fartuch się obluźnił. „Boże mój“, woła kobiéta, „fartuch mi się rozwiązał“, i zawiązuje go napowrót, tym razem zupełnie świadomie. Następnie zaczyna w dalszym ciągu rozmawiać z Janetem, z czego okazuje się, że Leonia nie zdawała sobie wcale sprawy z tego, dlaczego opadł jéj fartuch i że pamiętała to tylko, iż potém go zawiązała. Tymczasem Leontyna widocznie była jeszcze niezadowolona: na rozkaz jéj ręce zaczęły nanowo rozwiązywać i zawiązywać fartuch, tym razem wszakże Leonia była całkiem nieświadomą czynów Leontyny.

Eksperyment ten zmusza do przypuszczenia, że poniżéj świadomości jawu, istnieje druga osobowość, która pamięta wrażenia, otrzymane w śnie somnambulicznym i dąży do wypełnienia nakazanych czynów. Że to drugie „ja“, jakkolwiek uległe i niekrytyczne, nie jest wszakże pozbawione zdolności myślenia, dowodzi tego następujące doświadczenie, dokonane na posiedzeniu Towarzystwa psychologii eksperymentalnéj przez dra Dessoir'a. Pan D. otrzymuje suggestyę posthypno-

tyczną, którą ma wykonać w chwili, gdy usłyszy, jak p. Dessoir po raz 17-ty uderzy w dłonie. Po obudzeniu pana D., dr. Moll zawiązuje z nim rozmowę, podczas, gdy p. Dessoir uderza 15 razy w ręce. Gdy go zapytano w téj chwili, czy słyszał uderzenia, odpowiada, że nie, i zapewnia nadto, że nie ma pojęcia o tém, co ma uczynić po 17-u klaśnięciach. Gdy jednak ostatnie dwa uderzenia rozległy się w powietrzu, p. D. wykonał automatycznie nakazaną czynność. Doświadczenie to przekonywa, że podświadomość nietylko posiada pamięć, ale zdolna jest nadto do intelektualnéj pracy. Tego samego dowodzi i następujący eksperyment. Mówi się osobie uśpionéj, że gdy dwie wymówione jedna po drugiéj cyfry dadzą w sumie 7, to wykona ona (po przebudzeniu się) tę lub ową czynność—i suggestya ta spełnia się jaknajlepiéj.

Tyle o suggestyach pohypnotycznych. Postarajmy się teraz na mocy innego rodzaju obserwacyi i doświadczeń dowieść, że istotnie osobowość ludzka w zwykłych warunkach życia nie jest jednolita, że czynności automatyczne, o których mówiliśmy na wstępie, należą do dziedziny podświadomości.

Zwróćmy się znów do przykładu.

Pewnego razu dr. Dessoir przyjmował u siebie grono przyjaciół. Podczas gdy całe towarzystwo było zajęte głośną rozmową, jedna z osób tam obecnych, p. W. zaczytał się w jakiejś książce. W tém, ktoś wymówił nazwisko p. X., który bardzo interesował p. W., p. W. nie wiedział nic, co mówiono — słyszał tylko nazwisko obchodzącéj go osoby i zwrócił się do towarzystwa z zapytaniem, co się z nią stało. Wówczas za zgodą p. W., dr. Dessoir uśpił go i żądał, aby we śnie powtórzył wszystko, co obecni mówili, podczas gdy on był zajęty czytaniem. Jakież było zdziwienie towarzystwa, gdy uśpiony powtórzył całą treść rozmowy. Fakt ten inaczéj wytłómaczyć się nie da, jak tylko w ten sposób, że p. W. otrzymywał wrażenia słuchowe, tylko, że nie dochodziły one do téj świadomości, którą operuje człowiek na jawie, lecz do innéj, którą udało się wydobyć na jaw podczas hypnozy. W tym wypadku treścią procesów podświadomych były wrażenia; ale oto przykład, dowodzący, iż z téj saméj sfery wypływać mogą i czynności ruchowe.

Janet, zapomocą poddawania na jawie, doprowadził pewną bardzo wrażliwą na suggestyę osobę do tego, że się położyła na brzuchu; osoba ta, wykonywając daną czynność, była całkiem na jawie, z eksperymentatorem w dalszym ciągu nawiązaną rozmowę prowadziła. O zmianie wszakże pozycyi nic nie wiedziała, i kiedy trzecia osoba

spytała się jéj, w jakiém znajduje się położeniu, odrzekła, iż stoi tak, jak poprzednio, w łóżku. Widzimy stąd, iż w stanie zwykłym dwie świadomości mogą istnieć obok siebie równolegle.

Tak więc, wszystkie trzy kategorye faktów, o których mówiliśmy powyżéj, prowadzą nieuchronnie do wniosku, że jaźń nie jest jednolitą. Fakty te z innego jeszcze względu posiadają dla nas niepospolitą wartość: pozwalają stworzyć możliwie ścisłą definicyą stanu hypnotycznego. Hypnoza, jak twierdzi Dessoir, polega na sztucznie wywołanéj przewadze drugiego „ja.“ Znamiona snu somnambulicznego w zupełności definicyą tę usprawiedliwiają. Jeżeli zwrócimy uwagę na jego cechy pozytywne, to znajdziemy: dziecinną łatwowierność i skłonność do przekształcania wszystkich aktów psychicznych w zjawiska zmysłowe; opiérając się zaś na cechach ujemnych, stwierdzimy: zmianę uwagi i utrudnienie dowolnego wytwarzania wyobrażeń hamujących. Oba te szeregi znamion dają się z łatwością wyrazić w terminach hypotezy podwójnego „ja“. Cechy dodatnie są charakterystyczne dla podświadomości, cechy zaś ujemne stanowią właściwości stanu duchowego, w którym wpływ sfery nadświadoméj został usunięty.

Snując dalsze wnioski z hypotezy podwójnéj jaźni, możemy z łatwością naszkicować schemat normalnéj osobowości. Jeżeli szukać będziemy analogii dla stanu hypnotycznego w życiu zwykłém, to znajdziemy ją niezawodnie w usposobieniu duchowém dziecka, które bez krytyki przyjmuje rozkazy matki i wszystko, co abstrakcyjne przeobraża w zjawiska konkretne. Bernheim zaznacza niezwykłą wrażliwość na poddawanie i łatwość zasypiania u dzieci. Porównanie wszakże prowadzi nas daléj. Jedna z osób, hypnotyzowanych przez Janeta, we śnie nadawała sobie imię „Nichette“; mianem tém, jak się to późniéj okazało, nazywano ją w dzieciństwie. Zjawisko to powtarza się dość często. — Podobieństwo stosunku dziecka do matki i zahypnotyzowanego do hypnotyzera jest pod każdym względem uderzające. Myśl, „że mama to powiedziała,“ posiada magiczny urok dla dziecięcego umysłu; podobnież słowo hypnotyzera paraliżuje całkowicie samodzielność i powoduje niewolnicze posłuszeństwo.

Już teraz z łatwością możemy przystąpić do uogólnienia. Człowiek normalny jest w rzeczywistości jednością, ukrywa jednak w sobie możność rozkładu na cały szereg elementów jaźni. Elementy te dają się podzielić na dwie wielkie klasy. Podstawę życia wewnętrznego tworzy owa sfera duchowa, która cechuje się uległością i auto-

matyzmem i zbliża nas do natury dziecka lub pierwotnego człowieka; ponad nią wznosi się działalność ośrodków hamujących, praca duchowa aparatu regulującego, który przestaje funkcyonować wówczas, gdy życie nasze odbiega od typu zwykłego czuwania. Jeżeli wskutek jakichkolwiek powodów związek między nadświadomością i podświadomością osłabnie i centralizująca siła zginie, natychmiast wydobywa się na wierzch z głębin ducha drugi szereg pamięciowo związanych ze sobą aktów psychicznych i drugie „ja“ zdobywa sobie byt niezależny.

Dr. Adam Wizel.





DAWNA PIOSNKA.

W głębi Lubelskiego, pod strażą bukowych lasów, leżą urodzajne pola Kalinowéj, wsi dostatniéj, z pobielonemi chałupami, z piętrowym dworem krytym czerwoną dachówką, a dwór ten otacza wielki, cienisty ogród, zwykle przez okoliczną szlachtę parkiem zwany. W ogrodzie, po nad trawnikami szumią lipy długiemi rzędy ustawione, kupią się klombami brzozy, jesiony, akacye, tu i owdzie kasztan lub świérk stoi, a nad sadzawką rozwodzą żale powiewne gałęzie wierzb płaczących. W ogrodzie tym wreszcie kwitną bzy, róże, spiree i jaśminy, słowem, mieści się w nim zwykła naszych ogrodów roślinność; szarzeją w nim wreszcie drewniane altanki i ogrodowe ławki.

W jednéj z altanek siedziała dnia pierwszego lipca 1889 roku właścicielka Kalinowéj, pani Jodowska. Młoda była i przystojna; miała duże szare oczy, białą cerę na któréj odcinały się ciemnym paskiem brwi wąskie i gęste, w miarę długi, zgrabny nosek i wąskie, nieco w kątach w górę zagięte usta. W białéj ręce trzymała pióro, z pod którego wybiegały na papier długie, śpiczaste litery, pani Ewa Jodowska bowiem pisywała wiersze, w wielkiéj wprawdzie tajemnicy, czytywała je tylko najzaufańszéj przyjaciółce, jednak wieść o tém pisaniu rozeszła się po okolicy i odtąd zyskała pani Ewa przydomek „naszéj poetki“.

Przez czas jakiś cisza panowała wokoło; dzień był gorący, godzina trzecia po południu. Pan Jodowski wyjechał na pole, obejrzéć dojrzewające zboża, a pociechy domowe, dziesięcioletnia Niusia i siedmioletni Janek pod pieczą bony szwajcarki, panny Luizy, ćwiczyli się w mowie Gallów i przeciwnych im Germanów.

Nagle ciszę tę przerwał młody, kobiecy głos, donośném wołaniem.

— Cociu! ciociu!

Wołała tak krewna pana domu, panna Aniela Jodowska, sierota, przebywająca stale w Kalinowéj.

— Jestem tutaj — zawiadomiła pani Ewa, szybko chowając do teczki zapisane kartki.

Anielka podbiegła do altanki i oznajmiła:

— Pan Kotnicki przyszedł.

— Gdzież jest?

— W sali, nie—dodała po chwili, oglądając się— idzie ku nam.

Pani Ewa teczkę na klucz zamknęła i wyszła na przeciw gościa.

Kotnicki, wysoki, brunet, z twarzą o nieregularnych rysach, uderzał wyrazem energii, widnéj w ostrych konturach brody, w brwiach krzaczystych, prosto zakreślonych i w ciemnych, śmiało patrzących oczach.

Szedł pewnym, równym krokiem, zdaleka już kłaniając się pani domu.

— Przychodzę tu w podwójnym charakterze: posła i listonosza— odezwał się po przywitaniu, podając pani Ewie list i paczkę gazet — to odebrałem z rąk starego Grzeli, którego w drodze spotkałem; w poselstwie przysyła mnie tu matka moja, z prośbą, którą jak najgoręcéj popiéram.

— Jakąż to?

— Aby państwo zechcieli odwiedzić nas jutro wieczorem.

— Ależ jak najchętniéj — odezwała się pani domu — przyjmuję zaprosiny w mojém i męża imieniu.

— I panny Anieli? — zagadnął Kotnicki, zwracając się ku niéj.

Dziewczyna zarumieniła się i nic nie odrzekła.

— Naturalnie — odpowiedziała za nią ciotka. — Anielko — dodała—proszę cię, przyślij nam tu Walentego z wodą świéżą i z sokiem.

Dziewczyna nie dała sobie tego powtórzyć. Ruszyła szybko ku dworowi, lecz zatrzymał ją głos ciotki.

— A wracaj do nas prędko.

— Dobrze ciociu—odparła. — Szła zadąsana jakaś, niecierpliwą ręką zrywając tu i owdzie liście rosnących wzdłuż ścieżki krzewów. Walentemu wydała rozporządzenie, lecz nie kwapiła się z powrotem do altanki. Usiadła w fotelu, stojącym w kącie salonu i wyjęła z kieszeni zwitek drukowanego papieru. Był to dodatek powieściowy do jednego z pism warszawskich. Dziewczyna czytała szybko, z wielkiém widocznie zajęciem, śledząc przebieg powieści; kilka stronic dodatku pochłonęła w przeciągu paru minut.

— Już! — szepnęła z żalem, składając powieść na kolanach. — „Pani, pragnę tylko uwielbiać cię do ostatniego tchnienia“ — wyrzekła półgłosem. — Jak w tych angielskich powieściach ludzie pięknie przemawiają. Czy ja kiedy poznam kogoś, chociażby podobnego do sir Reginalda.

Tymczasem schowała zwitek do kieszeni i wstała z fotelu. Podeszła do otwartego okna i z opartemi o framugę rękoma, spoglądała w dal wielkiemi piwnemi oczyma. Zwolna uśmiech rozchylił jéj świéże usta, przechyliła lekko w tył głowę, uwieńczoną ciemnemi warkoczami, jéj twarz biało-różowa wyraziła jakiś zachwyt, jakąś błogość wielką.

Trwało to dobrą chwilę; w tém leżący pod oknem pies Burek zaszczekał, dziewczyna wstrząsnęła się, zachwyt zniknął, zachmurzyło się jéj białe czoło.

— Nieznośny Burek! —tupnęła nogą niecierpliwie. Pies przeciągnął się raz i drugi, wyciągnął i zabiérał się do snu, gdy w tém znów łeb podniósł do góry i zastrzygł uszami. Anielkę doleciał głos jakiś, był to głos Jodowskiego. Wychyliła się i zobaczyła w głębi alei, wiodącéj do folwarku wuja a obok niego nieznaną jéj męską postać w szarym „*complet*“ i szarym na głowie kapeluszu. Rysów nieznajomego dostrzedz wyraźnie nie mogla, zobaczyła tylko jasną brodę i złotą oprawę binokli nad dużym nosem.

— Któż to być może?

Wybiegła z sali do ogrodu, i zniknęła za wielkim klombem bzów. Anielka należała do bardzo nieśmiałych istot i widok nowéj twarzy wzbudzał w niéj zawsze *primo*: gorące rumieńce, *secundo*: myśl o ucieczce. Ukryta za klombem, słyszała coraz lepiéj zbliżające się głosy.

— Ależ to czysty raj, ta Kalinowa — mówił nieznajomy.

— Tylko listy nie dochodzą do tego raju—śmiał się Jodowski.

— Wysłałem list pięć dni temu.

Rozmawiający weszli do salonu, Anielka zaś skierowała się w stronę altanki, by uprzedzić ciotkę o przybyciu gościa.

Zdała jéj relacyę, a pani Ewa zawołała:

— To pewnie Grąbski! Chodźmy. Panie Kotnicki, zapoznam pana z niezmiernie miłym i wykształconym człowiekiem. Pan słyszał zapewne o literacie Grąbskim?

— Tak pani — odparł — znam go osobiście. Lecz dzisiaj nie miałbym czasu na odnowienie znajomości, zatém żegnam panią.

— Szkoda!— żałowała gospodyni. — Wiem, że pan ma wiele za-

jęcia. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy się — dodała, żegnając się.

Odeszła szybko, widocznie pilno jéj było powitać Grąbskiego.

— Do widzenia pani — pożegnał Kotnicki Anielkę.

— Do widzenia — odparła chłodno, nie patrząc na niego, a gdy oddalił się, spojrzała nań chmurnie, poczém wykrzywiła się jak rozkapryszone dziecko.

Kotnicki był aptekarzem w miasteczku oddaloném o parę wiorst od Kalinowéj w Pantoflowie. Aptekarzem był, pomimo szlacheckiego pochodzenia i pewnéj ilości mamony, pozostałéj po sprzedaży ojcowskiego, nieco zszarganego majątku. Szlachta téż za to szlachectwo i przez pamięć ojca, dawnego sąsiada, przyjmowała go u siebie, lecz nazywała go zapaleńcem, oryginałem, niektórzy znać go nie chcieli. Kotnicki szlachcie nigdy się nie narzucał, widziano go za to nieraz zaglądającego do chat wiejskich, gdzie starał się rozpowszechnić elementarne zasady hygieny, bo jak mówił, pozostaje to w związku z aptekarstwem. Daremnie mówił mu niejeden, że im mniéj chorób, tém mniéj rozchodzi się leków, Kotnicki uparcie obstawał za hygieną.

Anielce wydawał się on dziwnie niegrzecznym. Nie powiedział jéj dotąg żadnego, najmniejszego komplementu, nie czytał żadnéj powieści angielskiéj, a w jéj obecności najspokojniéj rozmawiał z panem Jodowskim o jakichś różnych kwestyach, które ją nic a nic nie obchodziły, to używali często nie znanych jéj słów, i wogóle nie mogła ich rozumiéć. Na teraz, co ją obchodził Kotnicki i jego wielki rozum i jego brak galanteryi, wszak Grąbski przyjechał. Słyszała o nim wiele. Jodowscy poznali go podczas kilkotygodniowego pobytu w Warszawie. Pani Ewa, mając sama żyłkę rymotwórczą, zajmowała się dość żywo bieżącą beletrystyką, i oddawna już pragnęła poznać się z jéj adeptami i adeptkami. Grąbski z powodu kilku świeżo napisanych dramatów, kilku wdzięcznych nowel, z powodu wreszcie „czarującego“, zdaniem pań, obejścia, był dobrze znaną w literackich kółkach osobistością. Grąbski poznał panią Ewę na raucie pani X. Pani Ewa była wcale ładna i sprytna, literat zaś miał bardzo miękkie serce i jakkolwiek nie czuł się dotąd przebitym strzałą Erosa, w miarę dalszéj znajomości, z coraz większą przyjemnością myślał o pani Ewie, coraz dłużéj z nią rozmawiał. Rozstali się jako dobrzy znajomi, a Grąbski przyrzekł, że w lecie odwiedzi Kalinowę. Pani Ewa nie bardzo wierzyła w spełnienie obietnicy. Ci literaci, to naród taki kapryśny! Aż tu niespodziewanie przyjechał. Obecność takiego gościa zadawalniała jéj miłość własną. Nikt w okolicy podobnym gościem poszczycić się nie mógł, a w pani Ewie pokutował jakiś duch

przodowania; wszędzie pragnęła być, jeżeli nie najpierwszą, to przynajmniéj wybitną osobistością odrębne zajmującą stanowisko. Obecność Grąbskiego, według niéj, przysporzyć miała blasku Kalinowéj. Parafrazując wiersz poety, mogła powiedzieć: wielkim był na ziemi, kto umiał przyjaźń zawiązać z wielkiemi, naturalnie o tyle, o ile wielkim był Grąbski. We własném przekonaniu wyrósł on nad zwykłą miarę, życie podało mu już tyle słodyczy pod postacią teatralnych oklasków i salonowych pochlebstw, które podobno wielu sprawiają przyjemny zawrót głowy.

Jodowscy powitali gościa bardzo serdecznie. Podano przekąskę, przy któréj Jodowski opowiedział żonie, że spotkał pana Grąbskiego, jadącego na chłopskim wózku, ponieważ innego wehikułu nie znalazł na stacyi kolei o trzy mile odległéj. Napisał był wprawdzie oznajmiając, że dnia pierwszego lipca stanie w Kalinowéj, lecz list jego przyniósł dopiéro przed chwilą Kotnicki, dla tego to gospodarze nic o przyjeździe gościa wiedzieć nie mogli.

Nazwisko Kotnickiego zastanowiło literata.

— Kotnicki! — powtórzył — czy Jan?

— Tak — potwierdził Jodowski.

— Ależ ja go znam; no! no! nie przypuszczałem, że go tu odnajdę. Kolegowaliśmy w szkołach.

Po kwadransie gawędy, Jodowski zaprowadził Grąbskiego do gościnnego pokoju, który pani Ewa oddawna już kazała była upiększyć, na intencyę spodziewanego gościa. Z pokoju tego, balkonowe drzwi prowadziły do ogrodu, to téż Grąbski odświeżywszy się nieco po podróży, nie mógł oprzéć się chęci zwiedzenia go. Wyruszył, z rozkoszą oddychając czystém wiejskiém powietrzem. Szedł wolno, rozmyślając o dawnym koledze. Od czasu do czasu uśmiechał się z odcieniem politowania, lub wzruszał ramionami.

— Ot! waryackie głowy—mruknął. — Ciekaw jestem, co téż życie z niego zrobiło!

Idąc tak bez celu, dotarł do furtki i parkanu, po za którym rozciągał się ogród warzywny. Zawrócił i wszedł na boczną ścieżkę. Zaledwie przebył jeden zakręt, ujrzał idącą na przeciw niego Anielkę z koszem w ręku. Nie znał jéj wcale, już jednak chciał się ukłonić, gdy nagle nieznajoma upuściła koszyk i... uciekła.

Grąbskiego rozśmieszyła ta ucieczka. Widocznie jestem dla wiejskich nimf strachem, pomyślał, podnosząc koszyk. Co mam zrobić z tym fantem? Kto to uciekał? Po chwili namysłu, pozostawił koszyk na ścieżce i zawrócił ku dworowi. Anielka tymczasem nieco ochłonęła, bardzo zawstydzona i niezadowolona z siebie. Nie! ona

już nigdy nie potrafi zapanować nad sobą. Po cóż było tak uciekać? Co ten Grąbski o niéj powie. I znów ze strachem pomyślała, że pewnie wkrótce on tędy przechodzić musi, rozsunęła gałęzie spirei i po za tą bezpieczną ochroną postanowiła przeczekać przejście warszawiaka. Jakoż minął ją, minął, nie widząc, ale ona widziała dobrze, że się śmiał. Pewnie z niéj! Śliczny początek znajomości. Ona przecież tak pragnęła go poznać. Zdawało się jej, że Grąbski koniecznie podobnym być musi do powieściowego bohatera różnych angielskich misses i ladies. Lecz po przez krzaki spirei, z żalem przekonała się, że jego powierzchowność bynajmniéj jéj ideałowi nie odpowiadała, niski był, miał za duży nos, a rudawy kolor włosów, ostatecznie ją zniechęcił. Słyszał bo kto o rudawych ideałach? Nigdy! Z westchnieniem wyszła na ścieżkę, by podnieść porzucony koszyk i napełnić go wiśniami, jak to było jéj pierwotnym zamiarem.

Nadeszła wreszcie godzina siódma, o któréj w Kalinowéj podawano herbatę, chwila, w któréj musiała wyjść z ukrycia i poznać oficyalnie gościa. Dowodzić nie potrzeba, że prezentacya owa wywołała nowe rumieńce, i że Anielka tylko ukradkiem spoglądała na Grąbskiego. On nie dał poznać po sobie, że wié dobrze, kto przed nim uciekał; zmieszanie dziewczyny bawiło go niezmiernie.

— Typowa gąska—myślał. Nie przemówił do niéj w ciągu wieczora.—Niech się oswoi!— Przypuszczał zresztą, że rozmowa z Anielką musiałaby obracać się jedynie koło kwiatków i ptaszków, a ten temat nie nęcił go bynajmniéj. Na rozmowę z tą „nijaką osóbką“ będzie miał jeszcze dość czasu.

Towarzystwo rozeszło się wcześnie, Anielka rozbierała już się gdy do jéj pokoju weszła pani Ewa.

— Moja Anielko, czemuż kryłaś się po kątach do wieczora — zapytała z pewnem niezadowoleniem.

— Sądziłam... myślałam, że nie jestem cioci potrzebną.

— Ależ to nie chodzi o potrzebę, ale o prostą grzeczność względem Grąbskiego. Proszę cię, bądźże jutro uprzejmą dla niego i włóż białą sukienkę. Pamiętaj, że jest naszym gościem, wreszcie chcę cię oduczyć téj trwożliwości i uciekania przed ludźmi. Masz lat ośmnaście, nie jesteś już dzieckiem.

Anielka spuściła głowę i milczała.

— Proszę cię téż, Anielko, pojedź jutro z Luizą i dziećmi do miasteczka, dam ci listę sprawunków, oraz bilecik do Kotnickiego, zapraszam go na obiad w niedzielę, powiesz Frankowi, by mu zaniósł list do apteki. Dobranoc, Anielciu.

— Dobranoc cíociu.

— Znowu ten Kotnicki! — pomyślała dziewczyna. — Niecierpię go. Marny aptekarz!

Anielcia domyśliła się doskonale przyczyny częstych zaprosin, któremi pani Ewa obdarzała Kotnickiego. Miała jednak wielką pogardę dla stanu aptekarskiego, pogardę zaczerpniętą nie wiadomo skąd; nikt wyraźnie nie sformułował przed nią zdania, jakoby kręcenie pigułek, przyrządzanie proszków, rozcieńczanie mikstur *cum aqua distillata* miało być zajęciem bądź to szkodliwém, bądź uwłaczającém godności czy inteligencyi danego osobnika, jednak każdy aptekarz wydawał się jéj bezwarunkowo śmiesznym. Mój narzeczony — aptekarz. Wzruszała ramionami na samą myśl o podobnéj herezyi.

Po odejściu pani Ewy, udała się do pokoju panny Luizy. Osoby w wieku Anieli, czują zwykle nieprzeparty pociąg do zwierzeń, może dla tego, że nic jasno określonego do powierzenia nie posiadają. Panna Luiza została, w braku lepszéj, powiernicą Anieli. Panien wprawdzie nie brakowało w okolicy, lecz Anielkę niebo obdarzyło wielką dozą nieśmiałości, przytém panna Luiza była tuż pod ręką, wieczorna pora jest pono do zwierzeń najpodatniejszą, pora, w któréj Anielka nie mogła zwierzać się osobom, mieszkającym po za obrębem Kalinowéj.

— Droga panno Luizo, ciocia znowu zaprosiła Kotnickiego.

— Boby też panna Aniela nie grymasiła—doradziła bona —miałabyś własny dom i ładnego męża.

— Oh ładny! i aptekarz przytém.

Luiza po raz setny odpowiedziała, że w jéj górzystéj Szwajcaryi, aptekarz w niczém nie ustępuje doktorom, prawnikom, nawet fabrykantom séra, zégarków lub czekolady, że synowie porządnych, bogatych nawet rodzin, nieraz sposobią się na aptekarzy, i żenią się z bogatemi i ładnemi pannami.

Anielcia potrząsnęła głową.

— Gdybym była szwajcarką — odrzekła...

— To co?

— Prawda jaki Grąbski brzydki? — spytała Anielka, nie zważając na zapytanie.

— Za niski tylko — odparła Luiza, zresztą *gantz anständig.*

— Według panny Luizy nie ma brzydkich mężczyzn — obruszyła się Anielka.—Niech mi panna Luiza co zaśpiéwa.

— Już późno, panno Anielo.

— No to chodźmy do ogrodu, do altanki. Stamtąd nikt nas nie usłyszy.

— Muszę jeszcze dzisiaj naprawić pończoszki Niusi.

— Później, później, już ja pannie Luizie pomogę cerować.

Chwyciła bonę za ręce i pociągnęła ją za sobą do ogrodu. Szybko przebiegła kręte ścieżki wiodące do brzozowéj altanki, umieszczonéj w głębi ogrodu nad sporą sadzawką, posadziła towarzyszkę na ławce, sama usiadła na stopniu, podparła ręką głowę i „śpiewać“ poprosiła.

Luiza cichym głosem zanuciła jakąś szwajcarską balladę w archaicznym stylu a Anielka puściła wodze fantazyi. Trochę monotonny, przeciągły śpiew wtórował doskonale nieokreślonym, mglistym widziadłom, które stwarzała rozbujała wyobraźnia dziewczyny. Anielkę nie zadawalniał wcale jéj obecny rodzaj życia, przesycona powieściami przeważnie angielskiemi, które namiętnie czytać lubiła, patrzyła zawsze na świat oczyma bohatérki najświeższéj przeczytanego romansu. Była kolejno wesołą Violet, poważną Eleonorą, lub sentymentalną Mary, żyła niejako życiem podwójném; w dzień przy cioci lub wuju była nieśmiałą i cichą Anielką, lecz zaledwie pozostała samą, przemieniała się myślą w jakąkolwiek miss angielską, rozmawiała z osobami występującemi w danéj powieści, widziała opisane w nich krajobrazy, a na ich tle występował zawsze bohatér, istny kameleon pod względem usposobienia, zajęcia, z lorda stawał się doktorem, potém oficerem, splenowatym podróżnikiem, sławnym adwokatem, bodaj pastorem, wszystko stosownie do ostatnio pochłoniętéj powieści. Pozostawała mu tylko niezmienna powierzchowność. Miał to być blondyn wysoki, z długą brodą, wysokiém, szlachetném czołem, z szafirowemi oczyma, wreszcie idealnéj próby charakter, a w sercu jego gorzała płomienista miłość dla Anielki *vel* Eleonory, Violet i t. d.

Anielka bezwiednie prawie oczekiwała codziennie nowego bohatéra. Jakieś przeczucie szeptało jéj od kilku tygodni, że owym bohatérem będzie Grąbski. Spotkało ją gorzkie rozczarowanie.

— To nie on!

Smutek ją ogarnął tego wieczora. Słuchając śpiewu, kilkakrotnie westchnęła, wreszcie łzy popłynęły z jéj oczu, a panna Luiza nuciła daléj.

In zweimal dreizehn Stunden,
Ihm bricht das Herz entzwei.

Anielce zdało się, że i jéj serce wkrótce pęknie i rozpłakała się gwałtownie.

— *Seigneur!* — zawołała bona. — A toż co? Czegoż panna Aniela tak płacze.

Anielka w odpowiedzi zerwała się i uciekła w głąb bocznéj alei. Panna Luiza stała chwilę, nie pewna co ma czynić. Wreszcie wzruszyła ramionami i wyszeptawszy:

— Młode to jeszcze i niemądre, powróciła do cerowania pończoch.

II.

— Czemu Kotnicki tak wcześnie wyjechał?—Pytała w niedzielę wieczorem pani Ewa zarumienionéj Anielki.

— Nie wiem, ciociu! — odparła.

— Musiałaś mu pewnie dokuczyć jakiém słówkiem.

— Proszę cioci, ja wcale z nim nie rozmawiałam.

— Jakto? Wszak po obiedzie poszedł z tobą i z Niusią do ogrodu.

— To też najpierw bawił Niusię, potém przyszedł pan Grąbski i poszli obydwaj „przypominać sobie dawne czasy“, według wyrażenia Kotnickiego.

— Tak, kolegowali w szkołach.

Po téj uwadze, pani Ewa postała chwilę zamyślona, jakoś ciężko szły jéj swaty.

— To bardzo porządny chłopiec ten Kotnicki — zaczęła znowu.

Anielka milczała.

— I życzę ci — ciągnęła daléj — żebyś chociaż za podobnego mu za mąż wyszła.

Anielka zarumieniona po uszy, zapewniła, że wcale za mąż nie wyjdzie.

— A to dla czego?

Anielka pomyślała zapewne, że wyjśćby mogła jedynie za owego blondyna z długą brodą, lecz za nic w świecie nie wypowiedziałaby cioci swego życzenia.

Pani Ewa wzruszyła ramionami.

— Chodźmy do salonu, Anielko.

W salonie panował gwar, wywołany głównie rozmową między Pyszkiewiczem a Grąbskim; rozmowę tę porównaćby można do operowéj aryi soprana, która swe uczucia wyjawia powiernicy. Rolę téj ostatniéj przyjął mimowoli Grąbski; sopranem był Pyszkiewicz, jeden z okolicznych luminarzy. Nagadano się już dostatecznie o polityce, w któréj Pyszkiewicz bronił Bismarcka, może dla tego, by przeczyć wszystkim sąsiadom i sąsiadkom zebranym onego dnia w Kalinowéj; po kolacyi przyszła koléj na tak zwane kwestye socyalne.

— Pan należysz do młodéj partyi, i protegujesz naturalnie to plugawstwo, zapewniał Pyszkiewicz Grąbskiego.

— Ależ ja do żadnéj partyi...

— To plugawstwo nazwane socyalizmem — ciągnął luminarz — czy tam komunizmem, bo u nich co dzień to nowa metoda i nowa nazwa,

a zawsze, mówiąc trywialnie, ten sam sztuk tylko na inny manier. Wszystko to próżniaki, warchoły, pracować im się nie chce, i chcieliby w mętnéj wodzie ryby łapać. Nauczyłbym ja ich moresu.

Tu zamilkł, jakby mu nagle tchu zabrakło.

— Ależ zmiłuj się Leosiu! — refiktowała go żona, najwierniejsza poddana i wielbicielka swego męża.

Opozycya żony gniew zda się wielki rozbudziła w luminarzu.

— Co to zmiłuj się, tu nie ma miłosierdzia. Człowiek powinien rządzić się uczuciem sprawiedliwości. Właśnie zmiłowałbym się nad nimi, gdybym ich rozumu nauczył. Wysłałbym ich, gdzie pieprz rośnie, żeby kraju nie brzydzili.

— W takim razie, dla dobra kraju powinienby pan z nimi walczyć — doradził Grąbski.

— Robię co mogę, to pewna.

Nie wiadomo w jaki sposób pan Pyszkiewicz walczył z oném „plugawstwem“, dla dobra kraju, z odpowiedniemi bowiem faktami nie pochwalił się wcale i mówił daléj, rozdrażniony w duchu obojętnością, z jaką słuchał go Grąbski.

— Jest to obowiązkiem prasy gromić i udaremniać zabiegi tych panów. Znałem jednego z nich; był korepetytorem mego siostrzeńca. Przyjechało to na wieś chude, mizerne, siostra odżywiła go przez lato, jadło to i piło za dziesięciu, a teraz wymyśla na szlachtę. Spotkałem go kiedyś w Warszawie, buty połatane, kapelusz pogięty, jedném słowem marny wygląd. No cóż, panie Krzykowski, pytam go, podobno teraz złodziei bronisz?

— „Co to ma znaczyć“ — odpowiada, a nasrożył się jak indyk. Słyszałem, mówię mu, że gdy kto rubla zarobi, to ty mu każesz jeszcze drugiego pożyczyć i obydwa łapserdakom rozdać.

— „Nie rozumiem pana dobrodzieja!“ — Zrozumiał on mnie doskonale i wiedział, że jego łapserdactwo dobrzeby wyszło na podziale z moją kieszenią. Zaledwie ukłonił mi się i odszedł natychmiast zawstydzony, że go tak przeniknąłem. Albo i ten jakże się tam nazywa...

Grąbski skorzystał z chwili, w któréj Pyszkiewicz zwrócił swoje gesta do jednéj z sąsiadek, i wysunął się do ogrodu. Zapalił papierosa i szedł z głową spuszczoną, głęboko zda się, zamyślony.

— Stare dzieje! — szeptał — stare czasy. Dziesięć lat i jakże ja się zmieniłem! On zawsze ten sam. Dla czego? — Tu podniósł głowę, jak gdyby szukał wśród gwiazd rozwiązania zagadki. Gwiazdy mrugały, świéciły i milczały. — Życie! twarde życie! — pokiwał głową wielki człowiek.

Zatrzymał się, znów ruszył daléj machinalnym krokiem, pocie-

rał ręką czoło, to znów krzyżował ręce na piersiach, nie wiedząc, że śledziła jego ruchy para siwych oczu pani Ewy. Widocznie męczyła go myśl jakaś! Co to być mogło? Panią Ewę zaciekawiały i rozśmieszały zarazem ruchy Grąbskiego. Zapominając, że każdego z gości dziwić może nieobecność gospodyni w salonie, ruszyła za literatem, delikatnym, kocim krokiem.

Grąbski zatrzymał się dopiéro nad rowem, otaczającym część ogrodu. Zatrzymał się i nagle cofnął się kilka kroków w tył i pędem puściwszy się, rów przesadził. Pani Ewa osłupiała. Wielki człowiek skaczący przez rowy po nocy wydał się jéj... sama nie wiedziała, czém na razie, wreszcie wydał się jéj arcy śmiesznym; tłumiąc śmiéch zawróciła do domu. Grąbski skacze przez rowy, wywija rękami, jużcić są to nienaturalne objawy, rozdraźnienie jakieś — spowodowane? W najgłębszéj skrytości serca pani Ewy zakwitło przeczucie, że może to gorący afekt ku niéj jest powodem tak szczególnego postępowania literata. Naturalnie pani Ewa kochała swego męża, ale jeśli oprócz serca męża, inne jeszcze rozpaliła? Cóż ją obchodzić mogło? taki już jéj los.

Turkot zajeżdżającego przed ganek powozu kazał jéj przyśpieszyć kroku.

Zajechał pierwszy koczyk państwa Mysińskich. W salonie rozlegał się jeszcze głos Pyszkiewicza, który komuś przeczył, przeczył daléj przy pożegnaniu z Jodowskiemi, wreszcie sprzeczał się z żoną w kwestyi podniesienia lub spuszczenia budy u koczyka.

— Gdzież Grąbski? — spytał Jodowski po odjeździe ostatniego gościa.

— Nie wiem! — odparła żona.

— Wyszedł po angielsku.

— Cóż znowu! Byłaby to oryginalność, granicząca z niegrzecznością.

— Może niezdrów — zauważył Jodowski.

— E! nie...

Pani Ewa usiadła przy fortepianie i na tle trylów i pasaży rozwinęła melodyę ukraińskiéj dumki „Łetyt oreł po nad more!!

— Usłyszy i przyjdzie — pomyślała.

Grąbski jednak nie przychodził, albowiem nietylko, że rów przesadził, ale puścił się szybkim krokiem po przez łąki! Czuł konieczną potrzebę ruchu, zmęczyły go wywody Pyszkiewicza i stereotypowe pytania sąsiadów Jodowskich: panów i pań Rotkiewiczów, Sotkiewiczów i Patkiewiczów: Co słychać w Warszawie? przytém rozmowa z Kotnickim rozdraźniła go, wywołując dysharmonią między jego

przeszłością a teraźniejszością; od kilku lat zapomniał był o dawnéj piosnce, teraz zagrała mu w duszy, jéj minorowe tony i rytm wojowniczy, odezwały się strasznym dyssonansem z jego nową, tak subtelnie ułożoną pieśnią.

„Ręka w rękę“ z tém hasłem przed dziesięciu laty rozeszli się byli, on, Kotnicki i kilku innych. Wchodzili w życie z szaloną wiarą w zwycięstwo własnych idei, twardą pracą i nieugiętym, hardym karkiem mieli przebić się przez wrogie im szyki i wznieść wysoko swój sztandar. „Bój do śmierci — wołał Kotnicki, z piórem, z pługiem, z książką czy retortą w ręku, bój z ciemnotą, z szarańczą przesądów, z ćmą komunałów“. Jak on ich porywał wtedy wzrokiem iskrzącym, krótkiém, a jak hartowny miecz ciętém słowem; a stary profesor łaciny, z którego synem kolegowali, mitygował ich i uśmiéchał się smutnie, słysząc ich rozprawy.

— Dzieci, dzieci, mierzycie siły na zamiary, bogdaj byście dopięli choć setnéj części waszych celów. Pamiętajcie jednak przedewszystkiém iść ręka w rękę, bo *nec Hercules contra plures.*

Młodzi wzruszali ramionami po za plecami starego, lecz hasło jego przyjęli.

A jednak powoli stracili się z oczu, i kto wié, może po dziesięciu latach jeden Kotnicki nie zboczył z drogi.

— I jak ja z niéj zszedłem?—zapytywał się Grąbski.

Pytanie to zadał sobie po raz pierwszy. Z drogi owéj zszedł tak bliskiemi z początku dróżkami, że mógł wierzyć, iż idzie jeszcze ręka w rękę z tamtymi.

Potém odurzyła go może woń szkarłatnego kwiatu sławy, oplatały chwasty stosunków i stosuneczków, znajomości, aż oto teraz głos Kotnickiego kazał mu spojrzéć po za siebie i ujrzał go gdzieś wysoko uczepionego u skały, a on? On szedł sobie wydeptaną ścieżynką prosto ku wielkiéj płaszczyźnie kędy królują zadowolone z siebie filistry w towarzystwie wymustrowanych lalek. Ugryzł go wstyd. Grąbski znosił sobie równych, wyższych głośno nie uznawał. Nie! musiał jeszcze rozmówić się z Kotnickim, rumieniec występował mu na twarz, gdy przypominał sobie pół szydercze, pół litosne spojrzenie, którém pożegnał go dawny kolega.

— Lecz cóż on wreszcie zdziałał? pocieszył się po chwili. Mówić i krytykować umiał zawsze. Cóż zdziałał? Raźniejszym już krokiem zawrócił do dworu Kalinowéj. Pragnąłby w téj chwili przekonać siebie samego, że Kotnicki jedynie w słowach był jego mistrzem. Taki zdolny został aptekarzem w małém miasteczku. Wielki literat począł analizować znane mu szczegóły z życia kolegi, ważyć

każde słowo, które był wypowiedział jemu na cztery oczy i w obecności Jodowskich.

Dla takich to rozmyślań próżno grała pani Ewa dumki ukraińskie. Piastowała w duszy ukrytą chęć, którą Grąbski miał w rzeczywistość zamienić, i dlatego to starała się przedstawić literatowi w jaknajlepszém świetle. Pragnęła wśród rzeszy literackiéj znaleść sobie kogoś, któremu mogłaby powierzyć sąd o pisywanych przez nią poezyach, który potrafiłby służyć jéj radą, i przy którego pomocy mogłaby może drukować własne utwory. Tymczasem ów przyszły sędzia i doradzca uciekł dzisiaj nie wiadomo czemu? Nie — z mężczyznami stanowczo nie można być w przyjaźni, skoro jest się młodą, przystojną kobiétą, zaraz im, Boże odpuść... co innego w głowie, a takiego obrotu rzeczy pani Ewa przecież nie chciała wcale. — Wreszcie widząc, że gość nie powraca, oznajmiła mężowi, że Pyszkiewicz jest nieznośny, sąsiadki gęsi, a ona nie myśli dłużéj czekać na powrót Grąbskiego.

Jodowskiego intrygowało i niepokoiło zniknięcie gościa. Rozbudził kuchcika i wysłał go na poszukiwanie literata; ale Kuba, nie czując żadnego popędu do spacerów o tak spóźnionéj porze, wprawdzie cwałem puścił się z początku przez długą lipową aleę, wydając głośne okrzyki: hop! hop! panie Grąbski, lecz dobiegłszy do zakrętu drogi, usiadł sobie na trawie pod drzewem.

— Jak go ta zobaczę, to i krzyknę, żeby prędzéj do domu wracał. A żeby go... tu nastąpił epitet, od którego uszy puchną, poczém wkrótce zadrzémał Kuba, wreszcie zasnął i spał smacznie do białego dnia na posterunku.

Gość tymczasem przeskoczywszy *da capo* przez rów—powrócił.

Na ganku spotkał się z Jodowskim.

— A toś mnie pan nastraszył.

— Najmocniéj przepraszam—zaczął istotnie zmieszany Grąbski. Tak piękna noc...

— Poeci są zawsze wytłómaczeni—rzekł gospodarz.

— Nie spodziewałem się doprawdy, że wrócę tak późno, wyszedłem, zbłądziłem—jąkał.

— Może pan teraz cygaro wypali?

— Dziękuję, pan rano wstaje, a potrzebuje wypoczynku, a to już blisko druga. Dobréj nocy.

Rozeszli się.

Grąbski nie mógł zasnąć. Jakżeby chciał znaleść słabą stronę w tym Kotnickim. Wszak on musi miéć słabą stronę, choć jedną. I to jego dziwne pytanie. Karolu, po coś ty tu przyjechał? Przyjechał, bo go zaproszono. Chociaż Bogiem a prawdą, czy to każde za-

prosiny przyjmować trzeba. Grąbski nie mógł utaić przed sobą, że to pani Ewa zaprosiła go przez usta męża. Podobała mu się, to prawda,—ależ on jéj tego nigdy nie powiedział! A twoje oczy Grąbski?—szeptało coś w ucho literatowi. Niby wszystko było w porządku, a jednak czuł doskonale jakiś dźwięk fałszywy w swoim stosunku do domu Jodowskich. Grąbski czuł, że w obecności Kotnickiego nie śmiałby wystąpić z tak dozwolonym hołdem, jakim jest ucałowanie ręki gospodyni domu. Do wściekłości doprowadziła go myśl o téj śmiałéj dłoni, która nagle zaciążyła na nim. Więc po to przyjechał na wieś, żeby tu, w jakimś zakątku Lubelskiego, wstydzić się marnego aptekarza. On, wielki człowiek pani X., koło którego skupiały się zachwycające panie i panny, jak gdyby był co najmniéj Brandesem, lub inną jaką zagórską czy zamorską osobliwością.

Nazajutrz po obiedzie Grąbski wyszedł piechotą do miasteczka, odległego o parę wiorst; chciał rozmówić się z Kotnickim. Lecz o téj saméj porze Kotnicki również pozostawił aptekę pod opieką swego pomocnika, i wyruszył na spacer, zapowiadając, że wróci dopiéro wieczorem, po zachodzie słońca. Pan aptekarz od czasu do czasu urządzał sobie kilkogodzinny odpoczynek. Szedł wtedy bez swéj bronzowéj torby, w któréj zwykle mieścił różne leki, książki, był tam także wielki nóż składany i butelka kordyału, którego wyrób stanowił specyalność matki Kotnickiego. Butelka wracała zwykle nietknięta, pomimo to pani Kotnicka wsuwała ją zawsze synowi przy pożegnaniu, „od przypadku“—mówiła.

— Za kilka godzin wrócę, matko—śmiał się syn.

— Moje dziecko, może cię spotkać burza, deszcz.

— Grad, śnieg, trzęsienie ziemi—śmiał się syn.

— Tak, śmiéj się ze staréj matki.

— Przeciwnie, mama ze mnie żartuje. — Do widzenia. I brał matkę na ręce, sadzał ją na fotelu; do widzenia—wołał przy drzwiach.

Matka uwielbiała syna, syn kochał matkę szalenie.

Kotnicki dnia tego poszedł w stronę lasku, zapewne dla małych rozmiarów nazwanego borkiem. Las to był sosnowy, przerznięty wąską, bystrą rzeką, która, w środku właśnie owego borku, rozdzielała się na dwa ramiona, obejmujące kępę kamienistą, zarosłą głównie wikliną, mnóstwem krzewów i ziół. Kotnicki lubił wygrzéwać się na owéj kępie; słuchał szmeru wody, śpiewu licznéj gromady ptaków, przyglądał się maleńkim owadom, biegającym pilnie po źdźbłach trawy lub wrzosów. Czasem jednak zdawał się zapominać zupełnie o tém, co go otaczało. Wzdychał wówczas, lub ściągnąwszy brwi czarne, wyraziste, wpatrywał się w jeden punkt namiętnemi oczami.

Dzisiaj, zda się, mogły fruwać koło niego najbarwniejsze motyle, mogły najwonniejsze kwiaty zaściełać mu drogę, aniby na nie zważał, ani dotknął. Szybkim krokiem zbliżał się do kępy, gdy nagle doleciało go głośne i głębokie westchnienie. Przystanął. Po westchnieniu dał się słyszéć śpiéw, zawodzony nieuczonym, lecz wcale miłym kobiécym głosem.

— A toż co?

Ruszył w stronę, skąd śpiew go dochodził.

O kilka kroków zaledwie, po za krzakiem jałowcu, ujrzał siedzącą samotnie pannę Anielę Jodowską z Kalinowéj, a raczéj ujrzał jéj plecy, ciemny warkocz i jedno ucho.

„Oj, ty miłe Zaporoże,
Kraju mój rodzinny...

Śpiéwała panna Aniela, lecz w końcu głos jéj zadrżał.

— Mój Boże! mój Boże!—załkała.

Kotnicki byłby z początku usunął się dyskretnie, gruba powłoka mchu tłumiła jego kroki, mógł więc był odejść niepostrzeżony, lecz gdy płacz usłyszał, jednym skokiem stanął przy Anielce.

Dziewczyna krzyknęła.

— To nic strasznego, to tylko ja—przywitał ją Kotnicki.—Czemu pani płacze?

Pytanie to wypowiedział tak serdecznym głosem, że Anielka odpowiedziała natychmiast:

— Bo jestem bardzo nieszczęśliwa!

— Proszę mi powiedziéć, co to za nieszczęście?

Dziewczyna wstrząsnęła głową i płakała jeszcze rzewniéj.

— No, no, panno Anielo, proszę nie płakać, bo to się na nic nie zda. Czyż nie ma lekarstwa na to nieszczęście?

— Lekarstwa! — i z po za łez spojrzała nań oburzonemi oczyma.

— Moralnego, panno Anielo, moralnego lekarstwa — uśmiechnął się aptekarz.

Ten uśmiéch rozdrażnił Anielkę. Chciała powstać, lecz Kotnicki przytrzymał ją za rękę.

— Panno Anielo—odezwał się bardzo łagodnie—doprawdy nie przez ciekawość zapytałem o powód pani zmartwienia. Nie znamy się prawie, chociaż widujemy się dość często; lecz proszę mi wierzyć, że serdecznie radbym pani pomódz, jeśli mogę.

Anielka nie ruszała się już z miejsca, lecz milczała jeszcze długą chwilę.

— Co to pana może obchodzić?

— Każdego uczciwego człowieka powinno obchodzić cudze zmartwienie i każdy powinien starać się go usunąć.

— Jakie to dziwne!—zauważyła po chwili Anielka.

— Co dziwne?

— Że właśnie pan chcesz mi dopomódz.

— Ja nie widzę w tém nic dziwnego — odparł — proszę mi tylko powiedzieć, czy mogę?

— Właśnie pan jeden może mi pomódz.

— Jeśli tylko powód zmartwienia będzie według mnie słusznym, słowo daję, pomogę.

Wyciągnął ku niéj rękę.

— Dziękuję panu—odparła.

— A więc...—zaczął.

— Kiedy to tak trudno powiedziéć.

— Panno Anielo, a czy to ładnie tak się drożyć?

— Widzi pan—zaczęła.—Nie, ja tego nigdy nie wypowiem.

Milczeli chwilę.

— Niech pani napisze — odezwał się, wyjmując z kieszeni notatnik. Służę,—dorzucił, podając jéj ołówek i wyrwaną kartkę.

— Napiszę—przyrzekła Anielka po krótkiém wahaniu—ale pan to przeczyta późniéj, nie przy mnie.

— Dobrze, lecz jeśli będę potrzebował jakich wyjaśnień, udzieli mi ich pani.

— Byle nie w Kalinowéj...

— A!—zdziwił się Kotnicki.—Więc gdzież. Tutaj, koło kępy?

Anielka skinęła głową.

— Zabawna mała!—pomyślał Kotnicki.

— Mój Boże! jeszcze nie wiem, czy ja dobrze robię, prosząc pana o pomoc. Pan sam powiedział, że mało się znamy.

— Pani mnie o nic nie prosiła, ja narzuciłem się sam.

— Panna Luiza utrzymuje, że nie należy nigdy zupełnie szczerze postępować z mężczyznami...

— Dlaczego? — przerwał Kotnicki, wybuchając szczerym śmiechem. — Panna Luiza może ma jakie powody... ale mniejsza o pannę Luizę, czy pani jéj wierzy, ufa jéj zdaniu.

— Ona jest bardzo dobra dla mnie, nigdy mnie nie oszukała, bez niéj byłoby mi nie raz bardzo smutno.

— A ciocia pani?

— O, ciocia!—odparła dziewczyna—to zupełnie co innego, albożto z ciocią można mówić, jak z równą sobie.

— Hm! dlaczegóżby nie?

Kotnicki pokręcił głową, ta mniemana wyższość pani Ewy, nieszczególne dała mu o niéj wyobrażenie.

— Przecież to opiekunka pani—dodał po chwili.

Dziewczyna spojrzała na niego nieskończenie smutnym wzrokiem.

— Ciocia jest bardzo dobra, myśli o mnie, o! ani pan wié, jak myśli, ale doprawdy widać już ja taka zła, taka niewdzięczna jestem, że pomimo jéj opieki, ciężko mi nieraz na sercu. Gdyby pan wiedział...

— Panno Anielo! Ma pani młodość, zdrowie, — to są wielkie skarby, to podwaliny szczęścia nieledwie.

— I cóż stąd—wybuchnęła Anielka — cóż ja mam robić z temi skarbami.

— Aha! jesteśmy na dobréj drodze—zadecydował żywo Kotnicki — gdy są materyały, zawsze użytek z nich zrobić można. O gdybym był bratem pani, nie pozwoliłbym jéj rezydować w Kalinowéj, marnować czas na czytaniu powieści lub spacerowaniu z kąta w kąt, pod pozorem doglądania gospodarstwa.

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie.

— Robię, co mogę...—zaczęła.

— I nie zadawalnia pani obecny tryb życia?

— Nie—odparła cicho.

— Nic dziwnego; przyznam się pani, że oszalałbym od dawna, gdybym się nagle znalazł na pani miejscu. Niech to pani nie przestrasza—dodał, widząc jéj przerażeniem otwarte oczy. — Mniéj więcéj panny wszystkie na wsi żyją tak, jak pani, i o ile wiem, nie grozi im żadna określona choroba umysłowa. Wiem także, że nudzą się. Każda przeciętna wiejska panna skarży się na nudy.

— Otóż ja nie nudzę się — zaprzeczyła Anielka, wzburzona słowami towarzysza. — Nie nudzę się, tylko mi smutno. Czy panu zawsze wesoło?

Teraz Kotnicki zamilkł.

— Nie—odparł wreszcie — nawet są chwile, w których z przyjemnością rozbiłbym sobie głowę o mur, gdyby nie matka i...

— I co?—spytała.

— I to — dodał, szerokim gestem ręki obejmując widnokrąg. — Wszak i pani rozumié mowę pól i lasów. Co do mnie, kocham je z całą siłą, z całą energią, jaką tylko wydobyć z siebie mogę, wszystko osobiste rozpływa się w morzu tego uczucia.

Dziewczyna milczała chwilę.

— Jak to pan dobrze powiedział—zawołała wreszcie.—O, panie Kotnicki, ja, zdaje mi się, żyć mogłabym tylko pod tutejszém niebem, a jednak, nigdy dotąd taka myśl nie zagłuszyła moich osobistych wrażeń smutku, czy radości.

— To bardzo źle, ale nie pani w tém wina ostatecznie. Widać, że było to uczucie utajone, które, nie wątpię, wywołałaby pierwsza lepsza okoliczność.

— Jak naprzykład dzisiejsza rozmowa—zauważyła.

— Ale co pani tu porabiała, sama w borku.

— Nie mogłam usiedzieć w domu. Borek tak blisko, przychodzę tu często.

— Ja także, i nigdy pani nie spotkałem. Wprawdzie kępa jest mojém zwykłém schronieniem. Ale pani nie opisała jeszcze swego nieszczęścia.

— Ej!—uśmiechnęła się dziewczyna—gdy pomyślę o téj wielkiéj miłości, o któréj pan wspomniał, to już chyba nie będzie nieszczęściem, tylko przykrością.

— Tém lepiéj. W każdym razie jestem na usługi.

— Doprawdy z pana taki dziwny człowiek, panie Kotnicki, — zaczęła Aniela—że już chyba powiem, chociaż z nikim innym nie odważyłabym się tak szczerze postępować. Ale pan, to co innego.

— Jeżeli mnie pani porównywa z naszemi sąsiadami, to doprawdy czuję, że nie jestem do nich podobny.

— O, pan jest lepszy.

— Bynajmniéj. Różnię się od nich w zapatrywaniach, w sposobie życia, w wielu przekonaniach; nie idzie wcale zatém, bym miał być lepszym. Ot i teraz nie miałem żadnego prawa zapytywać panią o powód płaczu, narażałem się na zarzut niedyskrecyi z pani strony.

— Właśnie, że powiem—zawołała w odpowiedzi — niech się to raz skończy, i nagłą determinacyą zdjęta, wyrecytowała szybko, gnąc w ręku gałązkę jałowcu. Ciocia chciałaby, żebym ja wyszła za pana, i gniéwa się na mnie, no, nie gniéwa się, ale mi dogaduje, że ja nie umiem uchwycić szczęścia, że uciekam od pana, a gdybym chciała, z pewnością byłby się pan już oświadczył; ot i dzisiaj, po obiedzie spytała mnie ostro, co mi tak w głowie przewraca, co ze mnie będzie? ja dlatego uciekłam do borku i płakałam.

— No! no!—dziwił się Kotnicki. Przychodziło mu czasem na myśl, że pani Ewa z chęcią wydałaby za mąż siostrzenicę, nie przypuszczał jednak wcale, by on sam mianowicie był celem jéj swatowskich zabiegów.

— Ciotka pani postawiła jedno bardzo słuszne zapytanie — odparł wreszcie spokojnie.

— Co ze mnie będzie?

— Właśnie. Czy pani nie zastanowiła się, że każdy powinien starać się o zajęcie pożytecznego stanowiska na świecie. Tymczasem mnóstwo kobiét, no, czasem i mężczyzn jest po prostu ciężarkami lub bezpożytecznemi ozdobami przy pracujących kółkach wielkiéj maszyny społecznéj, a wreszcie owe ozdoby zwykle utrudniają robotę. Porównywają kobiéty do kwiatów; porównanie estetyczne, należy tylko rozciągnąć je do szczegółów i pamiętać, że jak kwiaty pełne hodowane jedynie dla swéj piękności, są zwyrodniałemi kwiatami, tak i jedynie piękne kobiéty smutny koniec czeka, gdyż kto dba o zwiędłe kwiaty? i one należą do istot wynaturzonych.

— Ciocia zawsze mówi, że przeznaczeniem kobiéty jest wyjść za mąż.

— Bezwątpienia, ale dlaczegoż w takim razie nie przygotowują ich do tego przeznaczonego życia. No, gdybyśmy zaczęli mówić o uświęconych nielogicznościach... byłby to obraz nieskończoności w rozmowie—dodał, wzruszając ramionami. — Albo-by to z pani była dobra żona! Ach, ta kwestya kobiéca, kwestya, jak mówią, paląca, jakże mnie już śmiertelnie znużyła, może dlatego, że sam tyle razy wołałem: rozwiążcie kobiétom ręce!—groch na ścianę. Zresztą, panno Anielo, proszę przyjąć na zadatek przyjaźni aksyomat mojém własném doświadczeniem zdobyty, który wypisałbym na wszystkich ścianach, na rogach ulic i rozstajnych drogach. „Tylko czynem ludzi przekonasz.“ Dlatego nigdy teraz słowem nie bronię moich przekonań, wypowiadam je wraz z kilkoma, według mnie, niezbitemi argumentami, i niech potém falują po nich oceany zdań przeciwnych, milczę jak grób. Dlatego to ludzie mówią o mnie: „Kotnicki się uspokoił, może z niego będzie porządny człowiek.“

— Panie Kotnicki...—chciała zaprzeczyć Anielka.

— Panno Anielo, alboż pani nie słyszała podobnego o mnie zdania.

— Słyszałam—odparła cichutko.—Ale mój wuj.

— Pan Jodowski, to co innego. Zarzuca mi on wprawdzie zbytnią szorstkość, gwałtowność, lecz z resztą zgadzamy się zupełnie. Odchodzimy od przedmiotu. Przedewszystkiém niech pani nie płacze z powodu pierwszéj lepszéj przykrości, następnie, za pierwszą moją bytnością w Kalinowéj, postaram się porozmawiać z panią Jodowską i zaręczam, że zacznie szukać dla pani innego narzeczonego. Wreszcie zapytam, czy zechce mię pani nadal uważać jako szczerze

sobie oddanego, nie-konkurenta. Moglibyśmy rozpatrzeć we dwoje kwestyę pani przyszłości.

— Ja pana teraz bardzo lubię — zawołała dziewczyna — dotąd ja pana wcale nie znałam i bałam się trochę. Jak pan poradzi, tak zrobię.

— Hm! może pani jeszcze zmieni zdanie, o rady dobre najtrudniéj, każdy powinien sam siebie zbadać, lecz przyznaję, że rozdawanie rad stanowiło dotąd moją, nie wiem skąd spadłą, specyalność. Za parę dni, pod jakimkolwiek pozorem zjawię się w Kalinowéj.

— Już ja teraz będę spokojna, ale...—zawahała się — co do naszéj rozmowy.

Kotnicki uśmiechnął się.

— Milczenie absolutne; trzeba zawsze przemawiać do ludzi ich językiem, a dalibóg, że niejeden, gdyby mu powtórzono naszą, zdaje się bardzo naturalną, szczerą rozmowę, dojrzałby we mnie Don Juana, a w pani może... kokietkę.

— Ach Boże!...

— Ja przecież bynajmniéj panią o to nie posądzam. W pani jest dobry grunt. A teraz do widzenia.

— Do widzenia.

Podali sobie ręce i uśmiechnęli się do siebie.

Po odejściu Kotnickiego, Anielka jeszcze długą chwilkę siedziała na miejscu; było jéj—dziwnie. Czuła z jednéj strony głęboki spokój, jakiś wielki ciężar spadł jéj z serca, i słońce jaśniéj świeciło i świat cały był weselszy, a przytém niektóre zdania Kotnickiego brzmiały jéj w uszach, budząc jakiś chaos w myśli. Co z niéj będzie? Bezużyteczne ozdoby i ciężarki, i ta wielka miłość, która zabija osobiste smutki i radości, i ta jego zagłuszana rozpacz! Minęła już pora podwieczorku, gdy Anielka wróciła do domu. Jodowscy wraz z Grąbskim, panną Luizą i dziećmi wyruszyli byli na spacer.

— Państwo pytali o panienkę—oznajmiła jéj szafarka.

— Tak?—zapytała Anielka; moja kochana Specyalska — dodała i ucałowała tłustą gospodynię, bardzo zdumioną tym niespodziewanym wybuchem afektu.

Anielka rada była samotności. Poszła do ogrodu, usiadła na ławce i znów bić się z myślami zaczęła. Jednak jaki to zacny człowiek ten Kotnicki, takiemu toby i panna Luiza uwierzyła. Powiedział, że w niéj dobry jest grunt, że ma dwa fundamenty szczęścia, młodość i zdrowie, ale powiedział téż, że jest rezydentką, że się marnuje i że nie byłaby dobrą żoną. Kto w oczy gani, ten może i w oczy pochwalić, bez obawy narażania się na nazwę komplemencisty. Ale

dlaczego miałaby być złą żoną? Tu przyszedł jéj nagle na myśl brodaty i niebieskooki ideał, ale jakoś jego obraz zblakł nagle w jéj oczach. Teraz wyobraźnia dziewczyny znalazła bardziéj określone pole, po którém też bujać poczęła, długie fantazyowanie doprowadziło ją jedynie do téj konkluzyi, że trzeba będzie naradzić się z Kotnickim.

Tego wieczoru nie rozmawiała wcale z panną Luizą; przy herbacie całe towarzystwo milczało.

Grąbski myślał, że dotąd o trzy wiorsty odległości mieszka aptekarz, który wielkości jego nie uznaje, panią Ewę nudziło i drażniło milczenie Grąbskiego, Jodowski należał do rzędu ludzi małomównych.

— Dokąd chodziłaś Anielko?—zapytała pani Ewa.

— Byłam w borku, ciociu.

— W aptece mówiono mi — odezwał się Grąbski — że Kotnicki także wyruszył na spacer, „pewnie do Borku“ zaręczał prowizor. Czy nie widziała go pani?

Anielka zarumieniła się po uszy.

— Widziałam.

Pani Ewa uważnie na nią spojrzała. To spojrzenie torturowało Anielkę.

— Rozmawiałaś z nim?

— Tak, powiedział mi, że zapewne odwiedzi wujostwo za dni parę.

Z rumieńca Anielki Grąbski wywnioskował, że „może tam co i jest między niemi“ i zaczął uważniéj przyglądać się kuzynce, gdyż natychmiast zapragnął pozyskać ją sobie. „Ubiedz Kotnickiego“, to zabłysło mu w myśli.

— Czy pani śpiéwa?—zagadnął po chwili.

— Nie—odparła.

— A! panno Anielo — rzekł, wpijając w nią błękitne oczy—słyszałem ja jednak jakiś śliczny głos, i pewien krewny pani, słowik, zwierzył mi, że głos ten należy do panny Anieli.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Słowik skłamał, ja nie mam ślicznego głosu.

— Ale głos jest — podchwycił żywo Grąbski. — A że mnie wydaje się ślicznym, to już wina moich uszów.

— Po herbacie zaśpiéwajże co panu Grąbskiemu — wycedziła pani Ewa.

— Ja, ciociu, jakżebym ja mogła śpiéwać! — rzekła z nieudanym przestrachem.

— Nic-by w tém nie było nadzwyczajnego.

— Ależ naturalnie, zaśpiéwa pani — zapewniał Grąbski. — Będzie pani wspaniałomyślną dla mnie, bo czémże mógłbym się wywdzięczyć pani za rozkosz jakiéj doznam, słysząc choćby drobną, wiejską piosenkę.

— Pan tak lubi muzykę?—zapytała pani Ewa.

— Szalenie — odparł literat, który nie bardzo rachował się ze słowami tego wieczora.

Gdy jednak po herbacie pani Ewa przeszła do salonu, Anielka wymknęła się do swego pokoju.

Za nic w świecie nie zaśpiéwa w salonie przy Grąbskim i przy cioci; przy Kotnickim—to co innego—śpiéwałaby cały dzień.

— Moje dziecko, jakżeż można uciekać tak do swego pokoju,—ganiła ją nazajutrz pani Ewa—a także wolałabym, abyś nie chodziła sama po lasach i polach; gdyby cię kto zobaczył *en tête à tête* z Kotnickim, obmówionoby cię.

— Masz tobie — pomyślała Anielka — a właśnie teraz chętnie chodziłabym sama do borku.

— Przepraszam ciocię—odezwała się głośno—ja wiem, że bardzo niegrzecznie postąpiłam wczoraj wieczór, ale mnie taki strach wziął przed tym śpiewem.

— Na miłosierdzie! Jakiż z ciebie dzikus. Tyle panien śpiéwa, czegoż ty się boisz?

— Ja nie wiem, ale niech ciocia poprosi, powié panu Grąbskiemu, żeby nic już o tym śpiewie nie wspominał.

— Co za dzieciństwo! Jakże możesz wymagać, abym mu to powiedziała. Każdemu wolno prosić, o co mu się podoba.

— To i każdemu wolno odmówić.

— Zapewne, masz zupełną słuszność.

Pani Ewa wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

Anielce serce biło gwałtownie, gdy weszła do jadalni na śniadanie. Co téż powié jéj Grąbski?

Lecz literat ani wspomniał o wczorajszéj ucieczce, tylko przed obiadem, gdy przechodziła koło okien jego pokoju z koszem pełnym malin, wychylił się z za firanek i rzekł wolnym, smętnym głosem:

— Jaka pani nie dobra, panno Anielo!

Anielka przyśpieszyła kroku. Jak on to smutno powiedział. Może istotnie sprawiła mu wczoraj przykrość. Przystanęła i spojrzała w okno. Grąbski zniknął.

Postawiła koszyk na ziemi, zerwała piękną ponsową różę i lekkim krokiem wróciła pod okno.

Rzucić różę w głąb pokoju i zawołać: „wcale taką złą nie jestem“, wydało się jéj zupełnie stosownem zadosyćuczynieniem za wczorajszy zawód.

Poczém schwyciła koszyk i uciekła.

Grąbski podskoczył na kanapie, zerwał się, podniósł różę i zaśmiał się cicho, lecz serdecznie.

— Patrzcie państwo! ta cicha woda brzegi rwie. Ktoby się téż tego spodziéwał.

I dziwował się długo.

— Zdawałoby się, że trzech zliczyć nie umié, a to takie przebiegłe.

Grąbski dopatrywał w téj rzuconéj róży, to wyznanie kokietki, to cudowną naiwność dziewczyny, na któréj niezwykłe wywarł wrażenie. Ani mu jednak na myśl nie przyszło, by Anielka poprostu przeprosić go chciała.

Podczas obiadu postanowił nieznacznie wybadać stosunek Anielki do Kotnickiego.

Po zupie oznajmił, że powtórnie pospieszy odwiedzić aptekarza.

— To zacna dusza — zauważył swym głębokim głosem Jodowski.

— Oryginał z niego wielki—dorzucił gość — według mnie, jestto niezwykły człowiek, ale że i na słońcu są plamy, więc zarzuciłbym mu zbytnią zarozumiałość.

— Téj wady w nim nie znalazłem—bronił Jodowski.

— Och! jestto zarozumiałość rozumnych ludzi, wada dobrze ukryta, zresztą wypływa ona z hołdów, jakie zbiérał jeszcze od żaków gimnazyalnych. Psuto go zawsze.

— Przyznam się panu, że tutaj mógł od hołdów odwyknąć. Żegnano się nieledwie przed nim.

— Doprawdy!--dziwił się Grąbski.—I dlaczegóż to?

— Ha, panie!—zaśmiał się Jodowski.—Odwieczna historya niedoświadczonych, a zapalonych apostołów. Przy pierwszéj dyskusyi Kotnicki poczęstował Pyszkiewicza neofobią, Mysińskiemu dał uczuć, że go zalicza do przedpotopowych okazów, a panny bardzo zręcznie podpytywał, po czém tak nieustannie odpoczywają. Na wołowéj skórze nie spisałbym wszystkich plotek i obmów, jakie tu na jego *conto* rozpuszczano.

— Nazywano go z początku antychrystem — zauważyła pani Ewa.

Pani Ewa, osoba odważnego ducha, nie lękała się owego antychrysta i w braku lepszego zajęcia, chętnie byłaby go sprowadziła na

drogę umiarkowania. Lecz Kotnicki okazał się nieprzystępną fortecą. Wszelkie strategiczne manewra rozcinała prosta droga, z której zboczyć nie umiał, wszelkie pociski padały mu do nóg, a on deptał je, nieświadomą ich istnienia stopą.

— *On ne savait qu'en faire* — zadecydowała pani Ewa, i nie mogąc zbawić Antychrysta, zamierzyła ożenić go z Anielką.

Jego przekonania wydawały się jéj dość uzasadnione, nie mogła jednak pojąć, by człowiek mógł przez nie narażać się bliźnim i ciągłą walką truć sobie życie. Było to, według niéj, nieprzebaczoną naiwnością, a że w Anielce dojrzała też sporą dozę naiwności, sądziła, że zrozumiéć się powinni. Po sympatyi zjawić się miała miłość, jak lato po wiośnie.

Lecz od ostatniéj rozmowy z Anielką, pani Ewa straciła cierpliwość. Tyle starań, zdaje się daremnych, znużyło ją i postanowiła wypuścić ze swéj opieki serdeczne sprawy Kotnickiego.

— Niech sobie robią, co chcą!

— Dogodzić Kotnickiemu trudno — mówił daléj Jodowski. — Wszystko mu źle. Młody, chciałby wszystko jednego dnia zbudować. I tego nawet zarzutu postawić mu nie można. „Każdy dzień stracony—woła—to zbrodnia.“

— Teraz, pan Kotnicki mniéj rozprawia — zauważyła Anielka, przypominając sobie wczorajszą rozmowę.

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę, zarumieniła się znowu pod wpływem tych spojrzeń. Anielka zwykła była dotąd jedynie odpowiadać na zapytania, samodzielne wmieszanie się do rozmowy, stanowiło fakt dotąd niebywały.

— Anielka ma słuszność—rzekł Jodowski. — Kotnickiemu znudziło się powtarzać jedno w kółko. Usta milczą, lecz myśl pozostała taką, jaką była.

III.

— Więc czegóż ty chcesz odemnie? — pytał Grąbski aptekarza.

— Niczego. Rozeszliśmy się tylko. Ty masz takie upodobania, ja inne. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Ty jesteś chwalonym dramaturgiem, ja wiejskim aptekarzem; ty jesteś ulubieńcem dam (damy i ulubieniec, jakież to rozkoszne połączenie pojęć! czuję zapach heliotropu i lursowskich cukierków, słyszę najświeższego walca i szelest jedwabiów, widzę żółtą okładkę francuskiego romansu i buduarowe kanapki); na mnie kobiéty wcale nie patrzą, a w ich przypadkowém spojrzeniu dojrzéć mogę jedynie wystraszoną ciekawość, lub coś po-

średniego między litością a pogardą wielką. Twoim Pyladesem jest łysy krytyk z „Gońca“, moim przyjacielem jestem ja sam. Gdy ty dyssekujesz w tymże „Gońcu“ odwieczną trójkę francuskich komedyi u nas wystawianych, trójkę: pan, pani i *on*, lub po długim namyśle dajesz w „Świecie“ sprawozdania z książek wyszłych przed rokiem, ja podziwiam tylko twoją szybkość i kręcę pigułki, prowadzę moją chemiczną kuchnię, i dla rozrywki sprzedaję młodszym braciom w sukmanach „komarowe sadło“, ingredyencyę, której brak odstręczyłby od mojéj apteki najwierniejszych kundmanów. Gdy Przedwieczny powoła nas do swojéj chwały, ciebie opiszą wszystkiego pisma, wyrysują cię tygodniki, nie sądzono zaś potomności wiedzieć o mojém istnieniu.

— Żartujesz ze mnie. Pomimo różnicy w zajęciach i trybie życia, możemy iść jedną drogą—duchem.

— A, bardzo miło mi jest znaleść towarzysza na mojéj drodze, bo dotąd nawet cienia ludzkiéj postaci na niéj nie dojrzałem. Przypuszczam jednak, że nawet twoja wielkość omylić się może, i że jeśli ty idziesz na prawo, ja z pewnością idę na lewo.

— Skąd ta pewność?

— Stąd, że mi tu dobrze w tym zapadłym kącie, a tybyś tu tygodnia nie wytrzymał. Ja zaś na twojém miejscu — oszalałbym chyba.

— Kotnicki — oburzył się Grąbski — piórem pracuję dla społeczeństwa.

Aptekarz niecierpliwie rzucił ręką.

— Dla jakiego społeczeństwa? Dla naszego? Napisałeś dwie komedye, w których występują ludzie bez krwi i woli, blade, zdenerwowane, kosmopolityczne cienie, pobudką ich niedołężnych lub bezwzględnie niemoralnych czynów jest jakieś chorobliwe uczucie, zwane przez nich miłością; zdawałoby się, że każda Elwira czy Kunegunda nie ma nic innego na świecie do roboty, jak tylko szukanie swego Alfreda czy Piotra. I takie tematy nasuwa ci nasze społeczeństwo. Że zachwycasz niemi twoje d a m y, w to wierzę, lecz oprócz twojéj bankierskiéj koteryi, jest cały rdzeń narodu, w którym nie ma podobnych typów, a twoje wypieszczone, wychuchane, ukochane przez ciebie bohaterki, bo ty sympatyzujesz z niemi, przewracają tylko w głowie bezmyślnym laleczkom, których pełno w sferze tak zwanéj naszéj inteligencyi. Powiedz mi, czy twoje komedye rozwiną w kimkolwiek jakąś ideę, rozbudzą czyjąś wolę, czyjąś myśl drzémiącą?

— Przepraszam, sztuka nie jest pedagogiką.

— Powinna zatém dawać zdrową przyjemność. Otóż twoje ko-

medye są jak morfina, świetne masz dyalogi, przyjemność jest, ale jakie skutki? Twoje bohatérki kwalifikują się według mnie do szpitala obłąkanych: kuracya, jaknajwięcéj świéżego powietrza, mało pieniędzy, codziennie kilka godzin pracy. Ty zaś każesz im to umiérać na suchoty z tęsknoty za nieznanym Gawłem, to znów szpetnie oszukiwać, za twojém rozgrzeszeniem, niedobranego męża, etc. Już to pożegnaj się z monopolem na nowe pomysły. Miłość jest ważnym czynnikiem, lecz, na miłosierdzie Boże, nie jedynym w życiu.

Grąbski przygryzł wargi.

— Uważasz więc, że niepotrzebnie piszę—wycedził.

— Potrzebnie, może dla twojéj kieszeni.

Literat podskoczył na krześle.

— Zresztą, pióro powinno opisywać to — zawołał — co widziały oczy.

— Zapewne. Tylko chodzi o sąd nad widzianemi faktami. Ty odznaczałeś się zawsze bystrością umysłu, ale téż i otoczenie na twój sąd wpływało. Otóż nie wiem, czy ty wierzysz w wartość tych tendencyi, które w utworach swoich przeprowadzasz, czy téż istotnie tak obałamuciła cię twoja koterya, że wartość ową uznajesz. W każdym razie odstąpiłeś od naszego dawnego programu. Pojmujesz jednak dobrze różnicę, jaka między temi dwoma wypadkami zachodzi — różnica dobréj wiary. Nazywam cię odstępcą dlatego, że my przysięgliśmy sobie służyć prawdzie; nie rozbiéram wartości artystycznéj twych utworów, nie mówię o stylu, dyalogach zręcznych, lecz chodzi mi o treść, o tę prawdę, którą naginasz i osłaniasz tak, by treść podobała się temu ogółowi, który najgłośniejszy poklask dać ci może. Piórem twém chęć sławy tylko kieruje. Nie słuchaczy twych dobro, lecz własną korzyść masz na celu, według mnie zaś, pisarz wręcz przeciwnie postępować winien. Przyznaję nawet, że twoje tematy nie budzą we mnie wielkiéj sympatyi. My, niestety, żyjemy w kraju wszelkich braków, u nas głodno i ciemno, a ty każesz nam zastanawiać się nad przyczyną sercowych nieszczęść jakiéjś pani wychowanéj w cieplarni. My nie mamy czasu rozmyślać nad takiemi drobiazgami. Nie należy karmić cukierkami tych, którzy chleba nie mają. Lecz o to mniejsza. To może moje osobiste przywidzenie.

— Szczerość za szczerość—zasyczał Grąbski—przypuszczam, że nie widzisz zbawienia świata w kręceniu pigułek. Jakiż jest twój wpływ?

Kotnicki roześmiał się.

— Wybacz, ale według mnie w autobiografiach tkwi pewna,

może zupełnie nieuzasadniona śmieszność. Wiesz, czém się zajmuję, czegóż chcesz więcéj?

— Tak, ale pamiętam mojego dawnego kolegę Kotnickiego i dla tego wywzajemnię ci się pytaniem. Z czém ty walczysz?

— Ja? z błotem. Nie rozumiesz mnie? Seryo! z mojéj inicyatywy zasypano sto trzy kałuże przed chatami wiejskiemi; z kilkunastu chat wyprowadzono z izby cielęta i nierogaciznę do osobnych przybudówek, kilku gospodyniom wytłómaczyłem, że okna służyć mogą nietylko do wpuszczenia światła, ale i świéżego powietrza. Z czémże ty chcesz, żebym walczył? Uznaję najzupełniéj słuszność przysłowia: „w zdrowém ciele, zdrowa dusza“ i dlatego ku hygienie pałam gorącym afektem.

— Przypuszczam téż, że wojujesz z sąsiadami z wyższych sfer?

Kotnickiemu zaświeciły oczy. Niecierpliwiła go ta indagacya.

— Mów prawdę, Grąbski. Może ty chcesz opisać mnie w jakiéj komedyi?—zapytał z udaném zajęciem.

— Brakowałoby mi bohatérki — odparł nie zrażony Grąbski. — Chyba panna Aniela...

— A niechby sobie była i jaka Aniela; wiész, zostawiam ci wolność zupełną pod tym względem. Jeżeli zaś masz jakąś upatrzoną Anielę, a jest ich tu kilka w okolicy, patrz dobrze, żebyś się nie omylił w wyborze.

Kotnicki zrozumiał doskonale aluzyę literata i tak ostro spojrzał na niego, że Grąbski nie śmiał daléj pytać. W ogóle rozmowa, którą sam wywołał, drażniła niesłychanie jego wydętą pochlebstwami miłość własną. A jak męczył go ten przydomek „ulubieńca dam“! męczył go témbardziéj, że nań po części zasłużył. Można go było téż nazwać „damską ofiarą.“ „Ciernie“ napisał był pod wpływem pewnych pięknych czarnych oczu, zawsze smutnych, zawsze tęsknych; wówczas przestał tańczyć, zapuścił brodę i ciężko wzdychał aż do maja; wtedy smutne oczy wyjechały do Szwajcaryi w towarzystwie ciotki, potém do Ostendy w towarzystwie męża, a następnéj zimy, na swojém ulubioném miejscu, w saloniku czarnych oczów, zastał jakiegoś jasnowłosego doktorka—i znowu tańczył podczas karnawału, bo pani Marya Kazimiera, istny kameleon, tak zmienna, niezmiernie tańczyć lubiła. O! ten kameleon! dał mu się we znaki! Grąbski właśnie wtedy pisał sprawozdanie z dzieła historycznego w dwóch grubych tomach „O wyprawie Sobieskiego na Turków“ i jakkolwiek szara okładka widniała na jego biurku przez długie zimowe miesiące, sprawozdanie nie znalazło łaski nawet w oczach przyjaciela krytyka. I nie dziw! Imię królowéj Marysieńki wciąż przywodziło mu na myśl

inną, zbyt kapryśną Maryę Kazimierę, i krytyk tak się zagłębiał w dociekaniu przyczyn jéj dziwnego postępowania, że nie starczyło mu już czasu na badanie dobrych i złych stron historycznego dzieła. Potém panna Matylda wyrugowała z jego pamięci kameleona i t. d.

— Moje komedye nie znalazły uznania w twoich oczach — odezwał się znowu. — Może jednak uda mi się przyszłości zyskać twoją aprobatę.

Kotnicki bystro sporzał na mówiącego.

— Zdaje mi się — rzekł zwolna — że rozeszliśmy się chyba na zawsze.

— Uchodzisz tutaj za prawdomównego człowieka, dla czegóż zbywasz mnie półsłówkami?

— Dobrze, mówmy szczerze, będzie to zapewne nasza ostatnia rozmowa. W Kalinowéj powiedziałeś mi, że skończyłeś wydział historyczny w Lipsku kosztem wuja; otóż zrozumiałem, dla czego jesteś krytykiem literackim w „Wieści“, którego twój wuj jest redaktorem. Wszak pamiętasz, że my „Pleśnią“ nazywaliśmy jego pismo. Ty zaś teraz piszesz to, co on ci pisać każe, i dla tego zarzucam ci serwilizm; — tu Grąbski wstał z krzesła — należało przerwać bodaj naukę, jeżeli miałeś za nią duszę zaprzedać. Zarzucam ci co najmniéj lekkomyślność, bo jakież jest twoje życie? Rano, to jest właściwiéj przed południem, idziesz wypalić papiérosa w redakcyi „Gońca“, do któréj przynosisz krytyki teatralne, gawędzisz z kolegami, ukujecie parę plotek literackich, podasz kilka wiadomości z teatru, tak czas zejdzie do jakiéj pierwszéj, poczém pędzisz z wizytami do pani X. Y. Z. „Ten nieoszacowany Grąbski“ na wszystko ma radę. Zna się na kapeluszach damskich, na literaturze, na urządzeniu salonu, układa żywe obrazy, prowadzi próby teatrów amatorskich, a jak doskonale gawędzi! Do niewinnéj flirtacyi, tak dla wprawy, jedyny! Rauty, teatr, skromne herbatki wypełniają ci wieczory, czasem zostaje ci trochę czasu na pisanie utworów, w których podajesz to coś widział. Jesteś więc ozdobą salonów i widocznie wystarcza ci ten tytuł. Nie ma w tobie ukochania jakiegobądź pożytecznego celu, jakiéjś trochę wyższéj idei, własną przyjemność i chwałę postawiłeś sobie na swoim ołtarzu, lecz niestety! chwała twoja nie przeżyje ciebie i tobie równych przyjaciół. Wypowiedziałem szczerze to, co myślę o tobie, na własne twoje żądanie — dodał spokojniéj.

Grąbski tymczasem podszedł do okna. Dusiło go powietrze tego pokoju, złość nim wstrząsała, słowa nie mógł wymówić. Kotnicki po krótkiéj przerwie odezwał się znowu.

— A wreszcie dobije cię pycha! Skończyłem!

— Dziękuję! — po długiéj chwili szepnął Grąbski. Wziął ze stołu kapelusz. — Żegnam.

— Żegnam — odparł Kotnicki i odprowadził literata do progu swego domu.

Grąbski odchodził pobity. Szedł prędko, roziskrzonym wzrokiem spoglądając na czerniejące w głębi krajobrazu bukowe lasy, ściskał w ręku elegancką czarną laskę, dyszał przytém, mrucząc coś od czasu do czasu.

Musiał w duchu przyznać słuszność Kotnickiemu, i to doprowadzało go do wściekłości. Tak, aptekarz miał słuszność, lecz miłość własna literata nasuwała mu tylko myśl o zemście, za wypowiedziane słowa prawdy. Zmiażdżyć tego człowieka! Zdeptać go! Spędzić z jego twarzy ten szyderczy wyraz, mieć go w ręku, a wtedy, wtedy Grąbski przebaczyłby mu i kto wie, może nawet korzył się przed nim. Lecz przed tém musiał zagrać na duszy tego człowieka, wywołać jęk z téj duszy.

A jednak nic zwycięskiego nie jaśniało w wyrazie twarzy, z jakim Kotnicki patrzał na odchodzącego. Przeciwnie, smutnie spoglądały ciemne oczy.

— I ten odszedł—szepnął. —Wiedziałem o tém, a jednak ta rozmowa zgnębiła mnie. Iluż ich jeszcze odejdzie? Idźmy „ręka w rękę“ z samym sobą — zakończył.

Wolnym krokiem skierował się ku aptece.

— Cóż tam nowego słychać, panie Ciorkiewicz?

Żółty, wychudły pomocnik, spojrzał na wchodzącego pryncypała blademi oczyma, poczém przestawił wielki słój z kontuaru na półkę, w końcu odpowiedział.

— Magnezyi brak.

— Stare dzieje. Przysłać ją powinni najpóźniéj za tydzień. Cóż więcéj?

Ciorkiewicz rozejrzał się po półkach.

— Nic.

— Walczakowa przyniosła rumianek?

— Przyniosła. Porządnie ususzony.

— Nareszcie. Widzi pan, że i tę babę można czegoś nauczyć.

— Phi! Taniéj kosztuje rumianek sprowadzony z zagranicy.

— To téż, nie dałem jéj jeszcze tytułu hurtownego dostawcy. A zresztą, tu nie o nasz zysk chodzi. Niech się baba nauczy jedną rzecz porządnie robić, może i do drugiéj starania przyłoży. Lecz, Boże miłosierny, jak téż pan wygląda? Jutro zamknę na klucz laboratoryum i wyrzucę pana za miasto.

Ciorkiewicz uśmiechnął się, pokazując żółte zęby.

— Ja mam drugi klucz.

— Seryo mówię, że nie wpuszczę do apteki.

Ciorkiewicza przestraszył stanowczy ton Kotnickiego.

— Pan tego nie zrobi!

— Zrobię, chociażby dla siebie samego. Powiedzą jeszcze, że pana zabijam, żółkniesz i chudniesz z każdym dniem.

— Niech tylko skończę moją robotę, sam poproszę o urlop

— Robota ciągnie się już parę miesięcy, a pan potrzebujesz odpoczynku.

— Jeżeli ją przerwę, robota na nic.

— A jeśli rozchorujesz się, także chleba z niéj nie będzie. Człowiek nie może pracować bez przerwy. Jutro, słowo daję, wyrzucam z laboratoryum, jeśli jest co pilnego, sam zrobię; odtąd codzień, *volens nolens*, musisz pan chodzić ze mną po polach, lasach, gdzie się da, i to rano. Budzę o piątéj i maszerujemy do siódméj.

Ciorkiewicz nic nie odpowiedział. Wogóle małomówny, wiedział z doświadczenia, że nie na wiele przydałaby mu się dyskusya z Kotnickim. Po kilku minutach zapytał:

— A któż pilnować będzie apteki?

— O téj porze nie ma zwykle nikogo. W razie potrzeby zastąpi nas matka, wstaje przed świtem.

Ciorkiewicz z za kontuaru rzucał bolesne wejrzenie na skraj nieba widny po nad rynkiem. Może błogosławiony deszcz przeszkodzi spacerowi, wtedy on wstanie o piątéj i natychmiast pójdzie do laboratoryum: doświadczenia chemiczne, to była jedyna jego namiętność. Z ludzi lubił jedynie Kotnickiego, który dogadzał jego naukowym fantazyom, zresztą nic go na świecie nie obchodziło.

Kotnicki sprowadził go był z Warszawy, gdzie Ciorkiewicz, jako prowizor farmacyi, żyjący z własnéj pracy jedynie, głodem marł, bo wszelką mamonę na książki i chemiczne przyrządy obracał. Obecnie pracował nad syntezą morfiny, i z niewymowną obawą przeglądał niemieckie pisma, specyalnie chemii poświęcone. A nuż kto ubiegnie?

Wszelkie spacery, towarzyskie zabawy, wydawały mu się dobre dla próżniaków; daremnie jego towarzysz hygienista starał się nawrócić go pod tym względem.

Daremnie też Ciorkiewicz upatrywał chmur na niebie.

Kotnicki śledząc jego spojrzenie, domyślił się czego prowizor pragnie i rozwiał jego nadzieje, oświadczając, że barometr wskazuje pogodę.

Słońce już zachodziło, gdy po przejrzeniu dziennych rachunków Ciorkiewicz odezwał się znowu:

— W Stawiszynie utopił się dwuletni dzieciak.

— Masz tobie!

— Pies pokąsał Maryśkę Kasperkównę.

— Niebezpiecznie?

— Ugryzł ją w nogę dwa razy.

— Dla takiego maleństwa, to groźne. Posłali do doktora?

— Nie...

— Ja tam zajrzę dziś jeszcze. Bierz ich licho — dodał jakby sam do siebie.

Ciorkiewicz nie mógł na razie pojąć, do kogo stosował Kotnicki swoje życzenia. Rozmyślał długo. Tymczasem słońce już gasło, nadeszła pora zamknięcia apteki. Aptekarz stał przy kontuarze, machinalnie prawie porządkując szuflady.

— Kogo? proszę pana — zapytał wreszcie prowizor.

Kotnicki spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem!

— Powiedziałeś pan: „Bierz ich licho!“ Kogo?

— Toś się pan długo namyślał. No tych, co o dzieci nie dbają. Wołam wiecznie, załóżcie ochronki dla małych dzieci, żeby się po drodze nie wałęsały, żeby się nie topiły, nie paliły, etc. Groch na ścianę! Czego sam nie zrobisz, tego téż i nie zobaczysz. No, chodźmy do domu. Kolacya na nas czeka.

Zaryglowali aptekę i ruszyli w stronę dworku, stojącego na skraju miasteczka.

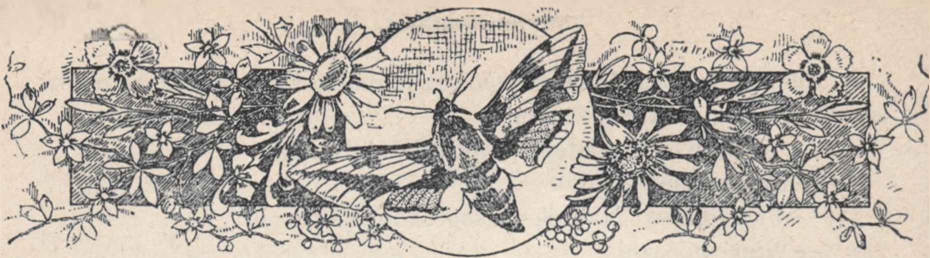
— Daj mi pan klucz od laboratoryum — rozkazywał aptekarz.

Ciorkiewicz jednak oparł się temu stanowczo. Milczał, lecz klucz uparcie trzymał w kieszeni.

— Dziwoląg z pana — zadecydował Kotnicki.

(*Dokończenie nastąpi*). *Antonina Morzkowska.*





ODRODZENIE CHORWACYI.

Koniec stulecia XVIII i początek XIX zapisał się w dziejach Słowiańszczyzny niezatartemi głoskami. Narody i plemiona słowiańskie, których istnienia ledwie się domyślano w Europie zachodniéj i jeśli miano jakieś wiadomości o nich, to bardzo luźne i niejasne — naraz budzą się ze snu wiekowego i czynami pełnemi energii i życia dają znać o sobie. Przyczyny tego pozornie niezwykłego, a w istocie bardzo naturalnego zjawiska w historyi ludów są różnorodne; z nich dwie najważniejsze wymienimy: ucisk ze strony narodu panującego i nowe idee, które długo kiełkując, rozwijając się bardzo powoli i nieznacznie, zrodziły atoli fakt tak doniosłego znaczenia, jak rewolucya francuska. Idee te, jak iskry elektryczne, wstrząsnęły całym organizmem staruszki Europy, a wstrząśnienie to odczuły nawet i narody słowiańskie na półwyspie bałkańskim, pod rządami Turcyi zostające, żyjące w zupełnéj ciemnocie umysłowéj i w początkach swych rewolucyj obce jeszcze wszelkiéj oświacie zachodnio-europejskiéj.

Dziesięcioletnie rządy Józefa II były właśnie taką chwilą dziejową w życiu Słowian austryackich, co obudziła ich ze snu długoletniego i na tory nowego życia popchnęła. Czesi od czasu bitwy pod Białą Górą, pogrążyli się w zupełnéj apatyi, Chorwaci zaś, wprawdzie nie przechodzili takiéj katastrofy dziejowéj i wciąż dawali znaki życia ruchliwszego, ale przy zupełnym zastoju umysłowym, i jasno wytkniętych celów w życiu narodowém, byli niemém narzędziem polityki austryackiéj, lub węgierskiéj, tém bardziéj, że cała szlachta chorwacka, uważająca siebie za jedyną przedstawicielkę narodu, przy zetknięciu się z oświatą niemiecką bezwiednie się wynaradawiała. Reformy Józefa II zmusiły ją do pilniejszego baczenia na siebie; nie tyle szło jéj atoli o zachowa-

nie narodowości, ile o obronę praw swoich rodowych, z których ujrzała się naraz wyzuwaną zwłaszcza przez szczególną opiekę cesarza nad ludem wiejskim i usiłowania tego monarchy polepszenia ówczesnéj doli chłopa. Wówczas szlachta chorwacka, pod wpływem strachu o własną skórę, łączy się z niezadowolonymi również Węgrami, aby wspólnie tém skuteczniéj stawić opór centralistycznym dążeniom polityki Józefa II, tego ukoronowanego doktrynera, co jednym zamachem chciał zniszczyć wszystkie stare, uświęcone wiekami tradycye, wszystko, co sprzeciwiało się jego poglądom filozoficznym, porównać stany, a nadewszystko dla celów samowładnych wycofać swe ziemie zupełnie z pod wpływu papieża. Jakkolwiek niektóre z jego reform były wynikiem wielce humanitarnych poglądów, jednakże do urzeczywistnienia w owym czasie, jak się wkrótce pokazało, były niemożliwe. Reformy tego cesarza przyszły z jednéj strony, jak twierdzi L. Leger, zawcześnie, gdyż większość umysłów nie zdolna była pojąć jeszcze humanitarnych idei Iózefa II, a z drugiéj zapóźno, ponieważ poczucie samodzielności poczynało się już budzić u narodów, które cesarz chciał cywilizować za pomocą germanizacyi. Józef II oburzył na siebie nietylko szlachtę i duchowieństwo, ale wywoływał też niezadowolenie wśród ludności wiejskiéj, gdy swe reformy w zakresie religii posunął do ostateczności, zamykając klasztory, zakazując wszelkiéj okazałości w sprawowaniu obrządków religijnych, zabraniając grzebania umarłych w trumnach i t. d. Wzburzenie było tak wielkie, że cesarz czémprędzéj pośpieszył z odwołaniem tego ostatniego zakazu. Rozdrażnienie, wśród Chorwatów było tém silniejsze, że świéżo mianowany ban, zausznik cesarski, Franciszek Bałasza, dopuszczał się najwstrętniejszych nadużyć, i otaczając siebie dyktatorską powagą, bez miłosierdzia uciskał pod jego władzę oddane prowincye; to téż po śmierci Józefa II oburzenie doszło do tego stopnia, że zamyślano już o spisku na życie nienawistnego bana, który przewidując niebezpieczeństwo dla siebie, umknął pokryjomu do Wiednia, gdzie był mimo wszystko przyjęty u dworu dość łaskawie i uczestniczył przy koronacyi Leopolda II. Jakkolwiek Józef II, widząc fatalne skutki swych reform, przed samą śmiercią przywrócił we wszystkich swych ziemiach dawny stan rzeczy, jednakże obawy szlachty, a zwłaszcza arystokracyi chorwackiéj, nie zmniejszyły się wcale; przypuszczano bowiem, że następca zmarłego monarchy zechce pójść jego śladami, a prócz tego była jeszcze i inna przyczyna, która słusznie mogła nielada strachem przejąć każdego spokojnego właściciela ziemskiego, ciągnącego zyski z chłopów i szczycącego się całym szeregiem herbownych przodków. Przyczyną tą były początki rewolucyi francuskiéj. Dochodzące z zachodu

odgłosy idei równości i braterstwa, groziły szlachcie zniszczeniem wszystkich jéj praw i przywilejów dotychczasowych, nabytych i uświęconych w ciągu całych stuleci. Pod wpływem takiéj obawy, szlachta chorwacka zwraca się do Węgrów, niezadowolonych z obecnego porządku rzeczy, aby w ścisłym z nimi związku iść razem i wspólnemi siłami skuteczniéj bronić praw swoich i stawić czoło władzy austryackiéj, „któréj nigdy zbytnio dowierzać nie należy“. Stąd narazie zapał do Węgrów ogarnął wszystkich: kobiéty i mężczyźni, zamiast używanego dotąd od czasów Maryi Teresy stroju francuskiego, poczęli nosić ubiór węgierski, czesać po węgiersku włosy i nawet ci, którzy znali język węgierski, chętniéj się nim wyrażali, niż po niemiecku. Jednocześnie i język chorwacki, którego dotychczas przeważnie lud tylko używał, począł powoli wchodzić w użycie powszechne. Ów nowy prąd uwydatnił się jawniéj na zwołanym w r. 1790 sejmie chorwackim, gdzie miano wybrać i opatrzyć szczegółowemi instrukcyami posłów na wspólny sejm chorwacko-węgierski. Na sejmie tym Chorwaci silniéj, niż kiedykolwiek przed tém, położyli nacisk na zachowanie starych praw swego kraju i na wspólność działania z Węgrami. Między wielu punktami instrukcyi danéj posłom, żądano przedewszystkiém utworzenia jednego senatu państwowego (*senatus Regni*), któryby był niejako ogniwem między królem a stanami, i w którymby dla obrony własnych interesów, zasiadali także i członkowie Chorwaci z banem swym na czele. Jednakże jakby przeczuwając, że podobny krok do samorządu, a stąd do stopniowego wyrabiania się odrębności narodowéj, może napotkać silny ze strony Węgier opór, szlachta chorwacka jednocześnie dla złagodzenia swych żądań postanowiła, aby władza bana była poddana pod władzę namiestnika Węgier, jednakże z zastrzeżeniem, że tylko „do czasu, nim części Chorwacyi, zostające pod władzą Wenecyi (Dalmacya) i Turcyi, nie będą przyłączone i zlane w jedną całość z częścią austryacką, a właściwie węgierską“. Tém postanowieniem szlachta niebacznie przyznawała zależność swoją od Węgier i czynności bana krępowała rozporządzeniami z Pesztu. Co się tycze języka, posłowie mieli żądać stanowczo, aby język niemiecki, jako obcy, był wyrzucony ze wszystkich sfer administracyi cywilnéj i wojskowéj, a natomiast utrzymany nadal dotychczasowy ogólny dla Chorwacyi i Węgier język łaciński, rugowany już powoli za Józefa II. Sejm chorwacko-węgierski, zwołany w drugiéj połowie 1790 r., zawiódł w znacznéj mierze oczekiwania Chorwatów: po koronacyi cesarza Leopolda w Presburgu, gdzie toczyły się obrady sejmowe, Węgrzy jawnie zachowywali się wobec Chorwatów, jako naród panujący. Starcie obu tych

narodowości było nieuniknione: spory w różnych kwestyach toczyły się coraz żywiéj, a najgorętsza walka rozpoczęła się o zachowanie dawnego języka łacińskiego. W samym sejmie rozprawiano po węgiersku i w tym języku pisano protokuły z dołączeniem tylko przekładu łacińskiego. Węgrzy żądali stanowczo, aby ich język zajął miejsce dawnego i aby we wszystkich ziemiach korony Św. Stefana wprowadzono go w użycie powszechne nietylko w administracyi, ale i w szkołach. Chorwaci bronili dawnego języka łacińskiego, wychodząc przedewszystkiém z téj zasady, że nie są oni narodem pokonanym, lecz krajem związkowym, połączonym z Węgrami na prawach zupełnéj równości. Najgoręcéj sprawę Chorwatów popiérał sam ban ich, następca znienawidzonego Bałaszy, Jan Erdedy wspólnie z biskupem zagrzebskim, Maksymilianem Vrchovcem, jednym z energiczniejszych ludzi i gorętszych patryotów chorwackich owego czasu. Pomimo ustawicznéj opozycyi ze strony Chorwatów, Węgrzy na następnym sejmie 1792 r., podczas koronacyi syna zmarłego Leopolda, Franciszka II, w części przynajmniéj zdołali dopiąć celu. Chorwaci zmuszeni byli wprowadzić do szkół swoich język węgierski, atoli jako przedmiot nieobowiązujący; zaś łacina czasowo pozostała jeszcze w urzędach. Tak więc na samym początku żywszego ruchu narodowego, po wstępie wielce dla Węgier przyjaznym, nastąpiły zaraz niesnaski, które z biegiem czasu zamieniły się na zażartą walkę o kwestyę istnienia narodowego. Wkrótce po owym sejmie z r. 1792, nastąpiły wojny francusko-austryackie, które narazie odwlekły umysły od wszczętéj walki między dwiéma narodowościami, nie kładąc jéj bynajmniéj końca. Zwycięstwa Bonapartego, które dynastyę Habsburgów pozbawiły Włoch i Niemiec i zmusiły cesarza Franciszka do przyjęcia tytułu cesarza austryackiego, zajęły teraz uwagę całéj Europy. Sejmy węgierskie z r. 1796 i 1802 przeszły spokojnie, a dopiéro na sejmie w 1805 r. nie omieszkali Węgrzy poruszyć nanowo kwestyi języka, aczkolwiek bezskutecznie, dzięki oporowi ze strony duchowego wodza Chorwatów, dzielnego biskupa Vrchovca. W ciągu kilku lat następnych, Austrya poniosła dotkliwe straty: najpierw w r. 1805 utraciła Tyrol, Wenecyę i Dalmacyę, następnie w r. 1809 po straszliwéj porażce pod Wagram, musiała ustąpić Napoleonowi znaczną część Chorwacyi po rzekę Sawę. Należy nadmienić, że podczas téj ostatniéj wojny z Francuzami, Chorwaci wielkie okazali przywiązanie do panującéj dynastyi Habsburgów; ani na chwilę nie upadając na duchu, szlachta a także mieszczanie i chłopi nawet dobrowolnie chwytali oręż i łączyli się z wojskami, broniącemi Dalmacyi; składki na nowe zaciągi i potrzeby wojenne sypały się obficie; przedewszy-

stkiem szło tu Chorwatom o zatrzymanie pod berłem austryackiém Dalmacyi, z którą pragnęli gorąco połączyć się w jedno, pod względem politycznym. Gdy po fatalnym pokoju w Schönbrun, nietylko Dalmacya pozostała nadal w rękach Francuzów, ale i kraj Słoweńców i większa część Chorwacyi, oddane były Francyi, ów zapał do Austryi znacznie się obniżył. Naród ujrzał się naraz przepołowionym, a to gwoli „uratowania całéj monarchii austryackiéj“, jak głosił manifest cesarza, oznajmujący warunki pokoju. Oburzenie stąd w narodzie było ogólne, z czego przebiegły cesarz Francuzów, jak zwykle, tak i tym razem nie omieszkał natychmiast skorzystać. W odezwie, wydanéj do Chorwatów, umiał swoim zwyczajem pochlebić dumie narodowéj, potępiając przytém Austryę za jéj czarną niewdzięczność, którą odpłaciła przywiązanie i ofiary oddanego jéj narodu. Odezwa ta, w stosownéj wypowiedziana chwili, istotnie znalazła poklask w oburzonym na postępowanie polityki austryackiéj narodzie. Natychmiast Napoleon z nowonabytych krajów: Chorwacyi, Dalmacyi, Istryi i Krainy, utworzył jedno królestwo, nadając mu starożytną nazwę Iliryi i nazywając je „strażą, u wrót Wiednia postawioną“. Kraj ten podzielono na sześć prowincyi: Karyntya, Kraina, Istrya, Dalmacya, Dubrownik i Chorwacya cywilna i wojskowa. Głównem miastem uczyniono Lublanę. Rządy nad nowém królestwem polecił cesarz francuski sprawować z tytułem wice-króla, marszałkowi Augustowi Marmont, który, jak się pokazało, był równie znakomitym rządcą, jak i zacnym człowiekiem. Nie siłą bagneta, ale miłością i wspaniałomyślnością usiłował zjednać dla Francyi serca nowych poddanych. Utrwalenie pokoju i porządku w kraju było pierwszém jego zadaniem; następnie starał się uregulować opłakane stosunki finansowe, podnieść przemysł i handel, aby wycieńczona po wojnie ludność mogła szybko zatrzéć ślady klęsk materyalnych; a nadewszystko nie szczędził usiłowań około podniesienia stanu oświaty narodowéj jak pierwéj w Dalmacyi, tak teraz w całém królestwie Iliryjskiém. W każdém mieście była otwarta szkoła ludowa z językiem wykładowym chorwackim, a w miastach większych — 25 gimnazyów i dwie wyższe szkoły z cechą uniwersytecką w Zadrze i w Lublanie, gdzie utworzono po raz pierwszy katedrę języka „ilirskiego“, jak wówczas zwano język chorwacki. Prócz tego zakładano także szkółki dla dziewcząt i otworzono kilka szkół handlowych. Jeszcze w r. 1806 w Dalmacyi władza francuska poczęła wydawać pierwsze czasopismo w języku chorwackim p. t. „Dalmat“, wychodzące w Zadrze, a teraz obok niego ukazało się, również staraniem władzy, drugie czasopismo urzędowe po chorwacku i słoweńsku p. t. „Telegraf“, wychodzące w Lublanie.

Wobec takiego postępowania rządu francuskiego, nic dziwnego, że Chorwaci z zapałem i czcią, jak i Polacy wówczas, wymawiali imię Napoleona, nazywając go wskrzesicielem Ilirów [1]). Poeci, jak np. Słoweniec Wodnik, piszą ody na cześć bohatéra, a język francuski niezmiernie szybko się rozpowszechniać poczyna. Historyk chorwacki Szmiczziklas powiada, że gdyby kiedykolwiek język niemiecki tak chętnie i z takim zapałem był studyowany, jużby cały kraj dawno tylko po niemiecku mówił. Atoli, gdy w bitwie pod Lipskiem losy Napoleona rozstrzygnęły się, nastąpiło w następnym 1814 r. zajęcie napowrót przez Austryę odjętych prowincyi. Niezadowolenie Chorwatów z téj racyi było tém większe, że natychmiast poczęto wprowadzać w urzędach i sądownictwie język niemiecki i część Chorwacyi, odebraną od Francyi, zamierzano pod wpływem polityki Metternicha, oderwać od Węgier, a przyłączyć bezpośrednio do korony austryackiéj, skutkiém czego obie części kraju, przedzielone rzeką Sawą, zostały i nadal nie połączone z sobą pod względem politycznym. Na podaną petycyę do cesarza, aby przepołowioną Chorwacyę złączył w jedno, otrzymali Chorwaci odpowiedź odmowną; dopiéro w r. 1822 obie te części przed i zasawska znowu, jak przed wojnami Napoleońskiemi były złączone z sobą, za co specyalnie wysłana do cesarza deputacya dziękowała mu uroczyście.

Wogóle, dwulicowość polityki austryackiéj wobec narodów, pod jéj władzą będących, w tych właśnie czasach doskonale się uwydatniać poczyna. Szczególnie niepokoił Metternicha szybki wzrost idei autonomicznych, wolnomyślnych, których stłumienie było główném jego zadaniem, bez względu na środki. Gdzie nie można było wystąpić otwarcie, tam głaskał, umizgał się i obiecywał, aby w chwili stosownéj zrzucić maskę i jawnie działać na korzyść absolutyzmu. Cesarz Franciszek, zostając zupełnie pod wpływem swego ministra, podzielał całkowicie zapatrywania jego i był słanowczo przeciwny wszelkim reformom, na gruncie nowych pojęć wyrosłym. „Trzymajcie się starego, bo co stare, to dobre i dobrze z niém było naszym przodkom; czemużby nam miało, być z niém gorzéj?“ — rzekł raz do profesorów w Lublanie. Przyciśnięty potrzebą, obiecywał wiele, ale to wszystko martwą tylko zazwyczaj pozostawało literą. Polityka Metternicha bez względu na nieobliczone szkody i straty, jakie w przy-

---

[1]) Nazwa ta była niby hasłem połączenia się wszystkich Słowian południowych austryackich razem, o czém pod panowaniem Austryi dotychczas marzyć nie wolno było. Dla tego właśnie późniejsi budziciele narodu z takim zapałem nazwę tę przyjęli.

szłości państwo ponieść mogło, bez względu na opłakany stan finansowy, który miliony obywateli przyprawiał o ruinę, bez względu na upadek oświaty krajowéj — dążyła nietylko do stłumienia wszelkich z zagranicy przychodzących idei wolnomyślnych, ale i do zniesienia na korzyść absolutyzmu tych nawet swobód i przywilejów, które dotychczas kraje cesarstwa posiadały. Tak np. sejmu chorwacko-węgierskiego wbrew ustawie, korzystając z zamieszek podczas wojen Napoleońskich, nie zwoływano w ciągu lat 14; dopiéro w r. 1825, gdy Węgrzy poczęli okazywać wielkie niezadowolenie z powodu nałożenia bez narady z przedstawicielami narodu nadzwyczajnych podatków wobec wojny włoskiéj, cesarz dla uspokojenia wzburzonych umysłów zezwolił na zwołanie do Presburga sejmu chorwacko-węgierskiego, który do dwóch lat się przeciągnął. Na nim to właśnie odznaczył się znany patryota węgierski, Stefan Szechenyi, który po raz pierwszy przemówił w języku węgierskim, chcąc tym sposobem dać narodowi swemu hasło odrodzenia. Z pomiędzy wielu roztrząsanych kwestyi, z kolei wznowiono kwestyę obowiązkowego nauczania języka węgierskiego. Wobec podanego w téj myśli projektu przez Węgrów, posłowie chorwaccy stawili zrazu silny opór, wychodząc z téj co i poprzednio zasady, t. j., że Chorwacya nie jest, jak chcą Węgrzy, tylko jedną z prowincyi korony Ś-go Stefana, ale krajem związanym z Węgrami, na zasadzie równych praw narodowych. Zaciekła walka toczyła się dość długo, jednakże po trzechmiesięcznych sporach, posłowie chorwaccy zmuszeni byli ustąpić, zgadzając się na przyjęcie języka węgierskiego, jako obowiązkowego przedmiotu w szkołach, atoli z tém zastrzeżeniem, że i nadal w administracyi i sądownictwie pozostanie język łaciński. Sejm chorwacki, w następnym roku zwołany, potwierdził ostatecznie to ustępstwo posłów, mając przeważnie na względzie przyszłość młodzieży chorwackiéj, dla któréj od tego właśnie czasu wszelka karyera urzędnicza, bez znajomości języka węgierskiego, była zamknięta. Na rok 1830 przypadł termin następnego sejmu obu narodów. Chorwaci, spodziewając się nowych zatargów w kwestyach reform wewnętrznych, przygotowywali się należycie na poprzednim sejmie chorwackim, aby módz w razie potrzeby działać jaknajroztropniéj. Jeden z patryotów Józef Kuszevicz ogłosił drukiem memoryał p. t. „*Jura municipalia*“, w którym stojąc na gruncie historycznym, rozpatruje stosunek Chorwatów do Węgrów w ciągu całego wspólnego obu narodów życia politycznego i wykazuje jasnemi dowodami, że Chorwaci mieli zawsze autonomię, i chociaż byli połączeni z koroną Ś-go Stefana, to tylko na prawach zupełnéj równości. Z drugiéj atoli strony kilka żupanii chorwackich, a na ich czele za-

grzebska i warazdyńska, bojąc się ze względu na przyszłość stawać ościeniem przeciw Węgrom, dają swym posłom instrukcye, upoważniające ich do pewnych ustępstw, i polecają im zapewnić zgromadzone na wspólnym sejmie stany o ścisłem wykonywaniu przepisów, tyczących się obowiązkowéj nauki języka węgierskiego w szkołach chorwackich. Instrukcya była zakończona wyrażeniem gorącego pragnienia Chorwatów, aby jaknajprędzéj wszyscy oni mogli władać tym językiem, jak rodowici Węgrzy. Oczywiście nie można takiéj uniżoności uważać za obraz stanu duchowego wśród ogółu; był to objaw tylko pewnéj cząstki narodu, przeważnie szlachty, dla któréj idee patryotyczne nikły wobec obawy o osobiste prawa i przywileje. Na szczęście skutkiem rewolucyj, które w tym roku zaniepokoiły nanowo rządy mocarstw europejskich, na sejmie chorwacko-węgierskim do żadnych rozpraw nad przeprowadzeniem reform wewnętrznych nie przyszło, a tém samem i kwestya języka była odroczona, aczkolwiek Węgrzy, okazując coraz widoczniéj niezadowolenie z rządów Franciszka II-go, usiłowali dokonać przejrzenia po raz pierwszy od lat stu konstytucyi. Jednakże w izbie wyższéj, złożonéj z magnatów i duchowieństwa, spotkano opór nieprzeparty przeciw wszystkiemu, co groziło zerwaniem ze starym rzeczy porządkiem.

Wogóle, w owym czasie można spostrzedz największy upadek ducha narodowego między Chorwatami. Widząc coraz bardziéj rozpowszechniający się język węgierski, widząc wytrwałość, z jaką Węgrzy dążyli do zakreślonego raz przez siebie celu: naród tracił tém bardziéj wszelką nadzieję zachowania praw swych, że i sam cesarz widocznie skłaniał się na stronę jego wrogów. Posłowie, wróciwszy z sejmu r. 1830, rzekli z rozgoryczeniem: „Węgrzy są tak silni, że chociaż tym razem nie tknięto jeszcze praw naszych, wątpimy bardzo czy na sejmie przyszłym uda się nam je zachować“. Położenie w takiéj chwili stawało się codzień krytyczniejszém. Nadziei, jak się zdawało, nie można było mieć znikąd. Lud, uciemiężany przez tyle wieków, żył w zupełnéj ciemnocie i nieświadomości; stan mieszczański nie miał zgoła żadnego w sprawach publicznych głosu, zresztą, oddany całkowicie swym przemysłowo-handlowym zajęciom, nie posiadał tyle wykształcenia, aby go mogło żywiéj obchodzić to wszystko, co nie było bezpośrednio związane z jego operacyami większa część szlachty była zajęta rolą i spokojnie, zdala od wszelkiego ruchu politycznego pędziła życie po dworach wiejskich, bawiąc się nieustannie; arystokracya zaś przemieszkiwała zwykle zagranicą, zdala od ziemi rodzinnéj, wprawiając cudzoziemców w zdumienie swoim przepychem, hulankami i coraz nowemi oryginalnemi wybrykami dumy, próżniactwa

i głupoty. Duch narodowy krył się jeszcze po mniejszych zaściankach szlacheckich i wśród niewielkiéj zresztą garstki księży, którzy jak w Czechach w sprawie odrodzenia narodowego znaczne położyli zasługi. W końcu XVIII i na początku XIX w. występuje znany biskup zagrzebski Maksymilian Vrchovac, który skupia przy sobie kółko księży chorwackich, w celu szerzenia oświaty między ludem i budzenia w nim ducha narodowego. On pierwszy postarał się o przekład na język chorwacki Pisma Ś-go i utworzył w Zagrzebiu wcale pokaźny na onczas księgozbiór, składający się przeważnie z dzieł w różnych językach słowiańskich. On również z pieśni ludowych, podań i przysłów, a także ze starych dzieł klasyków chorwackich wydobywał zapomniane formy języka ojczystego, starając się go oczyścić, podnieść i rozpowszechnić; przytém usiłował utworzyć i ustalić jednakową pisownię. Jakkolwiek usiłowania zacnego biskupa niewielu znalazły naśladowców, jakkolwiek nietylko szlachta, ale i znaczna część księży zapatrywała się na lud tylko jako na źródło dochodu, przecież głos Vrchovca nie był zupełnie głosem wołającego na puszczy. W gronie młodzieży chorwackiéj, kształcącéj się zagranicą i napojonéj nowemi, zgoła nieznanemi dotychczas w ich ojczyźnie ideałami „słowiaństwa", budzą się pierwsze silniejsze uczucia patryotyczne i nadzieja zwycięstwa, oparta na poczuciu braterstwa i jedności słowiańskiéj. Tak bywa zwykle i w dziejach narodu i w życiu jednostek: przesilenie zjawia się w chwilach najcięższych, w tym właśnie czasie, gdy choroba dochodzi swego zenitu i lada chwila śmiercią ma zagrozić. Już w r. 1814 pod wpływem rozbudzonych idei „iliryzmu" w „królestwie iliryjskiém" jeden z kółka młodzieży chorwackiéj, uczącéj się w Wiedniu, Szpover, zamierza wydawać w stolicy Austryi czasopismo chorwackie p. t. „Nowiny ilirskie", jednakże nawet i pierwszy numer nie wyszedł, w braku dostatecznéj liczby prenumeratorów. W rok potém, Antoni Michanovicz drukuje w Wiedniu książeczkę, w kwestyi wskrzeszenia języka chorwackiego i wyparcia nim dotychczas panującéj wszechwładnie łaciny, nietylko w urzędowaniu, ale i w życiu codziennem. Michanovicz również jak i Szpover zamierzał wydawać w Wiedniu czasopismo chorwackie, jednakże nie dopiął swego celu dla tych samych, co i poprzednik jego, przyczyn. W r. 1832 właśnie, gdy po bezustannych walkach sejmowych z lat poprzednich, Chorwaci nic dobrego nie widzieli już dla siebie w przyszłości, w akademii zagrzebskiéj, na radzie pedagogicznéj, uchwalono ustanowienie katedry języka chorwackiego. Język węgierski był tu wykładany jako przedmiot obowiązkowy, już od lat kilku, o chorwackim nikt dotychczas nie pomyślał. Po krótkich utarcz-

kach z profesorami i studentami narodowości węgierskiéj, otrzymano pozwolenie na wykład języka chorwackiego, jako przedmiotu nieobowiązkowego, i pierwszym profesorem jego został młody Chorwat, dr. Maciéj Smodek.

W tym samym czasie w obec zbliżającego się sejmu chorwacko-węgierskiego, na którym miały być ostatecznie przeprowadzone reformy w wewnętrznym ustroju Chorwacyi i Węgier, występuje głośny patryota, magnat chorwacki, Janko Draszkovicz ze swą książeczką treści politycznéj p. t. „Dysertacya czyli Rozmowy“, napisaną po chorwacku nie w narzeczu kajkawskiém, jak wszystkie dotychczasowe dzieła, ale po raz pierwszy w narzeczu sztokawskiém, które w kilka lat późniéj, przyjęte przez Gaja, zostało literackim językiem Chorwatów. Hr. Draszkovicz młodość swą spędził na ciągłéj wojaczce, służąc najpierw pod marszałkiem Laudonem w walkach z Turkami, a potém z Francyą. Po otrzymaniu dymisyi przesiadywał długi czas zagranicą, gdzie zawiązał stosunki z wybitniejszemi osobistościami w świecie dyplomatycznym i cieszył się wielkiém ich poważaniem, co znacznie podniosło jego znaczenie w kraju. Chcąc przygotować posłów na mający wkrótce odbyć się sejm obu narodów i pokazać im drogę, któréj się trzymać należało, pragnąc przytém obudzić w narodzie nadzieję lepszéj przyszłości i natchnąć go odwagą — ogłosił wyżéj wspomnianą broszurę. W niéj zacny patryota na wstępie wykazuje wielkie znaczenie języka narodowego i radzi, aby przyjęto wszędzie narzecze sztokawskie ze względu na jego największe rozpowszechnienie i stąd na łatwiejszy dostęp dla każdego. Daléj w gorących słowach, wykazując jedność i konieczność połączenia się w przyszłości Chorwacyi z Dalmacyą i Słoweńcami, a nawet i z Bośnią, która dziś razem z Hercegowiną stanowi najtwardsze jądro niezgody między Serbami i Chorwatami, zachęca do stawienia silnego oporu Węgrom i, wychodząc z zasady równości praw obu narodów, wskazuje sposób, w jaki należy z nim rywalizować, aby zachować swą narodowość: „Każdemu narodowi przysługa prawo swobodnego mówienia i pisania własnym językiem i przemawiania w nim we wszelkich kwestyach publicznych; naród, który tego prawa jest pozbawiony, nie ma moralnéj ojczyzny, ponieważ język jest ogniwem duchowém, łączącém naród z ziemią. Że Węgrzy silniejsi są od nas, stąd nie wypływa bynajmniéj, aby mieli prawo narzucania komuś swéj mowy. Chcą oni do wszystkich zakładów naukowych wprowadzić swój język, pójdźmy więc i my za ich przykładem i pokażmy, że również posiadamy swój własny język, zdolny do wyrażenia wszelkich myśli i uczuć.“ Słowa te wielkie uczyniły wrażenie w narodzie, podniosły ducha i dodały

odwagi zwłaszcza tym, co mieli chęci najlepsze, ale w zwątpieniu i obawie nic dla przeciwdziałania wrogom nie przedsiębrali. Wkrótce potém staraniem Draszkovicza ukazała się taż sama broszurka, przełożona na język niemiecki p. t. „*Sollen wir Magyaren werden?*“ i inna jeszcze po łacinie skréślona i skierowana przeciw językowi węgierskiemu.

Głos takiéj powagi, jak hr. Draszkovicza, najsłabszym dodał otuchy i dlatego wkrótce potém w r. 1835 zwołany sejm obu narodów, pomimo zaciekłych napadów ze strony Węgrów, nie przyniósł tymże żadnych pożądanych rezultatów. Draszkovicz, zasiadający w izbie wyższéj jako przedstawiciel Chorwatów, energicznie występował przeciw wszelkim reformom, mającym na celu zgniecenie autonomii i narodowości chorwackiéj, a zagrzani jego przykładem posłowie występowali z taką siłą, jakiéj już od r. 1790 nie okazali ni razu. Właśnie w samym toku obrad sejmowych umarł cesarz Franciszek, a na tron wstąpił syn jego, Ferdynand I-szy, człowiek najlepszych chęci, ale chorowity i niedołężny, zostający zupełnie pod wpływem Metternicha, którego umiérający monarcha zalecił synowi, jako najlepszego przyjaciela, najwierniejszego sługę i doskonałego polityka. W dalszym ciągu obrad sejmowych, Węgrzy żądali wprowadzenia obowiązkowego wykładu niemal wszystkich przedmiotów w szkołach chorwackich po węgiersku i żądania swoje popiérali z taką natarczywością, że posłowie chorwaccy na razie musieli rozwiązać tę kwestyę w myśl Węgrów, jednakże po zamknięciu obrad podali za poradą bana swego Właszyca, adres do cesarza z prośbą o obronę najistotniejszych praw narodu chorwackiego. Cesarz przechylił się, jak tego wymagała polityka, na stronę Chorwatów i nie potwierdził uchwały sejmowéj o wprowadzeniu języka węgierskiego, pomimo silnego protestu ze strony Węgrów.

Tymczasem młodzież chorwacka, która dotychczas ostrożnie, nieśmiało i powoli występowała w sprawie rozpowszechnienia języka ojczystego, teraz zabrała się energiczniéj do nowéj walki na polu umysłowém. Jeden z grona takiéj młodzieży, bujnéj wyobraźni i porywającéj wymowy 25-letni młodzieniec, wychowaniec wszechnicy peszteńskiéj, Ludwik Gaj, postanowił w chwili, gdy Węgrzy rozpoczęli systematyczne wprowadzanie swego języka do wszystkich krajów, koroną Ś-go Stefana objętych, wskrzesić nieurzeczywistnione zamiary Szpovera i Michanovicza, przemawiania do ogółu w języku narodowym. Węgrzy, a nawet i niektórzy z Chorwatów starali się wszelkiemi siłami przeszkodzić temu i używali różnych sposobów, aby Gaj potrzebnéj na wydawanie czasopisma koncesyi nie zdołał uzyskać.

Atoli wytrwałość i energia młodego patryoty pokonała wszelkie zapory: Gaj udał się sam jeszcze w końcu 1834 r. do Wiednia, aby, uzyskawszy audyencyę u cesarza, prosić o pozwolenie wydawnictwa. Oczywiście, takie postawienie przeciw Węgrom i ich duchowemu przewodnikowi Koszutowi nowych sił Chorwacyi, która nieraz już gorliwie popiérała sprawy Habsburgów, było cesarzowi bardzo na rękę. Położenie rządu w obec Węgier stawało się z każdym dniem trudniejsze; podtrzymanie sporów między obu narodowościami było dla niego bardzo wygodném, przeto Gaj w uzyskaniu koncesyi podczas audyencyi u cesarza nie miał żadnych trudności. Franciszek II-gi dał mu lakoniczną swoim zwyczajem odpowiedź: „skoro Węgrzy drukują gazety, nie widzę przyczyny, dla którejby ich drukować nie mogli Chorwaci.“ Rzecz więc była skończona. 10-go stycznia 1835 r. wyszedł w Zagrzebiu, opatrzony u góry epigrafem: „Naród bez narodowości— to ciało bez kości,“ pierwszy numer pierwszego [1]) chorwackiego czasopisma w narzeczu kajkawskiém: „Jutrzenka chorwacko-słoweńsko-dalmacka,“ a pod jego sztandarem zgromadziło się z Gajem na czele kółko młodych, pełnych sił i zapału ludzi, którzy sobie w dziejach odrodzenia chorwackiego zacne zyskali imię. Byli to: Paweł Sztoos, Dragutin, Rakovac, Ludwik Vukotinovicz, dwaj bracia Mażuranicze, Jan i Antoni, i Vjekosław Babukicz. Obok „Jutrzenki“ poczęło wychodzić drugie pismo chorwackie „Nowiny chorwackie.“ Wkrótce potém w teatrze zagrzebskim, niemieckim naonczas, po raz pierwszy odśpiéwano publicznie ułożoną przez Gaja pieśń narodową: „Jeszcze Chorwacya nie zginęła, póki my żyjemy!“ Wrażenie, jakie wywarła, było nie wypowiedziane. Tłum widzów przywitał ją grzmotem oklasków, nazajutrz cały Zagrzeb powtarzał jéj zwrotki, a wkrótce cały naród chorwacki zaśpiéwał tę elektryzującą i podnoszącą ducha pieśń, z prostych, ale dziwny urok wywierających słów ułożoną.

Tak więc rozpoczęło się duchowe odrodzenie narodu, który do tego czasu bez żadnych przywódców duchowych, zagrożony zagładą, błąkał się bez wytkniętego celu, nie wiedząc, co począć i w ostatnich chwilach tracąc już nawet wszelką wiarę w swe siły. Słusznie więc Chorwaci rok 1835-ty uważają za przełom, za zwrot ku lepszemu w dziejach swego odrodzenia; od téj bowiem chwili poczyna swe życie nowe ich piśmiennictwo, wywołane potrzebą czasu i okolicznościami

---

[1]) Czasopisma urzędowe za czasów francuskich wydawane, nie nosiły na sobie wcale cechy pism narodowyoh; przeto w sprawie obudzenia ducha narodowego niemal, żadnéj roli nie odegrały. Słusznie więc „Jutrzenkę“ Gaja można nazwać pierwszém czasopismem chorwackiém.

ze znamienną cechą—patryotyzmem. Jest to już piśmiennictwo czysto oryginalne, narodowe, ustępujące, co prawda, w swych początkach świetnéj literaturze z czasów rzeczypospolitéj Dubrownickiéj pod względem i artyzmu i natchnień, przewyższające ją atoli pod względem idei i ogólnonarodowego znaczenia. „Jutrzenka chorwacko-słoweńsko-dalmacka“ już po roku zmienia swą nazwę na „Jutrzenkę ilirską“, przyjmuje nowe narzecze sztokawskie, od tego czasu uznane i przyjęte powszechnie jako język literacki, i wprowadza nową pisownię wedle wzoru podanego przez Gaja i Babukicza; ten drugi w tym właśnie czasie puszcza w świat swoją gramatykę ilirską, pierwszą książkę pisaną w nowém narzeczu i nową ulepszoną ortografią. Skutkiem rozbudzenia się umysłowego rodziły się także z każdym dniem nowe wymagania duchowe, których dwa czasopisma żadną miarą zadowolić nie mogły.

Przedewszystkiém dawała się uczuwać potrzeba jakiéjś instytucyi, skąd możnaby było czerpać wiadomości naukowe i społeczne, i dzielić się z ogółem myślami i wiedzą. Tak stopniowo poczęto w różnych miejscowościach Chorwacyi zakładać kluby, czyli t. zw. czytelnie (*czitaonica*), których punktem środkowym był założony w r. 1838-ym klub narodowy w Zagrzebiu. Celem jego członków było szerzenie pożytecznych wiadomości między ogółem i czytanie książek i gazet, które prenumerowane były przez czytelnię, a których dostarczanie skądinąd dla niezamożnych często ludzi było zbyt uciążliwe. Prezesem téj literackiéj i towarzyskiéj jednocześnie instytucyi został Janko Draszkovicz, a sekretarzem autor gramatyki ilirskiéj Babukicz. Klub zagrzebski, skupiając koło siebie cały niemal ówczesny świat literacki w Chorwacyi, począł rozwijać na polu odrodzenia wielce czynną działalność, przeważnie dzięki wysoce ukształconemu i gotowemu zawsze do wszelkich ofiar w imię narodowości sekretarzowi swemu, który umiał mu trwałe zapewnić istnienie i młodym, świéżo na drogę literacką wstępującym autorom, ułatwiać pierwsze kroki, wspiérając ich wszelkiemi sposobami. Klub wkrótce po swém założeniu prenumerował już niemal wszystkie pisma słowiańskie i wiele w innych językach europejskich posiadał, oraz spory własny księgozbiór, podarowany przez Draszkovicza, a następnie powiększany przez książki nadsyłane w darze od różnych zamożniejszych i ukształceńszych osób w kraju. Wpływ klubu rozpowszechniał się na wsze strony: członkowie téj instytucyi zachęcali do mówienia w języku ojczystym, urządzali zabawy, śpiewy, widowiska z charakterem czysto narodowym i zaszczepiali w narodzie idee patryotyzmu i jedności narodowéj, nie zaniedbując przytém oświecać niższych klas społecznych,

o ile owoczesne warunki pozwalały. Z téj czytelni z biegiem czasu wyłoniło się kilka poważnych instytucyi i stowarzyszeń naukowych, jak np. Muzeum narodowe, Towarzystwo rolnicze, teatr i opera, Biblioteka narodowa i Macierz chorwacka.

W r. 1839 powstała w gronie członków klubu myśl utworzenia teatru narodowego, aby można było w ten sposób szerzyć między ogółem język ojczysty, jak to właśnie czynili ich nieprzyjaciele Węgrzy. W Zagrzebiu był wprawdzie budynek teatralny, ale w nim tylko po niemiecku grywano. Członkowie czytelni poczęli zbiérać składki na utworzenie narodowéj sztuki i zamyślano nawet o założeniu szkoły dramatycznéj, na co jeden w owoczesnych pisarzy dramaturg Dymitr Demeter ofiarował cały swój majątek. Tymczasem usiłowano środkami bardzo wprawdzie skromnemi „przynajmniéj raz na miesiąc“ dawać po chorwacku widowiska, które, gdy się ta myśl urzeczywistniła, pomimo wielu braków, przyciągały zawsze niemało widzów, przyklaskujących dobrym chęciom zacnych patryotów. W tym samym roku powstała również myśl założenia Macierzy chorwackiéj na wzór podobnych instytucyi u innych narodów słowiańskich, a mianowicie na wzór macierzy czeskiéj i serbskiéj. Atoli dla braku odpowiednich funduszów można było zamiar ten urzeczywistnić dopiéro w r. 1842. Na posiedzeniu członków klubu w lutym tego roku postanowiono założyć „Macierz ilirską“, któraby stanowiła oddział czytelni. Celem téj nowéj instytucyi było z początku wydawanie klasyków dubrownickich, aby dać poznać publiczności płody z epoki najświetniejszego rozwoju piśmiennictwa w Dalmacyi. Prezesem macierzy obrany był Ludwik Gaj, najczynniejszy w téj sprawie członek klubu, sekretarzem zaś Vjekosław Babukicz, a po jego ustąpieniu w r. 1846 Stanko Vraz, młody i wysoce utalentowany poeta chorwacki. Dzięki ofiarności osób prywatnych, a zwłaszcza biskupa z Djakowa Józefa Kukovicza, macierz rozpoczęła swój żywot przez wydanie na pierwszy raz „Osmana“ Jana Gundulicza. W dalszym ciągu miała wydawać dzieła Palmoticza, Złatavicza i całego szeregu pomniejszych poetów, którymi słusznie chlubią się obecnie Słowianie dalmaccy. Jednakże do tego w braku odpowiednich funduszów nie przyszło, a natomiast macierz przyjęła na siebie nakład czasopisma literacko-krytycznego, założonego w 1842 r. przez Stanka Vraza przy współudziale Rakovca i Vukotinovicza p. t. „Koło“, które miało na celu wedle orzeczenia Vraza „ideę iliryzmu połączyć ściśle z ideą rozumnéj i naturalnéj piśmienniczéj łączności Słowian, a jednocześnie podnieść literaturę ojczystą przez zachęcanie młodych talentów do pracy i wskazywanie im do naśladowania wzorów z innych literatur słowiańskich, zbliżonych z li-

teraturą europejską. Czasopismo to trzymało się, pomimo bardzo szczupłéj liczby prenumeratorów, aż do śmierci swego założyciela Vraza, t. j. do r. 1851. Wkrótce potém powstało nowe pismo p. t. „Nieśmiertelnik“, wspiérane przez macierz, ale po kilku latach doznało takiego samego losu, jak i „Koło“, a i macierz w tym czasie poczęła chylić się do upadku. Podźwignął ją wprawdzie nowy jéj prezes, rektor akademii w Zagrzebiu, Mesicz, ale na chwilę tylko. Zapis księdza Jana Nepomucena Draszkovicza, synowca znanego Janka Draszkovicza, na jéj korzyść uczyniony w r. 1856 w ilości 10,000 złr., przedłużył jéj istnienie i nawet dał możność przyjęcia na siebie nakładu czasopisma „Literat“, a potém „*Vienac*“; wszakże skutkiem braku energicznego kierownictwa znowu poczęła upadać. Dopiéro z gruntu zreformowana w r. 1874, poczyna żyć nowém życiem i dziś zajmuje naczelne stanowisko w szeregu wszystkich macierzy słowiańskich, wydając rocznie około 10-ciu dzieł treści naukowéj i beletrystycznéj i licząc już blisko 7,000 członków.

W tym samym roku, gdy po raz pierwszy poczęto dawać widowiska teatralne w języku chorwackim, zamierzyli członkowie klubu wyjednać u rządu pozwolenie na założenie Muzeum narodowego; tu atoli spotkano stanowczy protest ze strony Węgrów, którzy niechętném okiem patrzyli na budzącą się samowiedzę wśród Chorwatów. Otworzenie więc téj pożytecznéj instytucyi odłożono do lepszych czasów.

Jednocześnie ruch literacki w imię iliryzmu, t. j. łączności narodowéj, budzić się począł i u sąsiednich Słoweńców. Obok Japla i Wodnika występują poeci młodsi, jak: Preszern, satyryk, Koseski, Bleiweis, założyciel czasopisma politycznego „Nowiny“ w Lublanie w r. 1843, a potém Tarnogrodzka i najbardziéj z nich wszystkich utalentowany Jan Vesel. Łączność i stosunki braterskie Słoweńców z Chorwatami z każdym dniem się wzmacniają i oba te plemiona gorąco wypowiadają przy każdéj sposobności ideę połączenia się wspólnego.

Taki nagły wzrost samowiedzy, zwłaszcza literacka i patryotyczna działalność młodzieży chorwackiéj i słoweńskiéj, nosząca miano iliryzmu, zaniepokoiły na seryo Węgrów i zmusiły ich do chwycenia się środków energicznych, dla przeprowadzenia reform w imię madyaryzacyi krajów słowiańskich, koroną Ś-go Stefana objętych. Niepokój ich wzrósł jeszcze bardziéj od czasu, gdy cesarz widocznie stanął po stronie Chorwatów i nawet uchwał zapadłych na sejmie obu narodów w r. 1840, a tyczących się wprowadzenia do wszystkich urzędów języka węgierskiego, nie potwierdził, żądając, aby obowiązywały one

tylko same Węgry, nie zaś Chorwacyę, czém oczywiście bardziéj jeszcze przyciągnął do siebie serca młodzieży ilirskiéj. W obec więc takiego stanu rzeczy, Węgrzy rozpoczęli silną agitacyę między samymi Chorwatami, zwracając szczególnie uwagę staréj rodowéj szlachty chorwackiéj na działalność ilirów, jako na fakt, mogący dla niéj wielce niebezpieczne za sobą skutki pociągnąć w przyszłości. Tak zwane panslawistyczne idee młodych zapaleńców, odrzucanie dawnego narzecza kajkawskiego, wyciskanie łaciny uświęconéj wiekami na korzyść ojczystego języka, wreszcie opieka cesarza—to wszystko wywołało wielkie niezadowolenie u zacofanéj szlachty, która, pamiętając czasy Józefa II-go, obawiała się ciągle polityki wiedeńskiéj i sądziła, że tylko wspólnie z Węgrami zdoła zachować swe prawa. Na młodzież ilirską patrzyła jako na ludzi, dążących do zlania narodowości chorwackiéj w morzu słowiańskiém i do pogwałcenia staréj konstytucyi, któréj właśnie tak zapamiętale bronili Węgrzy. W ten sposób wyłoniła się w r. 1840 partya, nieprzyjazna wszelkim ruchom ukształconéj garstki młodzieży, pod nazwą „madiaronów.“ Większość téj partyi żądała pozostawienia kraju *in statu quo,* niektórzy zaś, ci zwłaszcza, co wskutek uchwał o przymusowéj nauce języka węgierskiego, zapadłych na poprzednich sejmach, już zdołali dostatecznie poznać ten język, uznawali bezwzględne zadośćuczynienie w téj mierze żądaniom Węgrów za rzecz konieczną. Madiaroni w roku następnym wystąpili już jako silna i poniekąd zorganizowana frakcya pod wodzą hr. Aleksandra Draszkovicza, synowca Janka, który stał oczywiście po stronie ilirów, i nazwali siebie sami stronnictwem „chorwacko-węgierskiém.“ Antagonizm obu partyi wzmagał się odtąd z dniem każdym, a gdy poczęto jawnie posądzać stronnictwo ilirów, czyli narodowców, o niebezpieczne dla rządu austryackiego sympatye ku Rosyi i gdy raz nawet przyszło do awantur ulicznych w Zagrzebiu, cesarz pod wpływem Metternicha zmienił swoją dotychczasową politykę i pierwsze nieprzyjazne dla ilirów kroki rozpoczął od przysłania do Chorwacyi w charakterze bana hr. Franciszka Hallera, któremu polecono wszelkiemi środkami tłumić ruch narodowy. Zaraz na początku 1843 r. ustanowiono ścisłą cenzurę węgierską, któréj prezes Maczyk, człowiek nikczemnego charakteru, tłumił wszelką myśl swobodniejszą w młodém piśmiennictwie chorwackiém, kreśląc nawet najniewinniejsze artykuły i utrudniając rozwój prasy. „Jutrzenka“ musiała swą nazwę „ilirska“ zamienić na „chorwacko-słoweńsko-dalmacka“, jak to było z początku, a sam przymiotnik „ilirski“, jako kryjący w sobie narodowe idee, był zakazany surowo. W obec takiego stanu rzeczy, partya narodowców musiała po za granicami kraju szukać swobody wygłasza-

nia swych myśli, co uważała za tém konieczniéjsze, iż w obec rządu usiłowała oczyścić się z czynionych jéj zarzutów natury politycznéj i przekonać, że z przypisywanemi jéj zarzutami nic zgoła wspólnego nie miała. Tak więc w Białogrodzie poczęto wydawać gazetę „Branisław“, mającą na celu wyświetlanie przed rządem austryackim i narodem chorwackim istotnego stanu rzeczy.

Tymczasem antagonizm między obiema partyami powiększał się stale. Właśnie zbliżał się czas sejmu obu narodów; madiaroni usiłowali na poprzedzającym sejmie chorwackim bądźcobądź dokonać wyboru posłów ze swéj partyi i nawet mieli zamiar jąć się oręża w ostateczności. Tu po raz pierwszy po chorwacku, nie zaś po łacinie, jak dotychczas. przemówił jeden z posłów. Był nim Jan Kukuljevicz-Sakciński, który wystąpił z żądaniem, aby jaknajszybciéj wprowadzono język chorwacki do wszystkich bez wyjątku instytucyi krajowych, do szkół i urzędów. Na ten raz atoli był to głos wołającego na puszczy. Na otwartym w r. 1843 sejmie obu narodów, wniesiono natychmiast kwestyę językową i Węgrzy razem ze swą partyą chorwacką orzekli, aby po upływie sześciu lat, język węgierski był zamiast łaciny urzędowym językiem i aby we wszystkich szkołach chorwackich wykład jego był obowiązującym. Szczególnie gorliwie w téj kwestyi popiéral sprawę Węgrów żupan turopolskiéj żupanii Josipowicz, stronnik madiaronów, jak i cała zresztą w téj żupanii szlachta. Odgłosy walk sejmowych odbijały się w samym Zagrzebiu, gdzie antagonizm i publiczne oznaki niechęci wzajemnéj obu partyi doprowadziły w końcu do krwawych zamieszek ulicznych 29 lipca 1845 roku. W dniu tym, jak i w poprzednim, odbywały się wybory podżupana żupanii zagrzebskiéj i po długich utarczkach stronnik madiaronów, za staraniem bana Hallera na tę godność był wyniesiony, co ogłoszono około godziny 7-éj wieczorem. Narodowcy, aczkolwiek byli z tego wielce niezadowoleni, w zupełnym atoli porządku cofali się od pałacu obrad, aby wrócić do swych mieszkań. Gdy przechodzili przez plac ś-go Marka, z okna jednego z domów przy nim położonych padł strzał, skierowany w tłum przechodzący i kula raniła studenta. Tłum rzucił się na kamienicę, skąd strzelono, będąc pewnym udziału madiaronów w tym czynie; ale natychmiast wojsko z rozkazu bana otoczyło plac i nie pozwoliło narodowcom posunąć się naprzód, a gdy głosy oburzenia i groźby wzrastały co chwila, żołnierze poczęli dawać ognia. Padło 13 ofiar zabitych i 27 ranionych. Oburzenie wskutek takiego barbarzyńskiego postępku ogarnęło wszystkich: w ostentacyjnym pogrzebie poległych olbrzymie tłumy brały udział i manifestowały jawnie swą nienawiść do Węgrów i ich stronników; przytém tu i owdzie

dawały się słyszéć pogróżki, skierowane do bana, któremu całą winę mordu przypisywano. Wypadek ten znacznie osłabił partyę madiaronów i u wielu wzbudził ku niéj nieufność; narodowcy zaś z większą w dwójnasób siłą wystąpili, usiłując bądźcobądź stawić silny opór żądaniom Węgrów i nie pozwolić stłumić budzącéj się samowiedzy, na któréj jedynie tylko przyszłość narodu polegała. Jaki był wówczas stan umysłów ogółu po tym wypadku, świadczy list Babukicza, w kilka dni potém pisany do jednego z przyjaciół: „Żyjemy wśród anarchii, a strach, jaki tu panuje, nie do opisania. Doznajemy takiego uczucia, jakbyśmy na śmierć byli osądzeni, gdyż z jednéj strony obawiamy się tych, którzy, mając władzę w rękach, aby czuwać nad bezpieczeństwem, sami naruszyli spokój publiczny w tak straszliwy sposób, z drugiéj strony boją się i sami ci obrońcy, aby tłum nie uderzył na nich i aby tym sposobem nie wybuchła rewolucya i walka wewnętrzna."

Pod wrażeniem zaburzeń zagrzebskich zebrał się sejm chorwacki w miesiąc potém. Na nim większość znaczną mieli już narodowcy, przeto z silniejszą, niż kiedykolwiek energią potrącono o najżywotniejsze kwestye narodowe, żądając przedewszystkiém utworzenia we wszystkich gimnazyach chorwackich obowiązkowych wykładów języka ojczystego i podniesienia wyższéj szkoły w Zagrzebiu na stopień uniwersytetu. Obok tego ułożono projekt składek na budowę teatru narodowego i projekt utworzenia arcybiskupstwa w Zagrzebiu dla całéj Chorwacyi, a to w celu oderwania się pod względem religijnym od znienawidzonych Węgier. Instrukcya poselska zakończona była projektem petycyi do cesarza o utworzenie przy dworskiéj kancelaryi węgierskiéj osobnego wydziału chorwackiego. Zaraz po zakończonych obradach, ban Haller, nie czując się zbyt bezpiecznym w Zagrzebiu, podał się do dymisyi, a cesarz polecił czasowo sprawować rządy bana zacnemu biskupowi chorwackiemu, Haulikowi. Strwożeni takim nieprzyjaznym dla siebie obrotem rzeczy na sejmie chorwackim, Węgrzy, za poradą Koszuta, wysłali deputacyę do cesarza z prośbą, aby instrukcye poselskie i uchwały sejmowe w Zagrzebiu były przezeń uznane za nieważne z powodu niedostatecznéj liczby stronników partyi madiaronów, biorących w rozprawach sejmowych udział. Dziwne to żądanie, a tém dziwniejsze, że zredagowane wedle wskazówek takiego jak Koszut człowieka, było przez cesarza odrzucone.

Coraz większa opozycya węgierska i stale postępujący naprzód ruch autonomiczny z widoczną nieprzyjaźnią dla rządu wiedeńskiego, skłoniły Metternicha do nowéj w obec Węgier zmiany polityki, a tém samém do przyjaźniejszego zapatrywania się na bieg spraw chorwac-

kich, które, jak się zdawało, od tego czasu o wiele pomyślniejszy poczęły przybierać kierunek. Wprawdzie na sejmiku żupanii zagrzebskiéj, z samych niemal madiaronów złożonym, w roku 1847-ym za przykładem żupana turopolskiego, Josipovicza, zgromadzeni przemawiali po węgiersku i obradowali nad projektem zupełnego zlania Chorwacyi z Węgrami, natomiast partya narodowców na sejmikach wszystkich innych żupanii, stanowcze odnosiła zwycięstwo; partya madiaronów zmiejszała się z dniem każdym i w końcu tylko jeszcze w jednéj żupanii zagrzebskiéj mogła walczyć o pierwszeństwo z partyą narodowców.

Zwołany wkrótce sejm chorwacki dla obioru posłów na zbliżający się sejm obu narodów, wykazał zupełny niemal upadek partyi węgierskiéj. Członkowie sejmowi w przemowach swych okazywali wielką moc ducha i ufność w swe siły; pomiędzy publicznością przytomną na obradach taki był zapał, że gdy Kukuljevicz na posiedzeniu 26 listopada przemówił o konieczności wprowadzenia języka chorwackiego do szkół, obsypano go z galeryi kwiatami. Zapał ten udzielił się i miastu całemu, które szczerze sympatyzowało z partyą narodową. Po krótkich debatach zastępca bana, biskup Haulik, ogłosił rezultat postanowień sejmowych, między któremi na pierwszym planie było domaganie się wprowadzenia języka ojczystego do szkół i urzędów w Chorwacyi. Atoli, wyprawieni niebawem na sejm chorwacko-węgierski posłowie z Metelem Ożegowiczem, prezesem rady bana, na czele, byli ostatecznie pokonani. Węgrzy oczywiście nie mogli zrzec się tak łatwo swych roszczeń, tém bardziéj, że podtrzymywały ich znacznie nadzieje pomocy i wspólności działania ze strony madiaronów, za ktorych pośrednictwem spodziewali się znieść ostatecznie „ową garstkę szaleńców, noszących nazwę ilirów.“ Na świetną, pełną zapału i mocy mowę Ożegowicza, wygłoszoną przed stanami w celu obrony narodowości i języka ojczystego, Koszut odpowiedział w te pamiętne słowa: „Między nami tylko miecz może spór rozstrzygnąć.“ Straszliwy w ogóle widok uciemiężania słabszych, ale stokroć straszliwszy zaiste, gdy naród gnębiony i podnoszący broń w imię swobody, sam z kolei uciemięża słabszych. Tak, niestety, postępowali Węgrzy z Chorwatami. Na zebraniach i sejmikach żupanii chorwackich, dawały się słyszeć głosy żądające, aby posłowie w obec bezskutecznych walk sejmowych wrócili do domu, a natomiast aby naród wysłał znowu adres do cesarza z prośbą o opiekę i pomoc przeciw Węgrom.

Tymczasem nadszedł rok 1848-my, a z nim niespodziewane wypadki, które wstrząsnęły umysłami całéj Europy i nieprzewidywane

za sobą pociągnęły skutki. Gdy pierwsze wieści o rewolucyi lutowéj i ogłoszeniu rzeczypospolitéj we Francyi doszły do obradujących na sejmie w Presburgu, natychmiast zapanowało w Węgrzech silne wzburzenie umysłów. Partya liberalna z Koszutem na czele, widząc w tém hasło swobody narodów, postanowiła na tajemném posiedzeniu skorzystać z czasu i zmusić władzę austryacką do ustępstw na rzecz autonomii narodowéj. Na jawnéj sesyi 2-go marca, Koszut ostremi słowy potępiał rządy Metternicha i wniósł projekt adresu do cesarza, domagając się dla Węgier przedewszystkiém rządu niezależnego i sejmu wolnego w Peszcie, a następnie reformy szkół, równości religijnéj, swobody druku i t. d. Urzeczywistnienie tych żądań miało być jedynym środkiem do przywrócenia zgody między rządem a Węgrami i ściśléj spójni narodów. Arcyksiążę Stefan, palatyn Węgier, sam zobowiązał się podać ten adres cesarzowi i skłonić go do zadośćuczynienia żądaniom narodu. Gdy deputacya z arcyksięciem na czele stanęła przed cesarzem, już w Wiedniu rozpoczęły się pierwsze ruchy rewolucyjne; Metternich musiał złożyć tekę ministra w ręce hr. Kolowrata, który stanął na czele nowego ministeryum konstytucyjnego. To znacznie ułatwiło deputacyi uzyskanie żądanych w adresie swobód od cesarza. 15-go marca Ferdynand I-szy podpisał konstytucyę dla Węgier. Hr. Ludwik Batthyanyi objął ster ministeryum węgierskiego i natychmiast utworzył siedm specyalnych wydziałów: spraw zagranicznych, wewnętrznych, finansów, komunikacyi, rolnictwa, sprawiedliwości i wojny. Koszut został ministrem finansów. Pierwszą czynnością nowego ministeryum było uwolnienie chłopów od pewnych powinności i robót względem szlachty; następnie nowo utworzony rząd narodowy wystosował cały szereg nowych żądań, jak np. założenia narodowego banku węgierskiego, wycofania z obiegu w Węgrzech asygnat austryackich, utworzenia armii węgierskiéj i t. d. To ostatnie szczególnie żądanie świadczyło już wyraźnie o istotnych zamiarach Węgier oderwania się od Austryi. Cesarz, żałując zbyt pospiesznie poczynionych na korzyść Węgrów ustępstw, próbował choć część władzy absolutnéj przynajmniéj w niektórych kwestyach zachować przy sobie; jednakże wywołał tém tak wielkie rozdrażnienie na sejmie w Presburgu, że palatyn arcyksiążę Stefan musiał dla uspokojenia umysłów obiecać wyjednanie u cesarza potwierdzenia i tych nowych projektów. Jakoż istotnie słaby Ferdynand zgodził się na wszystko, zatwierdzając jednocześnie nowe ministeryum madiarskie z warunkiem atoli, że minister spraw zagranicznych będzie stale przesiadywał w Wiedniu. To na chwilę przynajmniéj uspokoiło Węgry. Natomiast naród chorwacki ujrzał się w takiéj chwili zupełnie

opuszczonym i zdanym na łaskę nieprzyjaciół, którzy obezwładniwszy cesarza, mogli w obec Chorwacyi postąpić, jak im się podobało, będąc pewnymi, że cesarz dziś już w obronie małego kraiku słowiańskiego stanąć nie może. Chorwacya w ich oczach była już niczém innėm, jak tylko kilku komitatami węgierskiemi. Głośne zapytanie Koszuta: „Gdzie jest Chorwacya? Nie mogę jéj znaleść na mapie“ — wyjaśnia doskonale dalsze zamiary Węgrów. Atoli mimo to wszystko, może przewidując mający wkrótce nastąpić wybuch i obawiając się, aby Chorwaci nie stanęli w obronie tronu również zbrojno, Węgrzy próbowali szukać przyjaźni między swymi przeciwnikami i w tym celu wydali proklamacyę do narodu chorwackiego, gdzie w czułych wielce wyrazach zapewniali go o swéj przjaźni i zachęcali do wspólnego z nimi działania. Chorwaci za wskazówką Jana Mażuranicza odpowiedzieli z wielką godnością, oświadczając kategorycznie, że tylko pod opieką cesarza umyślili stale dążyć do równouprawnienia z Węgrami, i dając do zrozumienia, że w obec ciągłego nastawania na ich narodowość. obecnemu wylewowi uczuć wierzyć nie mogą.

W tym czasie na prośby wysłanéj z Zagrzebia do Wiednia deputacyi pod wodzą Kukuljewicza, Gaja i Vraniczaniego, cesarz zamianował nowego bana Chorwatów, głośnego późniéj wodza, Józefa Jelaczicza Bużymskiego.

Historyk chorwacki, Szmicziklas, taką daje charakterystykę tego człowieka: „Był on stanowczym w wykonaniu swych zamiarów, przez co umiał zyskać zaufanie narodu, dla którego był bardziéj pobłażliwym, niż surowym. Wrodzona dobroć serca przeszkadzała mu posiadać niektóre przymioty, potrzebne dla wodza i administratora, ale natomiast uczyniła go ulubieńcem narodu. Jelaczicz występuje jako gorący obrońca swego kraju, a z drugiéj strony jako generał austryacki był wierny cesarzowi i otwarcie powtarzał przed narodem owo głośne orzeczenie: Gdyby Austryi nie było, musielibyśmy ją stworzyć. Szło mu oczywiście nie o dwór wiedeński, ale o zachowanie monarchii całéj, w któréj widział i szczęście, i przyszłość całą swego narodu.“ Węgier Mailáth tak znów charakteryzuje stosunek bana do dworu wiedeńskiego: „Ban znajdował się w takiém samém położeniu, w jakiém był generał pruski York przed 36-ma laty po wojnie francusko-pruskiéj. Jak ten wbrew rozkazom króla połączył się z Rosyą, tak ban wbrew rozkazom cesarza wystąpił przeciw Węgrom; jak York był pozbawiony władzy i przed sąd wojenny pozwany, tak samo i ban; jak York, tak i ban nie poddał się i nie upokorzył; w końcu jak York swém nieposłuszeństwem ocalił Prusy, tak ban Jelaczicz monarchię austryacką.“ Zaraz przy objęciu władzy Jelaczicz temi

słowy określił program przyszłego swego postępowania: „Rewolucya podkopała stary fundament życia społecznego, narodowych i państwowych stosunków, a tém samém i nasz dawny stosunek do sojusznika naszego, Węgier. W obec tego, mając na względzie wiekowy nasz związek z koroną węgierską, musimy nasze z nią stosunki oprzéć na nowych podstawach, godnych swobodnego i walecznego narodu, na teraz atoli z obecnym rządem węgierskim wszelkie nasze stosunki muszą być zerwane. Należy nam teraz poprzéć daléj wielką sprawę odrodzenia narodowego, nie inaczéj wszakże, jak na drodze prawnéj naturalnego rozwoju, t. j. przez uchwałę sejmu narodowego, na którym będzie można swobodnie wypowiedziéć i wysłuchać wolę i myśli całego narodu. Pierwszą więc mą czynnością będzie jaknajprędsze zwołanie sejmu narodowego i wezwanie do wzięcia w nim udziału wszystkich stanów, abym istotną wolę narodu usłyszał.“

Wkrótce potém na wzór ministeryum węgierskiego uwolnił ban chłopów od pewnych powinności i robót dla szlachty i ogłosił karę na tych wszystkich, którzyby chcieli podkopywać powagę tronu lub sprzeciwiać się władzy i rozkazom bana, a również i na tych, którzyby nadal burzyli szlachtę przeciw „ilirom“ i okazywali jawnie swe sympatye ku Węgrom. Po takim wstępie wezwał ban wybitniejsze osoby w kraju do Zagrzebia na konferencyę, aby módz wspólnie z niemi ułożyć osnowę przyszłego sejmu, na którym mieli zasiadać nietylko posłowie z właściwéj Chorwacyi, ale i ze Slawonii i Dalmacyi; w obec czego poczucie narodowości, jedności, a stąd i siły, znacznieby wzrosło w całym narodzie.

Również jak Chorwaci, nie chcieli ulegać nowemu rządowi węgierskiemu i Serbowie przeddunajscy, którzy z patryarchą swym Rajacziczem utworzyli w Nowym-Sadzie swój własny komitet narodowy, a oświadczając się za tronem i wchodząc w bezpośrednie stosunki z dworem wiedeńskim, wystawili siłę zbrojną pod dowództwem generała Stratymirowicza, gotową dla obrony niepodległości.

W tym czasie, gdy na konferencyi w Zagrzebiu radzono o przyszłych losach narodu, palatyn węgierski i ministeryum wystąpiło przeciw Jelaczíczowi z żądaniem, aby odwołał wszystkie swoje dotychczasowe rozporządzenia, tyczące się Slawonii i Dalmacyi, jako krajów nie podlegających jego władzy, i aby bezwzględnie ulegał, jako ban Chorwacyi, palatynowi i ministeryum węgierskiemu. Ban oczywiście odmówił wszelkiego posłuszeństwa, w obec czego stany węgierskie nie omieszkały uzyskać od cesarza jawnego potępienia dotychczasowéj działalności bana i surowego zakazu zwoływania sejmu. Prócz tego, dla wytłómaczenia się ze swych postępków, ban otrzymał rozkaz natych-

miastowego udania się do Inspruku, dokąd właśnie schronił się cesarz przed rewolucyą wiedeńską. Jelaczicz po krótkiéj konferencyi ze stanami, mając prawdopodobnie zupełnie przeciwnéj treści instrukcyę potajemną od cesarza, postanowił oprzéć się rozkazom, pod naciskiem Węgrów wydanym, i natychmiast otworzył sejm narodowy uroczystością swéj instalacyi na bana Chorwatów [1]). Dopiéro po upływie dwóch tygodni, gdy sejm ułożył adres do cesarza, Jelaczicz na czele deputacyi chorwackiéj udał się do Inspruku; tu atoli przyjęty był przez cesarza bardzo oziębłe. Jakież przytém było jego zdumienie, gdy w powrocie do Zagrzebia przypadkiem w „Gazecie wiedeńskiéj" wyczytał swoją dymisyę, daną mu przez cesarza jeszcze na dwa dni przed przybyciem do Inspruku. Wiedząc doskonale, że to były intrygi Węgrów, ban złożył natychmiast radę w Zagrzebiu, uzyskał od stanów nieograniczoną władzę dyktatorską, i oświadczając się wiernym sługą tronu, począł zbiérać wojsko, aby się przygotować do orężnéj rozprawy z Węgrami. Postanowił wprawdzie szukać jeszcze na drodze pokojowéj środka do załatwienia spraw chorwacko-węgierskich i w tym celu jeździł do Wiednia, aby się widziéć z ministrem węgierskim; gdy jednakże wszystkie te starania spełzły na niczém, a Węgrzy grozili siłą oręża zmusić Chorwatów do bezwzględnéj uległości, Jelaczicz, złożywszy na czas swéj nieobecności rządy kraju w ręce vice-bana Mirka Lentulaja, na czele 50,000 armi chorwackiéj, łącznie z 30,000 Serbów z Banatu pod Stratymirowiczem i kilku tysiącami Serbów zadunajskich, pod dowództwem Knicianina przyprowadzonych wskutek zabiegów Kukuljevicza w Belgradzie, — 11-go września przeszedł Drawę pod Warażdynem i wkroczył w granicę Węgier. Rząd wiedeński za pośrednictwem ministra wojny, Latoura, wsparł bana potajemnie orężem i pieniędzmi. Widząc wojenne przygotowania Chorwatów, sejm węgierski wysłał do cesarza do Schönbrun deputacyę z prośbą o stanowcze poparcie sprawy Węgier i w razie konieczności o pomoc przeciw banowi. Cesarz atoli dał tym razem odpowiedź wymijającą, z któréj deputowani nic zgoła pomyślnego dla siebie wywnioskować nie mogli; a gdy wkrótce nadeszła do Pesztu wiadomość o przejściu Drawy przez Jelaczicza, okrzyk rewolucyi rozległ się po całych Węgrzech i minister Batthyanyi z towarzyszami podał się do

---

[1]) Dnia 4-go czerwca w obec niezliczonych tłumów zgromadzonych z różnych stron Chorwacyi, ban Jelaczicz, otoczony starszyzną, na białym koniu, przy odgłosach muzyki i dzwonów, którym towarzyszył huk dział, wedle starego zwyczaju odbył ceremonię wjazdu do miasta. Instalacyi bana dopełnił patryarcha serbski Rajaczicz, gdyż biskup Haulik na żądanie cesarza opuścił Zagrzeb.

dymisyi, oznajmiając jednocześnie na posiedzeniu sejmowém 15-go września, że dowódzca wojsk węgierskich, hr. Adam Tölöki, złożył przed banem chorwackim broń bez wystrzału. W tak krytycznéj chwili arcyksiążę Stefan postanowił udać się do obozu chorwackiego dla pertraktacyi z banem, w celu odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa; atoli Jelaczicz nad wszelkie spodziewanie odmówił widzenia się z palatynem, który w obec takiego ubliżenia swojéj godności zmuszony był złożyć swą władzę i wyjechać zagranicę témbardziéj, że wrogie usposobienie tronu dla Węgier w tym czasie nie dawało mu żadnéj nadziei potępienia takiego zuchwałego postępku Jelaczicza. Węgrzy natychmiast utworzyli z Koszutem na czele „komitet obrony narodowéj,“ który naprędce zebrał niektóre oddziały porozrzucanéj po kraju armii węgierskiéj i dowództwo nad nią oddał generałowi Moga. W tym czasie cesarz, naganiwszy postępowanie Węgrów, przysłał do Pesztu hr. Franciszka Lamberga, mianując go komisarzem Węgier na miejsce arcyksięcia Stefana. Komitet obrony narodowéj odmówił uznania Lamberga namiestnikiem cesarskim, a gdy ten przybył mimo to do stolicy, lud wywlókł go z karety i na moście między Budą a Pesztem zarąbał kosami. Poczém ogłoszono za zdrajców wszystkich tych, którzyby się ośmielili pozostać wiernymi rządowi wiedeńskiemu, lub okazywali posłuszeństwo Jelacziczowi, naznaczonemu przez cesarza głównodowodzącym siłami wojennemi w Węgrzech. Generał Moga, wyruszywszy w pole i wzmocniwszy swe siły oddziałem Perczela, postanowił na radzie wojennéj uderzyć na Jelaczicza wstępnym bojem. Jakoż d. 29 września zaszła bitwa przy Pakozd i po kilkogodzinnéj walce zaciętéj, Chorwaci zmuszeni byli ustąpić. Za cofającym się Jelacziczem ruszyła główna armia węgierska, zaś Perczel z kilkotysięcznym oddziałem w kilka dni potém odnosi świetne zwycięstwo przy Tacz, a następnie przy Ozora nad generałami austryackimi.

Tymczasem jeszcze d. 22 czerwca otwarto w Wiedniu parlament zwany *Reichstag*, na którym miały być ostatecznie uregulowane stosunki krajów austryackich. Zaraz na początku posłowie *Reichstagu* podzielili się na dwa stronnictwa: federalistów (prawica) i centralistów (lewica). Pierwsi żądali podziału Austryi na kraje względnie do narodowości każdego. Każdy taki kraj miał mieć zupełny samorząd i własny sejm krajowy; a ponad ten miał stać senat, którego członkowie byliby częścią obieralni, częścią delegowani od sejmów krajowych. Centraliści zaś żądali tylko podziału Austryi na zwykłe prowincye bez względu na narodowość, z jednym dla wszystkich prowincyi sejmem, przyczém, rzecz godna uwagi, Węgry miały stanowić

osobny kraj samodzielny. Oczywiście, o ile posłowie słowiańscy sprzeciwiali się takiemu urządzeniu państwa, o tyle Węgrzy popierali je siłami wszystkiemi. Sejm w Peszcie, widząc jawne sympatye dla siebie centralistów wiedeńskich, postanowił wysłać deputacyę powtórnie, ale już nie do cesarza, od którego niczego się spodziewać nie można było, tylko wprost do zgromadzenia konstytucyjnego w nadziei otrzymania zupełnego zwycięstwa w połączeniu z lewicą. Jednakże dzięki głównie posłom czeskim, deputowani węgierscy większością 186 głosów przeciw 108 byli nie przyjęci do zgromadzenia, co stało się powodem przewidywanego wybuchu. Ludność wiedeńska, sympatyzująca z Węgrami, dnia 6-go października rozpoczęła ruchy rewolucyjne i pierwszą jéj ofiarą był minister wojny, Baillet de Latour. Federaliści wobec grożącego im niebezpieczeństwa opuścili Wiedeń a w zgromadzeniu wszechwładnie zapanowali stronnicy węgierscy. Cesarz, schroniwszy się do Ołomuńca, wysłał natychmiast rozkaz do Jelaczicza, aby połączył się z armią księcia Windischgrätza, idącą z Czech, i śpieszył czémprędzéj pod stolicę. Ban, mając wciąż w tyle za sobą armię węgierską, zwrócił się na Wiedeń, który, otoczony ze wszech sron, bronił się wytrwale od 23-go października. Windischgrätz podzielił całe wojsko oblegające na trzy korpusy: ban chorwacki dowodził pierwszym. 28-go października po przypuszczeniu ogólnego szturmu do Wiednia, Jelaczicz po zaciętéj bitwie zdobył przedmieście, a następnie zaatakował i zdobył główną barykadę, przez Bema bronioną, a przez Windischgrätza bezskutecznie szturmowaną. W obec tego rewolucyoniści 30 października rozpoczęli układy: Bem i inni przewódzcy ruchu szukali w ucieczce ratunku. W tém nadeszła wiadomość, że Węgrzy śpieszą na pomoc stolicy; nadzieja odżyła w sercach oblężonych, którzy rozpoczęli na nowo walkę. Dnia 31-go października wojsko węgierskie stanęło pod Szwechat pod Wiedniem, a ku niemu zwrócił się Jelaczicz ze swymi Chorwatami i po kilkogodzinnéj straszliwéj bitwie rozbił zupełnie 40,000 armię węgierską, przy któréj znajdował się i sam Koszut. Rewolucyoniści z wieży ś-go Stefana patrzyli na porażkę sprzymierzeńców i widząc, że ostatnia nadzieja znikła, rzucili się w rozpaczliwy bój z Windischgrätzem, który jeszcze w samém mieście, zdobywszy wszystkie ważniejsze punkty, musiał upartą stoczyć z nimi utarczkę. W wielu miejscach wszczął się pożar, lud rzucił się na pałace cesarskie aby zburzyć je doszczętnie i nawet zamierzał wtargnąć do podziemi kapucynów, aby porozbijać trumny cesarskie i powyrzucać popioły, ale tu stanęli dzielni Chorwaci, którzy skutecznie odparli tłumy. 1-go listopada z wieży ś-go Stefana już powiewała chorągiew cesarska. Rewolucya była

stłumiona i gdy z rozkazu Windischgrätza rozpoczęły się aresztowania i egzekucye, dr. Franciszek Smolka z polecenia cesarza zwołał posłów dla dalszych rokowań sejmowych do Kromierzyża w Morawii. Dnia 22-go listopada rozpoczęto przerwane obrady, na których w poglądach deputowanych zaszły znaczne zmiany. Rewolucya otworzyła oczy centralistom umiarkowańszym i z tego powodu lewica niemal zupełnie upadła. Nowy minister po abdykacyi cesarza Ferdynanda 2-go grudnia, hr. Feliks Szwarcenberg, na którego włożono obowiązek odbudowania monarchii austryackiéj, wygłosił przed zgromadzonemi stanami w Kromierzyżu program swéj polityki, z którego widocznie bardzo przeglądały zamiary centralizacyjne. Nie wątpiono już ani na chwilę, że nowa konstytucya, którą miano opracować, będzie oparta na zasadach ściśle centralistycznych. Oczywiście, z takiego obrotu rzeczy ani Węgrzy, ani Chorwaci zadowoleni nie byli. Sejm węgierski nie uznał abdykacyi cesarza i nie przestawał nadal uważać Ferdynanda za prawego monarchę. W tym czasie Windischgrätz mianowany został bez względu na Jelaczicza najwyższym wodzem i komisarzem cesarskim w Węgrzech i otrzymał rozkaz iść razem z banem na Węgrów dla stłumienia rewolucyi. W połowie grudnia już rozpoczęły się utarczki między wojskiem cesarskiém i węgierskiém. Wódz węgierski, Artur Görgey, cofnął się do Raab i pod Wieselburgiem pobił Austryaków; natomiast Jelaczicz na czele Chorwatów odniósł świetne zwycięstwo nad generałem Perczelem przy mieście Moor, gdy tymczasem generał austryacki Szlik postępował najprzód od strony Galicyi, sam zaś Windischgrätz szedł prosto na Peszt. W obec tego rząd węgierski opuścił stolicę i przeniósł się do Debreczyna, gdzie rozwinął niesłychaną energię w sprawie obrony krajowéj. Z początku armia cesarska miała zupełne powodzenie: w Banacie wojsko węgierskie wyparte zostało przez Serbów, którzy za broń chwycili, Windischgrätz zaś zajął bez oporu Peszt opuszczony i w kilka tygodni potém pobił wojsko węgierskie 26 i 27 lutego 1849 r. pod Kapolną. To ostatnie zwycięstwo dało nadzieję szybkiego stłumienia rewolucyi węgierskiéj i dlatego przyśpieszyło ogłoszenie nowéj kontucyi. Sejm kromierzyski został rozwiązany i 4-go marca ogłoszono nową ustawę rządową, mocą któréj wszystkie ziemie monarchii austryackiéj miały być odtąd połączone w jedną ścisłą całość, a dla stłumienia nawet myśli o samorządzie, zniesiono sejmy krajowe i unieważniono wszystkie instytucye, powstałe w czasach przewrotu.

Wkrótce atoli następuje kres powodzeń oręża austryackiego. Windischgrätz, pobity w kilku potyczkach, cofa się do Pesztu. Jelaczicz ze swoimi Chorwatami cudów waleczności dokazuje, wprowa-

dząjąc w zdumienie samych nieprzyjaciół (świetny zwłaszcza był atak jego pod wsią Tapio-Biczke, gdzie waleczny ban rozbił korpus generała węgierskiego Klapki), atoli niezaradność głównego wodza niszczyła zawsze wszystkie owoce zwycięstw. Skutkiem czego cesarz odwołuje Windischgrätza, a na jego miejsce przysyła Weldena, a wkrótce potém Haynau'a; mimo to, położenie wojsk austryackich nie poprawiło się wcale. Jelaczicz, pobity kilka razy, cofnął się na lewy brzeg Dunaju, aby połączyć się z armią południową i uderzyć na Bema w Siedmiogrodzie; jednakże, gdy zamiar ten spełzł na niczém i wszelka nadzieja poprawienia sprawy znikła, wrócił do Chorwacyi rozgoryczony i słusznie zażalony na nieudolnych wodzów austryackich. Zgromadzenie narodowe w Debreczynie 4 kwietnia ogłosiło dom Habsburgów za odpadły od korony węgierskiéj i Węgry uznało za rzeczpospolitą z Koszutem na czele. Wkrótce potém Austryacy ze wszystkich pozycyi byli wyparci, a w końcu nawet i stolica była zajęta przez generała Görgey'a 21 maja, wobec czego cesarz zmuszony był szukać pomocy u Rosyi. Pod Wilagosz kilkudziesięciotysięczna armia węgierska bez bitwy, zawodząc najpiękniejsze nadzieje narodu, złożyła broń przed Paskiewiczem. Kilku wybitniejszych rewolucyonistów, a w ich liczbie Koszut i Bem, uciekło do Turcyi, pozostali zaś, oprócz jednego Görgey'a, na śmierć skazani. Haynau, naznaczony pełnomocnym komisarzem Węgier, rozpoczął straszliwe egzekuzye po całym kraju i teroryzmem usiłował uspokoić umysły, Węgry musiały poddać się ustawie z dnia 4 marca i jako kraj koronny, uważane były za wcielone do monarchii austryackiéj.

Chorwaci, którym wiara w lepszą przyszłość dodawała sił nadludzkich i do niesłychanego posuwała ich męstwa, podczas walki z Węgrami, ujrzeli się również pozbawionymi naraz wszelkich nadziei polepszenia losu. Wprawdzie nie połączono ich znowu z Węgrami, natomiast poczęła się w całym kraju gorsza stokroć od węgierskiéj gospodarka niemiecka. Nietylko dążenia centralizacyjne, ale czystogermanizacyjne stanęły, jak widmo przed oczami biednego narodu, który swém poświęceniem się dla monarchii znacznie się przyczynił do uratowania tronu Habsburgów. Najgorętszém pragnieniem Chorwatów było połączenie się w jedną całość z Dalmacyą i Slawonią; do tego atoli po wydanéj ustawie 4 marca, a następnie po patencie cesarskim 31 grudnia 1851 r., o wiele gorszym jeszcze w swych skutkach, przyjść żadną miarą nie mogło. Polityka Bacha zmierzała przedewszystkiém ku temu, aby przeszkodzić wszelkiéj spójni z sobą krajów monarchii austryackiéj; pojedyńcze więc ziemie Słowian południowych pozostały politycznie jeszcze bardziéj oddzielone od siebie. Chorwa-

cyę podzielono na 6, a potém na 5 żupanii czyli komitatów, a każdym z nich rządził mianowany przez rząd żupan, którego dążności musiały być przedewszystkiém germanizacyjne. Banem Chorwacyi pozostał nadal Jelaczicz i piastował ten urząd do śmierci, t. j. do 1859 r., jednakże pomimo wszelkich ze swéj strony protestów przeciw coraz nowym nadużyciom i gwałtom rządu, polepszyć doli swego narodu nie zdołał. Do szkół, sądownictwa i administracyi poczęto wprowadzać język niemiecki, a w całych Węgrzech i Chorwacyi wprowadzono kodeks karny i cywilny austryacki. Pozycya stawała się coraz gorszą, o wiele straszliwszą, niż za czasów węgierskich; wówczas bowiem można było walczyć na sejmach z nieprzyjacielem, naród miał rozwiązane ręce i mógł się bronić, mógł protestować zresztą przeciw nadużyciom; obecnie sejmy były zniesione i wszechwładnie zapanowało w stosunkach plemiennych, prawo mocniejszego, i barbarzyński, zwierzęcy system krępowania rąk i zatykania ust, aby ofiara nie mogła ani się bronić, ani protestować głośno. Wszelki, widoczniejszy objaw patryotyzmu był prześladowany i tłumiony wszelkiemi sposobami. Niechęć, żal, roczarowanie było powszechne. Wśród takich okoliczności nie dziw, że gdy cesarz w r. 1852 zwiedzał Chorwacyę, doznawał wszędzie bardzo chłodnego i obojętnego przyjęcia. Po za obrębem urzędowych, przymusowych manifestacyi, nie okazano żadnéj radości z tego powodu i żadnego żywszego uczucia przywiązania do tronu.

Literatura z owych czasów, pomimo wielkiego prześladowania, rozwija się daléj, przybierając z konieczności charakter bardziéj naukowy. Poezya skutkiem tłumienia zapału i uczuć patryotycznych, co ją zrodziły, słabnie, natomiast mnożą się studya naukowe, przeważnie z dziedziny historyi i archeologii krajowéj. Wielu z pisarzów rozczarowanych, usunąwszy się z pola działalności politycznéj, zamknęło się w zaciszu wiejskiém i zdala od spraw publicznych, o ile to było możliwe, jęło się pracy na polu naukowém, zwróciwszy się do przeszłości narodowéj, aby studyować stare zabytki piśmiennictwa chorwackiego. Na tém polu największe zasługi położył zmarły niedawno Jan Kukuljevicz-Sakcinski i obecny prezes akademii południowo-słowiańskiéj, Franciszek Raczki. Z wybitniejszych poetów owego czasu, należy postawić na pierwszém miejscu Piotra Preradowicza, a następnie pomniejsze talenty, jak Jan Truski, August Szenoa i inni. Ale po nad tymi wszystkimi ludźmi stał mąż-patryota, który w dniach niedoli jak gwiazda przewodnia, świeci na pochmurnym horyzoncie Chorwacyi, i nie tracąc ani na chwilę nadziei, z energią niesłychaną, podtrzymuje ducha w narodzie. Mężem tym jest Jó-

zef Jerzy Strossmayer, biskup w Dyakowie. Urodzony w r. 1815 w Ossieku, w byłem Pograniczu Wojenném, kształcił się najpierw w mieście rodzinném, potém wszedł do uniwersytetu w Peszcie, tam uzyskał stopień doktora filozofii, a wkrótce potém w 23 roku życia, wstąpił do stanu duchownego i po otrzymaniu święceń kapłańskich, został nauczycielem seminaryum w Dyakowie w Slawonii, gdzie po raz pierwszy ukazał się na arenie działalności publicznéj, jako gorliwy obrońca praw narodu swego przed Węgrami. Podczas wypadków 1848 r., Strossmayer mieszkał w Wiedniu jako kapelan cesarza Ferdynanda i gorliwie popierał sprawy Chorwacyi, oświadczywszy się stanowczo za Austryą przeciw Węgrom. W r. 1849, po śmierci biskupa slawońskiego Kukowca, Strossmayer został biskupem Bośni i Syrmii, i na jego miejscu zamieszkał w Dyakowie. Teraz właśnie, gdy ucisk ze strony Austryi codzień się wzmagał, młody biskup ani na chwilę nie stracił nadziei i energiczną rozwinął czynność, zwracając się przeważnie do ludu, aby go oświecić i tém samém obudzić w nim uczucia narodowe. Strossmayer zrozumiał dokładnie, że tylko w masie ludu spoczywa istotna siła narodu, którą wydobyć na jaw potrzeba, i jako człowiek wielkiego ducha, pojmujący jasno swe zadanie wobec społeczeństwa, usiłował lud ten oświécić. Zakłada więc własnym kosztem seminaryum w Dyakowie, a po caléj Slawonii szkółki wiejskie dla chłopców i dziewcząt, wspiéra kształcącą się młodzież, i z hasłem: „Wszystko za wiarę i ojczyznę“ rozbudza życie umysłowe, i wléwa nadzieję lepszéj przyszłości we wszystkich zakątkach swéj ziemi. Wiedząc, że w takich chwilach prześladowania tylko duchowieństwo najłatwiéj i najskuteczniéj może na lud oddziaływać, zachęca księży, aby wszelkiemi siłami starali się podnieść oświatę ludową i w tłumach uczucia patryotyczne zaszczepić. Nie dziw więc, że mając takiego męża wśród siebie, naród nie upadł na duchu i coraz daléj szedł po drodze postępu i odradzania się duchowego.

Jeszcze w czasach Gaja, t. j. w epoce iliryzmu wybitniejsi literaci zamierzali utworzyć jakąś instytucyę naukową, któréj głównym celem byłoby specyalne badanie dziejów ojczystych; w r. 1836 zamierzano właśnie założyć takie towarzystwo, a myśl tę szczególnie gorąco popierał Gaj i Babukicz, atoli różne przeszkody, nie pozwoliły urzeczywistnić tego zamiaru. Dopiéro, gdy po uśmierzeniu ruchów rewolucyjnych r. 1848 i 1849 zapanował spokój i cisza zupełna w kraju, gdy tylko jedne jeszcze, nie mające widocznie żadnego związku z polityką, nauki ścisłe mogły się swobodniéj rozwijać, wrócono do dawnych zamiarów utworzenia takiej instytucyi naukowéj. Za staraniem bana Jelaczicza, udało się w r. 1850 założyć w Zagrzebiu „To-

warzystwo historyczno-archelogiczne“, które w krótkim czasie liczyło około 260 członków, z prezesem, Janem Kukuljeviczem na czele. Celem towarzystwa było odszukiwanie i zbieranie dawnych zabytków piśmiennictwa Słowian południowych, krytyczny ich przegląd i badanie historyi chorwackiéj we wszystkich kierunkach życia narodowego, na podstawie źródeł starych a niezużytkowanych dotychczas. Organem towarzystwa było „Archiwum“, w którém umieszczano rezultaty badań naukowych, krytyczne rozbiory i sprawozdania; wychodziło ono pod głównem kierownictwem Raczkiego i zawierało w sobie wiele wiadomości ważnych, tyczących się głównie starych kronik i innych zabytków historyi i wogóle piśmiennictwa chorwackiego. Przez cały czas reakcyi t. j. do r. 1861, całe niemal życie umysłowe skupiało się około tego towarzystwa, i dla tego właśnie ma ono wielkie znaczenie nietylko w dziejach rozwoju historyografii narodowéj, ale i wogóle w dziejach odrodzenia umysłowego. Z instytucyi téj, w czasach późniejszych, gdy nastąpił w polityce austryackiéj zwrot ku lepszemu, powstała w Zagrzebiu w r. 1867 akademia południowo-słowiańska, któréj założenie zawdzięczać należy znakomitemu jéj protektorowi, biskupowi Strossmayerowi. Zacny ten patryota dał najpierw na budowę gmachu téj akademii 40,000 złr. następnie na jéj cele naukowe 70,000 złr., a w końcu ofiarował do jéj zbiorów, przepyszną galeryę obrazów, ocenioną na 200,000 złr. Instytucya ta na wstępie wzięła sobie za cel studyowanie i wydawanie dawnych pomników prawnych i historycznych Słowian południowych i starych autorów z XVI i XVII w., i poczęła przytém zbiérać materyały do obszernego słownika chorwackiego i serbskiego. Głównym organem akademii, jest „Rad“, wydawany peryodycznie i mieszczący w sobie sporo bardzo cennych monografii, głównie z dziedziny historyi, archeologii, literatury i filologii słowiańskiéj, a obok tego także rozprawy z zakresu mitologii Słowian, nauk przyrodniczych i t. d.

Wogóle, ów dziesięcioletni okres polityki bachowskiéj znacznie się przyczynił do skierowania umysłów na drogę ściśle pracy naukowéj. Naród w uczuciu dla najdroższych ideałów swoich nie osłabł ani na chwilę pod naciskiem okoliczności; otrzeźwiał tylko znacznie, stał się ostrożniejszym i pojął ostatecznie, że tylko droga długiéj, ciężkiéj, powolnéj, a nieustannéj pracy, prowadzi do osiągnięcia trwałych rezultatów, że tylko niezachwiana wiara w samego siebie i liczenie na własne siły, nawet w najcięższych warunkach życia może zapewnić byt w przyszłości.

Tymczasem niezadowolenie ludów, wchodzących w skład monarchii Habsburgów, z każdym dniem wzrastało, ku czemu znacznie się

przyczyniała wielka ruina materyalna. Niezadowolenie to i niechęć do rządu jawnie się okazały podczas wojny włoskiéj w r. 1859. Oddawano, wprawdzie z musu, ostatni grosz swój na potrzeby wojny i stawano w szeregach walczących, atoli gorąco pragniono wogóle zwycięstwa dla Włochów. Gdy Austrya po porażce pod Magentą i Solferinem utraciła jedną z najpiękniejszych prowincyi swoich, rząd począł dopiéro wówczas myśléć o zmianie dotychczasowéj polityki. 1 września 1859 r. ogłoszono manifest cesarza, zapowiadający zmiany w rządzie, a wkrótce potém nastąpiła dymisya Bacha i oddanie teki ministra spraw wewnętrznych Gołuchowskiemu. 5-go marca roku następnego wyszedł drugi patent cesarski, reorganizujący radę państwa, która od téj chwili miała się składać z członków zwyczajnych, mianowanych bezpośrednio przez cesarza i 38 członków tymczasowych, wybieranych z liczby kandydatów z łona narodów austryackich. Zadaniem zwołanéj na maj rady państwa było rozpatrzenie przedewszystkiém kwestyi tyczącéj się prawodawstwa i kwestyi finansowéj, znajdującéj się dotychczas w stanie opłakanym. Rada państwa, a zwłaszcza jéj członkowie węgierscy, niezadowoleni z niektórych punktów patentu z d. 1 września 1859 r., szczególnie tyczących się organizacyi kościelnéj, wskazali przywrócenie konstytucyi dawnéj jako jedyny sposób polepszenia stanu monarchii. Jak podczas sejmu państwowego w r. 1848, tak i obecnie utworzyły się dwa obozy: centralistów i federalistów; do tych ostatnich należeli i Chorwaci, których interesy reprezentował w radzie biskup Strossmayer, domagając się autonomii dla swego kraju. Hr. Gołuchowski opracował projekt nowéj konstytucyi, która 20 października była ogłoszona. Obiecywała ona samorząd i niezależność wszystkim narodom w skład monarchii wchodzącym, z zachowaniem języka własnego i z sejmami osobnemi, po nad któremi stawała rada państwa, składająca się z delegatów, na sejmach krajowych obranych. Cesarz przyznawał prawo rozstrząsania kwestyi prawodawczych sejmom krajów, należących do Węgier, w duchu ich ustaw konstytucyjnych, sejmom zaś krajów niewęgierskich w duchu konstytucyi tych krajów. Tu odrazu oko bystrzejsze mogło już dostrzedz zaczątków późniejszego dualizmu. Jednakże Węgrzy okazali wielkie niezadowolanie z nowéj ustawy, spodziewali się bowiem więcéj, niż otrzymywali wedle jéj orzeczenia; obok tego, stosunek Chorwacyi do Węgier nie był jeszcze rozstrzygnięty; utworzono tylko dykasteryum chorwackie w Wiedniu, póki ów stosunek ostatecznie nie będzie określony; a gdy wyszły pierwsze projekty prawodawcze dla prowincyi austryackich, opracowane przez Gołuchowskiego i w istocie odnawiające tylko dawniejsze ustawy państwa bez konstytucyona-

lizmu, odpowiadającego wymaganiom chwili bieżącéj, protesty ozwały się tak jednogłośnie, że rząd nie mógł nie dojrzéć niezadowolenia ogólnego, co było powodem dymisyi Gołuchowskiego. Nowy minister Schmerling budził jaknajlepsze nadzieje w ludach austryackich, jednakże, gdy w dniu 26 lutego 1861 r. wyszły ułożone przez niego patenty cesarskie, organizujące i wprowadzające w życie to, co obiecane było w patencie z d. 20 października, zawód był nowy. Ogół ujrzał w nich przewagę, daną żywiołowi niemieckiemu, ze szkodą innych narodowości, stąd rozczarowanie było powszechne. Zwołany sejm chorwacki, stanął natychmiast na stanowisku praw z r. 1848, żądając niezależności od Węgier. Wśród obradujących utworzyły się trzy partye, z których jedna pod przewodnictwem Strossmayera, Raczkiego i Mażuranicza, stanęła po stronie rządu, t. j. żądając rady państwa i stosunku federacyjnego narodów, tworzących monarchię austryacką; druga, składająca się z dawnych madiaronów, popierała żądania Węgier, nieprzyjaznych utworzeniu rady państwa; trzecia zaś, właśnie w tym czasie powstała partya t. z. prawa z Antonim Starczewiczem i Eugeniuszem Kwaternikiem na czele, opierając się na dziejowym stosunku Chorwacyi do Węgier i Habsburgów, żądała utworzenia osobnego trójjedynego królestwa (Chorwacyi, Dalmacyi i Slavonii) niezależnego ani od Węgier, ani od Austryi. Ta właśnie strona prawa przeważyła na sejmie. Dzięki przystąpieniu do niéj posłów z Pogranicza wojskowego, i gdy madiaroni, widząc zupełną porażkę, opuścili izbę sejmową, wystosowała do cesarza adres, w którym wyłożyła swoje żądania. Oczywiście odpowiedź otrzymano odmowną i wkrótce sejm był rozwiązany. Węgrzy w dalszym ciągu sprzeciwiali się utworzeniu rady państwa, widząc, że większość będzie zawsze po stronie Niemców; stąd opór był powszechny: Wenecya, Węgry, Transylwania i Chorwacya, odmówiły wysłania swych posłów do Wiednia, blisko więc trzecia część deputowanych była nieobecną na otwartéj radzie. „Możemy zaczekać“ — powiedział wobec tego spokojnie Schmerling. Węgrzy żądali koronacyi cesarza w Peszcie i przyłączenia do nich Chorwacyi: to atoli doprowadziło tylko do rozwiązania sejmu węgierskiego i do zakazu wszelkiego zgromadzania się i narad komitatów.

Kilkomiesięczne debaty w radzie państwa nie dały żadnych pozytywnych rezultatów; przekonano się tylko, że idee Schmerlinga i patenty lutowe nie mają racyi bytu wobec konieczności dziejowéj; należało tedy innych chwycić się środków. Już w r. 1865 Schmerling, który nawet i Niemców poczynał oburzać na siebie, otrzymał dymisyę, a nowy minister Belcredi zapowiadał nadzieję porzucenia dotychcza-

sowego systemu, a obrania drogi wolnego porozumienia się narodów z rządem. Na zwołanym sejmie chorwackim, obok madiaronów i strony prawa, występuje partya t. z. niepodległych, trwająca stale w postanowieniu utrzymania niezależności narodowéj i ostatecznego zerwania z Węgrami. Partyi téj przewodził razem z Mazuraniczem najdzielniejszy rzecznik swobód narodowych Jan Kukuljewicz, który, gdy zabłysła od r. 1859 nadzieja lepszéj przyszłości, znowu czynnie wystąpił na arenie politycznéj. Wobec wrogiego ku sobie usposobienia tych partyi z jednéj strony, a konieczności załatwienia pokojowego sprawy z Węgrami z drugiéj, cesarz wystosował reskrypt do sejmu chorwackiego z żądaniem wysłania posłów na sejm do Pesztu, dla ostatecznego porozumienia się z Węgrami. Jakkolwiek strona prawa, pod przewodnictwem Starczewicza, stanowczo oparła się temu, nie chcąc słyszéć o jakiéjbądź ugodzie, wielu atoli życzyło sobie porozumienia się z Węgrami, w nadziei uzyskania praw należnych Chorwacyi, jako narodowi. Wybuchła wkrótce potém wojna austro-pruska przerwała wszelkie obrady i dalsze rokowania sejmów krajowych zawieszono tym razem, a dopiéro 19 listopada 1866 r. zagajono nanowo rozprawy. Sejm chorwacki był dość burzliwy z powodu wniesionéj kwestyi wysłania posłów do Pesztu. Mimo opór Starczewicza uchwalono nakoniec wysłanie deputacyi, w któréj skład weszli najwybitniejsi przywódzcy narodowi: Strossmayer, Raczki, Klaić i inni. Niestety, wymagania Węgrów były zbyt wygórowane, aby o przyjściu do skutku jakiejbądź ugody marzyć było można. Węgrzy nie mogli zgodzić się na uznanie autonomii Chorwacyi, a przytém żądali jeszcze oddania Rjeki (Fiume) i oddania tego ważnego dla Chorwatów miasta w bezpośrednie władanie Węgier. Skutkiem tego, po dwumiesięcznych przeszło debatach posłowie wrócili do kraju z niczém. Jedyną nadzieję pokładali jeszcze Chorwaci w ministra Belcredim, którego polityka zmierzała do równouprawnienia wszystkich narodów monarchii. Tymczasem u dworu wiedeńskiego już wówczas ścierały się z sobą dwie partye: hr. Beust widząc, iż Węgrzy nie uspokoją się ostatecznie bez urzeczywistnienia wszystkich ich żądań i gotowi są w każdéj chwili chwycić broń, jak w r. 1848 (dowodem tego było ich zachowanie się wrogie wobec Austryi podczas wojny pruskiéj, gdy generał Klapka proponował Prusakom zorganizowanie legionu węgierskiego i naród gotował się do rewolucyi) — uważał za konieczne rychłe przeprowadzenie ostatecznéj ugody między nimi a rządem, a co do krajów słowiańskich, radził trzymać się polityki Schmerlinga „przypierania Słowian do muru“. Zdanie Beusta przeważyło u dworu, skutkiem czego nastąpiła dymisya Belcrediego; a wkrótce, co zatém

idzie, ostateczna ugoda z Węgrami, przeprowadzona bez żadnego udziału w niéj krajów słowiańskich. Chorwacya z Banaten i Slawonia zostały uznane za kraje korony Ś-go Stefana, t. j. zaliczone do Translitawii, Dalmacya zaś i Słoweńcy, co miały stanowić jedność trójjedynego królestwa, weszły w skład krajów austryackich. Węgrzy, czując się już silnymi, bez porozumienia się z Chorwatami wysłali swego komisarza, który zajął Rjekę pomimo wszelkich protestów, ogłaszając ją za miasto, należące bezpośrednio do Węgier. Cesarz 8 czerwca ukoronował się w Peszcie, jako król węgierski, bez udziału w téj uroczystości posłów chorwackich, którzy protestując przeciw zajęciu gwałtem Rjeki, odmówili swego uczestnictwa w parlamencie węgierskim. Mając teraz przewagę w swych rękach, rząd węgierski postanowił zmusić Chorwatów do przyjęcia ugody na takich warunkach oczywiście, jakie dla niego będą najdogodniejszemi. Dwa razy zgromadzany sejm chorwacki w Zagrzebiu, z powodu silnéj opozycyi, był z nakazu Węgrów rozwiązany, a główny przywódzca opozycyi, biskup Strossmayer, naraziwszy się nawet dworowi wiedeńskiemu, skutkiem energicznego występowania przeciw Węgrom, zmuszony był usunąć się z widowni politycznéj i wyjechać na pewien czas z kraju. Usiłowania Węgrów skierowane były ku temu, aby na sejmie chorwackim większość składała się z ich popleczników i w tym celu rozwinięto w kraju silną agitacyę. Jakoż istotnie, trzeci z kolei zwołany sejm w Zagrzebiu wykazał już przewagę po stronie madiaronów, którzy zaraz pośpieszyli obrać posłów do parlamentu w Peszcie, dla traktowania z Węgrami. Posłowie ci 8 grudnia 1868 r. przyjęli w imieniu narodu warunki ugody, jakkolwiek nie takie oczywiście, jakich się domagano słusznie, atoli czyniące czasowo przynajmniéj stosunek Chorwacyi do Węgier możliwym. Główniejsze jéj punkty są: Chorwaci wysyłają na sejm węgierski 39 deputowanych; ban w Zagrzebiu, mianowany bezpośrednio przez cesarza, sprawuje władzę wykonawczą (oczywiście nad Chorwacyą tylko); dochody Chorwacyi z wyjątkiem 2,200,000 złr., używanych na potrzeby kraju, wpływają do skarbu węgierskiego; językiem urzędowym w całéj koronie Ś-go Stefana, jest język węgierski, jednakże poslowie chorwaccy, zasiadający w parlamencie peszteńskim, mają prawo używania swego języka. Projekt Chorwatów mianowania jednego ministra odpowiedzialnego w Peszcie, dla reprezentowania ich interesów, odrzucono tym razem, a dopiéro w r. 1873 żądaniu temu zadość uczyniono.

Warunki te, jakkolwiek nie odpowiadają w zupełności słusznym wymaganiom Chorwatów, czynią jednakże stosunek obu narodowości do siebie znośnym i zapewniają Chorwatom ich autonomię i swobodny

rozwój umysłowy i ekonomiczny. Wprawdzie rząd węgierski niejednokrotnie już usiłował naruszyć przyznane im przywileje, atoli Chorwaci zawsze umieli energicznie i roztropnie wystąpić we własnéj obronie. Takie usiłowania Węgrów pogwałcenia praw narodowych, objawiające się przy każdéj sposobności, z jednéj strony wywołują potrzebę ciągłego czuwania nad ich całością, a z drugiéj potęgują z dniem każdym niechęć i nawet nienawiść do Węgrów, która niejednokrotnie już się objawiała publicznie, jak np. podczas manifestacyi w r. 1883, gdy Węgrzy usiłowali na gmachach urzędowych w Zagrzebiu zawiesić herby państwa z napisami węgierskiemi obok chorwackich. Nie można oczywiście przypuszczać, aby ta walka mogła kiedybądź w przyszłości skończyć się porażką, a tém bardziéj zagładą, niewielkiego względnie do państwa węgierskiego, kraiku słowiańskiego. Z jednéj strony Węgrzy nie uciemiężają i nie mogą zresztą uciemiężać w istocie Chorwatów tak, jak to niektórzy przesadnie głoszą, z drugiéj zaś Chorwaci sami sporo wykazują sił żywotnych i silnie rozwinięte uczucie narodowe i samowiedzę nietylko wśród inteligencyi, ale, co ważniejsza, i w klasach niższych społeczeństwa. Naród ten ma za sobą przeszłość historyczną i literacką, a to właśnie służy dla niego za najtrwalszą podstawę jego dzisiejszego rozwoju. Bardziéj należałoby się obawiać o Słowaków, którzy, będąc mniéj ukształconymi, bez żadnéj silniejszéj spójni wewnętrznéj i bez przewodników duchowych, mniéj są zdolni do stawienia skutecznego oporu różnego rodzaju zamachom Węgrów na ich narodowość.

J. Nitowski.





Z „KWIATÓW GRZECHU"

Karola Baudelaire'a.



I. Muza sprzedajna.

Muzo moja tyś prawa pałaców kochanka,
Lecz gdy styczeń rozpęta swoje Boreasze,
Czy będziesz miała ograć czém biédne poddasze
I okryć nogi ciepłem jakiego gałganka?

Czy odegnasz od ramion swoich marmurowych
Mroźny blask, co przenika przez twych okien szpary,
A że twa kiesa pusta, jak twych zamków mary,
Czy będziesz zbiérać złoto sklepów lazurowych?

Aby codzienny chléb twój zdobyć ciężką pracą,
Jak biédne dziecko chóru, kadzielnicę trzymasz,
I śpiéwasz hymn *Te Deum*, choć weń wiary nie masz,

Albo skaczesz na linie, jak głodny bajazzo
I śmiejesz się przez gorzkie łzy niedostrzeżone,
By rozweselić tłumów ospałych śledzionę.

II. Spleen.

I.

W gniewie na całą ziemię tchnienie Marca słotne
Z urny swéj szerokiemi strugami wytryska,
Zimny swój wylewając mrok na cmentarzyska,
A śmiertelność tyfusu na przedmieścia błotne.

Mój kot szuka barłogu na ziemi kamiennéj,
Dygocząc chudém ciałem, które świerzba dręczy;
Duch starego poety w jęku rynny jęczy
Ochrypłym z przeziębienia głodem mary sennéj.

Syczący falset drzazgi sadzą zadymionéj
Wlewa się w ton zégaru kół zakatarzony,
Wokół tchnie nieprzyjemna jakichś woni gama,

Dziedzictwo po prababce na puchlinę choréj,
A w nich niżnik kierowy i pikowa dama
Z przykrością wspominają zmarłe swe amory.

II.

Tyle mam wspomnień, jakbym tysiąc lat miał zgórą.
Mniéj tajemnic ukrywa pełne szuflad biuro,
Gdzie są listy miłosne, wiersze i bilanse,
Kwity, włosy kochanek, rachunki, romanse,
Niżeli moja smutna mózgownica stara.
Ach, jest-to piramida, olbrzymia pieczara.
Kędy trupów jest więcéj, niż w ogólnym rowie.
Jam nienawistne gwiazdom cmentarne pustkowie,
Gdzie, jak wyrzuty grzechu, długie czerwie żyją
I ciałem mych najmilszych nieboszczyków tyją.

Jam jest stary buduar, pełny róż zwiędniętych,
Gratów pełny niemodnych i sukien pomiętych,
Kędy blade pastele w swéj ramie złoconéj
Jedyne tchną zapachem, jak puste flakony.

Nic w długości nie zrówna kulawego biegu
Mych dni, gdy pod ciężkiemi całunami śniegu
Nuda—nieciekawości drętwéj owoc szary
Zda się nieśmiertelności przyjmować rozmiary.

Odtąd, już tyś mi tylko, o materyo żywa,
Jako granit, co przestrach błędny go okrywa,
Uśpiony w mgłach Sahary, owity w tumany!
Tyś jest sfinks, beztroskiemu światu niedojrzany,
Zapomniany na mapie! A twój duch ponury
Śpiewa tylko, gdy słońce zachodzi za chmury!

III.

Jam jest, niby król państwa dżdżu i niepogody,
Bogaty, lecz nie mocny; stary, chociaż młody,
Który gardząc pochlebczą dworzan swych pokorą,
Nudzi się z swemi końmi i psów gończych sforą.

Nic go nie rozwesela: sokół ani łowy,
Ani lud, co umiéra u bramy zamkowéj.
Próżno mu śpiéwa błazen śmieszne swe ballady,
Nic nie zdoła rozchmurzyć jego skroni bladéj.
Kwiatowe jego łoże ma dlań woń mogiły,
Damy zaś, którym każdy książę bywa miły,
Nie umieją w dość nagiéj błysnąć tualecie,
Aby uśmiech wywołać w tym młodym szkielecie.
Mędrzec, co mu wytapia z gliny kruszec złoty,
Nie wypalił zgnilizny z ran jego istoty.
I nawet w krwawych łaźniach tych rzymskich cesarzy,
O których w dni starości każdy władca marzy,
Nie budzi się w tym trupie dusza znieczulona,
Gdzie miast krwi, woda Lety toczy się zielona.

IV.

Gdy niebo ołowiane cięży jak pokrywa,
Nad duchem, co się wije w nudów wiecznéj mocy;
I gdy, mrocząc widnokrąg ta chmura straszliwa
Zsyła nam dzień czarniejszy i pustszy od nocy;

Gdy świat podobnym turmie staje się ponuréj,
Gdzie gasnąca Nadzieja, nakształt nietoperza,
Bojaźliwemi skrzydły trzepoce o mury
I głową o spróchniałe posowy uderza;

I gdy deszcz, rozlewając strugi swe wilgotne,
Staje się, niby krata olbrzymiéj ciemnicy;
I gdy tłumem milczącym pająki stokrotne,
Przędą zabójcze sieci w naszéj mózgownicy:

Nagle, jak gdyby furye, uderzają dzwony
I, rzucając bolesne wycia swe ku niebu,
Jako błędny chór duchów z ziemi swéj rodzonéj
Wygnany i jęczący jękami pogrzebu.

I długie karawany bez dźwięku muzyki,
Zwolna suną w méj duszy. Nadzieja w cmentarną
Noc pada we łzach. Zimnéj Rospaczy duch dziki
Nad czołem mém zawiesza swą chorągiew czarną.

Tłómaczył z francuskiego

A. Lange.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

I.

Sabin Baring-Gould i jego stanowisko w pośród powieściopisarzy angielskich. — Dawniejsze powieści: *Mehalah*, *Court Royal* i najnowsza *The Pennycomequicks*.

Od jakiego pół wieku, ale szczególniéj w ostatniéj jego połowie, powieść tak się rozwielmożyła w Anglii, że słusznie nazwano ją instytucyą narodową. Nie zniszczyła ona innych odrośli piśmiennictwa, to prawda, ale przez swą niewyczerpaną płodność, swą wszechstronność w twórczości i przez wpływ bezpośredni, jaki wywiera na publiczność daleko je zostawiła po za sobą. Nie wiemy, czy posiada ona jednego jedynego nieprzyjaciela z zasady, właśnie dla tego, że istnieją powieści, odpowiadające każdemu z prądów społecznych i każdemu z indywidualnych wymagań, ale od czasu do czasu powstaje, jeżeli się tak wyrazić można, rodzaj agitacyi przeciwpowieściowéj, domagającéj się jéj reformy. Czytelnicy skarżą się, że się wyczerpała żyła oryginalności, że szara rzesza powieściopisarzy nie wydała żadnego Tytana, że się powieści wloką zawsze po jednostajnéj drodze i że nie mają odwagi zerwać z konwencyonalnemi typami i z baśnią z góry do przewidzenia łatwą.

Takich narzekań jest właśnie pełno w chwili bieżącéj.

A jest w nich słuszności wiele. Powieściopisarstwo angielskie cierpi na konwencyonalność. Daje się to po części wytłómaczyć przez ustrój towarzystwa, które się zamyka niewolniczo w pewnych przestarzałych formach i modli przed ołtarzami, na których oddawna święte zagasły lampy, a po części przez ciasną moralność *sui generis* która nie pozwala, najlżéj nawet, dotknąć pewnych stron życia, która zamyka dobrowolnie oczy na pewien trąd społeczeństwa. Jeżeli mi-

mo tych okòw, jakie tradycya i przyzwoitość dobrze wychowanych ludzi kładą na fantazyą twórczą pisarzy, powieść jest wstanie od czasu do czasu sięgnąć do głębin społecznych i odtworzyć charaktery i postaci drgające życiem, a całkiem do oklepanych maryonetek dawniejszych nie podobne, to przypisać to należy nietylko temu, że duch boży, podług słów Pisma, wieje, gdzie mu wola, ale i téj właściwości wolnych organizmów narodowych, że się wśród nich łatwiéj, aniżeli gdzieindziéj, wytwarzają charaktery oryginalne. Jak wiadomo, John Stuart Mill, jako symptomat i jako probierz swobody społecznéj, postawił ilość znajdujących się oryginałów. Pod tym względem Wielka Brytania przedstawia dla spostrzegawczego umysłu niewyczerpane pole i pojąć nie można, dlaczego ogromna większość pisarzy zamiast chwytać ich żywcem na uczynku tak, jak to czynił Dickens i kilku potężnych jego współzawodników, woli ścieśniać swój horyzont i zamykać się w analizie powszednich figur bez żadnego wybitnego piętna indywidualnego. Dość jest tam otworzyć oczy szeroko, nadstawić ucha przed pulsem jednostek tych lub owych, a jest się natychmiast niby w lesie dziewiczym, gdzie na każdym kroku wystrzelają z pod nóg nieznane, niewidziane przedtém latorośle i krzewy, a nad głową splatają się gałęzie, nie wiedzieć do jakiego należące drzewa

Ale jeżeli nie każdy podróżnik ma ochotę i odwagę puszczać się na odkrycia w te nieznane światy, jeżeli nie każdy powieściopisarz angielski ma oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu, to są przecież tacy. Napotkanie jednego takiego oryginalnego pióra wynagradza, i z nadmiarem, za tuziny i dziesiątki pospolitych. Trudność leży właśnie tylko w napotkaniu go, w możności wyróżnienia go w pośród zwartego hufca jego towarzyszy. Nie znamy dokładnéj statystyki powieści wychodzących z tłoczni angielskich: musi ona być przerażająca. Nie można także polegać nieomylnie na krytyce, najprzód dlatego, że nie ma krytyki nieomylnéj, a potém dlatego, że bardzo powierzchownie rozbiéra ona utwory powieściowe. Wprawdzie nad „Robertem Elsmere“, albo jaką inną równie wyjątkową powieścią, piszą się studya i komentarze bez końca, ale obok jednego wyjątkowego, tysiące innych utworów ginie bezpowrotnie w zapomnienia fali. J. Barrow Allen, urzędowy krytyk tygodnika literackiego *The Academy*, albo jego koledzy z *The Atheneum*, z *The Spectator*, *The Saturday Review*, *The Speaker*, etc., są obowiązani przeczytać i ocenić co tydzień ośm do dziesięciu świeżo ogłoszonych trzytomowych powieści. Czuje się dla nich litość i podziwienie zarazem, że nie upadają pod swém brzemieniem i wybacza się im te pobieżne, niezadawalniające uwagi, jakie dają o produkcyi powieściowéj, bez żadnéj dla kogobądź korzyści. Choćby

to miało zachwiać raz na zawsze ufność, o jaką się piszący u swych czytelników ubiega, to powiemy otwarcie, że prosty przypadek, traf rządzi przedewszystkiém w wyborze tych, a nie innych powieści. Jeżeli zdarzy się szczęśliwy, który poda nam do ręki utwór wybitny, o niezaprzeczonym talencie, wtedy odbywać łatwo podróż wywiadowczą około autora, odczytać wszystkie jego dawniejsze powieści, a przynajmniéj celniejsze, zbadać całą jego genezę duchową i jego *Wahlverwandschaften* i stanąć przed czytelnikiem z wyrobionym sądem, z przeświadczeniem, że go się na prostą stratę czasu nie naraża, polecając jego uwadze nieznanego wczoraj pisarza.

Tak się nam stało z Baringiem - Gould. Przyznajemy, że nazwisko jego było nam nieznane, gdy przed kilku miesiącami, biorąc wypadkiem do ręki jeden z ilustrowanych tygodników przeczytaliśmy tam urywek z jednéj jego powieści. Błyszczał w nim nietylko rzadki u angielskich powieściopisarzy dar opisowy, ale pasmo opowiadania usiane było niby brylantami, oryginalnemi spostrzeżeniami. Zachęciło to nas do poznajomienia się z innemi jego pracami i nie potrzeba nam było dużo czasu, aby się przeświadczyć, że mamy tu istotnie pisarza odrębnego, wykrojonego podług samodzielnego modelu. W dodatku, w przedmowie do jednéj z celniejszych swych powieści autor nas uwiadamia, że powodem do jéj napisania, a raczéj skrą zapalną było przeczytanie polskiéj powieści *Morituri*. Już ten jeden szczegół wystarczał do usprawiedliwienia ciekawości, z jaką się przed nami postać jego zarysowała.

Chociaż autor, zamieszkujący na prowincyi, mało się miesza do londyńskich koteryi literackich, osobistość jego jest tam dobrze znana i wysoce ceniona. Jest on członkiem rodziny Baringów, fundatorów słynnego domu bankowego, o którego upadku i przeistoczeniu tyle w ostatnich czasach mówiono. Jeden z jego przodków, William, odziedziczywszy po matce znaczne posiadłości ziemskie w hrabstwie Devon przybrał jéj nazwisko, Gould, do swego dawniejszego. Sabin Baring-Gould urodził się w 1834 r. i pierwsze lata swéj młodości spędził w ciągłych podróżach po Europie. Zawczasu już umysł jego pozbywał się ciasnego, parafialnego poglądu na stosunki ludzkie. Znajdujemy go późniéj w uniwersytecie Oxfordzkim, gdzie w r. 1857 otrzymuje naukową godność *Master of Arts*. Poświęca się zawodowi duchownemu, i od r. 1872, w tym samym czasie, gdy odziedzicza wielki majątek po ojcu, zostaje proboszczem w Colchester. Oto wszystkie biograficzne szczegóły, jakie posiadamy o nim.

Piśmienniczy jego zawód przedstawia wielką rozmaitość. Zaczyna w r. 1863 od wydania zbioru Sag irlandzkich, a w kilka lat

późniéj „Mytów średniowiecznych“, „Legend ze Starego Testamentu.“ Jednocześnie wychodzą zbiory jego kazań, prac teologicznych i praca, która wywołała w kołach duchowych żywe wrażenie w 1870 roku *Origin of religions belief.* Ostatnią z poważnych prac naukowych jego są dwa tomy o przeszłości i teraźniejszości Niemiec. Drugie ich wydanie wyszło w 1879 r. i świadczą one o gruntownéj znajomości i żywéj sympatyi autora do pokrewnego sobie szczepu.

Taka przeszłość nie zdawała się zapowiadać powieściopisarza. A jednak w ostatnich dziesięciu latach wyłącznie téj pracy poświęcił się autor i jéj swą szeroką dzisiaj popularność zawdzięcza. Teologa, etnografa, filozofa, erudytę znali specyaliści tylko. Wielka publiczność adoptowała od razu autora, który napisał *Mehalah.* Zazwyczaj swe powieści podpisuje on jako autor *Mehalah.* Uważa ją za swe arcydzieło i po przeczytaniu następnych jego powieści przyznajemy, że jest to sąd sprawiedliwy.

Istotnie, *Mehalah* jest jedną z najoryginalniejszych powieści, jakie znamy w powieściowéj literaturze angielskiéj, a dwa charaktery jéj bohatérów odbijają rażąco od zwyczajnych, bladych figur w nich spotykanych: ryją się one niezapomnianemi rysami w pamięci czytelnika. Same ramy, w których autor opowiadanie swoje pomieścił, są dowodem wysoce poetycznego talentu i poczucia piękności przyrody. Są to płaskie wybrzeża i moczary Exeteru. Tam na małéj wysepce Ray żyje uboga ludność rybaków i pasterzy, hodujących owce o grubéj wełnie. Bywają zalewani morzem podczas wielkich przypływów i odcięci od stałego lądu. To ubóstwo ziemi i trudność zapewnienia sobie materyalnego bytu wyrobiło w mieszkańcach energię wyjątkową. Wiąże się ona z ich pochodzeniem od wygnańców hugonotów i sprawia, że są to osobistości silne, z jednego łomu wykute, całkowite w swych namiętnościach i dążeniach złych lub dobrych. Taki charakter posiada młoda i piękna dziewczyna Mehalah — imię, będące, jak sądzimy, biblijną formą Michaliny. Płynie w niéj także i krew cyganów, którzy oddawna w tym zakątku się osiedlili i nie można wyobrazić sobie bardziéj poetycznéj postaci, jak tę czarnooką, o kruczych warkoczach, smugłą dziewczynę w czerwony kapiszon odzianą, wiosłującą rączo po wybrzeżach tak melancholijnie pięknych, tak pustych, tak jednostajnych. Jest ona jedyną podporą ubogiéj matki, dzierżawiącéj folwarczek na wyspie Ray. Zaraz w początkowych scenach dowiadujemy się, że Michałka oddała całe swe serce młodemu krewniakowi Jerzemu de Witt. Natura jéj ognista, silna, heroiczna przywiązała się i znalazła swój ideał, zapewne przez prawo przeciwieństw, właśnie w miękkim i bardziéj wydelikatnionym temperamen-

cie swego towarzysza. Ale sielanka ta nie znajduje poparcia ani w matce Jerzego, postaci karykaturalnie zarysowanéj przez autora staréj rybaczki, ani w matce Michalki charakteru słabego, egoistycznego, złamanego życiową walką i niedolą. Szczególniéj od chwili, gdy spostrzega, że córka jéj mogłaby, oddając komu innemu rękę, zapewnić jéj wygodniejszą starość, stanowczo przechyla się na stronę tego współzawodnika. A jest nim bogacz miejscowy Eliasz Rebow. Widzi on, że nie łatwo mu będzie zdobyć miłość pięknéj dziewczyny i dlatego chce ją zrobić od siebie zależną. Kupuje on za duże pieniądze nieurodzajną wysepkę Ray dlatego tylko, ażeby matka Michałki, pani Sharland jemu płaciła raty dzierżawne. Nie trudno mu przewidzieć, że te dwie kobiéty nie będą w stanie z pazurów jego się wyślizgnąć. A nie przebiéra on w środkach do zrujnowania ich. Pozbawia ich raty dzierżawnéj, ukrywając pieniądze na nią przeznaczone, a pochodzące ze sprzedaży owiec, a gdy się pożyczką z chwilowéj wyzwoliły trudności, podburza wierzycielkę i jest gotów wywłaszczyć je z publicznéj sprzedaży. Pomiędzy tym charakterem zaciętym, gwałtownym, idącym do swego celu bez żadnego miłosierdzia i najmniejszego pojęcia o moralności, a osobistością Michalki, pogardzającéj nim otwarcie i odważającéj się stawiać mu czoło, rozpoczyna się walka, bój bez litości, stanowiący treść powieści. Eliasz Rebow ma za sobą pozycyę, bogactwo, prawo, przebiegłość węża i okrucieństwo tygrysa, ale ma do walczenia z dziewczęciem uzbrojoném w niezwykłą energię i wytrwałość. Jako kamień u nogi ma ona swoją schorowaną matkę: ażeby jéj byt ocalić, gotowa ona do wszelkich ofiar, wszystkich prócz jednéj—oddania się człowiekowi, którego nienawidzi, i wyrzec się miłości, która raz na zawsze duszą jéj zawładła.

Eliasz Rebow najprzód przyprawia swą ukochaną i gorąco pożądaną o nędzę. Gdy to nie wystarcza, usuwa podstępnie swego rywala, Jerzego. Znika on bez śladu i wszelkie pozory istnieją, że zginął w morzu. Aż do końca prawie powieści Michałka nosi w sercu żałobę niezgasłą po swym narzeczonym. Nie zbliża ją to jednak do znienawidzonego prześladowcy — przeciwnie broni mu się zaciekle i używa wszelkich środków, aby mu się wymknąć. Każde jéj przedsięwzięcie jest natychmiast zniszczone przez Eliasza, który, nie mogąc inaczéj sprowadzić jéj pod swój dach, podpala jéj dom i ze zgliszcz jego ocala chorą panią Sharland i wraz z jéj córką nareszcie ma je u siebie. Walka nie ustaje w tém nowém otoczeniu. Michałka staje się służącą u bogatego właściciela, pracuje, ale żoną zostać nie chce. Wtedy Eliasz podstępnie gubi ją w opinii publicznéj, nie wahającéj się widzieć w biédnéj dziewczynie jego kochankę. Ta ostatnia katastrofa,

pohańbienie swego nieskalanego imienia, zmienia nareszcie plan działania Michałki, ale nie łamie jéj pierwotnego postanowienia. Zgadza się zostać jego żoną dla ocalenia swéj dobréj sławy, ale żoną tylko z imienia i nigdy nie oddać mu się całkowicie. Eliasz w przekonaniu, że mu się uda złamać jéj opór, zgadza się i ślub się odbywa. Wieczorem tego dnia ślubnego, gdy chce się na żonę swą targnąć, ona w obronie porywa nieświadomie stojącą w pobliżu butelkę i rzuca mu nią w oczy. W butelce był wytryol i Eliasz zostaje prawie ślepym.

Wypadek ten wywołuje stopniową zmianę w usposobieniu Michałki. W sercu jéj powstaje litość dla kaleki, i wszystko, co jest w stanie zrobić, jako pani domu, jako gospodyni, jako siostra miłosierdzia, robi dla swego męża, dla którego staje się Antygoną. Żadne podejrzenia, żadne sceny zazdrości nie są w stanie oziębić w niéj poczucia swych obowiązków, które spełnia sumiennie, ale żoną jego nie jest i być nie chce. Napróżno Eliasz odkrywa jéj całą głąb swéj czarnéj duszy, występki, które popełnił, aby ją posiąść, nie potrafi przez obudzenie grozy i oburzenia wywołać tego tragicznego przewrotu, którego pożąda.

Przewrót ten sprowadza autor w inny, bardzo dobrze pomyślany sposób. Ów stale, niezmiernie, idealnie przez Michałkę ukochany Jerzy, powraca cały i żywy niespodzianie. Eliasz Rebow zaciągnął go był podstępem do marynarki wojennéj. Po powrocie, znajdując swą narzeczonę zamężną, obsypuje ją wyrzutami, stara się bezskutecznie sprowadzić z toru wiary małżeńskiéj, a dowiedziawszy się, że została przypadkiem dziedziczką dość znacznego majątku, proponuje jéj ucieczkę. To zepsucie moralne jéj ukochanego, ten jego cyniczny egoizm zrywa nareszcie łuskę z oczu Michałki i przekonywa, że kochała niegodnego siebie człowieka. Właśnie odbywa się w głębi téj zamkniętéj w sobie, a wrzącéj duszy ferment, z którego mogłaby, prawdopodobnie przez reakcyę, zrodzić się miłość dla tego męża, którym gardziła, a który imponuje jéj swą demoniczną siłą i czaruje bezgraniczną dla niéj miłością, gdy autor inne daje rozwiązanie. Eliasz rozdrażniony przybyciem Jerzego, którego uważa za ciągle kochanego, widząc, że nie jest w stanie złamać oporu żony, nie podejrzewając, że się w jéj sercu roztliło po raz pierwszy nowe dla niego uczucie, odpływa z nią na łodzi i w odmętach oceanu razem z nią tonie. Nie chciała być jego żywa, została nią umarła.

Już z suchego tego streszczenia powieści czytelnik może sobie zrobić wyobrażenie o jéj oryginalności. Jest istotnie tragiczna potęga w walce, w pojedynku, jaki się toczy pomiędzy dwoma godnymi siebie antagonistami. Talent autora jako psychologa, polega na zro-

zumiałém, jasném przedstawieniu duchowych motywów, które ich działaniem kierują i które tak a nie inaczéj nakazują im działać. Uważamy za prawdziwy *tour de force* takieześrodkowanie analizy na téj jednéj i wyjątkowéj, pochłaniającéj namiętności u Eliasza, że przestaje on być wstrętnym i antypatycznym; przeciwnie, w drugiéj połowie jego życia mimowolne w czytelniku wzbudza współczucie. Od każdéj szczeréj namiętności bije łuna, która nietylko oświeca, lecz i rozgrzéwa.

Ale streszczenie powieści nie jest w stanie dać pojęcia o poetyczności opisów, o wytwornéj kunsztowności języka, o barwistéj żywowości dyalogu. Usposabiają one przychylnie czytelnika i dają mu poznać, że nie ma tu do czynienia ze zwykłym fabrykatem, ale z dziełem sztuki. Są sceny i epizody prawdziwéj poezyi, a miejscowe legendy ludowe, opisy krajobrazów wplecione są misternie w tkań powieści. Jest nakoniec spora ilość osób na drugim planie trzymanych, których dotknąć nie widzieliśmy potrzeby, a które, nosząc na sobie piętno prawdy życiowéj, pozbawiają powieść charakteru abstrakcyjnéj szermierki idei, a przeciwnie, dają ciągłe przeświadczenie istotnéj rzeczywistości.

Mehalah chociaż bezimiennie napisana w 1880 r., zwróciła na siebie uwagę krytyki, która, gdy autor jéj stał się i znanym i poczytnym, nieraz do niéj powracała. W ogóle najgłówniejszy zarzut, jaki jéj czyniono, był ten, iż nie ma w niéj żadnéj wyraźnéj tendencyi, że nie wiadomo czego autor chciał dowieść, po któréj stronie stały jego własne sympatye. Krytyka w Anglii jest dogmatyczną i dydaktyczną, nie rozumie obiektywizmu artystycznego, nie może jéj postać w głowie, że samo plastyczne przedstawienie charakterów i wynikających dla nich następstw, wskutek zetknięcia się ich ze światem okolnym, nosi w sobie naukę i posiada żywioł etyczny. Nieraz jeszcze ten sam zarzut czyniono w następstwie autorowi *Mehalah*. W przedmowie do jednéj ze swych następnych powieści windykuje on zresztą śmiało dla pisarza prawo bujania w świecie fantazyi, nie troszcząc się o zastosowania praktyczne, o moralizowanie czytelnika. Moglibyśmy wprawdzie co do téj teoryi poczynić zastrzeżenia, które są do sformułowania łatwe, ale sama w sobie jest ona taką u angielskich romansopisarzy rzadkością, że się do nich nie czuje pohopu.

Po upływie trzech lat S. Baring-Gould napisał nową wielką trzytomową powieść *John Hering*. Nie mieliśmy sposobności jéj czytać i znamy ją tylko z recenzyi. Jest ona napisana na tle ludowém i ma opisywać nadzwyczaj oryginalne postaci na wpół dzikich wieśniaczych plemion południowego Essexu. Autor posługuje się dya-

lektem miejscowym, nieraz do zrozumienia trudnym. Okoliczność ta, tak samo jak wyjątkowość typów przyczyniła się bezwątpienia do małego stosunkowo rozpowszechnienia téj powieści.

Pomiędzy tą powieścią a następną, *Court Royal*, ubiegło znowu lat trzy. Widocznèm jest, że autor nie rzuca w świat improwizowanéj gadaniny, jak to czyni tylu, tylu jego kolegów po piórze, ale, że mówi tylko, gdy ma coś do powiedzenia. Umiéć się ograniczać w twórczości literackiéj, nie jest przecież grzechem w myśl Malthusowéj doktryny, a nierazby się zdawało, że obawa taka pędzi romansopisarzy do produkowania się z niedonoszonemi płodami. Zdarzenie jakieś przypadkowe daje pisarzowi ostatni popęd do ucieleśnienia oddawna w duchu spowitych myśli i poglądów. Tak się zdarzyło i naszemu autorowi. Bawiąc w Tyrolu, przeczytał trafunkiem anegdotę, jaka się wydarzyła w Kroacyi, o matce przyciśniętéj nędzą, która u lichwiarza, jako fant, zastawiła swą córkę, a dziewczynka odsługiwała się darmo, dopóki nie zwrócono pijawce sumki zaliczonéj. Uderzyła go ta myśl, jaki się charakter ukształtować może w młodéj, wrażliwéj istocie, pod wpływem całkiem nowego otoczenia i całkiem nowéj dla siebie atmosfery i jak w jéj naturze czynniki pierwotne pogodzić się dadzą z napływowymi. Jednocześnie wpadła mu do ręki nasza powieść *Morituri*, gdzie drastycznie przedstawione są typy świata, skazanego na społeczną zagładę, pod naciskiem nowych warstw, wybijających się na jaśnię, upadek nieunikniony pierwszych, nawet przez ich cnoty i zalety, tryumf drugich nawet pomimo ich wad i niedostatków. Uderzyła Baringa Gould tragiczna osnowa téj powieści, na któréj bohaterach zdaje się ciężyć nieubłagane fatum i myśl mu błysnęła przeniesienia jéj do swoich krajowych stosunków, i używając jako łącznika pomiędzy światem arystokratycznym a plebejuszami ową zafantowaną dziewczynkę. Oto geneza powieści, któréj ogłoszenie wywarło żywe wrażenie i pismu, co ją ogłaszało w tygodniowych poszytach, tysiące nowych pozyskało czytelników.

Autor rozpoczyna powieść od dramatycznego epizodu. Uboga kobiéta chce się utopić w przystępie rozpaczy wraz z dziesięcioletnią córką w portowém mieście Plymouth. Wyratowana przez robotników portowych, idzie za pieniądze, które jéj ofiarowano, kupić sobie trochę odzienia u żyda, który pożycza na fanty, i zastawia u niego swoją córkę Joannę, na lat dziesięć za kilka szylingów. A żyd ten Emanuel Lazarus, samotny i skąpy jak Harpagon, spostrzegł odrazu, że w rozgarniętém dziecięciu będzie miał tanią służącę i pomocnicę. Rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Joanna jest mu wierna jak pies i czuje się jego przynależnością, jego rzeczą, a przytém jest

praktyczna, sprawna, poznajamia się z biegiem lat z całym obrotem bardzo rozgałęzionych interesów lichwiarza i dorosłszy, staje się prawą jego ręką. Wyświadcza różne przysługi, ratuje jego dom i magazyn od pogorzeli, życie jego od zabójców. Jest to charakter pełen energii, dzielności, posiadający moralność ścisłą w swoim zakresie, a łączący przewrotność i chęć zysku w interesach pieniężnych z naiwnością i szlachetnemi instynktami natury kobiecéj. Jedynym jasnym promieniem w jéj prozaiczném i moralném życiu jest przyjaźń — więcéj niż przyjaźń — przywiązanie głębokie, nieświadome swéj własnéj potęgi, do Karola Check, młodzieńca, który okazał jéj sympatyę i dał jéj pierwszą świadomość jéj wyjątkowéj piękności.

Powiedzieliśmy wyżéj, że autor użył tego dziewczęcia z ludu, téj mimowolnéj wspólniczki lichwiarskich spekulacyi, jako narzędzie do zdruzgotania społecznéj potęgi wielkiego rodu. Lazarus umieścił wielkie kapitały na dobrach książąt Kingsbridge i używa wszelkich forteli, aby ich zrujnować i wyzuć ze wspaniałéj ich rezydencyi Court-Royal. Nietylko o pieniądze mu idzie, ale i o zaspokojenie zemsty. Jedyny syn tego wielkiego rodu lord Salteombe uwiódł przed laty jego młodą żonę — Rachelę, czego mu nigdy nie przebaczył. Ażeby zdać sobie sprawę z istotnego stanu majątkowego książąt i otrzymać kopię rachunkowości, posyła tam w charakterze służącej Joannę. Przyjęta pobłażliwie i otrzymawszy wiele dowodów łaski i uprzejmości ze strony księżniczki Gracyi, Joanna pała dla niéj wdzięcznością i chociaż spiskuje na byt jéj rodu, w głębi serca jest mu zupełnie oddana.

Z doskonałą plastyką opisał autor całą rodzinę książęcą i sposób ich życia. Stary książę, magnat, przeświadczony o świetności swéj roli, nie rozumiejący zmiany epoki i postępu czasu, rujnujący się bez żadnego wyrzutu sumienia i w poczuciu, że jako patrycyusz, ma obowiązki dla plebejuszowskiéj swéj klienteli, jest typem wykończonym doskonale. Dwaj jego bracia, generał i kanonik, żyją także wyłącznie dla świetności rodu, ale zapobiedz nie są w stanie majątkowéj ruinie. Córka, starzejąca się panna, uroczy, delikatny kwiat cieplarniany i syn, widzący jasno, ale bez energii do walki praktycznéj, dyletant artystyczny, dopełniają téj grupy, która będąc zbiorem samych uczciwych, zacnych, sympatycznych postaci, daje jasne pojęcie, dla czego arystokracya terytoryalna utrzymać się nadal na swém uprzywilejowaném stanowisku nie może, dla czego grozi jéj nieunikniona ruina. Autor pokazał nam, jak się nawet przez bogate małżeństwa ocalić nie umieją. Cała ta część powieści, która o rodzinie w Court Royal traktuje, przypomina myślą przewodnią *Morituri* Kra-

szewskiego i są w niéj sceny mistrzowskie. Mniéj się nam podobają te, w których autor powraca do Emanuela Lazarusa, ohydnego lichwiarza. Traktuje go w karykaturalny sposób, szczególniéj w drugiéj części powieści tam, gdzie zmusza Joannę, aby wyszła zań za mąż. Czyni to ona w zniechęceniu, gdy sądzi, że jest dla niéj stracony ów Karol Check, któremu oddała swe serce. Jest cały szereg scen melodramatycznych i niespodziewanych w ostatniéj jéj części. Powrót matki Joanny, która wykupuje córkę z zastawu w chwili, gdy ta ma brać ślub ze swym panem, gwałtowna śmierć tego ostatniego, małżeństwo Joanny z Karolem i nakoniec w scenach epilogowych, widzimy tę młodą parę rozporządzającą olbrzymim majątkiem, zebranym na kramarstwie i reklamie z jednéj strony, a na lichwie i nikczemnościach z drugiéj, rozpościerającą się w książęcéj rezydencyi Court-Royal u siebie, podczas kiedy dawniejsi jéj właściciele w godnéj ich charakteru i przeszłości, ale skromnéj samotni za życia, są świadkami końca swego rodu i swéj społecznéj wielkości.

Nie wchodziliśmy we wszystkie szczegóły téj powieści tak, jakeśmy to uczynili z poprzednią, gdyż nie stoi ona, naszém zdaniem, na téj saméj wyżynie. Jest ona widocznie napisana podług *a priori* postawionéj tezy a chociaż znajduje się w niéj wiele postaci i charakterów wysoce oryginalnych nie brak téż innych, które są widocznie karykaturami jaskrawemi, ich zadaniem jest udawadniać słuszność dyagnozy psychicznéj, przeprowadzonéj przez autora. Nagromadził on zresztą takie mnóstwo nieprawdopodobieństw i nadzwyczajności, że nawet przy największéj dozie dobréj woli, nie podobna często wstrzymać się od spostrzeżeń krytycznych, sprzeciwiających się działaniu na wyobraźnię. Cały wysiłek autora skierowany został do uczynienia nam zrozumiałą postaci Joanny. Przez swą energię i prawość, przypomina ona swą starszą siostrę Michałkę; i widoczna jest sympatya pisarza do tych charakterów pierwotnych, posiadających w sobie zaród nadzwyczajnego moralnego i umysłowego rozwoju. Nie wiemy czy życie obfituje w tego rodzaju osobistości, i jeżeli podobać sobie w nich może fantazya pisarska, to ze ścisłą metodą spostrzegawczą, tą która we współczesnéj powieści, a szczególniéj w powieści francuskiéj przemaga, nie mają wiele wspólnego.

Zanim przejdziemy do ostatniéj powieści naszego autora, *the Pennycomequicks*, zatrzymać sobie pozwolimy czytelnika na chwilę przed drobną nowelką jego *Little to penny.* Pojawiła się ona jako jedna z tych powiastek, które w epoce Bożego Narodzenia sypią się na gwiazdkę z niewyczerpaną obfitością. Przeznaczone niby tylko dla dzieci i niedorostków, czytywane są i przez starszych, a wia-

domo, że i najpierwsi pisarze angielscy w tym specyalnym rodzaju sił swych próbowali. Próba Baringa-Gould jest, zdaniem naszém, doskonałą. Naiwność i prostota opowiadania są mistrzowskie. Czyta się je zrazu z półuśmiechem i gdy się widzi, jak mała Tryptolema staje się ulubienicą młodego, a tak poważnego młynarza, żałuje się, że ją matka tak źle wychowuje. Zamiast za młynarza, którego kocha, wychodzi za mąż za Beauforta, który jest rozbójnikiem! Jakie katastrofy przechodzi zanim się z jego szponów wyswobadza, i jak w końcu staje się żoną wiernego a cnotliwego młynarza, to przygody te muszą do najwyższego stopnia rozpłomieniać wyobraźnię młodych czytelników. Rzecz dziwna: ale i starsi smakować w nich się zdają! Ale-bo téż naiwność i dobry humor, werwa satyryczna i lekkość rysunku czynią tę powiasteczkę istotnie kunsztowném cackiem. Niedawno Akademia Francuska rozpisał na swój konkurs roczny pochwalną monografię powiastek Perrault'a. Słyszeliśmy, jak przy téj okazyi nie wahano się nazywać tych drobiazgów — arcydziełem. Upoważnieni przykładem, zastosujemy je do *Little to penny*, i nie sądzimy, ażeby była w téj pochwale przesada.

Ostatni, w końcu zeszłego roku ogłoszony trzytomowy romans Baring-Goulda nosi nazwę *The Pennycomequicks*. Jest to nazwisko rodziny, któréj przygody stanowią jéj osnowę, a nazwisko to niezwyczajne, w jakich sobie autor podoba, daje sposobność do rozmaitych zmian i przekształceń nazwiska tych członków, którzy mają ambicyę nadać sobie arystokratyczne pozory. Rodzina ta bowiem należy do warstwy przemysłowéj, do klasy średniéj. Wprowadziwszy nas dawniéj do ludu, potém do klasy zwierzchniéj towarzyskiéj, autor daje nam poznać obecnie sam rdzeń narodu. Jest tu kilka typów poważnych, istotnie dodatnich pod względem moralności, uczciwości, pracowitości, zmysłu praktycznego i tych zalet, które klasę przemysłową angielską odznaczają bez zaprzeczenia. Ale autor nie patrzy na nich jedynie z optymistycznego stanowiska i obok ich przymiotów pokazuje jednocześnie ciasny horyzont ich ducha, ich egoizm, uprzedzenia, zatwardziałość, materyalizm. Nie idealizuje charakterów, jak to czynią zazwyczaj powieściopisarze podrzędni, ale wystawiając obie strony medalu, umié przez wlanie w nich życia obudzić interes czytelnika.

Osnowa powieści i tym razem jest oryginalna, ażeby nie powiedzieć nadzwyczajna. Jeremiasz Pennycomequick ma w domu swym wychowanicę, Salomeę Cusworth, którą nietylko kocha, jak córkę, ale któraby pragnął posiąść za żonę. Starość jego upływa samotnie i bezdzietnie, i widzi, jak na jego spadek czycha chciwa, a nieprzebierająca w środkach siostra, pani Sidebottorn. Ani jéj syn kapitan Lanbert,

rodzaj malowanéj lalki, ani drugi jego bratanek Filip, którego nie zna, będąc poróżnionym z jego ojcem za życia takowego, nie są dla niego spadkobiercami po sercu. Zapisuje więc cały swój majątek Salomei, istocie czystéj, prawéj, po dziecięcemu do niego przywiązanéj i nie domyślającéj się nawet, że w sercu jéj opiekuna toczy się ukryta walka co do wyznania jéj innych uczuć. Wypadek chce, że tego samego wieczora, gdy Jeremiasz powierzył Salomei testament swój do przechowania, zdarza się straszna powódź i on tonie wśród niéj, a raczéj uchodzi za topielca. Zaczyna się pełna chciwości walka spadkobierców pod przewodnictwem pani Sidebottorn, która każe inne ciało grzebać za ciało swego brata dla prędszego zagarnięcia spadku. Dowiedziawszy się o testamencie podstępem, pozbawia go podpisu i tém samém unieważnia. Salomea i jéj matka byłyby wyrzucone z domu, gdyby Filip Pennycomequick, nowy właściciel fabryki nie ujął się za nią, nie przygarnął. Jest to umysł ciasny i niedowierzający, ale na wskroś uczciwy. Nietylko chce on wypełnić moralne zobowiązania swego zmarłego stryja, ale jest żywo zajęty powabem i prostotą Salomei. Ofiaruje jéj swą rękę i poślubia. Tymczasem cudownie wyratowany od śmierci, Jeremiasz w oddaleniu, u przyjaciela, przygląda się biegowi wypadków. Nie chce się pojawić jako żywy, raz dlatego, że zdrowie jego szwankuje i potrzebuje odpoczynku, a potém dlatego, że nie zwalczył jeszcze całkowicie dawniejszych uczuć dla swéj przybranéj córki. Czuwa nad nią zdala, cieszy się dobrym stanem swéj fabryki w ręku Filipa i harmonią pomiędzy małżonkami. Ale harmonię tę nagle zrywa wykrycie, że człowiek, który sprowadził ruinę i śmierć ojca Filipowego, nikczemny oszust i awanturnik, okazuje się ojcem Salomei, o którego istnieniu ona nie wiedziała, w co jednak mąż jéj wierzyć nie chce. W obronie zakłóconego pokoju małżeńskiego powraca Jeremiasz ku ogólnemu zdziwieniu rodziny i znajomych. Nie będziemy wchodzić w szczegóły opowiadania, często zajmującego, obfitującego w epizody, nie mające nic z charakterystyką duchową bohatérów wspólnego. Autor wywiązuje się jednakże ze swego zadania psychicznego, wyświecając stopniowe przekształcenia i przewroty, jakie przygody życiowe sprowadziły w ustroju moralnym jego bohatérów. Stary Jeremiasz od chwili, gdy przestaje być zamkniętym wyłącznie w sferze swych zajęć materyalnych, rozpogadza się, staje się pobłażliwszym dla bliźnich, łagodniejszym i znajduje w téj nowéj metodzie działania wewnętrzny spokój i zadowolenie. Salomei, naturze szlachetnéj i wrażliwéj, groziło, że wpadnie i zagrzęźnie w prozie życia i pozostanie obcą umysłowym wyższym i artystycznym wymaganiom. Gdy przez zetknięcie się ze światem, którego istnienia nie

podejrzéwała, przez podróże, umysłowy jéj horyzont się rozszerzył, staje się istotnie towarzyszką życia dla męża i kobiétą w podniosłém słowa tego znaczeniu. Ale widoczniejszém jeszcze jest przekształcenie duchowe na istotnym bohatérze téj powieści, na Filipie. Natura podejrzliwa, chłodna, stopniowo otwiéra się dla słońca i ciepła serdecznego. Wychowany przez cierpienie i wzrosły w upokorzeniach, potrzebuje czasu, ażeby się wyzwolić ze swych uprzedzeń. Duma, ufność w siebie samego, niezłomna wiara w swoją prawość i nieomylność, była podstawą jego charakteru i czyniła go dość niesympatycznym. Dopiéro gdy się sam przeświadcza, jak krucha była jego cnota i jak bliskim był upadku, dopiéro wtedy topnieje lód około jego serca i staje się istotnie szlachetnym człowiekiem.

Cała ta część pracy autora zasługuje na bezwzględną pochwałę, ale ta tylko. Nie jesteśmy w stanie przyklasnąć ani saméj anegdotycznéj stronie powieści, jako grzeszącéj niepodobieństwami, ani karykaturalnym wybrykom w szkicowanych na drugim planie osobistościach, ani nużącym zboczeniom. Nie straciłaby bezwątpienia, gdyby do połowy zmniejszoną została.

Rzecz dziwna, z trzech powieści Baring-Goulda, któreśmy tu bliżéj rozebrali, pierwsza tylko, *Mehalah* zasługuje na miejsce górujące w beletrystycznéj twórczości angielskiéj. Druga już była i mniéj oryginalna i mniéj harmonijną przedstawiała całość. Gdybyśmy byli zmuszeni wydać sąd o nim jedynie po przeczytaniu trzeciéj, ostatniéj, nie widzielibyśmy byli żadnego powodu do uznania w nim talentu wyjątkowego. Nie rozwija się tedy i nie wzrasta na siłach, ale zdaje się wyczerpywać. Dotąd był to *homo unius libri.* Ponieważ znajduje się jednak w pełnym życiowych czynników rozwoju, zawcześnie byłoby wydawać wyrok co do jego przyszłości. Tém ostrożniejszym pod tym względem zresztą być wypada, że właśnie w téj chwili ogłasza w jedném z pism peryodycznych londyńskich nową powieść, o któréj opinia publiczna wyraża się bardzo pochlebnie. Należy więc spodziéwać się, że autor nie wypowiedział jeszcze ostatniego swego słowa.

T. N.





UBEZPIECZENIE ROBOTNIKÓW
OD CHORÓB.

Szkoła socyalistyczna pozytywnych swoich postulatów prawdopodobnie nigdy do urzeczywistnienia nie doprowadzi, krytycyzm jéj wszakże ma tę niezaprzeczoną zasługę, że wykazał w całéj nagości niedolę klas pracujących, zmusił społeczeństwa do obmyślania środków jéj zaradzenia i skruszył wiele doktryn szkoły ekonomicznéj, które zastosowaniu tych środków stawały na zawadzie.

Jeżeli zniesienie własności osobistéj, upaństwowienie wszystkich narzędzi pracy, oddanie robotnikowi całéj nadwyżki wartości jego pracy (Marxa *Mehrwerth*) przedstawiają nam się wobecnéj fazie rozwoju stosunków ekonomicznych jako mrzonki, to opieka nad pracującemi po fabrykach kobietami i dziećmi, ubezpieczenie robotników na wypadek słabości, kalectwa i starości, stały się już faktami.

Manczesterska szkoła ekonomiczna wskazuje robotnikowi dwa środki zapewnienia sobie dobrobytu i zabezpieczenia przyszłości: pracę i oszczędność. Środki te nie mogą jednak być wystarczające, jeśli z jednéj strony płaca robotnika bywa tak szczupła, że zaledwie starczy na niezbędne potrzeby i nic z niéj zaoszczędzić nie można, a z drugiéj składki, konieczne do ubezpieczenia się na wszelkie możliwe ewentualności, są tak wysokie, że robotnik płacić ich nie jest w możności.

W Niemczech obliczono, że robotnik, któryby w sile wieku ubezpieczył się od wszelkich wypadków, musiałby następujące w ciągu roku opłacać składki:

1) na wypadek choroby dla otrzymania 9 marek tygodniowo . . . mar. 22,50
2) dla otrzymania renty rocznéj 360 marek na wypadek starości, która

liczy się od 65 roku życia. . . . . mar. 66,25

3) dla wypłacania na wypadek śmierci wdowie rocznéj renty 360 marek, sierocie 120 marek . . . . „ 155,50

4) na koszta pogrzebu . . . . „ 1,75

5) na wypadek braku zajęcia, wsparcia w stosunku 10 marek tygodniowo . . . . „ 60.—

Razem marek 306 —

A ponieważ wedle klasyfikacyi, przyjętéj w Niemczech, robotnik, zarabiający 350 marek rocznie, należy już do klasy robotników lepiéj uposażonych, przeto całoroczna płaca większości robotników, zaledwieby starczyła na opłacanie samych tylko składek asekuracyjnych, a na życie nieby już nie pozostało; widoczna przeto, że sama praca i oszczędność robotnika nie są tu wystarczające, że podniesiona przez pewną szkołę ekonomiczną do takiéj potęgi zasada samopomocy nie jest zdolna zabezpieczyć byt i przyszłość robotnika, że tu konieczną jest interwencya i pomoc innych czynników społecznych.

W pierwszym rzędzie tych czynników stoi pracodawca. Niepodobna zaprzeczyć, że przedsiębiorca korzysta z tego, co Marx nazywa nadwyżką wartości pracy, że płaca, którą otrzymuje robotnik, jest wynagrodzeniem tylko części jego pracy, że cała nadwyżka idzie na korzyść przedsiębiorcy; gdyby miało być inaczéj, to nacóżby kapitalista posiłkował się pracą robotnika? Skoro tedy pracodawca korzysta z pracy robotnika i całkowitéj jéj wartości mu nie wypłaca, to nic słuszniejszego nad to, aby siły i zdrowie robotnika były restytuowane przez tego, w usługach i na korzyść którego stérane zostały.

Zbyt daleko jednak w tym kierunku posuwać się nie można. Znajdują się wprawdzie teoretycy, którzy żadnego na tém polu ustępstwa robić nie chcą i cały ciężar polepszenia losu robotników zwalić chcą na barki pracodawców, usprawiedliwiając swoje żądanie tém, iż jakkolwiek wydatki na ten cel łożone wychodzą bezpośrednio z kieszeni pracodawców, pośrednio wszakże ponoszą je spożywcy, każde bowiem podwyższenie kosztów produkcyi odbija się na cenie wyrobu, i co pracodawca wydatkuje na korzyść robotnika, to sobie powetuje na podwyżce cen swego fabrykatu.

Gdyby rzeczywiście podwyższenie cen przychodziło z taką łatwością, to z pewnością nie istniałaby wcale kwestya robotnicza. Nie znalazłby się zapewne ani jeden przedsiębiorca, któryby nie chciał uchodzić na filantropa, któryby cofnął się przed obsypaniem robotnika dobrodziejstwami, gdyby jednocześnie mógł podnieść cenę swoich wyrobów do tego stopnia, ażeby dobrodziejstwa te mu się opłacały. Na cenę wszakże wyrobów, obok kosztów produkcyi, wpływa wiele innych

czynników, natury nader skomplikowanéj, których panem bynajmniéj nie jest przesiębiorca. Przedewszystkiém trzeba tu wziąć pod uwagę stosunki międzynarodowe: dziś już różnica płac robotnika w rozmaitych krajach wpływa znacznie na przewagę stanu przemysłowego kraju o tanim robotniku nad krajem, w którym robotnik drogi; jeżeli obok tego, w jednym kraju zaprowadzone zostaną instytucye, ubezpieczające byt robotnika kosztem znacznego podrożenia produkcyi, a w sąsiednim oszczędności robione na robotniku pozwolą na zniżenie cen wyrobów, to kraj dbający więcéj o swoich robotników, konkurencyi nie wytrzyma i przemysł jego upadnie. Gdyby nawet nastąpiło porozumienie międzynarodowe co do wspólnéj i zgodnéj akcyi w kwestyi robotniczéj, to i wówczas trzebaby się było liczyć z siłą konsumcyjną społeczeństwa. Każde podrożenie towaru zmniejsza koło jego spożywców, a im bardziéj koło to się ścieśnia, tém więcéj ograniczyć się musi produkcya. Zwalenie tedy zbyt ciężkiego brzemienia na pracodawców w przewidywaniu, że oni z kolei zrzucą go na barki spożywców, może sprowadzić przedewszystkiém upadek przemysłu, lub znaczne zredukowanie produkcyi, co znowu pociągnie za sobą odprawianie robotników, lub zniżenie ich płacy; w ostatecznym przeto rezultacie, zamierzone dla robotników dobrodziejstwo może się stać dotkliwą dla nich klęską.

Ażeby tedy brzemię ubezpieczenia robotników nie stało się zbyt uciążliwém dla pracodawcy, musi mu przyjść z pomocą całe społeczeństwo, reprezentowane przez państwo. Los najliczniejszéj i najpracowitszéj części społeczeństwa nie może być traktowany jako sprawa osób lub stanu jednego, ale jest sprawą ogółu; instytucya ubezpieczeń robotników obchodzi nie samych tylko bezpośrednio interesowanych, ale jest instytucyą użytku publicznego, do utrzymania i pomyślności któréj cały ogół przykładać się powinien, i to nietylko ze względów ludzkości i filantropii, ale i z dobrze zrozumianego interesu i bezpieczeństwa całego społeczeństwa i państwa.

Miary jednak i tu przekroczyć nie wolno. Państwo bowiem nie posiada źródeł nieprzebranych, jest ono o tyle bogate, o ile bogaci są jego obywatele, kasy państwa o tyle są zapełnione, o ile zapełnić je są w stanie podatki od obywateli ściągane. Że jednak struna podatkowa nie daje się naciągać do nieskończoności, najlepszy dowód w tém, że rządy nie mając możności w drodze opodatkowania znaleźć potrzebnych funduszów, tak często uciekać się muszą do pożyczek. Gdyby państwa w interesie klas roboczych nakładały na swe ludy zbyt uciążliwe podatki, albo zaciągały pożyczki, które także nie kto inny, tylko kontrybuenci podatkowi zaspokoić muszą, to ciężar ten nietylko

wyczerpałby cały dochód i stałby się przeszkodą do tworzenia nowych oszczędności, ale mógłby naruszyć nawet kapitał narodowy. Już sama stagnacya w życiu narodów jest cofaniem się, uszczuplenie zaś kapitału i mienia narodowego jest bezwarunkową klęską, która pociąga za sobą zmniejszenie pracy i produkcyi, a zatém przedewszystkiém dotyka klasę robotniczą, pracy poszukującą i z niéj żyjącą.

W kwestyi ubezpieczeń robotników ogólnych zasad stawiać nie można. Do ubezpieczenia robotnika musi się przedewszystkiem przykładać sam najbardziéj w tém interesowany robotnik, daléj pracodawca, wreszcie konsument, nakoniec państwo. W jakim stosunku każdy z tych czynników rękę swoją przykładać powinien, to zależy od natury ubezpieczenia, w jedném większy obowiązek ciąży na robotniku, w drugim na pracodawcy, w jedném ciężar ubezpieczenia może być zwalony na barki konsumentów, w drugim nie, w jedném pomoc państwa jest konieczna, w drugiém zbyteczna i nieusprawiedliwiona. Kwestye te nie mogą przeto być rozstrzygane ogólnikowo apriorycznie, ale muszą być rozbierane przy każdym szczegółowo rodzaju ubezpieczeń, po dokładném poznaniu jego natury i warunków.

Szereg państwowych instytucyi ubezpieczeń robotników zainaugurowała w Niemczech instytucya ubezpieczeń na wypadek choroby. W Austryi instytucyę tę wyprzedziło ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków. Jakkolwiek wszędzie, z powodu konieczności uregulowania stosunku pomiędzy pracodawcą i robotnikiem w wypadkach kalectwa, lub śmierci przy pracy, wynikających po większéj części z niedozoru lub wadliwéj konstrukcyi maszyn, ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków traktowane jest jako rzecz bardziéj nagląca, uważamy jednak porządek w Niemczech zachowany, za bardziéj odpowiadający potrzebie i naturze rzeczy. Wypadki choroby są zjawiskiem codziennném, nie potrzeba żadnéj nadzwyczajnéj katastrofy, ażeby je wywołać, nieszczęśliwe zaś wypadki należą do rzadkości, trzeba eksplozyi kotła, porwania przez pas, albo czegoś podobnego, aby wywołać śmierć lub kalectwo robotnika. Gwałtowny wypadek wywołuje łatwiéj współczucie i pomoc u pracodawcy i w społeczeństwie, aniżeli zwyczajna choroba, która jednak dla człowieka, żyjącego z zarobku codziennego bywa nieobliczoną w skutkach. Zubożenie rodzin robotniczych ma główne swoje źródło w braku dostatecznéj pomocy w czasie choroby członka, a zwłaszcza ojca rodziny. Wszelkie oszczędności padają wówczas ofiarą choroby, sprzęty domowe, ubranie, bielizna, idą jedno po drugiém do lombardu, lub na sprzedaż, leczenie odbywa się niewłaściwemi środkami domowemi, lub przez felczerów i znachorów, rekonwalescent wraca o słabych siłach

do ciężkiéj pracy, i powiększéj części lekka nawet choroba, która należycie leczona, dałaby się łatwo usunąć, podkopuje na całe życie zdrowie robotnika i dobrobyt jego rodziny.

W historycznym téż rozwoju instytucyi ubezpieczeń robotników, napotykamy przedewszystkiém ubezpieczenia na wypadek słabości, instytucya ta istniała już w szerszym, lub szczuplejszym rozmiarze za czasów urządzeń cechowych, a następnie po powstaniu wielkiego przemysłu, stała się niemal powszechną przy wszystkich zakładach fabrycznych.

Prawa téż tak niemieckie z d. 15 czerwca 1883 [1]) jak i austryackie z 30 marca 1888 [2]) nie utworzyły nowéj instytucyi, ale zadaniem ich było uczynić instytucyę ubezpieczeń robotników na wypadek choroby ogólną, obowiązkową, wystarczającą na potrzeby, które ma zaspakajać, i wreszcie na jednostajnych oprzéć ją zasadach.

Prawa [3]) te noszą na sobie przedewszystkiém cechę nowszéj szkoły ekonomicznéj, która nie hołduje bezwarunkowéj wolności indywidualnéj, i nie cofa się przed przymusem tam, gdzie nie można zdać się na łaskę, lub niełaskę dobréj woli jednostek dla dopięcia celów dobra ogólnego, — która wreszcie zakreśla ograniczoną rolę inicyatywie prywatnéj, a natomiast na pierwszy plan wysuwa działalność państwa.

Zanim zwrócono się do przymusu, robione były w Niemczech próby osiągnięcia pożądanego rezultatu w drodze dobrowolnego tworzenia kas dla chorych robotników. Był czas, kiedy na kontynent żywcem przenoszono instytucye angielskie. Działo się to z kasami chorych dla robotników, którym za wzór służyły angielskie *friendly societies*. Ale instytucye te w saméj Anglii wiele pozostawiają do życzenia, tém mniéj udać się mogła parodya ich na kontynencie. W Niemczech ustawą z dnia 7 kwietnia 1876 r. przyznano robotnikom prawo tworzenia kas dla chorych, a kasom tym nadany został charakter osób moralnych, ustawą zaś z d. 8 kwietnia 1876 udzielono gminom prawo zakładania kas dla chorych robotników, a nawet znaglenia robotników do uczestniczenia w nich wszędzie tam, gdzie robo-

---

[1]) Gesetz betreffend die Krankenversicherung der Arbeiter, von 15 Juni 1883.

[2]) Gesetz vom 30 Maerz 1888, betreffend die Krankenversicherung der Arbeiter.

[3]) Ustawa austryacka wzorowana jest na niemieckiéj, dla tego téż niemiecką uważamy za typową i jéj przepisy w niniejszéj pracy głównie rozbieramy, a o ustawie austryackiéj wspominamy tylko o tyle, o ile ona od pierwowzoru swego odstąpiła.

tnicy sami o założenie kasy nie postarali się. Prawa te jednak po większéj części nie weszły w praktykę: ani robotnicy sami, ani gminy nie zajęły się w pożądanéj mierze zakładaniem kas dla chorych.

Ustawa tedy z roku 1883 chwyciła się radykalnego środka — przymusu.

Przy stosowaniu środka tego, w niektórych razach może koniecznego, ale bądźcobądź niebezpiecznego, a przy przekroczeniu właściwych granic — szkodliwego, należało dokładnie określić pojęcie robotnika, którego wolność ma uledz ograniczeniu i paść ofiarą przymusu.

Ustawodawstwo tedy niemieckie, a za niém austryackie, nie zamknęło pojęcia robotnika w szczupłych ramach najemnika pracującego w fabryce, ale je rozszerzyło do wszystkich ludzi żyjących z zarobku w przemyśle, handlu i rolnictwie, w przedsiębiorstwach transportowych i komunikacyjnych, daléj do ludzi pracujących w rękodzielnictwie, tudzież oddających usługi osobiste, i wreszcie do samodzielnych producentów na małą skalę.

Do wszystkich jednak tych kategoryi robotników przymus nie w równym stosowany jest stopniu. Prawo dzieli wszystkich robotników na dwie grupy: do pierwszéj należą robotnicy podlegający przymusowi na mocy samego prawa, do drugiéj robotnicy, do których przymus może być stosowany na mocy oddzielnych postanowień gmin albo innego związku komunalnego, przy uwzględnieniu potrzeb i warunków miejscowych.

Do pierwszéj grupy, do któréj stosowany jest bezwarunkowy przymus należą:

1) wszyscy robotnicy w najobszerniejszém znaczeniu, pracujący w górnictwie, salinach, kopalniach, łomach, w hutnictwie, po fabrykach, ludność przy budowach;

2) zatrudnieni w rzemiosłach czeladnicy, pomocnicy i uczniowie;

3) osoby pracujące przy zajęciach, przy których używane są kotły parowe, lub inne motory, poruszane przez siły elementarne, jak wiatr, wodę, gaz i t. p.

4) osoby zajęte przy przedsiębiorstwach komunikacyjnych i transportowych [1]), tudzież przy zarządach wojskowych i marynarki, z wyłączeniem osób wojskowych.

Do wszystkich tych obowiązek ubezpieczenia się, stosuje się o tyle, o ile zajęcia ich nie są z natury swéj przejściowe, albo wedle

---

[1]) Nowellą z d. 28 maja 1885 r. obowiązek ubezpieczania się rozciągnięty został do pracujących, przy zarządach poczt, telegrafów, dróg żelaznych, żeglugi, do furmanów, przewoźników, tragarzy i t. d.

umowy nie mają trwać krócéj nad jeden tydzień, o ile pracują za zapłatą, lub tantiemą, i o ile wedle umowy z pracodawcą nie mają zapewnionéj na wypadek choroby opieki na łonie jego rodziny, lub téż zapłaty pomimo nieprzychodzenia do roboty z powodu choroby.

Oficyaliści fabryczni w Niemczech o tyle tylko ulegają obowiązkowemu ubezpieczeniu, o ile płaca ich nie przenosi 6⅔ marki dziennie, czyli 2,000 marek rocznie, w Austryi natomiast prawo nie odróżnia lepiéj od gorzéj wyposażonych oficyalistów, i wszystkich pociąga do obowiązkowego ubezpieczenia, motywując tém, że przy powyższém rozgraniczeniu zdarzyć się mogą wypadki, że lepiéj uposażeni znajdowaliby się w gorszém położeniu od mniéj płatnych.

Prawo austryackie i w tém jeszczcze różni się od niemieckiego, iż pociąga do obowiązkowego ubezpieczenia uczniów, praktykantów i wolontaryuszów, którzy z powodu nieukończonego jeszcze wykształcenia profesyonalnego, zapłaty żadnéj nie otrzymują.

Do drugiéj grupy robotników, którzy z mocy samego prawa nie podlegają obowiązkowemu ubezpieczeniu, ale mogą do niego być pociągani na mocy postanowień gmin w Niemczech, a sejmów krajowych w Austryi, należą:

1) osoby, które do bezwarunkowego obowiązku ubezpieczenia nie są pociągane z powodu, że zajęcia ich są przejściowe, albo trwają krócéj, jak jeden tydzień;

2) subiekci i uczniowie kupieccy, tudzież pomocnicy i uczniowie aptekarscy.

3) samodzielni przemysłowy, pracujący na własnych warsztatach, ale ze zlecenia i na rachunek innych (przemysł domowy);

4) robotnicy zatrudnieni w gospodarstwie rolném, lub leśném.

Instytucya ubezpieczeń chorych, oprócz powyższych grup, otwiera jeszcze wrota swoje i dla uczestnictwa dobrowolnego, tak dla osób, do których przymus nie rozciąga się, do których prawo zalicza służbę domową, jak i dla tych, którzy wyszli ze stosunku, w którym przymus obowiązuje, a daléj ubezpieczenie kontyunować pragną.

Organizacya instytucyi ubezpieczeń dla chorych, jest nader skomplikowana, a to z tego powodu, iż prawodawca nie chciał burzyć instytucyi dawniéj istniejących i samodzielnie powstałych, a na ich miejsce budować czegoś nowego, jednolitego, ale przeciwnie starał się utrzymać wszystko to, co w ciągu długiego szeregu lat z własnego popędu interesowanych powstało i rozwijało się, a tylko uzupełnić braki i ujednostajnić rozmaite w tym przedmiocie istniejące zasady.

Głównem dążeniem prawa jest utworzenie instytucyi ubezpie-

czeń, na wzajemności opartych, do których należałyby osoby wspólnego zawodu, i których zarząd byłby autonomiczny.

Wedle motywów prawa, instytucye takie są najracyonalniejsze, gdyż przy jednakowém zajęciu ryzyko chorób bywa równe, samorząd, który przy tego rodzaju drobnych instytucyach łatwo zastosować się daje, wywiéra nader dobroczynny wpływ moralny, wreszcie przy bliskich stosunkach towarzyszy zawodowych, trudno bardzo symulować choroby.

Wychodząc z téj przewodniéj zasady, prawo niemieckie z d. 15 czerwca 1883 r. legalizuje wszystkie kasy dla chorych, które istniały do téj pory na mocy poprzedniego prawodawstwa; a braki, jakie się w dotychczasowéj organizacyi okazały, uzupełnia przez powołanie do życia nowych urządzeń.

Na całość przeto organizacyi instytucyi ubezpieczeń robotników na wypadek choroby, składają się następujące pojedyńcze instytucye:

1) Kasy cechowe (*Innungskrankenkassen*), istniejące na mocy prawa przemysłowego z d. 18 lipca 1881 r. dla czeladzi i uczniów rzemieślniczych.

2) Kasy górnicze (*Knappschaftskassen*), istniejące w rozmaitych państwach niemieckich, na mocy specyalnych praw górniczych.

3) Zarejestrowane dobrowolne kasy pomocy (*eingeschriebene Hilfskassen* i *freie Hilfskassen*), w których uczestnictwo, jak sama nazwa pokazuje, jest dowolne, nie zaś przymusowe i które powiększéj części oparte są na zasadach samopomocy.

Te trzy kategorye kas dla chorych, prawo z r. 1883 zastało gotowe, dopiéro dla robotników, którzy do żadnéj z powyższych kas nie należą, ustanowione zostały następujące nowe zakłady:

4) Miejscowe kasy dla chorych (*Orts-Krankenkassen*). Organizacya tych kas jest tego rodzaju, że dla osób podlegających przymusowemu ubezpieczeniu, gminy zakładają kasy, o ile liczba ubezpieczonych wynosi przynajmniéj 100 osób. W zasadzie zakładają się oddzielne kasy każdego rodzaju zajęcia; jeżeli liczba osób danéj miejscowości nie dochodzi do stu, to zakłada się kasa dla kilku, o ile można spowinowaconych zajęć; jeżeli w gminie wogóle nie ma stu osób, kwalifikujących się do ubezpieczenia, zakłada się wspólna kasa dla kilku gmin. Obok kas miejscowych urządzają się

5) Kasy fabryczne (*Betriebs* i *Fabrik-Krankenkassen*), do których należą robotnicy każdego większego przedsiębiorstwa fabrycznego; kasy te właściwie nie są nowe, lecz tylko organizacya ich została zreformowana. Instytucye powyższe ukompletowane zostały przez:

6. Kasy budowlane (*Baukrankenkassen*), które obowiązani są zakładać przedsiębiorcy większych robót budowlanych, dla zatrudnionych przy nich robotników na czas trwania budowy.

Wyliczone kasy jeszcze całkowitego programu nie wypełniają, mogą bowiem znaleść się gminy tak drobne, że liczba zatrudnionych w nich robotników, nawet po połączeniu w jedno wszystkich sposobów zajęcia nie jest dostateczna do utworzenia żywotnéj kasy z oddzielnym aparatem administracyjnym, i które z powodu swego położenia geograficznego z innemi gminami łączyć się nie dają; mogą dalej znajdować się robotnicy, którzy bez uszczerbku dla zawodowych ich interesów z innymi nie mogą być łączeni w jedną kasę, a sami zbyt są nieliczni, aby byli w stanie samodzielną kasę utworzyć.

Dla wszystkich tych robotników utworzoną została pomocnicza instytucya, zwana:

7. Gminném ubezpieczeniem chorych (*Gemeinde-Krankenversicherung*, a w Austryi *Bezirkskrankenkassen*). Nie jest to właściwie kasa dla chorych, ale urządzenie gminne, obowiązkowe dla wszystkich bez wyjątku gmin, którego zadaniem jest przychodzić z pomocą każdemu zamieszkałemu w jéj granicach robotnikowi, podlegającemu przymusowemu ubezpieczeniu. Gminne ubezpieczenie zastępuje instytucyą dobroczynności publicznéj i tém od niéj się różni, że pomoc jego w wypadku choroby robotnika nie jest wsparciem, ani jałmużną, ale opartą jest na zasadach ubezpieczenia.

Stosunek wzajemny rozlicznych tych kas jest ten, iż nie ma kasy przymusowéj (*Zwangskasse*), lecz istnieje przymus należenia do jednéj z wymienionych kas (*Kassenzwang*). Robotnikowi służy tedy wybór pomiędzy jedną z istniejących kas, może on należéć do kasy miejscowéj, *respective* fabrycznéj, lub do dobrowolnéj kasy, — może wyjść z jednéj i przejść do drugiéj, bez potrzeby opłacania jakiegolwiek wpisowego, bez utraty zyskanych praw, lub potrzeby odbycia jakiegoś nowicyatu do zyskania na nowo prawa do wsparcia na wypadek choroby.

Główny jednak punkt ciężkości całéj organizacyi leży w kasach miejscowych i fabrycznych;—pomijając kasy cechowe i górnicze, które przeznaczone są tylko dla pewnych zawodów, budowlane, które są czasowe, wreszcie dobrowolne, które nie są oparte na przymusie, — prawo stara się przez dopuszczenie ubezpieczonych do zarządu, przez możliwie niskie składki, a wysokie korzyści, tudzież przez samo zainteresowanie gmin popiérać kasy miejscowe i fabryczne i oddawać im pierwszeństwo przed ubezpieczeniem gminném, które ma charakter

instytucyi pomocniczéj, mającéj racyą bytu tylko w braku lepszych zakładów, za jakie uważane są kasy miejscowe i fabryczne.

O ile cel przez prawo zamierzony dopięty został, przekonywają poniżéj zamieszczone wiadomości statystyczne za rok 1887-my o ilości uczestników w każdym oddzielnie rodzaju kas ubezpieczeń [1]):

rodzaj kas	liczba ubezpieczonych osób
gminne ubezpieczenie	628,985
kasy miejscowe	1,909,046
kasy fabryczne	1,374,683
kasy budowlane	17,311
kasy cechowe	41,700
kasy dobrowolne	870,501
kasy górnicze	383,061
razem	5,225,287

Cyfra ubezpieczonych robotników reprezentuje 10,9% całéj ludności Niemiec, która w r. 1887 wynosiła 47,776,500.

Rodzaj i rozmiar pomocy podczas choroby robotnika, ustanowione są przez statuta, które każda kasa jest w prawie sobie ułożyć, — ustawa z r. 1883 ustanawia tylko *minimum*, poniżéj którego pomoc spaść nie może.

Dla ubezpieczenia gminnego *minimum* to stanowi:

1) od chwili zasłabnięcia ubezpieczony otrzymuje bezpłatną pomoc lekarską, lekarstwa, okulary, pasy rupturowe i tym podobne środki lecznice;

2) jeżeli z chorobą połączona jest niezdolność zarobkowania, to otrzymuje nadto od trzeciego dnia po zasłabnięciu, każdodziennie zasiłek pieniężny, wyrównywający połowie miejscowego zarobku zwyczajnego najemnika.

Jeżeli robotnik nie jest żonaty, albo jeżeli choroba wymaga pielęgnowania, którego na łonie rodziny mieć nie może, wówczas leczenie odbywa się bezpłatnie w szpitalu, a rodzina, która miała utrzymanie z jego zarobku, otrzymuje połowę wyżéj wskazanego zasiłku pieniężnego.

Gminy są w prawie odmówić zasiłku pieniężnego w części lub całości, jeżeli choroba sprowadzoną została umyślnie, lub przez pijaństwo, pijatykę, albo życie rozwiązłe, — w każdym wszakże z tych wypadków ubezpieczony ma prawo do bezpłatnéj pomocy lekarskiéj.

Pomoc dla chorych trwa najdłużéj przez 13 tygodni. Termin

---

[1]) „Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich“ za rok 1889, fol. 157.

ten dlatego zakreślony został, iż ubezpieczenie na wypadek choroby, pozostaje w ścisłym związku z ubezpieczeniem od nieszczęśliwych wypadków, a stosunek pomiędzy niemi zachodzi ten, iż każda choroba, powstała z nieszczęśliwego przy pracy wypadku przez pierwsze 13 tygodni traktowana jest jak zwyczajna choroba, która otrzymuje pomoc z ubezpieczenia dla chorych,—dopiéro jeżeli choroba przeciąga się dłużéj nad 13 tygodni, albo jeżeli śmierć przedtém nastąpiła, wówczas rozpoczynają się zobowiązania instytucyi ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków.

W Austryi zobowiązania kas dla chorych trwają, o ile choroba nie ustaje, przynajmniéj przez 20 tygodni, a mogą przeciągnąć się nawet do roku,—jeżeli zaś choroba powstała z nieszczęśliwego wypadku, to zobowiązania kasy dla chorych trwają tylko przez 4 tygodnie; po tym czasie, zobowiązania przechodzą na instytucyą ubezpieczeń od wypadków.

W kasach miejscowych *minimum* wsparcia jest ustanowione takie samo, jak w ubezpieczeniu gminném, z tą tylko zmianą, że wsparcie pieniężne nie oblicza się w stosunku zarobku zwyczajnego najemnika, ale w stosunku przeciętnego zarobku téj klasy ubezpieczonych, dla których kasa urządzoną została, z tém jednèm zastrzeżeniem, aby zarobek dzienny nie przewyższył trzech marek,—a nadto przybywa tu:

1) pomoc lekarska i wsparcie pieniężne dla położnic przez 3 tygodnie od dnia połogu;

2) w wypadku śmierci ubezpieczonego, pozostała po nim rodzina otrzymuje na koszta pogrzebu wsparcie pieniężne w wysokości dwudziestokrotnego dziennego zarobku zwyczajnego najemnika.

Kasy fabryczne udzielają minimalnie taką samą pomoc lekarską i wsparcie pieniężne, co kasy miejscowe, wsparcie jednak pieniężne może być obliczone w stosunku rzeczywistego zarobku robotnika, o ile ten nie przekracza 4 marek dziennie.

Nakoniec kasy budowlane i cechowe winny zapewnić ubezpieczonym minimalnie taką samą pomoc i wsparcie, co i kasy miejscowe, a wreszcie kasy dobrowolne takie same, co ubezpieczenie gminne.

W ogóle przyjęta jest zasada, że wartość pieniężna tak pomocy lekarskiej, jak i wsparcia w gotówce, nie powinny przewyższyć $^3/_4$ części średniego zarobku robotnika,—pełny bowiem zarobek mógłby stać się zachętą do symulacyi i udawania choroby. Wolno wszakże ubezpieczonym po za przymusem dodatkowo dobrowolnie się ubezpieczać, celem osiągnięcia w wypadku choroby wsparcia, wyrównywającego całkowitemu jego dziennemu zarobkowi.

Co do sposobu udzielania pomocy i wsparć na wypadek choroby,

nowella z d. 5 maja 1886 r. [1]) wprowadziła niektóre zmiany dla rolniczéj i leśnéj ludności roboczéj, przyczém miano na względzie zwyczaj płacenia téj ludności zarobku nietylko w gotowiźnie, ale i w naturaliach (ordynarya), tudzież większą czystość obyczajów na wsi, aniżeli w miastach.

Zmiany te są następujące:

1) robotnicy, którzy na mocy umowy z pracodawcą mają prawo rościć do niego na wypadek choroby pretensyą o pomoc lekarską i wsparcie takie samo, lub równoważne, jak w ubezpieczeniu gminném, mogą na żądanie pracodawcy być zwolnieni od ubezpieczenia się, o ile sam pracodawca przedstawia dostateczną gwarancyą swojéj wypłacalności;

2) robotnicy, którzy na mocy umowy z pracodawcą otrzymują na wypadek choroby wsparcie w środkach utrzymania, lub w gotowiźnie w wysokości wyrównywającéj wsparciu pieniężnemu, płaconemu przez ubezpieczenie gminne, mogą na żądanie pracodawcy ubezpieczyć się tylko dla otrzymania bezpłatnéj pomocy lekarskiéj, lecz bez wsparcia pieniężnego.

3) nakoniec położnice o tyle tylko mają prawo do pomocy i wsparcia, o ile dziecko zrodzone zostało z prawych związków.

Ażeby dać obraz, jak ta pomoc instytucyi ubezpieczeń robotników przedstawia się w praktyce, o ile ona jest potrzebna i skuteczna, podajemy poniższe cyfry statystyczne za rok 1887-my:

wypadków choroby było w ciągu roku	1,738,906
dni „ „ „ „	27,112,705
na 3-ch ubezpieczonych chorował	1
średni czas choroby trwał tygodni	2
wydatki na pomoc lekarską i wsparcie pieniężne wynosiły . . . . marek	55,202,067

z téj sumy użyto:

na pomoc lekarską	20,0%
„ lekarstwa i środki lecznicze	15,6%
„ wsparcia pieniężne	48,2%
„ „ dla położnic	1,3%
„ koszta pogrzebów	4,5%
„ pielęgowanie chorych w szpitalach	10,4%

Nasuwa się teraz najważniejsze pytanie: z jakiego źródła czerpać fundusze na pokrycie wydatków ubezpieczenia robotników od chorób?

---

[1]) Gesetz, betreffend die Unfall und Krankenversicherung der in land- und forstwirthschaftlichen Betrieben beschäftigten Personen, vom 5 Mai 1886.

Zdrowie robotnika jest jego kapitałem obrotowym, — jak fabrykant z chwilą, kiedy mu zabraknie węgla pod kocioł parowy, wełny na warsztat i funduszu na opłacenie robotnika, jedném słowem kapitału obrotowego, stanąć musi ze swoim zakładem, tak samo i robotnik, z chwilą, kiedy go choroba z nóg zwali, traci możność pracowania.

Zdrowie samo przez się jest skarbem nieocenionym, — jeżeli ono przytém stanowi jedyny kapitał robotnika, jedyne narzędzie pracy, jedyny środek zarobkowania, to pielęgnowanie go i ubezpieczenie się od chorób powinno być najważniejszą troską tak silnie interesowanego w utrzymaniu go w dobrym stanie robotnika.

Uwolnienie robotnika od téj troski i pozostawienie jéj komu innemu, np. pracodawcy, byłoby nieusprawiedliwione i z tego powodu, że choroby, jakim człowiek w ogóle podlega, są po największéj części niezależne od rodzaju zajęcia; od chorób nie są wolne żadne warstwy społeczeństwa, tak pracujące, jak i próżnujące, tak w nędzy pogrążone, jak i w dostatki opływające. Nie ma przeto żadnéj zasady do pociągnięcia do odpowiedzialności za klęskę ogólno-ludzką pracodawcy i domagania się od niego ubezpieczenia swoich robotników od téj klęski.

Z drugiéj jednak strony, jeżeli od chorób nikt nie jest wolny, to bezwątpienia łatwiéj im podlegają ludzie ciężko pracujący, a słabo się odżywiający. A takimi właśnie są robotnicy. Jeżeli przeto choroby robotnika są w ogólności następstwem ułomnéj natury ludzkiéj, to część ich, pochodząca z nadmiaru pracy i niedostatku środków utrzymania, jest wynikiem niskiéj jego płacy, a zatém winy pracodawcy,— i za tę téż winę odpowiedzialnym czynić go należy.

Trudno oznaczyć stosunek, jaki zachodzi pomiędzy chorobami, którym podlega robotnik, w ogóle jako człowiek, a w szczególe jako robotnik,—statystyka do tego stopnia doskonałości jeszcze nie doszła, z tego téż powodu niepodobna z matematyczną ścisłością oznaczyć, w jakim stosunku dzielić się powinien ciężar ubezpieczenia robotnika od chorób pomiędzy samym robotnikiem, a jego pracodawcą, i zadowolnić się należy stosunkiem przybliżonym.

Ustawy niemiecka i austryacka nakładają ciężar ubezpieczenia robotnika od chorób w $^2/_3$ częściach na samego robotnika i w $^1/_3$ części na pracodawcę.

Składki ubezpieczonych na rzecz instytucyi ustanawiają się w sposób następujący:

1) w ubezpieczeniu gminném wysokość składek wynosi $1\,^1/_2\%$ średniego zarobku zwyczajnego najemnika, — gdyby w końcu roku fundusz z tego źródła narosły okazał się niedostatecznym do pokrycia

prawem ustanowionéj pomocy dla chorych, to składka może być podwyższoną do 2%;

2) w kasach miejscowych i cechowych wysokość składek wynosi 2 do 3% przecięciowego zarobku tych robotników, dla których kasa założoną została, przyczém bierze się w rachubę, iż składki starczyć powinny na pokrycie wszelkich zobowiązań instytucyi, tudzież kosztów administracyjnych, a nadto na utworzenie, lub uzupełnienie kapitału rezerwowego, którego wysokość winna wyrównywać przynajmniéj jednorocznemu rozchodowi kasy. Dopóki fundusz rezerwowy nie dosięgnął téj wysokości, to przynajmniéj $1/_{10}$ część całorocznych dochodów winna być przeznaczona na tenże fundusz;

3) w kasach fabrycznych i budowlanych za podstawę do obliczenia składek, które nie powinny przekroczyć 3% zarobku, może być brany nie średni zarobek robotnika, lecz zarobek rzeczywisty, o ile on nie przewyższa 4 marek dziennie;

4) dla kas górniczych i kas dobrowolnych prawo wysokości składek nie ustanowiło, gdyż pierwsze z nich mają pod tym względem przepisy w odpowiednich ustawach górniczych,—dla drugich zaś, jako dobrowolnych, reglamentacya prawna jest zbyteczna, od nich samych zależy unormować składki w ten sposób, aby one starczyły na zapewnienie swoim członkom pomocy na wypadek choroby, jaka przez prawo za minimalną jest uznana.

We wszystkich kasach przymusowych, jakiegokolwiek typu, do składek, wyżéj co do wysokości swéj unormowanych, pracodawca dopłacać winien z własnych swych środków 50%. Składki ulegają potrąceniu z zarobku robotnika przez pracodawcę, i razem z $1/_3$ częścią, stanowiącą własny jego ciężar, winny być przez niego wnoszone do kasy tygodniowo, lub w innych, przez właściwe statuty ustanowionych terminach. Wszelkie zawiadomienia instytucyi ubezpieczeń o wstąpieniu nowego robotnika, lub o opuszczeniu przez którego zajęcia, są obowiązkiem pracodawcy, który w ogóle sam wszystkie stosunki z instytucyą załatwia; robotnik zaś wchodzi z nią w stosunek dopiéro z chwilą, kiedy pomoc jéj staje mu się potrzebną.

Pracodawcy, u których nie są czynne kotły parowe, ani żadne inne przez siły elementarne poruszane motory, i którzy nie zatrudniają więcéj, aniżeli dwóch robotników, podlegających obowiązkowemu ubezpieczeniu, jako pod względem socyalnym zwykle niekorzystniéj postawieni od swojéj czeladzi, mogą być zwolnieni od płacenia z własnych środków $1/_3$ części składki, i w tych wypadkach całą składkę obowiązany uiszczać sam ubezpieczony.

Dobrowolni uczestnicy instytucyi opłacają sami całą składkę, a pracodawcy ich od dopłat są zwolnieni.

Ponieważ w Austryi oficyaliści fabryczni obowiązani są należéć do instytucyi ubezpieczeń dla chorych bez względu na wysokość pobiéranéj przez nich pensyi, przeto dopłata 50% ze strony pracodawców, o tyle tylko jest obowiązkową, o ile pensya nie przewyższa 1,200 guldenów.

Ogólna suma wpływów do niemieckich kas, których wykaz wyżéj podaliśmy, wynosiła w 1887 roku 78,928,281 marek, a że w ciągu roku rozchód wynosił 61,068,262 marek, z których 6,2% poszło na koszta administracyjne i 3,3% na inne koszta, bezpośrednio zaś na pomoc i wsparcie dla chorych zużyto fundusz 55,202,067 marek, przeto pod względem finansowym operacye instytucyi bardzo korzystnie się przedstawiają.

Fundusz rezerwowy instytucyi wynosił w końcu roku 41,447,956 marek.

Ustawa przewiduje jednak i możność mniéj pomyślnych rezultatów finansowych, i na ten wypadek dla każdéj formy ubezpieczenia inne przepisuje środki, a mianowicie: w ubezpieczeniu gminném niedobór pokryć musi gmina, z zastrzeżeniem odbioru z późniejszych nadwyżek; w kasach fabrycznych i budowlanych niedobór pokrywa pracodawca, w kasach cechowych — cech, nakoniec w kasach miejscowych deficyt skutkuje rozwiązanie kasy, któréj uczestnicy winni przejść, albo do innéj kasy miejscowéj, albo do ubezpieczenia gminnego.

Administracyą instytucyi ubezpieczenia gminnego zajmują się bezpłatnie władze gminne, bez żadnego udziału ani ze strony ubezpieczonych robotników, ani ze strony pracodawców.

Zarząd kas miejscowych składa się z wybranych przez ogólne zebrania przedstawicieli robotników i pracodawców. Udział pracodawców w zarządzie i na ogólnych zebraniach nie może przewyższyć stosunku, w jakim oni przykładają się do tworzenia funduszów kas, a ponieważ stosunek ten ma się jak 1 : 3, przeto ubezpieczeni robotnicy mają $^2/_3$ głosów, a pracodawcy tylko $^1/_3$. Jeśli do kasy należą uczestnicy dobrowolni, za których pracodawcy żadnych dopłat nie uskuteczniają, to stosunek głosów tych ostatnich tak w zarządzie, jak i na ogólnych zebraniach zmniejsza się do stosunku, jaki zachodzi pomiędzy ogólną sumą składek przez ubezpieczonych wnoszonych, a sumą dopłaty, pochodzących od pracodawców. Wybory do zarządu dopełniają się na ogólnych zebraniach oddzielnie przez ubezpieczo-

nych robotników, i oddzielnie przez pracodawców, tak, że każda z dwóch grup sama przedstawicieli swoich wybiera.

W kasach fabrycznych i budowlanych, pracodawca może sobie zastrzedz prawo przewodniczenia tak w zarządzie, jak i na ogólnych zebraniach, lecz za to wszystkie koszta zarządu, kasowości, buchalteryi sam pracodawca ponosić powinien; pozostałe kasy, a mianowicie górnicze, cechowe i dobrowolne, zarządzane są wedle przepisów specyalnych swoich ustaw.

Po przedstawieniu instytucyi ubezpieczeń robotników od chorób, tudzież ubezpieczenia inwalidów pracy i starców [1]), pozostajemy jeszcze dłużni czytelnikom „Ateneum“, dla ukompletowania całości prawdawstwa niemieckiego w przedmiocie ubezpieczeń robotników, wykład o ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków, z którego to długu, postaramy się wywiązać w niedalekiej przyszłości.

J. Kirszrot-Prawnicki.



---

[1]) „Ateneum“, zeszyt grudniowy 1889 r.



CHOROBA WOLI.

(„Bez dogmatu“, powieść Henryka Sienkiewicza w 3-ch tomach).

Jaskrawszego kontrastu pomiędzy wiekami ubiegłemi a dzisiejszym nie mógł wybrać Sienkiewicz, jak po ogłoszeniu trylogii o bojach XVII-go stulecia, pisząc pamiętnik Płoszowskiego, wychowańca czasów najnowszych. Pomimo całej grozy położenia, Skrzetuski, Kmicic czy Wołodyjowski żyli przecież pełnią życia, siły i zdolności swoje rozwijali normalnie, mogli je zużytkować swobodnie w interesie osobistym lub ogólnym, mieli do walczenia z nieprzyjacielem zewnętrznym, zdrowi będąc sami w sobie. Płoszowski żyje w epoce spokojnéj, a przynajmniéj sam osobiście nie potrzebuje stawać w obronie zagrożonego życia lub mienia, młodość upływa mu wśród najtroskliwszéj opieki rodzinnéj, wszelkie przeszkodzy z drogi jego pochodu usunięte, wszystkie ułatwienia dane; gdy dorósł, rozporządza znacznym majątkiem, może używać życia, jak mu się spodoba, może pracować lub próżnować dowoli, może zaspakajać zachcianki, jakie mu przyjdą do głowy, — ale natomiast duszę ma chorą, zwątpiałą, nie posiada „miejsca stałego zamieszkania ani pod względem fizycznym, ani moralnym“, jego własne zachcenia i fantazye są jego największymi nieprzyjaciołmi.

Dawniéj przemagały w życiu czynności nad myśleniem, dziś myślenie, doprowadzając ludzi do zwątpienia, odbiéra im energię, ukazuje marność wszystkiego, co się na świecie dzieje, pogrąża w otchłani apatyi, dręcząc zbiédzoną głowę całym szeregiem zapytań bez odpowiedzi. Przed wieloma laty (1843 r.) wołał entuzyasta uczucia, Roman Zmorski:

W pełnym dziwów i zjawisk niepojętych świecie —
Świecie ducha — jest myśli czarodziejskie kwiecie.

Cudownie ono zdala do ludzi się wdzięczy,
Stopionym w jedno blaskiem słońca, gwiazd i tęczy...
To też tłumnie się przy niem zbiega naokoło
Rój chciwy dziw bliskiemi obejrzeć oczyma,
Błyszczącą jego gwiazdą ubrać sobie czoło...
Lecz zaledwie odetchniesz zbliska kwiatu wonią,
Żądną zaledwie dotknąć podążysz go dłonią,
Oto myśl nagle strzela ramiony olbrzyma!
W żelazném ich objęciu skutego cię trzyma,
Purpurowym świat cały zasłania namiotem
I węża-dusiciela krępuje cię splotem;
I dzień i noc cię szarpie zębami tygrysa,
Dzień i noc jako upiór krew twoję wysysa,
Dopóki całéj duszy wreszcie nie wypije: —
Myśl-upiór życiem ofiar żywi się i tyje.

W pół wieku blisko potém uskarża się bohatér „Bez dogmatu“ na rozpanoszenie się myśli w jego organizmie duchowym, bez zaspokojenia najbardziéj dręczących duszę zagadnień.

„Jestem też—pisze Płoszowski—istotą w wysokim stopniu świadomą siebie. Czasem posyła się do dyabła to drugie ja, badające i krytykujące pierwsze — nie pozwalające oddać się całkowicie żadnemu wrażeniu, żadnemu działaniu, żadnemu uczuciu, żadnéj rozkoszy, żadnéj namiętności. Być może, iż samowiedza jest znamieniem wyższego rozwoju umysłowego, ale zarazem jest czémś osłabiającém niezmiernie odczuwanie. Nosić w sobie wiecznie czujną krytykę siebie samego jest to odłączyć od całości potrzebną na to część ducha, — a więc życie i jego wrażenia odczuwać nie całością, lecz tylko pozostałą resztą. Jest to równie męczące, jak dla ptaka byłoby męczące latanie jedném skrzydłem. Prócz tego samowiedza, zbyt rozwinięta, odbiéra także zdolność do czynu... Co do mnie osobiście, jeśli czasem broni mnie ona i wstrzymuje od kroków nierozważnych, to natomiast daleko częściéj nuży mnie, nie pozwala mi się skupić całkowicie i wyłącznie w jedném działaniu. Noszę w sobie dwóch ludzi, z których, gdy jeden ciągle zeznaje (!!) i krytykuje, drugi żyje tylko półżyciem i traci wszelką stanowczość. Męczy mnie i ta świadomość, że się z pod tego jarzma nie otrząsnę, owszem, o ile umysł mój będzie się rozszerzał, o tyle i samowiedza będzie się stawała coraz dokładniejszą, i że, umiérając nawet, nie przestanę krytykować Płoszowskiego umiérającego, chyba że gorączka zwarzy mój mózg.

„Nie mam się za fachowego filozofa, bo z fachu, jak już wspomniałem, jestem niczém, — ale jak wszyscy ludzie myślący, zajmowałem się najnowszym ruchem filozoficznym, byłem i jestem pod jego wpływem. Przedewszystkiém... moje wierzenia religijne... nie ostały się,

wskutek czytania książek przyrodniczo-filozoficznych. Nie wypada z tego, bym był ateistą. Och, nie! To było dobre dawniéj, za owych czasów, gdy jeśli ktoś nie uznawał ducha, mówił sobie materya—i zaspakajał się tém słowem. Dziś filozofia takich rzeczy nie przesądza, dziś odpowiada na podobne pytanie: nie wiem — i to nie wiem wszczepia w duszę... A teraz łatwo mi będzie określić stan mego umysłu. Oto: nie wiem, nie wiem, nie wiem! W tém, w téj zeznanéj (!!) impotencyi ludzkiego rozumu, leży tragedya. Bo pomijając, że natura nasza duchowa będzie zawsze gwałtu krzyczała o odpowiedź na podobne pytania, toż to przecie są pytania największéj wagi realnéj, najbardziéj człowieka obchodzące... Człowiek szamoce się w téj wielkiéj niewiadoméj, czując, że gdyby się mógł na którąkolwiek stronę przechylić, to jednak byłoby mu lepiéj i spokojniéj. Ale cóż na to poradzić? Czy winić filozofię, że zamiast budować systematy, które się codzień rozlatywały, jak domki z kart, uznała własną niemoc i zajęła się badaniem i uporządkowywaniem zjawisk, leżących w przystępnych dla rozumu granicach? Nie! Sądzę tylko, że ja i każdy inny miałby prawo przyjść do niéj i powiedzieć jéj: Podziwiam twoję trzeźwość, uwielbiam ścisłość analizy, ale z tém wszystkiém uczyniłaś mnie nieszczęśliwym. Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszéj dla mnie wagi,—a miałaś jéj dość, by podkopać moję ufność w naukę, która mi na nie odpowiadała nietylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki. I nie mów, że ponieważ nie przesądzasz nic, więc pozwalasz mi wierzyć we wszystko. Nieprawda! Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją jest zwątpienie i krytyka. Tę swoję naukową metodę, ten sceptycyzm, tę krytykę tak wszczepiłaś w moję duszę, że stała się ona moją naturą. Wypaliłaś, jak kamieniem piekielnym, we mnie wszystkie te nerwy ducha, któremi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak że dziś, gdybym chciał wierzyć, to nie mam czém. Pozwalasz mi chodzić na mszę, jeśli mam ochotę, ale zatrułaś mnie sceptycyzmem do tego stopnia, że dziś jestem sceptykiem nawet względam ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! — i męczę się i szaleję w téj ciemności!..."

Przytoczyłem ten długi ustęp [illegible] pamiętnika dlatego, że jest on według mnie najwymowniejszym i najbardziéj znamiennym w całém dziele pod względem teoretycznym, pod względem myśli, którą autor chciał w niém wyrazić. Płoszowski pisał ten ustęp w uniesieniu, gdyż zdawało mu się, iż w nim dotknął „próchna" własnéj duszy i duszy ludzkiéj w ogóle, iż wskazał najboleśniejszą ranę umysłowości dzisiejszéj. Nie uważa on bowiem siebie za wyjątek, lecz mniema,

że takich, jak on, „sceptyków podniesionych do kwadratu“ jest legion; swoję zatém tragedyę duchową poczytuje za tragedyę inteligencyi w ogóle.

Gdyby postawienie saméj kwestyi było trafne i gdyby autor potrafił ją konsekwentnie rozwinąć, rzecz stałaby się niewątpliwie w wysokim stopniu interesującą, poruszywszy jedno z najżywotniejszych zagadnień zarówno nauki, jak i życia, a powieść „Bez dogmatu“ zająć-by mogła takie w naszéj literaturze stanowisko, jakie przed laty trzydziestu zajęła powieść Spielhagena: „*Problematische Naturen*“—w niemieckiéj.

Niestety, nie możemy tego powiedzieć o dziele Sienkiewicza. Spielhagen naprawdę odtworzył obraz rzeczywistych usposobień i poglądów pokolenia, wyrosłego pod wpływem pesymistycznéj teoryi Schopenhauera, a w postaciach przezeń odmalowanych mogły się naprawdę poznać setki ludzi i to nietylko w saméj ojczyźnie powieściopisarza, lecz we wszystkich krajach ucywilizowanych; Sienkiewicz zaś bynajmniéj nie dał psychologii pokolenia, które starannie pod względem chronologicznym oznaczył, jako urodzonego w r. 1848-ym,— a w działaniu powieściowém występującego w r. 1883-im, t. j. w trzydziestym szóstym roku życia; — lecz tylko próbę psychologii jednostki ze szczególnemi właściwościami umysłowemi, wychowanéj i wykształconéj wśród specyalnych warunków.

Pokolenie, o którém mowa, przeniknięte wynikami wiedzy nowożytnéj, nie wpadało wcale w sceptycyzm, lecz przeciwnie, rozpoczęło swoję działalność od tryumfalnego okrzyku pewności, że znalazło trwałą podstawę do powolnego wznoszenia na niéj budynku przyszłości. Nie wyrzekając się bynajmniéj ideału i dążności do poznania i zbadania wszystkiego, co człowieka zająć, co dla niego ważném być może, nie myślało odgrywać Hamletowskiéj tragedyi; lecz się jęło, stosownie do rodzaju i zasobu sił, pracy w różnych specyalnych dziedzinach, schodząc do podstaw bytu materyalnego i umysłowego. Filozofia pozytywna nie obezwładniła energii duchowéj w tém pokoleniu, lecz je nauczyła cierpliwości i oględności w żądaniach stawianych wiedzy, oraz życiu praktycznemu. Wymówkę Płoszowskiego, zrobioną filozofii, że nie uczyniła go szczęśliw[illegible], uważałoby to pokolenie za objaw anachronistyczny, za rzecz przestarzałą w romantyce, bo wiedziało, że warunki szczęścia są w nas samych, a więc w całéj sumie zarówno poglądów, jak uczuć i pożądań naszych, nie zaś w jednym z momentów życia duchowego, t. j. w wygórowanéj zdolności do refleksyi i w ograniczeniu pola poszukiwań umiejętnych.

Nie znaczy to bynajmniéj, żeby wśród téj generacyi nie było

chwil zwątpienia i dręczącego poczucia niemocy, żeby niejeden nie powtarzał z Chattertonem Alfreda de Vigny: „myśl jest cierpieniem“; ale i w takich wypadkach nie chodziło tu o jakieś niedorzeczne wymówki robione filozofii czy wiedzy, lecz raczéj o same właściwości rozwoju cywilizacyjnego, o fakt znamienny, że życzenia i pragnienia inteligencyi o wiele wyprzedzają ich urzeczywistnienie, a więc rodzić muszą w duszach gorętszych zniecierpliwienie i niesmak. To zaś, że wiedza nie daje zaspakajających odpowiedzi na pytania metafizyczne, nie mogło budzić niezadowolenia w zwolennikach zasady względności naszéj wiedzy, którzy coraz bardziéj przejmowali się myślą Lessinga, iż nie samo posiadanie prawdy stanowi błogość, lecz niezmordowane ku niéj dążenie.

Tyle co do pretensyi Płoszowskiego, jako przedstawiciela „legionu“ sobie spółczesnych. Przedstawicielem mas on nie jest; należy do wyjątków. Ale może jako wyjątek charakteryzuje naturę i dążność spółczesnéj nauki, może on nie jest konsekwentniejszém rozwinięciem zasad przez nią głoszonych, niż był „legion“?

I tu wszakże po głębszém zastanowieniu trzeba odpowiedzieć: nie! Skargi Płoszowskiego na brak pewności w nauce brzmią prawie zupełnie tak, jak skargi Zygmunta Krasińskiego w przedmowie do „Przedświtu“, gdzie między innemi pisał nasz poeta: „W okręgach filozoficznéj wiedzy pewność—ale b r a k u tylko, dowód, — ale k r y t y c z n y tylko, że przeszłość nie zdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić.“ Jest to właśnie stan umysłów, panujący wśród inteligencyi Europy po bankructwie filozofii idealistycznéj, a nie po rozszerzeniu się filozofii pozytywnéj i jéj przeróżnych rozgałęzień. Gdyby Krasiński robił dzisiaj przegląd kierunków umysłowych, wyraziłby się o nich zapewne potępiająco również, ale inaczéj niż przed laty 50-ciu. Płoszowski używa wprawdzie w swoich wywodach pewnéj dozy poglądów najnowszych, cytuje nazwiska uczonych, którzy się przyczynili do zmiany umysłowéj czasów naszych, ale bynajmniéj nie okazuje dokładnego obeznania się z teoryami, na które się powołuje. Czasami nawet wyraża się tak, jakby coś zdaleka tylko zasłyszał, ale zgoła nie wiedział napewno, co w świecie naukowym się dzieje. Jeżeli np. mówi o teoryi Zöllnera (którego nie wiem dlaczego pisze z polska), to widoczną jest rzeczą, iż przypuszczenia co do czwartego wymiaru pomieszał najzupełniéj z mniemaniami o czwartym stanie skupienia, na którym opiéra się spirytyzm.

Ale pomijając stopień naukowego przygotowania, który w gruncie rzeczy odgrywa najmniejszą w powieści rolę, „tragedya myśli“ nie jest wcale motywem, coby istotnie czynił Płoszowskiego nieszczęśli-

wym. Bohatér powtarza to wprawdzie ustawicznie, ale kto więcéj przywiązuje wagi do czynów niż do słów, temu niepodobna zaufać prostym twierdzeniom i postara się odszukać innych pobudek usposobienia i postępowania Płoszowskiego.

Naprowadza na nie sam ten mąż „bez dogmatu“, lubiący dla pozy wydobywać na jaw słabizny swego ducha. Oprócz „tragedyi myśli“ nosi on jeszcze w sobie drugą tragedyę, którą nazywa zasłyszaném gdzieś wyrażeniem *l'improductivité slave*, a którą w szczególności zastosowywa do rodu Płoszowskich i do siebie. Niemoc czynu, przy błyskotliwości umysłu, jest tą właściwością ducha, która czyni ludzi albo biernymi widzami, albo na pokaz wystawiającymi się „paradyerami.“ Ów „sceptyk podniesiony do kwadratu“ jest zarazem „geniuszem bez teki“ i powtarza znowu, że i pod tym względem „imię jego jest legion.“ I jest w tém drugiém twierdzeniu daleko więcéj prawdy, aniżeli w pierwszém. Bo jeżeli niewielu wśród nas jest takich, którychby zabijała „tragedya myśli“, to niestety tragedya wygodnego lenistwa marnuje mnóstwo ludzi i mnóstwo zasobów społecznych.

Można wprawdzie wiele przytoczyć okoliczności wyjaśniających takie zjawisko, a między temi okolicznościami nie najmniejsze miałby znaczenie ów kontrast życia czynnego i bezwładności, jaki Sienkiewicz tak silnie zaznaczył, przerzucając się w twórczości swojéj od wieku XVII do XIX; ale to jeszcze nie osłabi podstawy twierdzenia, że tkwi w nas wszystkich więcéj, niż w innych narodach cywilizowanych, skłonność do lenistwa, pewna bierność, nie dozwalająca nam zużytkować wielkich nieraz, niepowszednich zdolności na rzecz własnego i ogólnego dobra. Widzieć się to daje szczególniéj wśród tych, którym niezapracowany osobiście majątek pozwala nie myśléć o potrzebach dnia i środkach zaspokojenia ich, lecz przeciwnie, użyczając możności zadowolenia wszelkich zachcianek, pogrąża w sybarytyzmie materyalnym czy duchowym. Takich, jak Płoszowski „paradyerów“, zdatnych do popisowego występowania, lecz nieudolnych w ciągnieniu taczki życia powszedniego, jest istotnie legion, stanowiący jedno z najdotkliwszych, wewnętrznych nieszczęść naszego społeczeństwa. Choć dzieje dały już niejednemu z tego legionu namacalnie odczuć konieczność wyrzeczenia się wygodnego lenistwa, nauka doświadczenia mało jeszcze bardzo wpłynęła na przemianę wiekowych nałogów, chociaż nie zdaje nam się, ażeby one miały należéć do liczby niepodobnych do wykorzenienia.

Pod tym względem miał Płoszowski w literaturze naszéj świetnego poprzednika w osobie hr. Henryka z „Nieboskiéj komedyi“,

równie hojnie jak on uposażonego materyalnie i duchowo, równie nie zdolnego do ciągnienia taczki życia powszedniego. Jest atoli i duża między nimi różnica. Hr. Henryk ma przynajmniéj dosyć energii, by walczyć za sprawę, w któréj powodzenie zgoła nie wierzy, i zginąć, gdy jéj obronić nie potrafił; Płoszowski zaś utracił nawet poczucie delikatniejsze wszystkiego, co się sprawą ogólną nazywa. Jego przywiązanie do kraju ma charakter czysto-bierny, obserwacyjny; nie jest ono jego zasługą, ani bodźcem do działania i jeżeli mu się krajobrazy rodzinne podobają, to dlatego jedynie, że do nich przywykło jego oko dziecinne; jeżeli wypowiada zdanie, iż należałoby na miejscu poszukiwać i wytwarzać bogactwo, nie zaś gonić za niemi jak Kromicki, to mówi to w części jako ekonomista, w części jako nieprzychylnie względem Kromickiego usposobiony przeciwnik. Nic go zresztą nie obchodzą losy społeczeństwa, z pośród którego wyszedł, ale wśród którego bywa gościem tylko. Wyznaje on sam otwarcie i jawnie, że żadna sprawa zająć go ani tém mniéj pochłonąć nie może — prócz miłości.

I w tém to właśnie uczuciu doznaje zawodu; przezeń staje się nieszczęśliwym, nie budząc wszakże w czytelniku spółczucia, lecz niejednokrotnie wstręt w nim wywołując. Co spowodowało zawód? Nie sceptycyzm myślowy, jakby chciał wmówić w siebie i w innych Płoszowski; nie okoliczności nieprzezwyciężone, jak w wielu romansach; nie brak wzajemności, jak bywa nieraz; lecz raczéj brak decyzyi, „niemoc czynu“, wygodne lenistwo.

Do 36-tego roku życia przebył Płoszowski już niejedną przygodę. Po przedwczesnéj śmierci matki odebrał wychowanie napół zagraniczne, napół krajowe pod kierownictwem ojca, który po stracie ukochanéj żony zamknął się w najszczuplejszém kółku znajomych i osiadłszy w Rzymie, zaczął się z zapałem zajmować gromadzeniem dzieł sztuki,— oraz księdza Calvi rozmiłowanego w pięknie i wpajającego w wychowańca zasady religii z estetycznego punktu widzenia. Zaszczepiło to w młodzieńcu silne poczucie piękna, które miało w następstwie wywrzéć wpływ stanowczy na jego usposobienie i losy. Oddany potém do szkoły w Metz wzrastał wśród młodzieży arystokratycznéj pod silnie uwydatnionym kierunkiem zachowawczym. Z ostatniéj klasy zbiegł do obozu Don Karlosa, a lubo przełożeni i ojciec skarcili ten wybryk, w głębi duszy byli jednak zadowoleni z tego postępku, w którym upatrywali dowód katolicko-zachowawczych poglądów. Ponieważ uczył się dobrze, wszyscy byli pewni, iż stanie się gwiazdą pierwszéj wielkości na widnokręgu społecznym. Uniwersytet ukończył, z woli ojca, w Warszawie, i tu, jak się okazuje z jego

pamiętnika, tak dobrze się przejął całą literaturą polską, że nietylko ustępy ze znakomitych poematów swojskich, ale nawet długie kawałki tłómaczenia Szekspira po polsku, umié po latach kilkunastu wygłaszać z pamięci. Zapewne sam Sienkiewicz użyczył bohaterowi swemu erudycyi literackiéj, ale to rzecz podrzędnéj wagi; owa znajomość literatury ojczystéj służy Płoszowskiemu, jak wszystko, do popisu tylko i nie wpływa na bieg jego myśli, na charakter jego postępowania.

Nie wiadomo na pewno, czy już w Warszawie, czy też w późniéjszych wędrówkach po za granicy, wchłaniać począł Płoszowski okruchy krytyki nowoczesnéj, które w nim zachwiały wiarę, uczyniły go obojętnym na kierunki życia społecznego, ale go wcale nie zniechęciły do występowania na widowni życia towarzyskiego.

Ukończywszy we Francyi szkołę rolniczą, następne lata pędził Płoszowski między Rzymem i Paryżem, nie licząc krótkich odwiedzin Warszawy, dokąd go wzywała od czasu do czasu poczciwa, energiczna ciotka, bądź to z tęsknoty ku niemu, bądź to z chęci ożenienia go „z jaką dzierlatką swego wyboru“. Paryż pociągnął go niezmiernie. Na téj „wielkiéj scenie świata“ odgrywał z początku „role naiwne“. Zakochał się naprzód „śmiertelnie“ w pannie Richemberg z Komedyi Francuskiéj i chciał się z nią koniecznie ożenić. Potém dawał się jeszcze niejednokrotnie wyprowadzać w pole, biorąc nieraz „liczmany za dobrą monetę“. Kobiéta francuska, choćby należąca do najwyższéj sfery i choćby przytém cnotliwa, byle młoda, przypominała mu — wedle dowcipnego jego wyrażenia — „fechtmistrza na szpady“; gdyż jak fechtmistrz potrzebuje mieć codzień swoję „godzinę sali“, by nie wyjść z wprawy w robieniu bronią, tak kobiéty „fechtują się w zakresie sentymentu poprostu dla wprawy“. Jako chłopak młody, przystojny i należący do „lepszego towarzystwa“, bywał Płoszowski nieraz zapraszany na taką „godzinę sali“; a ponieważ zrazu w naiwności ducha brał te ćwiczenia na seryo, zdarzało mu się często oberwać coś także na seryo: nie były to wprawdzie rany śmiertelne, ale dość bolesne zakłócia. Okres atoli naiwności trwał u niego względnie dość krótko, nastąpił potém okres odwetu, a jeżeli i wówczas jeszcze trafiały się złudzenia, były już one niemal dobrowolne. Tym sposobem poznał Płoszowski rozmaite warstwy towarzyskie, począwszy od domów legitymistycznych, w których zresztą nudził się, skończywszy „na świeżéj, bardzo utytułowanéj arystokracyi, stanowiącéj wielki świat... może nie paryski, ale np. nicejski“, co to „nic mając żadnéj wielkiéj tradycyi dziejowéj, a w bród tytułów i pieniędzy, zajęty jest głównie używaniem życia“, podobnie jak świat „wysokich finansów“. Płoszowski

kręcił się chętnie wśród tego ostatniego świata ze względu oczywiście na kobiety. „Są one—zdaniem jego — subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów; bywają też częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycyi obowiązującéj: godziny sali są w nim tak długie, że równają się dniom i nocom, mogą zaś być niebezpieczne, bo tam niéma zwyczaju stępiać floretów". Tu to brał Płoszowski najwięcéj owych lekcyi bolących, póki się sam dostatecznie nie wyćwiczył. Zstępował wreszcie i do najwyższych kręgów „wielkiego pół-świata", w którym „cynizm ma pewne pozory artyzmu". Jeżeli tu nie pozostawił zbyt wielu piór, to tylko dlatego, że zanim tu wszedł, miał już „dziób nieźle zakrzywiony i niezgorzéj ostre pazury".

Wynikiem tego życia gorączkowego w Paryżu było zdenerwowanie, lecz zarazem i przetarcie się w świecie, „ucywilizowanie", t. j. wyrozumiałość na myśli, uczucia i nałogi odmienne od naszych. Stosunki towarzyskie, salony, buduary, kluby pochłaniały Płoszowskiemu znaczną część czasu, ale nie pochłaniały go wyłącznie. Porobił on wtedy dużo znajomości w świecie naukowym i artystycznym, z wrodzonéj ciekawości czytał bardzo wiele, a że przyswajał sobie łatwo to, co czytał, nabył niemałego wykształcenia i mógł powiedzieć o sobie, że szedł „mniéj więcéj razem z ruchem umysłowym swego wieku".

Takim poznajemy bohatéra w chwili rozpoczęcia się akcyi powieściowéj. Ciotka jego, owa poczciwa ciotka, co go nieraz sprowadzała już do Warszawy dla ożenienia go z wybraną przez siebie „dzierlatką", powołała go i teraz z Rzymu. Zdenerwowany, chwiejny w swoich postanowieniach, zobojętniały na wszystko (tak mu się przynajmniéj wydawało), przybywa do kraju z wielkiém względem Polek uprzedzeniem. Zapisuje o nich w pamiętniku kilkanaście fajerwerkowych zdań, które, jak powiada, wyrobił sobie z osobistego doświadczenia. Bardzo być może; ale są one nader podobne do tych, jakie przed laty z górą trzydziestu Korzeniowski o Polkach kokietkach w porównaniu z innemi kobietami wypowiedział. „Włoszka będzie kokietką—pisał autor „Ofiary i sumienia" (Dzieła, III, 310)—ale przychodzi na nią chwila, że się w niéj odezwie uczucie, ocknie się namiętność, i wtenczas, poświęcając obowiązek i siebie, poświęca i pokój swój dla mężczyzny, którego pokocha. Francuzka wabi i zwodzi, ale i na tę przychodzi kréska, że się w niéj odzywa krew i temperament, i ta w takiéj chwili, jeżeli zapomni o swéj powinności, to zapomni także o swym pokoju i o sobie dla mężczyzny, do którego się zapali. Polka kokietka nie ma ani duszy, ani krwi, ani po-

kocha sercem, ani rozpłomieni ciałem. W żadnéj chwili, w żadnym stosunku z mężczyzną nie zapomni o sobie, ani o swéj próżności, bo próżność tylko jest jedyną pobudką wszystkich jéj myśli i zachodów. Stroi się, pracuje, goni, wabi, zawsze na zimno i zawsze tylko dla tego, aby powiedziéć: podobałam się, zwyciężyłam! — i jutro ani myśli już o tym, któremu się podobała, dla którego wyłożyła tyle pracy i starania. Tak niczém nie okupując egoizmu, który nią rządzi, jest kokietką póty, póki nią być może, to jest póki starczy wdzięków i póki nie zostanie dewotką, mizdrzącą się tak do Pana Boga, jak się mizdrzyła do tych, którzy całe życie klną jéj pamięć, a o których ona dawno już zapomniała“. Płoszowski w swojéj charakterystyce daje dowcipną parafrazę — ale parafrazę tylko — zdania Korzeniowskiego rozciągając je do wszystkich Polek. „Nie wiem — powiada — czy są cnotliwsze na ogół od Francuzek lub Włoszek; wiem to tylko, że są o wiele patetyczniejsze. Zimno mi się robi, gdy o tém pomyślę. Bo rozumiem elegię nad stłuczonym dzbankiem, gdy po raz pierwszy ujrzy się u stóp skorupy; ale deklamować tę elegię z równym patosem nad wielokrotnie drutowanym dzbankiem, to doprawdy zakrawa na operetkę. Miła rola czułego słuchacza, któremu przyzwoitość nakazuje brać to na seryo! Dziwne, fantastyczne kobiéty, o płonących głowach, a rybim temperamencie! W uczuciach ich nie ma nietylko wesołości, ale i prostoty. Kochają się one w formach uczucia, mniéj dbając o treść wewnętrzną. Z tego powodu nie potrafisz nigdy Polki obrachować. Z Francuzką, z Włoszką, jeśliś logicznie ułożył premisy, możesz być mniéj więcéj pewien swojego *ergo*. Z Polką bynajmniéj! Ktoś powiedział, że jeśli się mężczyzna myli, to mówi, że dwa razy dwa jest pięć — i błąd może być sprostowany; kobiéta zaś myląc się, twierdzi, że dwa razy dwa jest lampa i wtedy choć głową o mur bij. Otóż przedewszystkiém w logice Polek może wypaść, że dwa razy dwa nie jest cztery, ale lampa, miłość, nienawiść, kot, łzy, obowiązki, wróbel, pogarda — zgoła nic nie potrafisz przewidziéć, niczego obrachować, przeciw niczemu się ubezpieczyć. Być zresztą może, iż z powodu tych wszystkich wilczych dołów, cnota Polek lepiéj jest ubezpieczoną, niż innych kobiét, choćby dlatego, że oblegający nuży się śmiertelnie. Com jednak zauważył i czego nie mogę im darować, to tego, że wilcze doły, palisady, pastki, ta zaciekłość obrony, wszystko to nie tyle obrachowane na ostateczne odpędzenie przeciwnika, ile na wyzyskanie wzruszeń walki.“

Wobec takich poglądów, łatwo zrozumiéć, że Płoszowskiemu nie mogła smakować myśl rozwijania znużonych sił swoich, dla zdobycia

fortecy serca kobiecego o rybim temperamencie. Cenił swą swobodę, ofiarą miłości, a tembardziej małżeństwa stać się nie chciał. Gdy więc poznał upatrzoną przez ciotkę na żonę dla niego Anielkę, postanowił odrazu wyrazić jasno wobec niej swój zamiar i stanąć na stopie poufałej kuzyna. Anielka podobała mu się niezmiernie, był to jego „typ“; widział, że i on zrobił na niej korzystne wrażenie, to go ożywiło, pobudziło; przypomniał sobie „godziny sali“; powiedział sobie, dlaczegoby nie miał jej trochę rozmarzyć. Pewnym był, że zajdzie tak daleko, jak sam zechce, a jak daleko zabrnie Anielka, to go mało obchodziło. Powoli jednak pod wpływem czaru świeżego uczucia, jakim go darzyła Anielka, słabł Płoszowski w pierwotnych postanowieniach swoich, przypuszczał do głowy możność porzucenia kawalerskiej swobody dla życia we dwoje. Dowiedziawszy się, że o Anielkę konkurował Kromicki „małpa o bibulastej twarzy“, ochłódł dla niej chwilowo z powodu wielce wydelikaconego poczucia piękna czuł żal jakiś do niej, że „pozwoliła patrzeć na siebie takiej obrzydliwej figurze, a zwłaszcza, że mogła się przez jednę sekundę wahać“. Ale wkrótce chłód ten ustąpił, bo Anielka odczuła go i umiała znalezieniem się swojem zażegnać go skutecznie, oddziaływając i na nerwy i na uczucie. Czasami przychodziły mu skrupuły: czy mu wolno wiązać to życie młode, świeże, pelne wiary w świat i Pana Boga, ze swemi zwątpieniami, ze swą duchową niemocą, ze swym beznadziejnym sceptycyzmem, ze swą krytyką, ze swemi nerwami? „Ja przecie — mówił sobie — nie zakwitnę drugą młodością duchową przy niej, nie odnowię się; mózg mój nie zmieni się, nerwy nie okrzepną? Zali nie będzie to coś potwornego? Mogęż odgrywać rolę tego polipa, który wysysa ofiarę dla odżywienia się jej krwią?“

Pociąg atoli nieprzeparty zgłuszył niebawem te skrupuły; w chwili działającej na nerwy objął Płoszowski ramionami Anielkę, i przygarnąwszy ją do siebie, dotknął ustami jej czoła. Miał już nawet wypowiedzieć formalnie swoje uczucia i zobowiązania, gdy odebrany od ojca list z Rzymu, donoszący o chorobie, zmusił go do wyjazdu, nie dozwolił spełnić zamiaru.

W Rzymie, zdala od Anielki, przemijały w duszy Płoszowskiego fale przypływu i odpływu woli: to go zdejmowała tęsknota za Anielką, to zobojętnienie, to poczucie, że uczyni ją nieszczęśliwą, że jest jej niegodnym, to ufność w szczęście przyszłości, w odzyskanie przez miłość —„dziewictwa“ swego. Pomimo całej niby-refleksyjności dawał się ogarniać i pochłaniać wrażeniom chwilowym, kaprysom usposobienia nerwowego. Urok z oddalenia nie działał. W listach do Płoszowa pisanych nie zdobywał się na nakreślenie żadnego cieplejszego

słowa dla Anielki; lękał się już znowu więzów. Nic dziwnego; zaczął już ulegać wpływowi przecudnie pięknéj Laury Davis, która wraz z mężem odwiedzała ojca jego w chorobie. Była to kobiéta łącząca przymioty wyższego artystycznego wykształcenia z bardzo swobodnemi poglądami na stosunki towarzyskie i zasady moralności, a urokiem ciała wabiąca ku sobie nawet tak doświadczonych w „godzinach sali", jak Płoszowski. Po śmierci ojca oddał się całkowicie rozkoszy towarzystwa z Laurą, a gdy zmęczone jego nerwy ze stosunku tego wyzyskały wszystko, co się wyzyskać dało, przypomniał bohaterowi istnienie Anielki list, donoszący o nowych konkurach Kromickiego. List trafił na bardzo złą chwilę w usposobieniu Leona; zdenerwowany, zły na siebie, porywczo odpisał, życząc panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim. Po wysłaniu atoli téj odpowiedzi cały rój wątpliwości, przypuszczeń, coraz zmieniających się w zabarwieniu swém uczuć opanował umysł Płoszowskiego; przez tydzień był jak zaczadzony. To wyrzucał sobie, że kobiétę, którą ukochał nad wszystko, wtrącił w przepaść nieszczęścia, to dręczył się myślą, że téj kobiécie może wystarczy nawet Kromicki. Szukał rozrywki, a raczéj roztargnienia; ponieważ Laura już go znudziła, zajął się sztuką, a znajomość z zapalonym marzycielem, rzeźbiarzem Łukomskim, rzeczywiście dała mu chwilowo pewien wypoczynek, odwróciła jego myśli od zaklętego koła refleksyj nad sobą. List Śniatyńskiego, rozumnego przyjaciela, uwydatniający Leonowi słabość charakteru i donoszący o zabiegach „małpy" Kromickiego, budzi w nim chęć reformy siebie samego, chęć zmuszenia się do działania. Postanawia więc pojechać do Płoszowa, by konkurom przeszkodzić, ale nie ma siły wykonać postanowienia natychmiast, używa półśrodka, pisze do ciotki długi list, w którym było dużo o uczuciach, o stanie duchowym, ale znowu ani jednego słowa stanowczego co do Anielki. Oczekując na odpowiedź, dochodzi do przeświadczenia —chwilowego naturalnie — że mniéj pragnie posiadać Anielkę, niż boi się ją utracić, że nie tyle kocha ją, ile czuje, że mógłby ją pokochać i tego właśnie, tych widoków szczęścia, téj jedynéj sposobności do zapełnienia życia żal mu ogromnie, a jeszcze bardziéj strach owéj pustki, jakaby się przed nim otworzyła, jeśliby mu się usunęła Anielka. Odpowiedź nadeszła niepomyślna; ciotka donosiła, że ślub Anielki ma się odbyć za kilka tygodni. Jakby sprężyną pchnięty Płoszowski, opuścił Rzym, ale w wagonie już się rozmyślił, dotarł do Florencyi tylko. Powoli dojechał do Krakowa. Nasuwające mu się projekta szybkiego działania, np. napisanie listu do Anielki, uznał po głębszéj rozwadze za niewłaściwe. Wolał użyć pośred-

nictwa Śniatyńskiego, który miał pomówić z Anielką sam na sam i skłonić ją do odmowy Kromickiemu choćby w ostatniéj chwili. Niepokój go dręczył, nie spał kilka nocy, zmizerniał okrutnie. Zdawało mu się ciągle, że Anielka powinna się zgodzić bodaj na odłożenie ślubu, to znów, że „ona nie zmiłuje się“ nad nim. W przeddzień wiadomości stanowczéj, czuł w sobie „taką przeraźliwą powagę, jakby dotąd był dzieckiem“ i zarazem smutno mu było ogromnie. Odpowiedź Śniatyńskiego, telegraficznie zwięzła, nadeszła: „Wszystko na nic — zbierz siły i ruszaj w świat“.

W pierwszych miesiącach potém doznawał uczuć „bezdennéj rozpaczy“; zwolna wszelako przyzwyczajenia — nie ponęty — życiowe odzyskiwały w nim moc sobie właściwą. Rozleniwiał tylko więcéj niż przedtém. Zdawało mu się, że mógłby być energicznym, gdyby zechciał, ale brakło mu właśnie chęci; stał się bardziéj bezwzględnym, niż kiedykolwiek przedtém, chociaż i to było właściwie złudzeniem, bo nie mając woli, mógł conajwyżéj myślą działać na szkodę czyjąś; zobojętniał dla wszystkiego i wszystkich, a szczególniéj dla Śniatyńskiego, dlatego, że uczynił go powiernikiem swojego uczucia względem Anielki, że upokorzenie, jakie spotkało bohatera, przeszło naprzód przez ręce tego pośrednika.

Ten stan duszy Leona był atoli przejściowym tylko; w sercu jego nie zanikło wcale pragnienie wzruszeń, a w umyśle—żądza wrażeń; słabiéj się tylko przejawiało. Dowodem tego nowy jego przyjacielski stosunek z utalentowaną fortepianistką, zadużą trochę, ale ładną i ujmującą Niemką, Klarą Hilst, która się w nim pokochała głęboko i serdecznie. Dowodem tego w wyższym jeszcze stopniu ponowne zwrócenie się do Anielki, już zamężnéj. Musiał w sobie pokonać dwa przynajmniéj rodzaje wstrętu, jakie mogły go od takiego kroku powstrzymywać, bo najprzód wstręt do kobiéty, która nadeń przeniosła taką „małpę“, jak Kromicki, a powtóre wstręt nerwowego człowieka do mężatki, którą kochał jako dziewicę. Pozoruje wprawdzie przed sobą Płoszowski myśl zbliżenia się do Anielki chęcią obserwatora, pragnącego zobaczyć i przekonać się, w jaki sposób ułożą się wzajemne ich stosunki. Zapisuje nawet w dzienniku, jakby dla upewnienia samego siebie, że Anielki nie kocha i „nie będzie kochał“; sądzi, że sam jéj widok wyprze z jego serca dawną Anielkę lepiéj od wszelkich innych środków. W gruncie rzeczy jednak wraca po dziesięciu miesiącach do kraju nie dla czego innego, tylko dla Anielki, kocha ją bowiem całą duszą, chociaż sam siebie okłamać-by z początku pragnął.

Ponowny jego stosunek do ukochanéj przebiega trzy różne fazy.

Zbliżywszy się do niéj w zamiarze obserwowania i leczenia się jéj widokiem, przekonywa się przedewszystkiém, że pani Kromicka jest jego dawną Anielką, że nic nie utraciła z dawnych uroków swoich, a jeżeli sprawia mu odrazę myśl, iż była w objęciach „małpy“, uspokaja go fakt, że „na nic takiego się nie zanosi.“ W pierwszéj fazie swego ponownego stosunku stara się Płoszowski wpłynąć na Anielkę w ten sposób za pomocą rozmów i książek, żeby w niéj uśpić i zagłuszyć skrupuły moralne i oddziałać na jéj uczuciowość. Łatwo było przeniknąć, że Anielka kocha go ciągle, a nie lubi męża, lecz niepodobna było całéj przebiegłości mistrza w „godzinach sali“ wyjednać choćby najmniejsze ustępstwo, choćby wyznanie tylko, że jest kochany. Żądza posiadania Anielki wzrasta skutkiem oporu przez nią stawianego i doprowadza Leona aż do myśli o kroku stanowczym—o rozwodzie; lecz tu „dogmat“ Anielki staje zamiarowi Płoszowskiego na przeszkodzie; o rozerwaniu związku małżeńskiego nawet słyszéć nie chce. Wówczas budzi się w Płoszowskim zwierzę, myśl walki o byt, a raczéj o samicę, przesuwa się płomienną smugą po jego umyśle; ale zanadto jest zdenerwowany, zanadto ma wstrętu estetycznego do zbrodni, zanadto wybujała w nim refleksya, mówiąca mu, że gdyby nawet zabił Kromickiego, jeszczeby przecież celu nie osiągnął; stąd też może on w myśli tylko pragnąć śmierci swego przeciwnika, może mu robić suggestyę samobójstwa, lub ostrożnie, z ogródką proponować mu odstąpienie żony za pewną sumę, która temuż w spekulacyach nieszczęśliwych dostawy wojskowéj była niezbędną. Co najwyżéj, może wobec Anielki upokarzać Kromickiego, wykazując, że ten myśli więcéj o swoich obrotach, niż o żonie, że nie posiada ani delikatniejszego uczucia, ani smaku.

Te drobne atoli zadowolenia miłości własnéj nie mogą zaspokoić jego pragnień, przechodzących w manię, nie dających mu myśléć o czém inném, zamykających dosłownie świat w kole zakreśloném promieniami oczu Anielki.

Wtedy następuje druga faza w objawach jego stosunku do ukochanéj. Nie mogąc wydobyć z niéj wyznania miłości, próbuje poprzestać na wyznaniu przyjaźni. I to mu się udaje — w części przynajmniéj. Anielka zgadza się na przyjaźń; następują dni względnego ukojenia; pod płaszczykiem przyjaźni łatwiejszą staje się rozmowa, przechadzki i przejażdżki. Naturalnie Płoszowski spostrzega co chwila, że owo zadowolenie, jakie przyjaźń daje, wcale mu nie wystarcza, że jego pragnienia sięgają zawsze daléj, że bez objawów zewnętrznych miłość jego obejść się nie może; w każdym jednak razie odgrywa swą rolę przyjaciela, aż do chwili, gdy się dowiaduje, że

Anielka jego ma nadzieję doczekać się potomka. Wściekłość ogarnia nerwowego człowieka—ucieka od Anielki, choruje w Berlinie, gdzie go z prawdziwém poświęceniem swéj opinii pielęgnuje Klara Hilst, po przyjściu do zdrowia, ofiaruje swą rękę Klarze, lecz ta poznawszy tajemnicę jego serca, odsuwa łagodnie tę propozycyą, zapewniając go o swojéj głębokiéj miłości. Niewiele go zmartwiła ta odmowa, bo i zamiar sam był właściwie chwilowym wyrazem tylko wdzięczności, gdyż miłość dla Anielki, pomimo wszystkich estetycznych wstrętów, była już jedyną sprężyną wprawiającą w ruch organizm duchowy Leona.

Wraca więc do Płoszowa, dowiedziawszy się o bankructwie Kromickiego, bo mu już teraz chodzi tylko o życie i zdrowie ukochanéj bez względu na to, co się stanie z jego uczuciem, jaki będzie jego do niéj stosunek. Anielka — to już dla niego tylko „najdroższa głowa“; żądze ziemskie już nie przepalają jego duszy, miłość jego idealizuje się. Kromicki skończył samobójstwem. Anielka wyznała otwarcie, że kochała Leona zawsze. Lecz tu dosięga bohatéra katastrofa. Anielka przy połogu umiéra. Leon za nią podążyć zamierza.

Z wątku tego nie trudno wyrozumiéć, że powodem zasadniczym cierpień bohatéra nie był bynajmniéj brak jakiegokolwiek dogmatu — religijnego, naukowego, artystycznego, narodowego czy społecznego— lecz brak woli, sybarytyzm duchowy, życie wygodne a próżniacze, połączone z nadmiernèm wyobrażeniem o swoich zdolnościach i z pretensyą do zajęcia jakiegoś wydatnego stanowiska. Płoszowski widzi, że, pomimo najnieprzyjaźniejszych warunków, ludzie przecież pracują na rozmaitych polach (Śniatyński, młodzi Chwastowscy), rozumié, że w takich ludziach jest zdrowie i otucha na przyszłość; ale sam nie myśli o wzięciu udziału w téj robocie społecznéj, a jeżeli chwilowo zamierza sprowadzić galeryę obrazów do kraju, ażeby artystom miejscowym dać możność kształcenia się, to myśl ta ma swe źródło jedynie w chęci podziałania na wyobraźnię i serce Anielki. Ponieważ jestestwo całe skupił w miłości dla téj kobiéty, nic po za nią dla niego już nie istnieje. Jak zahypnotyzowany nie ma on woli własnéj, rządzi nim jego hypnotyzerka. Miłość jego tylko z tego punktu widzenia daje się zrozumiéć: jest objawem patologicznym, podobnym do objawów pewnego zboczenia płciowego.

Anielka, jeżeli ją sądzić będziemy nie z tego, co o niéj mówi zahypnotyzowany bohatér, ale z faktów przezeń przytoczonych, nietylko nie wygląda na ideał, lecz nawet przykre robić musi wrażenie. Kochając Leona, wychodzi za Kromickiego. Rzeczy takie dzieją się bardzo często, przestały już dziwić, a w pewnych wypadkach można

je nawet wytłómaczyć. Przypuśćmy, że Anielka chciała uspokoić matkę zatrwożoną złém położeniem majątkowém i poświęciła własne szczęście. Byłby to czyn bohaterski, niejednokrotnie przez różnych powieściopisarzów naszych sławiony. Ale ażeby aureolę na skroni swéj zatrzymać, musiałaby Anielka w dalszym ciągu postępować inaczéj. Że nie chce złamać wiary małżeńskiéj, choć kocha Płoszowskiego, to bardzo pięknie i moralnie z jéj strony, ale że nie mając jeszcze dzieci odrzuca myśl rozwodu, chociaż kochać Leona nie przestaje, to już z punktu widzenia etyki, nie zadawalniającéj się formalizmem, dowodem moralnego dogmatu nazwać się nie może. W objęciach Kromickiego myśléć o Płoszowskim znaczy, zdaje mi się, dopuszczać się prostytucyi duchowéj. Kiedy Goethe w *Wahlverwandschaften* podobny stosunek plastycznie odmalował, romans jego powszechnie okrzyknięto za niemoralny, lubo tam zakończenie było zgodniejsze z zasadami etyki. Zresztą Anielka w opowiadaniu Płoszowskiego przedstawia się dwojako: raz wydaje się, jakoby to była piękna, lecz pospolita kobiéta, co wyszedłszy za mąż rada miéć przy sobie wytrwałego wielbiciela, który gotów ponieść wszelkie koszta niepowodzeń męża, a jéj zabezpieczyć w każdym wypadku byt wygodny; śladów trosk i cierpień na niéj zgoła nie widać, lubi flirtować, lecz nie chce dać się porwać namiętności, ażeby kochanek nie mógł jéj potém lekceważyć. Byłby to okaz owéj kobiéty o płomiennéj głowie, a rybim temperamencie, którą Płoszowski tak dowcipnie charakteryzował. W innych znowu wypadkach zbolała Anielka, niknąca z tęsknoty za Leonem, wydaje się męczennicą niepokonanego uczucia i własnych pojęć o świętości sakramentu małżeństwa. Dwie te odmienne osobistości nie mogą się zlać w jednę, nie mogą utworzyć harmonijnéj całostki; a rozdźwięk między niemi musi wywołać ujemne, przykre wrażenie pod względem i estetycznym i moralnym.

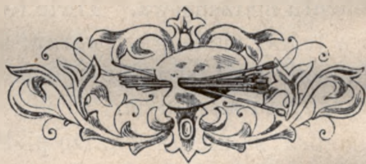
Inne postaci romansu są nieraz bardzo pięknie, niekiedy kilku rysami po mistrzowsku skreślone (ojciec Leona, ks. Calvi, ciotka, zapalona amatorka wyścigów, Laura Davis, Klara Hilst, Śniatyński, Łukomski); ale ponieważ małą odgrywają rolę w wątku powieściowym, nie mogą nabrać większego psychologicznego czy społecznego znaczenia, są to śmiało, pewną ręką rzucone sylwetki.

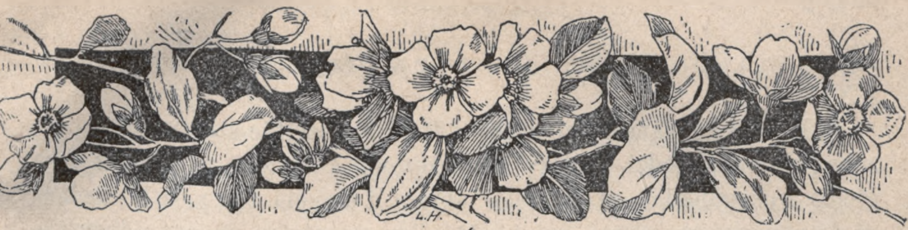
Kompozycya jest utrzymana niezmiernie spójnie i konsekwentnie. Trudna i już nieraz nadużyta forma dziennika utrzymana jest w swoim charakterze stale, nawet ze szkodą dla interesu powieści. Ponieważ w pierwszym tomie, przed zamążpójściem Anielki, Płoszowski, pomimo swego sceptycyzmu, obraca się w kole osób żywych, zabiéra nowe znajomości i choć jakotako działa, dziennik jego ma znacz-

ne urozmaicenie, jest zajmującym; przedstawia bowiem różnorodne stosunki z niemałém ożywieniem. Potém, gdy Leon zobojętniał na wszystko i zajął się wyłącznie swoją miłością, ludzie i wypadki rzeczywiste znikają z jego pamiętnika na długo, pojawiając się tylko epizodycznie, a karty jego wypełniają refleksye nad stosunkiem Płoszowskiego do Anielki. Rzecz to bardzo naturalna, iż piszący zajmuje się tém tylko, co go obchodzi, ale dla interesu powieściowego niepowetowaną przynosi to szkodę. Niepowetowaną mówię, gdyż nie wynagradza braku wypadków głębokość analizy psychologicznéj. Płoszowski łudzi sam siebie, jakoby analizę taką podawał; to, co pisze o swojém uczuciu i o stanie swego ducha, rzadko kiedy wzbija się nad poziom uwag dyletanta, uparcie powtarzającego pewne frazesy i przekonanego, że przez powtarzanie potrafi im nadać wartość jakichś bystrych i trafnych spostrzeżeń; czasami zaś tak odbiega od właściwego tematu, jakby chciał zużytkować swój dziennik dla wypróżnienia szuflady zawierającéj masę dorywczych notatek o świecie, społeczeństwie i sztuce.

Mamże jeszcze mówić o języku? Jest on piękny, jak zwykle u Sienkiewicza; lecz trudno nie wyrazić zdziwienia, skąd Płoszowskiemu mogły się dostać pod pióro takie wyrażenia, jak: *zeznać*, *zeznanie*, *zeznany* w znaczeniu „świadomości“, albo taki frazes: „Mnie *czyniło się* zimno w mózg i czaszkę“!...

Piotr Chmielowski.





PIERWSZY WIERSZ POLSKI.

Pierwszy wiersz polski?—zapyta zdziwiony czytelnik—czyż godzi się używać tak szumnego tytułu, kiedy lada chwila może uda się wykryć rękopis, któryby dawniejsze wiersze zawierał?

Nie przeczę temu — ale bardzo wątpię, czy znajdzie się kiedykolwiek wiersz starszy, niż ten który poniżej ogłaszam. Są jużci starsze, Bogurodzica np. pewnie o pół wieku ów wiersz, o którym mowa, poprzedziła; są pieśni ludowe, początkiem swym daleko po za Bogurodzicę sięgające — ale Bogurodzica hymn kościelny, przełożony z czeskiego, czego śladów najstarsze odpisy wcale jeszcze nie zatarły a pieśni ludowe w obręb piśmiennictwa — w ściślejszém tego słowa znaczeniu — cale nie wchodzą; nasz zaś wiersz, produkt literacki, i to oryginalny, nie z czeskiego wzięty, jak trzy czwarte naszéj średniowiecznéj literatury; pochodzi z początku piętnastego stulecia, a co więcéj, i nazwę autora przechował, nie jak inne, nasze lub czeskie dawne pomniki, zazwyczaj bezimienne.

Wiersz ten napisał może w Krakowie, może żak jaki, a opisał w nim, jak się przy stole ludzie zachowują; wplótł zaś w opis hołd, który całéj płci pięknéj, czyli jak się wyraża „cudnéj twarzy“ złożył, pierwszy i na wieki niemal jedyny w literaturze.

Myśl utworu, jak wszystko średniowieczne, pochodna. Wiadomo, że średnie wieki w formę wiersza przebierały nawet to, co najmniéj do niéj przypada, a więc wykład prozodyi lub słów nieregularnych, spis rozdziałów pisma świętego, traktaty medyczne i t. d.; o ileż zawzięciéj wierszowano rzeczy treści dydaktycznéj, wychodząc z zasady, że forma wierszowa rzecz nietylko zdobi, ale i ścieśnia, a więc tém lepiéj w pamięć wraża. Przechowało się też kilka poematów łacińskich, podających przepisy dobrego tonu u stołu; jeden z więcéj

céj znanych, „Fagifacetus“ (t. j. niby mistrz jedzenia) Rajnera, może z XIV wieku.

W 440 heksametrach skreślił Rajner wszelkie szczegóły, od różnicy, jaka zachodzi między zwierzętami a ludźmi w zaspakajaniu głodu i pragnienia, od czystego ubioru i umycia rąk przed obiadem, aż do ponownego mycia po obiedzie, wychwalając przytém dary Cerery i Bacha, podając nawet temata, o jakich z nadobną towarzyszką u stołu rozmawiać można, wszystko w wykwintnéj formie średniowiecznéj, nieco napuszonéj. Literatura niemiecka posiada również kilka tak zwanych *Tischzuchten*; z nich najdawniejsza pod nazwą sławnego Tannhausera obiegała, wywołując kilka naśladowań, które dzieciom przepisy takie podając, przestrzegają np., by soli palcami nie brać, nie pić mając co w ustach, nie łykać głośno napoju, w obrus nosa nie ucierać, jak siedzieć przystojnie, jak chléb krajać, jak noża nie trzymać i t. d. W literaturze czeskiéj takiéj *Tischzucht* dotąd nie odszukano, tém ciekawsza więc polska.

Gdy tak obce, łacińskie rzeczy autorowi naszemu myśl poddały, formę, któréj u swoich wyrobionéj jeszcze nie było, znalazł on gotową u pobratymców. U Czechów bowiem kwitła literatura w języku ojczystym już od półtora wieku, wysiliwszy się zaraz u samych początków na najwytworniejszy kwiat średniowiecznéj poezyi słowiańskiéj, owę Aleksandreidę, niestety w ułamkach tylko przechowaną; u nich to w czasach bliższych, na końcu XIV wieku, pan Smil i inni, bezimienni, właśnie poezyę dydaktyczną gorliwie uprawiali; taki poemat jak np. „Rada ojca synowi“ wpłynął bezpośrednio na naszego autora, jak to zobaczymy. W poezyi téj dla epiki i dydaktyki służył stale wiersz krótki, ośmiozgłoskowy, rymowany parzyście; przejęty z niemieckiego, dostał się nam z rąk Czechów i do XVII wieku dotrwał, w którym go dopiéro stanowczo wiersz długi (11 lub 13 zgłoskowy) przytłumił: jeszcze Górnicki pieśń o Grunwaldzie tym wierszem ułożył a Kochanowski, nie wiedząc lub nie myśląc o roli, jaką ten wiersz w epice średniowiecznéj odgrywał, nazwał go mylnie „miarą liryczną“.

Żak nasz użył téj samej formy, jedynéj uświęconéj, ale z tą wolnością, którą u Smila np. spotykamy, to znaczy, przeplatając wiersz ośmiozgłoskowy siedmiozgłoskowym, zwłaszcza kończąc jaką myśl; zachodzą u niego i dziewięciozgłoskowe, których w restytucyi tekstu nie tykam—chociaż można je łatwo zredukować — bo i u późniejszych Czechów podobną niestałość zauważyć można. Rymy parzyste zastępuje autor nieraz troistemi; i Czesi, lubo nie tak często jak nasz autor, raczéj tylko u końca ustępów rymy skupiają. Rymy autora, jak wszystkich dawniejszych pisarzy, niedokładne, często raczéj to

assonancya tylko, nie zaś rym; obfite téż rymy gramatyczne, tak wygodne.

Styl autora prosty i jasny, ale bez wszelkich ozdób, metafor, aluzyj i tym podobnych kwiatków, jakieby współczesny poeta łaciński hojnie rozsypywał; czysta to proza, ujęta tylko w formę miarową, nie wykluczającą dosadnego, rubasznego zwrotu. Nawet treść autor nie dobrze ułożył; zaczyna rzecz za wcześnie, przerywa, wtrąca i wraca się; widać bardzo gniewają go ci, co u stołu grzecznością nie grzeszą, tak, że zaraz myśli jego się nasuwają, wpada więc w ferwor i zaczyna ich gromić, przez co cały układ psuje; hołd dla kobiét znowu taki dlań ważny, że go aż powtarza.

Oznaczmyż w krótkości ciąg myśli autora. Jesteśmy w czasach przedhumanistycznych; inwokacyą więc zwróci pobożny autor ku Bogu, od niego, nie od Apollina lub Muz prosząc natchnienia; tak samo zakończy prośbą sługi grzesznego, by nam wszem radości niebieskiéj udzielił. Inwokacya wyraża i treść, będzie więc mowa „o stole chlebowem“ czyli obiadowym. Wylicza się zaraz, co ten stół na się zgarnia, dary pola i niwy, stodoły i toboły t. j. torby, myśliwego lub chłopka, co zebrał grzyby i t. p.; napojem piwo lub woda, o winie nie ma jeszcze wzmianki; te i inne potrzeby, ile kogo na to stać. Stół to dopiéro rozwesela człowieka, który przy nim i spokój i posiłek znachodzi. Ale są ludzie, co siedzą za stołem niby woły, niby kołki w ziemię zatknięte; nie mają przed sobą talerza, drą się do misy, nie zważając na płeć piękną, rąk nie umyli, nadrobią pełną misę jak chłop, sięgają do misy przez drugiego szukając dobrego kąska, nie warci żadnego — bodajby im wrzód usta zaległ. Tém łatwiéj poznać, gdzie gość szanowny siedzi, zaraz go też służący stosownie wyróżnia. Inni nie biorąc względu na nikogo, pierwsze miejsca pozasiadają; muszą je potém ze wstydem odstąpić, np. jakiemu panu, którego lubo ubogi, wszyscy poważają choćby i panicze, a kto tego nie wié, dowié się o tym od bywałego; poznać téż zaraz, kiedy przed stołem wodę na ręce dają, zaczynają bowiem od starszych. Siadłszy do stołu, krajcie panny—do nich się autor zwraca — małe kąski, a jedzcie nie nad apetyt; wy i panie macie wiedziéć, czego unikać, panowie zaś was czcić, wam służyć mają; tak dorobią się u was zachowania i wdzięczności. Cnotliwą panią nazywa koroną, niegodny kto jéj nie poważa; od Matki Bożéj na nie się ta cześć zlała — zwykłe średniowieczne pojęcie—że przed niemi i książęta wstają; nic nad nie lepszego. Po téj wycieczce zdaje się—miejsce można różnie tłómaczyć—że autor wraca do tematu właściwego: niechżesz każdy pojedyńcze kęsy żuje; inni nie zważają na nauki, ruszają wszystko, nagabują towarzysza, sami nie

słuchając dobréj rozmowy i drugim jéj słuchać nie dają. Porzuca teraz autor stanowczo temat: prosi Matkę Bożą, by każdego, kto piękną płeć czci, za sługę przyjęła, grzechu śmiertelnego i nagłéj śmierci uchowała. Paniami stoi wesele na świecie, od nich wszystko dobre mamy, one nas ku czci przywodzą, gdyż właśnie wszelka cześć od cnotliwéj matki zależy, dla tego to niech je chwali każda dobra dusza. Kończy autor, prosząc panny i panie, by hołd jego przyjęły, poczém, jak wspomnieliśmy, wraca myślą korną do Boga, od którego był zaczął.

Podajemy teraz tekst wiersza, nie w pisowni oryginału, ale w nowożytnéj, nie chcąc zrażać czytelnika nieudolną pisownią XV wieku od poznania téj ciekawéj pamiątki. Na innem miejscu ogłosimy, dla zaspokojenia sumień filologicznych, tekst w pisowni pierwotnéj.

Gospodnie! daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tém co powiedzieć,
O chlebowem stole.
Zgarnie na się wszystko pole,
Co w stodole i tobole,
Cole się na niwie zwiąże,
To wszytko na stole lęże.
Przetoć stół wieliki swieboda;
Staje na nim piwo i woda;
I k temu mięso i chleb
I wiele jinych potrzeb,
Podług dostatka tego,
Ktole może dostać czego.
Z iutra wiesiół nikt nie będzie.
Aliż gdy za stołem siędzie,
Toż wszego myślenia zbędzie,
A ma z pokojem sieść,
A przytem się ma najeść.
A mnogi idzie za stół,
Siędzie za nim jako wół,
Jakoby w ziemię wetknął kół;
Nie ma talerza karmieniu swemu,
Eżby ji ukrojił drugiemu,
A grabi się w misę przód,
Iż mu miedźwno jako miód,
Bogdaj mu zaległ usta wrzód!
A je z mnogą twarzą cudną

A będzie mieć rękę brudną,
Ana też ma k niemu rzecz obłudną.
A pełną misę nadrobi,
Jako on, co motyką robi.
Sięga w misę prze drugiego,
Szukaję kęsa lubego,
Niedostoien nic dobrego.
Ano wżdy widzą, gdzie cny siedzi:
Każdy ji sługa nawiedzi,
Wszytko jego dobre sprawia,
Lepsze misy przedeń stawia.
Mnodzy na tem nic nie dadzą,
Siędzie gdzie go nie posadzą;
Chce się sam posadzić wyszej,
Potem siędzie wielmi niżéj.
Mnogi jeszcze przed dźwirzmi będzie,
Co na jego miasto siędzie,
An mu ma przez dzięki wstać;
Lepiéjby tego niechać.
Jest mnogi ubogi pan,
Co będzię książętom znan,
I za dobrego wezwan;
Ten ma z prawem wyszej sieść,
Ma nań każdy włożyć cześć;
Nie może być panic taki,
Musi ji w tem poczczić wszaki;
Bo czego nie wie doma chowany,
To mu powie jeżdżały.
U wody się poczyna cześć;
Drzewiej niż gdy siędą jeść,
Tedy ję na ręce dają;
Tu się więc starszy poznają;
Przytem się k stołu sadzają.
Panny, na to się trzymajcie.
Małe kęsy przed się krajcie.
Ukrawaj często a mało,
A jedz, byleć się jedno chciało.
Tako panna jako pani,
Ma to wiedzieć, co się gani;
Lecz rycerz albo panosza,
Czci żeńską twarz, toć przysłusza.

Co masz na stole lepszego przed sobą,
Czci ję, iżby żyła z tobą.
Bo ktoć je chce sobie zachować,
Będą ji wszytki miłować,
I kromie oczu dziękować.
Boć jest korona cna pani;
Przepaść by mu, kto ję gani.
Ot matki boże tę moc mają,
Iż przeciw jim książęta wstają
I wielką jim chwałę dają.
Ja was chwalę, panny, panie,
Iż przed wami nic lepszego nie.
Za to się ma każdy wziąć,
Otłożywszy jedno żwać;
Mnodzy za to nic nie dbają,
Iż jim o czci powiedają,
Przytem mnogiego ruszają.
Kogo podle siebie ma,
Tego z rzeczą nagaba,
Nie chce dobrej mowy dbać,
Ni je da drugiemu słuchać.
Ktokoli czci żeńską twarz,
Matko boża ji tym odarz:
Przyjmi ji za sługę swego,
Zchowaj grzecha śmiertnego
I też skończenia nagłego.
Boć paniami stoi wiesiele,
Jego jest na świecie wiele.
I ot nich wszytkę dobroć mamy,
Jedno na to sami dbajmy.
I toć są źli, co jim szkodzą,
Bo nas ku wszej czci przywodzą.
Kto nie wie, przecz by to było,
Ja mu powiem, acz mu miło.
Ktokoli cną matkę ma,
Z niej wszytkę cześć otrzyma.
Prze nię mu nikt nie nagani;
Tęć ma moc każda cna pani,
Przetoż je nam chwalić słusza,
W kiem jeść koli dobra dusza.

Przyjmicie to powiedanie
Prze waszę cześć, panny, panie!
Też miły gospodnie mój,
Złota grzeszny sługa twój
Prosi za to Twey Miłości,
Udziel nam wszem swej radości! Amen.

Dodajemy kilka objaśnień słów lub form mniéj znanych. W wierszu 1 i 111 gospodnie, gdyż o Bogu mowa; o ludziach tylko mówi się pan (w. 47). W wierszu 6 cole t. j. coli, co kolwiek, jak ktole (w. 13) ktokolwiek. W wierszu 8 wieliki czytać należy trzema zgłoskami, bo i następny wiersz dziewięciozgłoskowy; świeboda lub swoboda oznacza, jak w cerkiewnym lub staroczeskim, także wolnego lub dzielnego człowieka, powiedzielibyśmy, „przetoć stół wielkim panem.“ W wierszu 14 wiesiół, dzisiejsze wesół; por. wiesiele w. 95, t. j. wesele. Wiersz 22 i następne zdaje się znaczą: nie ma osobnego talerza dla siebie, tak żeby i innemu ukroić można, ale grabi się do całéj misy, boć mu z tém tak słodko jakby miód: miedźwno, słodko, miodowo, słowo pierwotne, częste np. w cerkiewnym. W wierszu 27, 68, 90 twarz tyle co stworzenie, albo nawet płeć; niema twarz, t. j. nieme stworzenie, częste w polszczyznie XVI wieku, w czeskiém „męskiéj twarzy... nie poznała.“ *Ana* w. 29, *an* w. 45, *ano* i t. d., zwykłe ściągnienie w staropolskim i czeskim, zamiast: a ona, a on, a ono i t. d. W wierszu 33 szukaję forma pierwotna imiesłowu szukając; dawniejsze formy są też wyszej, t. j. wyżéj, wielmi t. j. bardzo, przed dźwirzmi t. j. przed drzwiami, miasto t. j. miejsce, przez dzięki t. j. z musu, jeżdżały t. j. bywały, drzewiej t. j. prędzéj. Panosza wiersza 67 oznacza młodego rycerza, giermka; nie w. 80, niema. W wierszu 93 śmiertnego, zamiast późniejszego, wziętego z czeszczyzny, śmiertelnego. Prze nię, w. 105, prze waszę cześć w. 110, tyle co dla niéj, dla waszéj czci. Jeść w wierszu 108 forma pierwotna zamiast jest, nadzwyczaj już rzadka, całkiem wyjątkowa, nawet w dawnych pomnikach. Nadmienię, żem kilka razy odstąpił od brzmienia oryginału, który w wierszu 5-ym podaje: „czszo w stole y w tobole“, w wierszu 74-ym: „bocz gest cona czszna pani“ (zmieniłem wedle znanego miejsca Pisma świętego, u Kochanowskiego: „swego męża ona głowy korona“); wiersz 82 brzmi: „otłozywszy yedno swǫcz“ (w rymie do: wszǫcz), napisałem żwać (t. j. żuć, jak w czeskim lub cerkiewnym języku, z odmianą: żwę, żwiesz, żwąc w imiesłowie), chociaż można

i żwąc zatrzymać. W wierszu 110-ym nakoniec czytamy w oryginale „przedwaszǿ czescz.“

Rękopis, z którego ten wiersz wypisałem, znajdował się u Benedyktynów Sieciechowskich, którym go jeszcze w XV-ym wieku jakiś ojciec Mikołaj oddał; dziś w Ces. publicznéj Bibliotece w Petersburgu, dokąd go z Warszawy przewieziono; sygnatura jego: rękopisy łacińskie, dział I (teologia), w ćwiartce, numer 25. Jest to zbiór teologicznych traktatów, pisany w latach 1413, 1414 i 1415 w Krakowie, ręką Lutosława z Radlina lub Chrościechowa; na kartce 106 czytamy u dołu *post scriptum*, które już Lelewel w księgach bibliograficznych (II, 57) przedrukował, a za nim Nehring powtórzył (*Altpolnische Sprachdenkmäler*, 222):

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej
Nie mow często: piwa nalej;
Boć piwo jest dziwny olej.
Więc z nich kłamają chłopi,
Arzekąc: szaleni są popi.

(Kłamają, t. j. szydzą; arzekąc, t. j. mówiąc). Że ten Lutosław, który może ów wierszyk sam skoncypował, nie jest zarazem autorem naszego poematu, wynika już z rozmaitéj pisowni nosówek; w owych pięciu wierszach napisał on bowiem *ę* dwa razy przez *an* (czansto, wancz; *ą* przez ǿ, sǿ, clamayǿ, arzekǿcz), w naszych zaś (114 wierszach ani razu go tak nie napisał (zawsze obie nosówki przez ǿ, raz, w wierszu 45, *en*: przez dzenky). Lutosław, jeśli jego ręką przepisany nasz poemat, czego w téj chwili z całą pewnością twierdzić nie mogę, przepisał go tylko skądinąd i parę błędów popełnił (w s t o l e w. 5 zamiast w stodole; l o s z e zamiast lǿsze w. 7; c o n a wiersz 74; czczy szensko (!) twarz tocz przisluchsza (!) 68; c z n o w wierszu 113 sam wykreślił; nakoniec w w. 107 c h a w a l i c z napisał).

Na dwóch ostatnich kartach tego rękopisu (206 i 207, *recto*) zapisany nasz wiersz; pisownia jego dowodzi najlepiéj jego starożytności. Jak wspomnieliśmy, piszą się obie nosówki wyłącznie znakiem przekreślonego *o*; zmiękczenia samogłosek nigdzie się nie wyraża, pisze się więc wyłącznie *ne*, *skonczena*, *ne we* i t. d.; tak pisano zaś w Polsce około r. 1400, po tym czasie pojawia się już miejscami *an* dla nosówek, a po 1405 zaczyna się pierwsze oznaczanie miękczeń. Odnosimy więc powstanie naszego wiersza do czasu przed r. 1410 i kładziemy go na pierwszém miejscu między poezyami świeckiemi; drugie należy się pieśni o Grunwaldzie, którą kopista niestety tylko zazna-

czył a nie wypisał; o innych wcześniejszych lub późniejszych pieśniach historycznych mamy tylko mniéj pewne ślady.

Kto Słota lub Złota, — pisownia rękopisu niczego nie rozstrzyga — był, teraz powiedzieć nie umiem; wątpię nawet, czym go słusznie żakiem nazwał. Uderza bowiem okoliczność, że poeta tak bardzo stan ziemiański uwzględnia, że tyle mówi o książętach i panach, o rycerzach, panoszach i panicach. Zdaje się niemal, jakby on w Polsce do tych kół należał, z których w Czechach wyszedł był autor „Rady ojca“, pewnie ziemianin, który w ten sam sposób poważanie kobiety synowi wraża; i on mówi na wstępie o cnéj matce, dla któréj żaden wyrzut na ciebie, synu, spaść nie może, daléj dodaje po wszelkich innych radach: czcij wszystkie dobre panie; służ im wedle ich woli, abyś tego dobrze użył; waż sobie przyjaźń panny za złoto, że nad nią nie ma droższéj rzeczy na całym świecie; dobrych pań czci patrząc, będziesz sam we czci powyższony i t. d. Nuta to w czeskiéj poezyi nadzwyczaj rzadka; moraliści-pisarze u Czechów kobiecie stanowiska, jakie w dworskorycerskiéj poezyi zachodu zajmowała, zresztą bynajmniéj nie przyznawali. Że nasz poeta, ów czeski utwór znał, wydaje nam się niemal niewątpliwém.

A. Brückner.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

H. Struve. Encyklopedya nauk i kierunków filozoficznych, łącznie z wstępem do filozofii, czyli filozofia filozofii. Część pierwsza: Wstęp do filozofii. Rozbiór zasadniczych podstaw filozofii w ogólności. 1890 (po rusku).

Wydawać się to może w wysokim stopniu paradoksalném, a na pierwszy rzut oka nawet fałszywém, faktem jest jednak, że pomimo przeszło 25-wiekowéj pracy, pomimo tytanicznych niekiedy wysiłków myśli ludzkiéj, filozofia dotychczas nie zdołała się ustalić, jako prawdziwa umiejętność, nie w znaczeniu jakiejś odrębnéj, a wyższéj nauki, jakiéjś *scientia scientiarum*, lecz jako nauka zajmująca współrzędne z innemi stanowisko. Chcę powiedzieć przez to, że filozofii brak jeszcze trwałych, niewzruszonych i powszechnie uznanych podwalin, nie zgodzono się bowiem dotychczas ani co do ilości, ani nawet co do jakości owych zasadniczych danych, od których ma się rozpoczynać wszelka myśl filozoficzna; brak również powszechnie przyjętéj, a zarazem ścisłéj i prawdziwie filozoficznéj metody, i gdy jedni radziby rozwijać filozofią podług metody na wskroś specyficznéj i różnéj od téj, którą w nauce stosujemy, inni czynią rozwój filozofii zależnym właśnie od stosowania w niéj metody ściśle naukowéj; prawdą jest też, że i sam przedmiot filozofii dotychczas nie został ściśle określony. Jeżeli tedy się mówi o naukach filozoficznych, nadużywa się terminu. Albowiem pominąwszy metafizykę, która, gdyby mogła istnieć, byłaby zarazem urzeczywistnieniem najwspanialszych marzeń myśli ludzkiéj, która jednak w swéj typowéj i klasycznéj formie najbardziéj się przyczyniła do zdyskredytowania filozofii; pominąwszy psychologią, po któréj filozofia rzeczywiście może się najwięcéj spodziewać, a która jawnie dąży do zupełnego wyzwolenia się z pod wpływu klasycznéj filozofii i zajęcia stanowiska „nauki przyrodniczéj“; pominąwszy te

dwie nauki zasadnicze, mamy tylko trzy działy całkowicie jeszcze należące do filozofii: etykę, logikę i teoryą poznania, ale z nich pierwsza istnieje zaledwo w zarodku, dwie drugie, zazwyczaj w jednę łączone, przedstawiają się raczéj jako fragmenty, przyczynki do nauki, aniżeli jako nauka zupełnie ugruntowana. Ze wszystkich wygłoszonych dotychczas teoryi filozoficznych, jedna zwłaszcza zdołała sobie zdobyć uznanie szerokie i zasłużone, mianowicie: doktryna względności poznania ludzkiego, i Kant, który ujął ją w formę ścisłą a skończoną, miał prawo porównywać siebie do Kopernika: jak ten bowiem przez wprowadzenie teoryi heliocentrycznéj zmienił do gruntu kierunek astronomii, tak on również zakreślając granice poznaniu ludzkiemu, tém samém „odwrócił stanowisko dotychczasowe metafizyki“ (Lange, „Historya materyalizmu“, t. II, str. 11). Tym atoli czynem Kant jeszcze nie stworzył filozofii, uczynił tylko możliwym jéj rozwój rzetelny, gdyż teorya względności poznania stwarza tylko stanowisko umysłu, tło, na którém odbywa się wszelkie badanie filozoficzne; kwestya zaś danych podstawowych, metody filozoficznéj, zakresu badań, pozostawała nadal nierozstrzygniętą. Pod nazwą „kursów“ i „systematów“ różni myśliciele kusili się i kuszą dotychczas o stworzenie gmachu filozoficznego, ale każdy na swój sposób: z odmiennych wychodząc założeń i odmienną postępując metodą. Wprawdzie poznano już wszystkie błędy dawnych myślicieli, nie wyłączając i Kanta, którego teorya poznania doznała surowéj krytyki, zwłaszcza ze strony celniejszych przedstawicieli szkoły angielskiéj; wprawdzie obecnie rzadko który z ścisłych myślicieli usiłuje przekroczyć granice umysłu ludzkiego, ale za to w tych właśnie granicach zapanował ruch, pod względem indywidualizmu bynajmniéj nie ustępujący filozofii przedkantowskiéj, i lubo celem jego jest niewątpliwie stworzenie jednéj jednolitéj filozofii, obecnie jednak przedstawia się on, jako współistnienie wielorakich kierunków filozoficznych.

Leży przed nami pierwsza część dzieła zakreślonego na szeroką skalę i mającego usunąć z filozofii istniejący obecnie chaos. Już ta jedna okoliczność wystarcza i wymaga, byśmy dziełu temu całą naszą poświęcili uwagę i wyczerpującéj poddali je krytyce.

„Chaos panujący obecnie w dziedzinie poglądów filozoficznych“ i wszystkie wynikające stąd skutki „dadzą się—zdaniem autora—usunąć jedynie drogą sumiennych studyów nad zasadami filozofii w ogóle, na podstawie historyczno-krytycznego rozbioru spółczesnego charakteru filozofii, jéj zadań i istniejących dotychczas prób ich rozwiązania“ (VII). Rozwiązanie tego zadania wymaga osobnéj nauki wstępnéj, „na któréj powinny się oprzéć wszelkie szczegółowe badania filo-

zoficzne“ (21). Naukę tę autor nazywa „encyklopedyą nauk i kierunków filozoficznych.“ „Badanie podstawowych zasad filozofii prowadzi do rozbioru filozofii w ogóle; zaś istotne zadania filozofii występują na jaw w roztrząsaniu treści rozmaitych nauk filozoficznych; wreszcie rozmaite kierunki myśli filozoficznéj dają nam obraz prób, zmierzających ku rozwiązaniu tych zadań“ (1). Na całą zatém naukę składają się trzy działy: *a*) wstęp do filozofii, *b*) encyklopedya nauk filozoficznych i *c*) encykl. kierunków filozoficznych (50). Tak się przedstawia w treściwéj formie pogląd, wykładany i kilkakrotnie powtarzany przez autora na kilkudziesięciu stronicach.

Najzupełniéj podzielamy stanowisko krytyczne autora i uznajemy wraz z nim potrzebę gruntownéj reformy filozofii spółczesnéj; również nie mamy nic w zasadzie przeciw wprowadzeniu nowéj nauki. Każdy nowy a wielki ruch na polu filozofii rozpoczynał się od wprowadzenia nowéj jakiéjś doktryny lub nauki: na tém polegał zwrot zainaugurowany przez Bacona i Descartes'a; na tém polega również zasługa Locke'go, Berkeley'a, Hume'a; tym wreszcie sposobem Kant wywołał wielką w dziedzinie filozofii rewolucyą. Ale téż logika indukcyjna, psychologia analityczna, krytyka umysłu powstały jako nieuniknione stadya rozwoju umysłowego i tworzą integralną, zasadniczą część filozofii. Z tego stanowiska mamy prawo i obowiązek sądzić wszelki wybitniejszy objaw na polu filozofii, a więc i „Encyklopedyą“. Czy dowiódł autor prawdziwie naukowego charakteru „Encyklopedyi“, czy dowiódł, że prowadzi ona do celu? Śmiem myśléć, że nie.

Istotnie, jedyną przyczyną powstania nowéj nauki jest istnienie kierunków filozoficznych, jedynym celem—ich usunięcie. Przypuśćmy zatém, że nowa nauka dokonywa swego zadania, dopina swego celu (przypuszczenie takie tkwi *implicite* w samym fakcie podawania reformy) i następuje wreszcie epoka „upragnionego rozwoju filozofii“, „chaos panujący obecnie na polu badań filozoficznych“ musi się radykalnie zmienić: filozofia zyskuje trwałe podstawy, przez nikogo w wątpliwość nie podawane, i na tych podstawach, na wzór innych nauk, zaczyna się budowa gmachu, przy któréj wszyscy przejęci jednym duchem, doskonale świadomi swego celu pracują. Nie masz tedy kierunków, jest tylko jeden jedyny kierunek, ani systematów, tylko jeden coraz bardziéj rozwijający się systemat. „Encyklopedyi“ oczywiście ubywa jeden dział, a mianowicie trzeci, dział najważniejszy, gdyż jego powstanie zostało spowodowane właśnie istnieniem kierunków, i nowa nauka zredukowaną zostaje do wstępu i encyklopedyi nauk filozoficznych. Ta jednak sprowadza się wówczas do krótkiego streszczenia

różnych nauk filozoficznych, a jako takie, traci naturalnie stanowisko samodzielne, i ze wszystkich trzech działów „Encyklopedyi“ ostaje się jeden—Wstęp.

Skoro więc nowa nauka, wręcz przeciwnie aniżeli wszystkie inne, wraz z rozwojem wiedzy i filozofii nietylko się nie rozszerza, ale nadto skazana jest na stopniowe uszczuplenie swego zakresu i w końcu na zupełną zagładę, byłoby niewłaściwém nadawać jéj miano nauki. Jedynie racyonalném wydaje nam się takie pojmowanie „Encyklopedyi“, które uważa ją za ostatni rozdział historyi filozofii, obejmujący rozbiór historyczno-krytyczny spółczesnego stanu filozofii; wprawdzie z tego stanowiska nie może być mowy o „Encyklopedyi“, jako nauce *sui generis*, ale przynajmniéj daje się do niéj stosować pojęcie nauki. Atoli prof. St. nietylko nie uznaje identyczności swojéj nauki z historyą filozofii, ale nadto w swojéj „naturalnéj klasyfikacyi nauk“ wyznacza jéj odrębne stanowisko „pierwszéj nauki zasadniczéj“, stojącéj na czele wszystkich innych i będącéj „rezultatem refleksyi umysłu filozoficznego nad samym sobą i swym rozwojem historycznym, rozbioru krytycznego filozofii przez samą filozofią, filozofią filozofii“ (11). Jeżeli prawdą jest, że podstawianie równoznacznych konkretów ma być najwłaściwszą drogą do sprawdzania formuł ogólnych, filozofia nie powinna stanowić wyjątku od tego prawidła. Autor nie daje nam w swém dziele możności konkretnego sprawdzenia ogólnych formuł. Podstawmy więc zamiast terminu „filozofia“ jego równoznacznik podług autora, t. j. wyrażenie następujące: „nauka zajmująca się badaniem powszechnych zasad poznania, umysłowych i przedmiotowych“, i dodajmy do tego nieodłączny (również podług autora) atrybut filozofii—krytycyzm. Otrzymamy, że „encyklopedya filozoficzna“ jest rozbiorem krytycznym nauki o powszechnych zasadach poznania. Że jednak filozofia sama jest badaniem *par excellence* krytycznem, ponieważ — jak utrzymuje autor — tém właśnie się różni od innych nauk, że te wychodzą z pewnych dogmatycznie przyjętych danych, które ona dopiéro poddaje rozbiorowi krytycznemu, rozumowanie powyższe prowadzi do następującéj alternatywy: albo filozofia nie jest nauką krytyczną, ani nie obejmuje powszechnych, a zatém najogólniejszych zasad poznania, i wtedy „encyklopedya“ miałaby być jedyną prawdziwą filozofią; albo też filozofia jest nauką krytyczną, i „encyklopedya“ tém samém traci racyą bytu. Tak czy owak, przestaje ona być tém, czém ją czyni autor.

Jeżeli moje rozumowanie jest uzasadnione, tedy wnosić należy, iż „Encyklopedya“ jako odrębna dyscyplina obok innych nauk filozoficznych istnieć nie może, i *eo ipso* musimy ją pozbawić wszystkich

wygórowanych atrybutów. Ale przypuściwszy nawet, iż przyszłość filozofii zawisła ostatecznie od ustalenia się jakiéjś nowéj nauki zasadniczéj, i wówczas nie widziałbym, w jaki sposób „Encyklopedya“ mogłaby dokonać jakiegokolwiek przewrotu i stać się punktem wyjścia dalszego rozwoju myśli filozoficznéj. Metoda historyczno-krytyczna, stanowiąca istotę téj nowéj nauki, stanowczo pozbawia ją możności dokonania wielkiego zadania. Autor nie określa swojéj metody, nie możemy przeto przyglądać się jéj *in situ*, zobaczmy jednak, jak się przedstawia *in motu*, w zastosowaniu, i dla przykładu weźmy § 6, gdzie mowa o klasyfikacyach wiedzy. Wyliczywszy rozmaite klasyfikacye, autor powinien był poddać je wyczerpującéj krytyce. Tymczasem znajdujemy same ogólniki, jako-to: że „każda z podanych klasyfikacyi ma swe wady, jest jednostronną i niezupełną“; że „nie można mówić o naukach praktycznych“; że „klasyfikacya podług przedmiotu pomija wzgląd, że różne nauki tym samym zajmują się przedmiotem, tylko z rozmaitych stron“ i t. d. Twierdzenia to tylko, bo przecież oczywiste nie są, a brak im argumentacyi. Po tym przeglądzie następuje „naturalna klasyfikacya“ Wundta, naturalna dlatego chyba, że „przyjmuje się tu za podstawę podziału punkt zapatrywania przy badaniu przedmiotów.“ Czém jednak ta zasada lepszą jest od zasady hierarchicznéj Comte'a, lub stopnia abstrakcyi Spencera? Nie odpowiadam na to pytanie, powinien to był uczynić autor, wszakże żąda się od każdego myśliciela, który przyjmuje jeden podział, a odrzuca inne, by uzasadnił i wykazał jego wyższość nad innemi. Prof. St. nie czyni zadość temu wymaganiu. Co go jedynie i „najbardziéj razi, to wyłączenie z systemu *wiedzy* ludzkiéj nauk teologicznych, nauk dotyczących Boga, jako samodzielnego przedmiotu *wiedzy*“, gdy tymczasem „ogólna klasyfikacya wiedzy ludzkiéj powinna się opiérać na danych faktycznych, zawartych w historyi nauk, niezależnie od oceny ich treści.“ Na zasadzie tego ogólnego twierdzenia mógłbym słusznie powiedziéć, że np. alchemia powinna się znów znaleść pośród nauk w klasyfikacyi, gdyż i tu mamy „dane faktyczne, zawarte w historyi nauk niezależnie od oceny ich treści.“ Czy się autor przyzna do tego słusznego wyniku z jego reguły ogólnéj? Wątpię. A jednak nie ulega kwestyi, że w alchemiii tkwi daleko więcéj danych faktycznych, aniżeli w teologii, że prędzéj sobie wyobrazić możemy urzeczywistnienie marzeń alchemików w obec nieprzewidzianego rozwoju chemii, aniżeli poznanie Boga, istoty ze wszystkich noumenów najbardziéj noumenalnéj. Owóż metoda historyczno-krytyczna, jak ją pojmuje autor, sprowadza się do suchego wyli-

czenia najrozmaitszych mniemań, dotyczących danéj kwestyi. To już nie jest metoda historyczno-krytyczna, to raczéj metoda wyłącznie historyczna, ale w znaczeniu omal że czysto kronikarskiém, nie zaś pragmatycznéin.

Przechodzimy teraz do właściwéj treści „wstępu", składającego się z trzech rozdziałów. Pierwszy rozdział traktuje o definicyach filozofii, o cechach jéj charakterystycznych i kończy się zestawieniem filozofii z naukami szczegółowemi (57—89). Przedmiotem drugiego rozdziału jest stosunek filozofii do innych objawów życia umysłowego, a więc i stosunek jéj do innych nauk, a w szczególności do nauk przyrodniczych, stosunek do twórczości i życia (89—290). W rozdziale trzecim mówi się o znaczeniu metody filozoficznéj, jéj częściach składowych: analizie i syntezie, o przedmiocie i głównych momentach analizy i syntezy filozoficznéj, wreszcie o pomocniczych środkach filozofii, do których autor zalicza: wykształcenie ogólne, specyalnie naukowe i specyalnie filozoficzne. Będziemy w dalszym ciągu rozbierali nie rozdziały lecz kwestye same w opracowaniu autora, i przedewszystkiém kwestyą stosunku filozofii do nauki. Określiwszy filozofią jako „naukę o powszechnych zasadach poznania, umysłowych i przedmiotowych, mającą na celu objaśnienie szczegółowych zjawisk bytu ze stanowiska tych zasad" (58), autor wskazuje dwie bezpośrednio z téj definicyi wypływające cechy charakterystyczne filozofii: 1) „krytyczną samodzielność myślenia", polegającą na „wykluczeniu wszelkich przypuszczeń z góry powziętych, oraz na uznaniu za prawdziwe i niewątpliwe tylko takich twierdzeń, których zgodność z zasadami czynności poznawczych może być dowiedzioną przez rozbiór ich treści", 2) „dążność do wytworzenia ogólnego na świat poglądu" (72). W tych dwu cechach streszcza się zasadnicza różnica między filozofią i nauką, która z jednéj strony ma charakter dogmatyczny, „bo się opiera na przypuszczeniach, których nie rozpatruje krytycznie", z drugiéj — szczegółowy, „gdyż obejmuje tylko cząstkę bytu, tylko pewną grupę jego zjawisk". Krytyczne stanowisko filozofii względem nauki polega zatém: 1) na sprawdzaniu wyników badań naukowych, 2) na rozbiorze ze stanowiska podstawowych zasad poznania owych założeń, na których, nie rozpatrując ich krytycznie, opierają się nauki szczegółowe (73—77 81—89; 106—128; 321—325). Przypuśćmy, że filozofia może spełnić to zadanie. Kiedy mogą istnieć powody do niedowierzania wynikom badań naukowych? Jedynie wówczas, gdy mijają się z doświadczeniem, gdy, właściwie mówiąc, nie są naukowe. Nie masz bowiem w nauce innego kryteryum prawdy prócz doświadczenia; najściślejsza argumentacya nie poprze ostatecznie twierdzenia, jeżeli nie da się ono otrzymać

bezpośrednio lub pośrednio na drodze doświadczalnéj. Na jakiéj tedy drodze filozofia sprawdza wyniki badań naukowych? Posiadaż ona źródło poznania wyższe nad doświadczenie i argumentacyą? Czy istnieje metoda specyalnie filozoficzna? Ani jedno, ani drugie. Autor odrzuca — i słusznie — odrębną metodę filozoficzną, w doświadczeniu zaś i argumentacyi widzi podstawowe zasady poznania (§ 4). A zatém, o różnicy jakościowéj między dowodnością naukową i filozoficzną nie może być mowy. Może jednak zachodzi tu różnica ilościowa, może filozofia w wyższym stopniu, aniżeli nauka, stosuje do swych wywodów zasady doświadczenia i logiki? Oczywiście nie; świadczy bowiem przeciw téj alternatywie rzeczywisty stan nauki i filozofii. Skoro więc krytycyzm filozofii ani jakościowo, ani ilościowo nie różni się od krytycyzmu naukowego, możnaż bez sprzeczności z istotnym stanem rzeczy mówić o krytycyzmie jednéj i dogmatyzmie drugiéj? Należało odwrócić twierdzenie i powiedzieć, że krytycyzm nie tylko, że wyłącznie nie cechuje filozofii, ale wogóle jéj cechą nie jest, a jeżeli jest, to w nader małym stopniu; cechuje on natomiast — o ile jest wogóle możliwe — naukę, którą też pod tym względem powinno się za niedościgniony dla filozofii ideał uważać. To samo rozumowanie daje się *mutatis mutandis* stosować do drugiego punktu. Nauka istotnie wychodzi z pewnych założeń, których nie rozpatruje krytycznie, ale też nie przyjmuje ich dogmatycznie, t. j. nie będąc przekonaną o ich prawdziwości. Owszem, owe założenia najprostsze, będące punktem wyjścia nauki, są zarazem najpewniejsze, bo oparte bezpośrednio na doświadczeniu, i to powszechném. Przypuśćmy wszakże, że filozofia zajmuje się ich rozbiorem krytycznym. Do czego prowadzi ten krytycyzm? Do większéj pewności? Weźmy np. pewniki matematyczne. Nauka uważa je za oczywiste i oparte na powszechném doświadczeniu. Filozofia, na zasadzie swego krytycyzmu, może je uważać za pochodne i dające się z innych założeń wyprowadzić. Pewne jednak założenia przyjąć musimy, w przeciwnym bowiem razie wszystkie nasze wnioski będą szeregiem *petitionum principii*. Filozofia jest więc w stanie o krok wstecz posunąć podstawy nauki, ale nie powiększa stopnia jéj ścisłości. Albowiem gdzie tkwi dowodność nowych założeń? Jeżeli w doświadczeniu, tedy ich stopień ścisłości nie przewyższa stopnia ścisłości przyjętych pewników; jeżeli w rozumie, tedy istnieje źródło wolne od krytycyzmu. Tak więc, co się tyczy pierwszéj cechy zasadniczéj filozofii, nie możemy powiedzieć o autorze, iż ją w należytém przedstawił świetle; rozszerzył on niepotrzebnie pojęcie krytyki rozumu, któréj zadaniem bynajmniéj nie jest krytyka nauk, a w każdym razie nie jest nią w tém znaczeniu, w jakiém autor ją rozumie. Krytyka

rozumu ma za przedmiot określenie granic poznania oraz teoryą procesów poznawczych, i autor powinien był wyłożyć stosunek tej krytyki do nauk szczegółowych, tego jednak nie uczynił.

Pozostaje nam jeszcze rozbiór drugiego atrybutu. Co to jest ogólny na świat pogląd: wyprowadzenie zjawisk wszechświata, jego praw, z pewnéj liczby dowolnie lub prawnie przyjętych założeń, czy też tak zw. zjednoczenie wiedzy, uogólnienie praw drogą nauki zdobytych, uogólnienie do najdalszych granic posunięte? Prof. St. nie określa używanego przez się terminu, takie zaś zdanie, jak „światopogląd jestto pogląd na wszystko co istnieje, na byt“, jest określeniem *ejusdem per idem* i nic nie tłómaczy. Bądźjakbądź, istnieje w nas dążność do wytworzenia ogólnego na świat poglądu. Jak ją w czyn wprowadzić? Dwie drogi wiodą nas do celu: analityczna i syntetyczna. Zadaniem pierwszéj — krytyka: rozumu, wyników i założeń naukowych, oraz saméj filozofii. Zadaniem drugiéj — z tych szczątków, które przeszły ogień krytyki, budować możliwie harmonijny układ (patrz rozdział o metodzie filozoficznéj). Plan ten bardzo jest podobny do podziału kantowskiego filozofii na krytykę i systemat czystego rozumu, z tą różnicą, że autor dodaje tu jeszcze analizę i syntezę historyi filozofii, czego Kant przyjąć nie mógł, gdyż jego krytyka rozumu jest zarazem potępieniem przeszłości filozofii. Ci co uważają historyą filozofii za historyą niefortunnych próbek rozwiązania zagadnień bytu i myśli, naturalnie odrzucą ten dodatek. Atoli stroną najoryginalniejszą powyższego planu metodologicznego jest jego punkt wyjścia, mianowicie: „rozbiór krytyczny i dopełnienie syntetyczne powszedniego pojęcia o bycie i świecie“. Zamiast przedstawiać filozofię jako naukę, między innemi obejmującą najwyższe uogólnienia, przekraczające granice oddzielnych nauk, jako naukę, która tam rozpoczyna, gdzie się działalność nauk szczegółowych kończy, autor stawia na pierwszym planie utarte pojęcia zdrowego rozsądku i widocznie tylko dla miłéj zgody z współczesnym prądem naukowym w filozofii uważa za niezbędne liczenie się z wynikami nauki. Że bez należytéj krytyki rozumu nie może być mowy o jakimś ogólnym na świat poglądzie, cokolwiekbyśmy przez ten wyraz rozumieli, że powinna ona stać na czele i straży wszelkich dociekań filozoficznych, to dzięki Kantowi, stało się niezachwianym postulatem, a przyjęcie tego postulatu za podstawę wyznania filozoficznego i jego szerokie stosowanie stanowi dodatnią stronę dzieła prof. Struvego. Szkoda jednak, że pomimo, iż ciągle mówi o znaczeniu nauk dla filozofii, niedocenił ich wartości rzeczywistéj, a chcąc stworzyć syntezę wszystkich istniejących kierunków, zbytnio zaufał aforyzmowi Leibnitza *„les systèmes sont*

vrais dans ce qu'ils affirment, faux seulement dans ce qu'ils nient, i dla tego zamiast syntezy, wskazał tylko sposób eklektycznego powiązania kierunków.

Obszernie i przy każdéj sposobności autor porusza kwestyę „naukowości“ filozofii; wiąże się ona ściśle z zagadnieniem o stosunku filozofii do twórczości. Idzie tu o obronę metafizyki przeciw Langemu i wogóle nowokantystom, którzy, jak wiadomo, odrzucają badanie świata noumenalnego, „rzeczy samych w sobie“, jako przekraczające granice poznania ludzkiego. Jedynie co poznać możemy, to świat zjawisk i mianowicie związek przyczynowy między niemi. Jeżeli jednak umysł ludzki, pomimo niewątpliwych wyników krytyki rozumu, szuka sposobów zapełniania luk, znajdujących się w czysto zjawiskowym poglądzie na świat, bronić mu tego nie trzeba, byle tylko pamiętał, że jestto spekulacya, poezya swego rodzaju, i nie mieszał jéj z nauką prawdziwą, opartą na doświadczeniu. To już nie będzie filozofia, ale jeśli komu podoba się koniecznie ta nazwa tradycyjna dla nieuleczalnego nałogu umysłu, może ją zatrzymać, powinien tylko dodać przymiotnik „nienaukowa“; w ten sposób można mówić o filozofii naukowéj i nienaukowéj. Na to odpowiada autor mniéj więcéj w sposób następujący. Tworzenie przy pomocy wyobraźni konstrukcyi syntetycznych i hypotez nie jest wyłączną cechą filozofii wogóle, i metafizyki w szczególności. Nauka również jest wytworem twórczości myślowéj, różni się zaś od filozofii (resp. metafizyki) mniejszym stopniem ogólności swych hypotez i teoryi. Na uważanie zaś wyższych uogólnień za wytwór jakiejś specyalnéj twórczości metafizycznéj, i przyznanie niższym cech naukowych nie masz żadnych podstaw. Następnie, dla czego zasada mechaniczna ma być jedynie prawdziwą? czyż nie tkwi ona wraz z ideą celowości, harmonii i jedności w subiektywnéj organizacyi umysłu? Zresztą, niechaj metafizyka będzie szeregiem sądów przeczących, zawsze badanie tego rodzaju jest niezbędne (192—219). I wogóle odróżnianie filozofii naukowéj od nienaukowéj nie wytrzymuje krytyki. „Jedno z dwojga: filozofia jest nauką albo nie jest. Jeżeli jest, wszelkie pierwiastki nienaukowe powinno się wykluczyć z jéj zakresu; jeżeli nie jest, pojęcie nauki nie daje się do niéj stosować“ (119). „W zupełną sprzeczność wpadają ci, co chcą „naukowo“ dowieść „nienaukowości“ filozofii. Jestto najwidoczniejszy przykład sofizmatu, znanego pod nazwą „łgarza“. Jeżeli dowodzenie jest naukowe, to samo przez się, już swém istnieniem dowodzi „naukowości“ filozofii; jeżeli jest nienaukowe, nie może być dowodem nienaukowości filozofii“ (120). Na pierwszy rzut oka, autor odnosi walne zwycięstwo nad szkołą filozofii naukowéj; czy jednak

dowiódł, że metafizyka jest nauką? O tém musi wątpić każdy nieuprzedzony czytelnik, gdy zważy gruntownie argumentacyę autora. Istotnie, i w nauce znajdujemy konstrukcye syntetyczne, hypotezy nie wzięte bezpośrednio z doświadczenia; ale między niemi a konstrukcyami metafizycznemi istnieje przepaść. Spinozowska substancya o dwu atrybutach i hypoteza eteru np., co mają wspólnego ze sobą, prócz nazwy „hypoteza“? I stopień ogólności nie jest charakterystyczną różnicą między konstrukcyami naukowemi a metafizycznemi. Możemy je wszystkie nazwać hypotezami, ale tém nie stawia się ich w jednym rzędzie. Jakaż jest istotna różnica między niemi? *Il y a fagots et fagots.* Są hypotezy, które objaśniają wszelkie w ich zakres wchodzące zjawiska i z biegiem czasu stają się faktami; są takie, co nietylko, że nic nie wyjaśniają, ale nadto wogóle nic wspólnego z doświadczeniem i logiką nie mają, bo „rzeczy w sobie“ przekraczają i doświadczenie i rozum: pierwsze należą do nauki, drugie do metafizyki. Jeżeli zaś autor koniecznie obstaje przy metafizyce, bodaj nawet jako nauce o samych sądach przeczących, wprowadza w błąd czytelnika, gdyż miesza ją, wbrew przyjętéj terminologii, z krytyką rozumu, integralną częścią filozofii naukowéj. Czy wobec tego tkwi jeszcze sprzeczność w rozróżnianiu filozofii naukowéj i nienaukowéj? Byłaby sprzeczność, gdyby przypisywano téj filozofii jednocześnie dwa przeciwne atrybuty. Tak widocznie pojmuje autor swych przeciwników. Popełnia jednak błąd. Ci bowiem odmawiają tytułu nauki filozofii dotychczasowéj, dotychczasowym próbom metafizycznym i wszelkiéj metafizyce, ją właśnie nazywając nienaukową, gdy tymczasem miano nauki nadają nowéj filozofii, z któréj wszelka metafizyka wyrugowaną zostaje, i w któréj starają się stosować metody prawdziwie naukowe. To są zgoła różne filozofie, to dwa podmioty, którym się przypisuje dwa odmienne atrybuty. A jeżeli tak jest rzeczywiście, tedy i drugi dylemat autora upada. Przeciwnicy mają prawo odpowiedzieć autorowi, że jeżeli ich rozumowanie jest naukowe, t. j. ścisłe, filozofia *a priori* jest nienaukową, a jeżeli ścisłém nie jest, mogą się znaleść inne, silniejsze argumenty, które tę filozofię obalą. Dosłownie biorąc dylemat autora, mógłbym słusznie utrzymywać, że jeżeli np. rozumowanie antiheglistów jest naukowe, tedy *ipso facto* dowodzi ono naukowości filozofii Hegla; jeżeli naukowém nie jest, tedy jeszcze nie dowodzi nienaukowości heglizmu. Całe dowodzenie autora od początku do końca wydaje mi się jedną *ignoratio elenchi* względem filozofów, których przecie cytuje wielokrotnie i których znajomości składa dowody.

Kwestyi stosunku filozofii do nauk przyrodniczych i metodzie

filozoficznéj autor poświęca dwa duże rozdziały, i to, co jest w nich istotnie wartościowego, uwzględniliśmy powyżéj.

Rozdział pod tytułem „filozofia a nauki przyrodnicze“ mógłby mieć wielką wartość dla posuniętego w filozofii, a jeszcze większą dla początkujących czytelników, gdyby nie był przeładowany ustępami, najczęściéj zaczerpniętemi z mów rozmaitych mężów nauki i w gruncie rzeczy nie rozwiązującemi kwestyi; powtóre, gdyby treść tego rozdziału nie była powtórzeniem — w tych samych, lub jednoznacznych wyrazach — ogólnéj teoryi stosunku filozofii do nauki. Jestto, naszém zdaniem, jedno z najsłabszych miejsc dzieła. Co się tyczy metody filozoficznéj, autor słusznie utożsamia ją z naukową, ale dla czego sprowadza ją do analizy i syntezy, jaki jest, że tak powiem, mechanizm logiczny dwu tych momentów metodologicznych, jak je stosować w badaniach filozoficznych? Na te pytania, lubo całkowicie należą do wstępu do filozofii, autor nie odpowiada. Tymczasem inne kwestye, nic z wstępem wspólnego nie mające, opracował bardzo obszernie, np. rozdział p. t. „filozofia a życie“. Że „zaspokojenie potrzeb fizycznych, porządek społeczny i spokój wewnętrzny duszy są niezbędnemi warunkami filozofowania“, o tém chyba nikt nigdy nie wątpił. W takim przedmiocie, jak stosunek filozofii do życia, można pisać albo rzeczy w wysokim stopniu oryginalne, albo też ogólnie znane maksymy. Do pierwszéj kategoryi należą, pomimo ich wielkiéj niekiedy dziwaczności, pomysły społeczne Augusta Comte'a lub ostatni rozdział „Historyi materyalizmu“ Langego („Materyalizm etyczny i religia“), do drugiéj — rozdział „filozofia a życie“ niniejszego dzieła. Znajdujemy w nim dużo materyału historycznego, ale całość traktowana jest w sposób nader apodyktyczny i katechistyczny, a już niepomału nas dziwi zupełny brak w nim nowszych konstrukcyi w dziedzinie ekonomii politycznéj i socyologii. Ostatni rozdział omawia kwestyę wielkiéj doniosłości, mianowicie program wykształcenia filozoficznego. Po trafnéj charakterystyce organizacyi umysłowéj specyalisty i filozofa, następuje podział środków pomocniczych filozofii na: 1) wykształcenie ogólne, 2) specyalnie naukowe i 3) filozoficzne. Znaczenie każdego z nich autor ocenia słusznie, ale dopóty tylko, dopóki traktuje kwestyą ogólnie, w szczegółach zaś z gruntu mylnie. Powiada on np. o naukach przyrodniczych, że „wzbogacają one młody umysł tylko w bardzo ważne i pożyteczne wiadomości, ale wartość ich pedagogiczna, jako czynnika rozwijającego umysł, jest nader ograniczona“ (368). „Inaczéj się przedstawia znaczenie pedagogiczne języków, literatury i historyi“ (371); „treść słowa, jako zjawiska umysłowego, nietylko wywołuje w umyśle odpowiedni obraz zmysłowy, ale nadto zmusza go do tworzenia nowych

dodatkowych wyobrażeń i pojęć, określających treść słowa i wywołujących refleksyjną, myślową czynność umysłu, w celu zrozumienia téj treści" (372). Rozbiorem tego zająć się nie możemy dla braku miejsca. Są to opinie wielce podobne do głoszonych na początku tego stulecia przez Hamiltona, filozofa angielskiego; radzilibyśmy przeto czytelnikowi przestudyować świetną krytykę Milla, zawartą w XVII rozdziale jego „*Examination of Sir W. Hamilton's Philosophy*".

Taką jest treść dzieła, kreślonego na wielką skalę i w wysokim celu. Zajęliśmy się głównie temi kwestyami, w których poglądów autora nie podzielamy, mają bowiem one największą wartość teoretyczną; otwarcie mówiąc, z wyjątkiem powszechnie przyjętych doktryn, nie masz w tém dziele kwestyi, w któréj bylibyśmy jednakowego z autorem zdania. Za jednę z najgłówniejszych wad „Wstępu" — prócz tych, o których już była mowa wyżéj —uważamy brak absolutny przykładów, konkretnych ilustracyi, wyświetlających teorye ogólne. Przykłady te być może jeszcze w większym stopniu uwidoczniłyby różnicę poglądów, tam nawet, gdzie w terminach ogólnych zgadzamy się z autorem. Za to wyczerpujący materyał bibliograficzny, trafnie wybrane ustępy z utworów znakomitych filozofów i dążność syntetyczna autora, stanowią dodatnią i cenną stronę dzieła, i czytelnicy, zwłaszcza młodzi, znajdą w niém nie mało dobrych wskazówek, oraz miejsc zastanawiających i wiele dających do myślenia.

A. Grosglik.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Adolf Dygasiński.* **Pan Jędrzej Piszczalski,** opowieść z nie dawnéj przeszłości. 2 tomy, (Kraków i Warszawa. T. Paprocki, 1890, str. 314, 178). Autor chciał niewątpliwie odmalować typową postać szlachcica dawnych czasów obiektywnie, a nawet z pewną dla niego sympatyą, jako dla indywidualności silnie i wybitnie rozwiniętéj, m ającéj dużo fantazyi, nieskrępowanéj żadnemi formułkami, ale swobodnie rozwijającéj swoje zalety i wady bez względu na ludzi i jakiekolwiek idee. Niejednokrotnie téż darzy swego bohatera epitetem „poety", porównaniami z herosami epopei greckiéj czy romansów średniowiecznych, bynajmniéj nie w znaczeniu ironiczném, bez krzty nawet zamiaru satyrycznego. Miała to być jakoby historya naturalna osobnika, któremu przodkowie pozostawili w spadku zdrowie, potęgę fizyczną, wiele rozgarnienia przyrodzonego, nadzwyczaj mało ochoty do książkowéj nauki, trochę szlachetności w usposobieniu, ale daleko

więcéj samolubstwa, popędliwie i jawnie występującego nazewnątrz, wreszcie ogromny majątek, pozwalający na kompletne próżnowanie i zadowalnianie wszelakich zachcianek. Temat to był bardzo ciekawy ze względu na dawniejszy sposób przedstawiania takich postaci lub zapatrywania się na nie. Powieściopisarze ze szkoły „tradycyjnéj“ malowali podobne figury, np. Radziwiłła Panie Kochanku z uwielbieniem; krytyka nowsza szyderstwem i satyrą je potraktowała. Otóż interesującą było rzeczą, jak z przyrodniczego punktu widzenia dadzą się one pisać. P. Dygasiński był w wysokim stopniu przygotowany do takiéj pracy, ale czy zdołał ją wykonać zadawalniająco? W części tylko chyba. Jego Piszczalski zupełnie dobrze się przedstawia jako chłopak ujeżdżający konie, staczający bójki w szkole zamiast się uczyć; dobrym jest jako młodzieniec samowolnie się rządzący, zamiłowany w myślistwie i koniach, jak człowiek na pół dziki, lekceważący manier salonowy, podejrzliwy i zazdrosny w miłości, choć bynajmniéj nie posiadający uczuć głębszych i łatwo zapominający o swéj skłonności dla marszałkówny; w życiu dalszém parę rysów szlachetności (pokochanie malarza, który go w pojedynku zranił okropnie, wybawienie dwu kobiét z kłopotów i otoczenie ich opieką) wybornie harmonizuje z prostą, pierwotną jego naturą, z żywością i popędliwością usposobienia, działającego pod wrażeniem chwili; ale reszta szczegółów jego życia zbyt jest uboga w urozmaicenie i zbyt nie licuje z okolicznościami czasu, w których Piszczalski żył, ażeby mogła służyć za realną charakterystykę wybitnéj, typowéj indywidualności. Jedzenie, polowanie, wybuchy gniewu, powtarzając się ciągle bez należytego ustopniowania i spotęgowania artystycznego, mogą być objawami fotograficznie nawet prawdziwemi, lecz nie robią zamierzonego wrażenia, stają się obojętnemi, a niekiedy nawet wstrętnemi wbrew intencyi autora. A przecież czas, w którym Piszczalski żył, nie był bynajmniéj pozbawiony możności zużytkowania lepszego nadmiaru sił, jaki w bohaterze tym widzimy; byleby tylko chciał, to jest byleby tylko autor był w téj mierze oględniejszym, mógłby był nie ograniczać się samemi wspomnieniami o wojnach napoleońskich i niedorzecznemi łgarstwami na ten temat, lecz i własnemi zabłysnąć czynami. Pocóż go więc było robić takim niedołężnym, pomimo siły i odwagi, takim bezradnym, pomimo przyrodzonéj bystrości umysłu, takim nieużytecznym ciężarem dla społeczeństwa, pomimo olbrzymich zasobów materyalnych i stanowiska, które mogło być wpływowém? Nie, p. D. chybił zamiaru, odmalował nie olbrzyma, który z braku pola do czynów marnieje, tyjąc niepomiernie aż do niemożności ruszania się, lecz sybarytę i głupca, zasługującego na chłostę społeczną, nie zaś na po-

błażanie i spółczucie. Druga wydatna postać w powieści, szczwany wyjadacz Horda-Drakiewicz z początku bawi swojemi konceptami, ale z rozwojem, a raczéj dalszym tylko ciągiem opowiadania stają się i one jednostajnemi, ponieważ autor nie chciał czy nie umiał uposażyć obficiéj jego fantazyi, jak to Sienkiewicz zrobił ze swoim Zagłobą. Mowa tego niby-Litwina ma pewne zwroty i wyrazy charakteryzujące rzeczywisty sposób mówienia wśród Litwinów, lecz w przeważnéj części jest aż do przesady skażoną obcemi naleciałościami, które mogą być właściwemi jednostkom tylko, wychowanym w szczególnie niesprzyjających warunkach. Zresztą wogóle p. D. nie liczy się bardzo z właściwościami mowy danego otoczenia; dla niego włożyć w usta choćby Piszczalskiego wyrażenie dziennikarskie czysto dzisiejsze: „muszę z a z n a c z y ć, że“ i t. d. nie przedstawia się wcale jako nieznośny anachronizm. Na ten brak wczucia się w daną chwilę, choruje także bardzo dobry pod względem konceptów, szereg scen, charakteryzujących cyganeryę literacko-artystyczną około r. 1843, opisaną w tomie I-ym str. 167 do 211.

— **W sprawozdaniach z posiedzeń berlińskiéj akademii umiejętności** wyszło sumaryczne streszczenie tych zdobyczy naukowych, jakie osiągnął prof. Aleksander Brückner w podróży swojéj z roku 1889/90 po bibliotekach w Petersburgu, Warszawie, Lwowie, Krakowie. Najciekawsze i bodaj najważniejsze z nich są te, które się do początków piśmiennictwa polskiego, oraz do złotéj epoki literatury odnoszą. Najdawniejszy z dotychczas znanych pomnik języka polskiego mniéj więcéj z połowy XIV wieku, obejmujący jedno całkowite kazanie i kilka urywków, znany już jest naszym czytelnikom z artykułu samego odkrywcy. Drugi wielce ciekawy, wiersz o zachowaniu się przy stole i o czci dla pań, drukujemy w zeszycie obecnym. Daléj zasługuje na uwagę „Historya trzech króli“, „Historya Aleksandra Wielkiego“, oraz kazania łacińskie z glosami polskiemi, gdzie się mieści wiele materyału mitologicznego, potwierdzającego i rozszerzającego wiadomości zapisane przez Długosza. Z wieku XVI najbardziéj interesującemi będą, albo zgoła nieznane albo w najdawniejszéj redakcyi przechowane wiersze łacińskie Kochanowskiego, o których artykuł obiecał dla „Ateneum“ p. Brückner, oraz zupełnie dotąd niedrukowane poezye Mikołaja Sępa Szarzyńskiego. To co z wieku XVII i pierwszéj połowy XVIII odszukał p. B., pomnaża wielce nasze wiadomości o bogactwie literackiém tych stuleci, ale, jak się zdaje, na zmianę poglądów o niém nie wpłynie; największa bowiem ilość wierszy z tego czasu należy do Wacława Potockiego, którego talent do-

statecznie jest już znany. Najwięcéj interesu historyczno-politycznego budzić może czwarty dyalog Brożka (Brosciusa) przeciw jezuitom. Oczekujemy z niecierpliwością publikowania ważniejszych pomników przez szanownego autora odkrytych.

— W czasopiśmie francuskiém poświęconém badaniu twórczości i zwyczajów ludowych p. n. **Mélusine** ogłosił p. *Jan Karłowicz* bardzo ciekawy a zarazem bardzo ważny artykuł polemiczny: „*La mythologie lithuanienne et M. Veckenstedt*“, w którym opierając się zarówno na znajomości przedmiotu jak i na świadectwach postronnych wykazuje dowodnie, spokojnie, ale druzgocąco całą bezpodstawność i niedorzeczność wywodów Veckenstedt'a, kierownika „*Zeitschrift für Volkskunde*“, człowieka, który kilkoma dziełami, dotyczącemi mitologii wendyjskiéj i litewskiéj, przy umiejętnéj reklamie a małéj znajomości Litwy, wśród uczonych zachodnich, potrafił sobie zdobyć uznanie wśród świata literacko-naukowego. Gdyby p. Karłowicz nie był przytoczył całego szeregu wymownych dowodów, trudnoby było pomyśléć, żeby dziś jeszcze wśród rozwiniętéj szeroko krytyki naukowéj, wśród tak z profesyi niejako uczonego narodu, jak niemiecki, mogli się pojawiać tacy samozwańcy nauki jak sławetny p. Veckenstedt. W „Ateneum“ już w r. 1883 zaznaczył p. Karłowicz swoją nieufność do prac tego autora; obecnie wystąpił przeciw niemu z całą świadomością i z całém przekonaniem, chociaż domyśla się, iż będzie przedmiotem szykan ze strony mściwego pisarza.

— *Paweł Mantegazza.* **Głowa**, książka dla młodzieży. Głównym błędem a może nawet nieszczęściem téj książki jest to, iż stanowi rodzaj dalszego ciągu czy dopełnienia „Serca“ Amicisa, które czytelnikom polskim znane jest p. t. „Pamiętniki chłopca“. Każdemu oczywiście mimowoli nasuwa się porównanie, tymczasem tamto dziełko było świetne, to mierne. Sam przez się utwór Mantegazzy byłby się niejednemu podobał, w zestawieniu z dziełem znakomitém wydaje się miernym i sprawia wrażenie zawodu. Świéca daje blask, gdy jest sama, przy lampie elektrycznéj cień rzuca. Henryk, który w „Sercu“ chodził do szkoły początkowéj i spisywał swój pamiętnik, tutaj jest już uczniem giminazyum. Pracował nad miarę, zapadł na zdrowiu i lekarze zalecili mu dłuższy odpoczynek, oraz pobyt na wsi. Jedzie więc do wuja Babtysty nad zatokę Specyi. Wuj, stary marynarz, człowiek doświadczony i rozumny, chociaż nie uczony, prawy i czułego serca, ale szorstki z pozoru, przez rok rekowalescencyi siostrzeńca, uczy go w ogródku nad morzem, na drodze i t. d. „sztuki życia“. „Ja cię nauczę — mówi stary Babtysta do młodego Henryka — bez ta-

blicy i książek, tylu pięknych rzeczy, których się sam nauczyłem. które mnie i innym tyle korzyści przyniosły, a które i tobie może się przydadzą. Sztuka myślenia i życia tylko w drobnéj cząstce nabywa się w szkole i trzeba jéj się uczyć, rozpatrując się dokoła siebie jak żyją i myślą inni ludzie. Każde zjawisko przyrody, każdy człowiek, którego napotykamy na drodze, może nas czegoś nauczyć, bylebyśmy umieli kazać mówić przyrodzie i ludziom. Wszystko, cokolwiek najlepszego zawiera się w książkach, czerpane jest z wielkiéj księgi przyrody, która zresztą jest matką nas wszystkich i mistrzynią wszystkich mistrzów“. Ustęp powyższy stanowi punkt wyjścia dla całéj książki, a nauki wuja wypełniają jéj treść. Nie można powiedziéć, ażeby w „Głowie“ Mantegazzy nie było ciekawych i pożytecznych, a przedewszystkiém zdrowych myśli, które ojciec lub matka z korzyścią mogą przeczytać i rozwinąć dzieciom, ale to wszystko jest jakgdyby nieusystematyzowane, pozbawione planu, a co najgłówniejsza, miejscami... nudne. W książce Amicisa na każdéj stronicy iskrzyły przepiękne brylanty miłości dla Włoch, tu jest naśladowanie tego, lub raczéj usiłowanie naśladowania, ale w jedném tylko miejscu, w zakończeniu, udatne. Amicisa, bez dreszczu a nawet bez łez, przeczytać było niepodobna, u Mantegazzy znajdujemy przeważnie mdłą deklamacyę. Wuj uczy siostrzeńca, a więc autor — młodych czytelników — aby postanowili codziennie zrobić trzy dobre rzeczy i spełnili je. Jedna z tych rzeczy ma miéć na celu doskonalenie ciała, druga serca, trzecia umysłu. Aby ułatwić wykonanie téj rady, autor podaje wzór postanowień takich na cały miesiąc, a prócz tego zamieszcza dwanaście kartek czystych z nadpisem „kalendarzyk pomocniczy do kształcenia ciała, serca i umysłu. Postanowienie codzienne na miesiąc...“ Niewątpliwie wykonanie punktualne i wytrwałe przez czas dłuższy podobnego ćwiczenia, byłoby bardzo pożądane, wątpić tylko można, czy łatwo da się w praktyce wykonać. W każdym razie rodzice i nauczyciele winni probować. Najwięcéj miejsca zajmują rozprawy nad wyborem stanu, o czém Mantegazza radzi chłopcu myśléć bardzo wcześnie. Rozpatrzone są pokolei zawody: rolnika, żeglarza, kupca, przemysłowca, artysty, inżyniera, prawnika, lekarza. Gdyby czytelnikowi, nie wiedzącemu nic o historyi téj książki i o przyczynie jéj napisania, kazano zgadywać tytuł, nigdyby nie zgadł. Gdyby kazano wybiérać: Serce czy głowa? — niewątpliwie powiedziałby bez wahania — serce! Rzeczywiście o sercu, o uczuciach daleko tu więcéj mowy, niż o głowie i umyśle. Ideał człowieka streszczony został w następującéj dewizie: r o z u m n a g ł o w a, k i e r u j ą c a d o b r é m s e r c e m. Mantegazza twierdzenie to powtarza w kilku miejscach i kładzie na

nie dość silny nacisk, ale go nigdzie nie dowodzi. Wielka to szkoda; we Włoszech może powiedzenie samo wystarcza, u nas trzeba będzie zapewne długo jeszcze przekonywać ogół i jego umysłowych doradców, że serce winno być monarchą, rozum jego pierwszym ministrem. *Str.*

— *Oswald Balzer.* **Regest złoczyńców grodu Sanockiego** 1554—1638. Lwów, 1891. W archiwum krajowém aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, w dziale obejmującym księgi grodzkie sanockie, przechowują się pod Nr. 447 i 448 dwa tomy aktów, zawierające zapiski jurysdykcyi kryminalnéj, wykonywanéj w grodzie sanockim w latach 1554—1638. Zapiski te doczekały się obecnie wydania pod powyżéj wymienionym tytułem — jako I tom wydawnictwa materyałów historycznych, podjętego przez lwowskie towarzystwo historyczne. Wydawnictwo prof. Balzera obejmuje 155 zapisek ogółem, przedrukowanych w całości. Treść tych zapisek odnosi się do juryzdykcyi kryminalnéj i obejmuje: 1) dokładne streszczenia całkowitego przebiegu rozprawy, 2) zeznania oskarżonych, wreszcie 3) protokóły przebiegu rozpraw, wraz z odnośnymi testamentami. Dla poznania rozwoju kryminalistyki w prawie polskiém, mają te zapiski niemałe znaczenie. Nie mamy zamiaru rozpisywać się o tém, czy i co nowego dla nauki prawa polskiego przynosi to wydawnictwo prof. Balzera, bo po pierwsze, zrobił to po części sam autor w wstępie do swego wydawnictwa, powtóre wymagałoby to osobnéj rozprawy, nie zaś literackiéj wzmianki. Tyle wypada nam wspomniéć, że zapiski wydane przez prof. Balzera, wprowadzają nas między innemi także w świat prawny stosunków patryarchalnych między „panem“ (t. j. szlachcicem) a jego poddanymi. Widzimy najpierw zupełną prawie zależność „sądów wiejskich“, złożonych z wójta, ławników i asesorów od wyższéj władzy prawnéj „pana“, którym był tak dobrze właściciel, jak i dzierżawca, a nawet administrator danéj wsi. Tylko w razie — jeżeli trzeba było sądzić obok poddanych także szlachcica, lub chłopów osadzonych na prawie magdeburskiém lub wołoskiém — „sądy wiejskie“ odbywały się w obecności starostów sanockich lub drugorzędnych urzędników tegoż grodu. Wogóle gród czuwał jako zwierzchnia instytucya nad sądami kryminalnemi, zarówno szlacheckiemi (prawa polskiego) jak i miejskiemi (prawa niemieckiego) i wiejskiemi (patrymonialnemi) — gród prowadził także księgi tychże sądów i dla tego znajdują się one obecnie w zbiorze ksiąg sądów grodzkich. Z czasem wzmacnia się coraz bardziéj ta zwierzchnia powaga grodu nad sądami kryminalnemi i wciska się w stosunki patrymonial-

ne. Konstytucya z r. 1567 czyni niemały wyłom w jurysdykcyi patrymonialnéj szlachty podolskiéj, stanowi bowiem, że nietylko ze względu na złodziejstwa wołoskie, ale w ogóle za każde złodziejstwo, a zarazem za rozbój na drodze publicznéj, chłop nie ma odpowiadać przed sądem dworskim, ale przed starostą. Taki powolny wzrost znaczenia jurysdykcyi grodzkiéj kryminalnéj nad miejską i wiejską, znamionuje, według nas, także fakt powolnego zanikania odrębnych praw i przywilejów stanowych na korzyść władzy państwowéj. Nawet na niewielkiéj stosunkowo liczbie zapisek sądowych jednego grodu możemy badać powolną, ale stałą przemianę stosunków średniowiecznych w Polsce na—nowożytne. *K. J. Gorzycki.*

= *Maryan Gawalewicz*, **Majster do wszystkiego**, zbiór nowel (Kraków, 1890, nakł. Żupańskiego i Heumanna). Jak wszystkie dotychczasowe utwory p. Gawalewicza, tak i ten zbiorek w niemniejszym od innych stopniu cechują zalety jego pióra, mianowicie: zręczność i pewna świeżość pomysłów, styl lekki, dowcipny, miejscami wykwintny, swoboda i potoczystość dyalogów. Z pomiędzy pomieszczonych w tym zbiorze utworów, trzy czwarte części tomiku zajmuje tytułowa nowela „Majster do wszystkiego.“ Jest to obrazek ujęty w szersze ramy i mogący rościć pretensyę do nazwy powieści z powodu szerzéj rozprowadzonéj kompozycyi i subtelnego rysunku charakterów. Bohatérem powieści jest młody obywatel ziemski, Edward Żłobicki, człowiek słabego charakteru, a wielkiéj pewności, siebie, pełen dobrych chęci i zamiarów, a nieumiejący ich wcielać w życie. Wychowany w atmosferze i otoczeniu, które mu nie dały sposobności zetknąć się z walką o byt, lub przypatrzyć z bliska pracy ludzkiéj, nie wyniósł téż dostatecznego zasobu wytrwałości i praktyczności. Popełnia on cały szereg błędów wynikających z niedoświadczenia i braku gruntownego wykształcenia, a błędy te sprowadzają nań ostatecznie ruinę majątkową. Ratuje go z niéj kobiéta o tyle doświadczona i praktyczna, o ile jemu tego nie dostaje, o tyle śmiała i energiczna, o ile u niego brak męskiego hartu jest jedną z głównych cech charakteru. Pani Tomira, młoda wdowa, o niezwykle trzeźwym na świat poglądzie, kocha Żłobickiego, nie dając mu tego poznać, a czułe jego wynurzenia z udaną przyjmuje obojętnością, studyując tymczasem charakter swego wybrańca. Widzi ona jego błędy, ale ocenia także szlachetny w gruncie charakter i dlatego w chwili stanowczéj nie waha się oddać rozbitkowi ręki wraz z sercem. Dla urozmaicenia akcyi wplótł autor do powieści epizod nieco nieprawdopodobny, mianowicie historyę poszukiwań skarbu, prowadzo-

nych przez Żłobickiego do współki z awanturniczym Francuzem du Farre, którego dziad generał, na gruntach Żłobkowa zakopać miał w r. 1809-ym olbrzymie sumy. Szczegół ten dał autorowi sposobność wprowadzenia dobrze wycieniowanéj sylwetki awanturnika i pasorzyta, który, zdobywszy zręcznie skleconą bajką zaufanie Żłobickiego, wyzyskuje go następnie przez długi czas bez litości. Wyraziście rzucone kontury głównie działających osób, oraz wykończenie psychologicznéj strony charakterów, zwłaszcza Edwarda i Tomiry, zapewniają utworowi temu, mimo kilku błędów w budowie, wartość trwalszą. Dwie drobne nowelki: „I. Zyg. Do“, malującą w szarym kolorycie smutną dolę garnącego się do pióra młodzieńca, który na śmiertelném łożu doczekał się upragnionéj chwili ujrzenia w druku swego utworu, oraz „Filiżanka“, bluetka buduarowa, o subtelnym dyalogu salonowym w rodzaju tak często uprawianym przez p. Gawalewicza, dopełniają całości tego zbiorku, który w dorobku autora nie może być pominięty. *W. P.*

= **Scena polska w obec sejmu** przez *Estreichera* (Kraków, 1890, str. 62). W powyższéj z gruntowną znajomością rzeczy i stosunków teatralnych napisanéj broszurze, rozpatruje autor bardzo szczegółowo wewnętrzne sprawy, dotyczące organizacyi teatrów krakowskiego i lwowskiego, i ze spostrzeżeń swych wyciąga wnioski zdążające do reformy obu tych instytucyi. Wzmagające się w ostatnich czasach wymagania ogółu, stawiane dzisiejszym przedsiębiorcom obu galicyjskich teatrów, nie dozwalają kierownikom tych scen w obec szczupłych stosunkowo zasiłków z funduszów krajowych, postawić teatrów na wysokości pragnień, z czego rokrocznie wzrasta chmura niezadowoleń i coraz częstsze nawoływania dziennikarstwa, aby sejm raz stanowczo uregulował kwestyę teatralną. Głosy te w ostatnim roku wystąpiły tak stanowczo, że wydział krajowy ujrzał się zmuszonym zwołać w lipcu r. b. ankietę teatralną, która rozpatrywała szczegółowo kwestyę i sformułowała szereg odpowiedzi na postawiony kwestyonaryusz. Z tych zasadnicze ma znaczenie uchwała, w któréj ankieta objęcie obu teatrów w zarząd kraju uważa za najracyonalniejsze i najkorzystniejsze dla dobra instytucyi saméj załatwienie téj kwestyi. Dr. Estreicher wykazawszy cyfrowo gopodarsko-administracyjną stronę sprawy teatralnéj, domaga się w konkluzyi: 1) aby sejm uznał konieczność wzięcia teatrów w Krakowie i Lwowie z chwilą wybudowania nowych gmachów teatralnych w obu miastach, na fundusz krajowy; 2) wyznaczył komisyę do rozpoznania funduszów obu teatrów, celem oznaczenia wysokości przyszłych zapomóg z chwi-

lą wzięcia teatru w administracyę kraju. Praca p. Estreichera, podająca bardzo szczegółowo opracowany materyał do rozpraw sejmowych w tym przedmiocie, zaopatrzona nadto uwagami i spostrzeżeniami gruntownego i wieloletniego znawcy tych stosunków, ma trwałe znaczenie nietylko w kierunku praktycznym, ale także ze względu na zgromadzone cyfry, jako źródło dla przyszłych historyków teatru krakowskiego. *W. P.*

= **Droga życia.** Szkic poetyczny przez *Józefa Rychtera* (Kraków, 1889, str. 24). Drobny ten utwór poetyczny pisany prozą w stylu, jakim się ongi posługiwali Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa“ i Słowacki w „Anhellim“ jest odbiciem najróżnorodniejszych, czasem trafnych, nie rzadko jednak aż do granic ekscentryczności dochodzących idei i poglądów, z jakiemi wiązać można històryą ludzkości w jéj dziejowym rozwoju. Głównym punktem, około którego snuje autor swe wywody, jest usiłowanie określenia roli idei chrześciańskiéj na tle jakiegoś chrześciańsko-panteistycznego mistycyzmu, jéj kolejnych faz i przemian w kształtowaniu pojęć miłości bliźniego. Silny tu i owdzie zgrzyt pesymizmu, mocno zaznaczone niezadowolenie z szkodliwości obecnych lub przeszłych wypadków, znamionuje w autorze jednego z nieprzejednanych przeciwników dzisiejszych religijno-społecznych urządzeń. W ostatecznéj konkluzyi skreśliwszy w ogólnych rysach dzieje rozwoju ducha człowieczego w walce z przyrodą i tryumf tegoż nad otoczeniem, przepowiada autor zwycięstwo ducha nad materyą, światła nad zacofaniem i ciemnotą. Język pełen oryginalnych zwrotów i porównań, wyróżnia nader charakterystycznie utwór ten, będący wybłyskiem rozbujałéj nadmierne fantazyi, z pośród współczesnych pojawów w dziedzinie piśmiennictwa.

= *Mignet,* **Historya rewolucyi francuskiéj, 1789—1814.** Przekład J. F. (Dodatek do „Prawdy“), 2 t., Warszawa, 1890. Nie bez zasady przyswojono literaturze naszéj tę piękną, choć starą książkę. Mamy przekład polski historyi Thiers'a, lecz ogromnych tych tomów nikt dziś nie czyta; zaś rozpoczęty przekład dzieła Taine'a utknął na części wstępnéj. Książka Migneta, jeśli nie przedstawia dziś wartości naukowéj, zachowała zalety jasnego i popularnego wykładu. Nie sądzę jednak, aby właściwém było dać ją do ręki czytelnikowi nieprzygotowanemu—a dla takiego tylko mogła być przeznaczoną — bez żadnych uzupełnień i słowa wyjaśnienia. Pisana przed 70 blisko laty (1823), przez dwudziestokilkoletniego młodzieńca, pośród żywych walk politycznych, za życia wielu z opisywanych w niéj osób, bez

zmian prawie zostawioną była przez autora, który dożył wyników najnowszych badań historycznych († 1884), lecz słusznie nie chciał naruszać harmonii młodzieńczego utworu przez modyfikacye późniejsze. Tłómacz polski, wolny od takich skrupułów, a mając przedewszystkiém na widoku cele pedagogiczne, niesłusznie opuścił sposobność sprostowania bądź w przedmowie, bądź w dopiskach, główniejszych przynajmniéj niedokładności, jakich nie brak szczególnie w opisie dziejów wewnętrznych Zgr. Ustawodawczego i Prawodawczego, oraz polityki zewnętrznéj 1792 r., za epoki dyrektoryatu i ostatnich lat cesarstwa.—Sam przekład—za wyjątkiem pierwszych stronic—pozostawia do życzenia pod względem czystości i dokładności zarówno. Częste są zwroty w rodzaju: „prawodawcy, jesteśmy zdobyći“ (I, 166), „czoło dominujące“ (172), „D. powziął projekt genialnego człowieka“ (176) i t. p., tamże „wyroków“ (180) zamiast „dekretów“, „Nizina“ (183) zam. „Bagno“ (*Marais*, nazwa stronnictwa), „z trudnością“ (191) zam. „z łatwością“ i t. d. W t. II-im co krok trafiają się tłómaczowi dziwne takie nieporozumienia; np. zaraz na początku, „proskrypcyonistom“ (5,48) zam. „poskrybowanym“, „poboru“ zam. „powstania“ (5); „wyparte ogniem dział Bouchaina“ (6) zam. przeciwnie „pod osłoną dział Bouchainu“ (twierdzy); „przez organ Barrère'a“ zam. „za pośrednictwem“ (26); „wyjęto ich z pod obrad“ (?) 32; Saint-Just nazwany „sentymentalnym“ (37)—oczywiście zam. „sentencyonalny“; „udawać przed nią uległość“ (39) zam. ukryć *jéj* (Konwencyi) uległość; „*un considérant*“ nie znaczy „wywód“ (42, 43), lecz motyw do prawa; tamże „straż bezpieczeństwa“ zam. nietykalność; „nieuznanymi przez milczący głos (?) francuzów“ (49); tamże „ośmielone“ zam. „onieśmielone“; „powstrzymania“ zam. przeciwnie „podtrzymania“ (55) i t. d. Podnoszę *lapsus* jaskrawsze tylko, nie mając w téj chwili pod ręką oryginału. Razi téż niekonsekwencya w pisowni wyrazów cudzoziemskich, np. stale „Lijon“ obok „Toulonu“ i t. p. *S. A.*

= *Świętopełk Czech.* **Wycieczki pana Brouczka.** Przełożył z czeskiego J. Nitowski (Paprocki, 1891). Jest to nadzwyczaj udatna satyra przedewszystkiém na stosunki społeczno-państwowe czeskie, a następnie na życie i stosunki kółek i osobników klasy literatów i artystów. Stąd świat cały, my zaś więcéj niż inni możemy odczuć ostrza pocisków czeskiego satyryka, niezbyt zresztą srogich, bo z dobrodusznym uśmiechem ironii, nie zaś z ustami jéj bólem wykrzywionemi miotanych. Ani na chwilę nie zawodzący autora humor, potoczystość i harmonijność opowiadania, przetykanego co krok najfantastyczniejszemi, a jednak bardzo charakterystycznemi ustępami z przy-

gód zwykłego kamienicznika w tym nadziemskim świecie nauki, poezyi i sztuki,—wszystko to czyni książkę Świętopełka Czecha nader miłą i budzi w nas szczerą wdzięczność dla tłómacza.—Nie wszystko wyżéj powiedziane dałoby się zastosować do drugiéj „wycieczki pana Brouczka, do XV w.“ na ten raz. Jeśli pierwsza z nich może mieć chociaż niezbyt wielkie, ale ogólnoludzkie znaczenie, druga nie wychodzi po za zakres czysto narodowych interesów. Głównym jéj celem jest rzucić społeczeństwu czeskiemu wyrzut niemczenia się przez porównanie teraźniejszości z czasami taborytów i ich patryotyczno-religijnych wojen z Niemcami. — Temat rzucenia obywatela XIX w. w zamierzchłe czasy, wyzyskał już był krócéj i piękniéj w jednéj ze swych cudnych bajek Andersen.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ociężałość świąt Bożego Narodzenia. — Co robią biedacy? — Miłosierdzie świąteczne.—Miłosierdzie zimowe. — Przypomnienie o węglu. — Projekt pomocy biedakom przez ludzi niebardzo zamożnych. — Apostrofa do „Przeglądu Pedagogicznego".—Potęgi potrzebują pomocy.— Projekt biura statystycznego w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. — Przykład Łodzi. — Jakie może być zadanie biura statystycznego. — Zbierać liczby nowe, czy korzystać z istniejących? — Program i sprawozdanie dwu szkół technicznych. — Przeciążanie pracą profesorów.— Brak środków. — Niepojęte przeszkody na progach krakowskich. — List p. Mieczkowskiego.—Niesłuszność obawy o zaległości. — Zbyteczne analizowanie pobudek inicyatora przez kolegów-współzawodników.

Święta Bożego Narodzenia mają w sobie coś c i ę ż k i e g o. Nie spotyka się wśród ludzi ochoczości, która powinna towarzyszyć wczasowi po pracy, lecz natomiast wszyscy skarżą się na ból głowy, na niewyspanie, na... ociężałość.

Nic w tém dziwnego. Progiem tych świąt jest nadmierne objedzenie się potrawami, z ilością i jakością których nigdy się więcéj przez rok cały nie spotykamy. W dodatku w Warszawie ludzie nie czekają bynajmniéj na wschód pierwszéj gwiazdy. Handelki i restauracye przez dzień cały pełne. Gdy żony szykują postne wieczerze, mężowie muszą gdzieś zjeść obiadek mięsny. Dzięki temu tradycyjna wigilia przechodzi coraz bardziéj w stan szczątkowy, traci wszelkie cechy i znaczenie, jakie niegdyś miała lub mieć mogła, i zostaje wyłącznie pułapką na niezbyt i bez tego zdrowe żołądki.

Gdyby nie zamknięte w pierwszy dzień sklepy i brak ruchu wszelkiego, niepodobna byłoby poznać na ulicach Warszawy, iż to uroczyste, doroczne święta. Gdzieindziéj, w klimatach łagodniejszych i ostrzejszych, ludność uboga chodzi do teatrzyków, na sztuki

magiczne, zjeźdża z gór lodowych, ogląda zamki kryształowe z lodu i t. d. i t. d. U nas może tylko błądzić bez celu po ulicach, co naturalnie przy ognistym mrozie zbyt ponętném nie jest, albo dni całe spędzać w ciasnych izdebkach, gdzie się spotyka rzadka kombinacya złego powietrza z przejmującém zimném. Co roje biedaków na podkopowych i przedmiejskich ulicach robią w chwile wolne od pracy, jak zadawalniają nieodzowną potrzebę uciechy, zabawy — nie wiem, i nikt u nas nie wié. Nie mają salonów na zorganizowanie porządnych, przyzwoitych rautów, biorą więc zapewne to, co jest, a jest... wódka w szynczku na rogu.

Panowie—w wigilią; hołota — w pierwszy dzień świąt. Nawet porządek właściwy zachowany!

Całe tło świątecznego życia naszego jest jakieś szaro-niedorzeczne, ale na niém jak złote gwiazki lśnią pewne zwyczaje miłosierdzia. Biedna dziatwa Warszawy dostaje przed wigilią od opiekunek swoich ciepłe ubranie, ciepłe obuwie, nieco zabawek, a nawet gdzieniegdzie kubek gorącego napoju.

Biorąc rzeczy seryo, możeby nie należało czekać aż do 24 grudnia z rozdawaniem jakiéj takiéj przyodziewy zmarzniętemu biedactwu; ale oczywiście, lepiéj późno niż nigdy. Pomimo dosyć znacznéj liczby bogaczów, przebywających w niepokaźnych murach Warszawy, kilku zaledwie ludzi pośpiesza wraz z nastaniem pierwszych mrozów z pomocą nędzy, rozdając po 250 porcyi herbaty, po 100 obiadów dziennie i t. d.

Pomiędzy temi ofiarami w roku bieżącym nie słychać było wcale o węglu. Wobec surowéj zimy podobne zapomnienie da się bardzo ciężko uczuć nie jednéj rodzinie. Rzadko dziś spotkać człowieka bez bólu gardła, bez kataru lub kaszlu, a dzieci od przeziębienia ustrzedz przy ciepłém i obszerném mieszkaniu niepodobna. Łatwo więc sobie wyobrazić, co się dziać musi w izdebkach, gdzie nie ma przy czém zagrzać mléka dla dzieci, gdzie woda w wiadrze zamarza.

Zresztą wobec rozmiarów potrzeby żaden milioner, ani kilku ich nie podoła. W spisie osób, biorących czynny udział przy rozdawaniu podarunków gwiazkowych, znaleźliśmy, przeważnie nazwiska dam bardzo bogatych. Czy ogół rodzin średnio zamożnych poczuwał się do obowiązku pamiętania o nędzy — nie wiadomo. Co najwyżéj, prawdopodobnie, posłano gdzieś jakiś niepotrzebny w domu gałgan lub jakie rupiecie.

A jednak w Warszawie tak łatwo znaleść prawdziwą nędzę. Kuryery ogłaszają listy, sporządzone przez biuro odpowiednie, a na listach tych wpisane są chore wdowy, obarczone sześciorgiem dzieci,

wyrobnice, pracujące na kilkoro drobiazgu i chorego męża i t. d. i t. d. słowem, dziedzinę, gdzie głód rządzi i pastwi się bez żadnych ograniczeń.

Każda rodzina średnio zamożna, wydająca miesięcznie 100 lub 150 rs., mogłaby zaopiekować się jedną rodziną, pogrążoną w nędzy wyjątkowéj. Więc przedewszystkiém dopomódz matce do znalezienia zarobku. Od czasu do czasu posłać nieco węgla, trochę rosołu dla wygłodzonego i zziębniętego maleństwa. W każdéj liczniejszéj rodzinie jest zawsze tyle odzieży nie dodartéj, a już nieużywanéj, że przynajmniéj dla jednego dziecka wystarczyłoby bez narażenia się na koszt jakikolwiek. To jedno, to drugie dziecko możnaby brać na cały dzień do domu, gdzieby zjadło obficiéj i temu i owemu przypatrzyło się. Do tego dołączony wydatek paru rubli miesięcznie bardzoby złagodził nędzę kilkorga istot ludzkich.

Taka stała pomoc jednéj rodzinie nie skończyłaby się na udzielaniu jedzenia i ubrania. Poznawszy dokładnie potrzeby biedactwa, zyskawszy zaufanie, możnaby wiele dobrego zdziałać dla nich radą, pokierować przyszłością chłopców i dziewcząt. A z drugiéj strony opieka podobna byłaby bardzo dobrą szkołą miłosierdzia dla dzieci zamożnych rodziców. Poznałyby nędzę, nauczyłyby się rozumieć świat inny, współczuć mu i pomagać, wprawiałyby się do ograniczania własnych potrzeb i zachcianek na rzecz bliźniego.

Miłosierdzie uważamy za konieczny czynnik wychowania, ono dzielnie przykłada się do rozwijania uczuć altruistycznych. Miłosierdzie zaś bez planu i myśli — żadnych skutków osiągnąć nie może. Sądzimy więc, że przynajmniéj „Przegląd Pedagogiczny“ projekt nasz powtórzy i poprze.

Na tym naszym świecie, gdzie ułomność jest najbardziéj charakterystyczną cechą wszystkiego, nietylko biedni potrzebują pomocy. Obejść się bez niéj nie mogą również dwaj współcześni władcy globu całego: przemysł i handel. Wśród nas — jak wiadomo — popiéra go od lat już wielu towarzystwo specyalne.

Na posiedzeniach Towarzystwa tego usłyszéć nieraz można bardzo zajmujące odczyty, ciekawe rozprawy. Czy zaś przyczyniło się ono istotnie w czém do p o p a r c i a przemysłu i handlu? — to dopiéro przyszłość okaże, gdyż dotychczas spotkać jeszcze można malkontentów w dosyć znacznéj liczbie, którzy wzruszają ramionami i głową kiwają. Gdzie takich malkontentów brak?

W każdym razie, w Towarzystwie troszczono się dotychczas przedewszystkiém o techniczną stronę przemysłu i handlu. Prawnopaństwowe warunki ich rozwoju pozostawiano na boku, lub też od

czasu do czasu domagano się ceł. Przed laty kilku cłowa epidemia wśród pożądań naszych przemysłowców doszła do wysokiéj gorączki, słyszeliśmy też na posiedzeniach dosyć zabawne majaczenia.

Rok temu znowu Towarzystwo wypowiedziało swoje zdanie w kwestyi szkół technicznych, a chociaż delegaci tutejsi na zjeździe w Petersburgu milczeniem jedynie popiérali wnioski swoje i instytucyi, jednak rzecz była przyjęta dobrze i skutek osiągnięty został, wprawdzie przyobleczony dotychczas w formę obietnicy na przyszłość.

Dopiéro przykład Łodzi nasunął myśl, że bierne wymijanie wszystkiego bodaj czy jest dobrą rzeczą. Kiedy rozstrzygano sprawy taryfowe, Łódź wystąpiła z memoryałem, wyłożyła swoje potrzeby, wykazała ogólną szkodliwość taryf kolejowych, któreby jéj szkodziły, i—przechyliła szalę prawodawczą na swoję stronę.

Czemużby Warszawa w podobnym wypadku nie miała tak samo postąpić?

Ale memoryał w sprawach przemysłowych do władz najwyższych nie może być gołosłowną deklamacyą. Tymczasem o dokładnych danych napewno nikt nic nie wié. Handel i przemysł popiéraliśmy przez lat kilka po ciemku, zadawalniając się tém, co każdy z nas wié z własnéj fabryki lub z opowiadań sąsiadów i o sąsiadach.

Doszliśmy więc do tego szczęśliwego i ważnego punktu, że się okazała potrzeba zaczęcia roboty od początku. Zwykle jest to dobra zapowiedź pomyślniejszéj przyszłości. Potrzeba się dowiedziéć: co jest, aby módz z dobrym skutkiem przekonać siebie i innych: jak być powinno.

Powstał w łonie sekcyi handlowéj projekt założenia biura statystycznego. Dotychczas jednak ani się projekt ten skrystalizował w określone żądanie, ani zyskał całkowitą jednomyślność sekcyi. Nie obyło się przytém bez gawędy całkiem pozbawionéj celu, ale koniec końców stanęło na tém, że sekcya potrzebę biura uznaje i komisya ma wypracować projekt szczegółowy.

Niech nam wolno będzie wypowiedziéć w téj sprawie zdanie, omijając zresztą twierdzenia, wygłoszone na posiedzeniu.

Biuro statystyczne przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu może miéć dwojakie zadanie: 1) zbiérać cyfry i inne dane, 2) użytkować zebrany materyał w celu bądź wyświetlenia ogólnego stanu ekonomicznego kraju, czy jakiéjś gałęzi przemysłu, — bądź też w celu przyczynienia się w każdym szczególnym wypadku do przeprowadzenia zmian pożytecznych lub zaradzenia szkodliwym.

O ile nam się zdaje, zakwestyonowaniu ulegać może tylko punkt pierwszy, nigdy drugi.

Świeżo zdarzył się przykład, że zbiéranie liczb napotkało na przeszkody nieprzewidziane, a niepokonalne.

Gromadzenie danych dokładnych środkami prywatnemi, bez możności sprawdzania, gdzie wszystko zawisło od dobréj woli, a częstokroć i dobrego humoru tego lub owego fabrykanta, kupca lub wójta, bodaj czy się uda kiedykolwiek. W dodatku, cyfry zbiéra miejscowy komitet statystyczny i biuro centralne w Petersburgu. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu może tu i owdzie wprowadzić jakieś sprostowanie, wykazać sprzeczność i potrzebę nowéj liczby, ale żeby w ogóle pod względem gromadzenia danych konkurować mogło z instytucyami rządowemi — o tém, zdaje się, wolno wątpić. Nie należy też zapominać, że tworzenie statystyki kosztowałoby bardzo duże sumy.

Natomiast korzystanie z istniejących danych jest potrzebą tak wyraźną i tak nagłą, że bodaj, czy znajdzie się przeciwko niéj jeden chociaż argument poważny.

Dotąd wszystko, co wiemy o rozwoju przemysłu w Warszawie, Łodzi, Sosnowcu, o upadającym lub wzmagającym się handlu ze wschodem i z zachodem, o skutkach konkurencyi z rozwijającym się na południu przemysłem żelaznym i t. d. — w najlepszym razie stanowi luźne fakty, nie związane w jedną całość, nieusystematyzowane, niewyjaśnione ani pod względem przyczyn, ani pod względem skutków.

Tylko bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności sprawić może, że się znajdzie jednostka i chcąca i mogąca zająć się temi sprawami. W obec tego, iż u nas wszyscy niemal ludzie, pracujący umysłowo, nie posiadają zapewnionego kawałka chleba, na podobny zbieg okoliczności rachować niepodobna. A któż, jeśli nie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, zająć się powinien tém, abyśmy nie błądzili wciąż całkiem po omacku.

Dowodzić chyba byłoby zbyteczne, iż znajomość tego, co się dzieje, iż zrozumienie dróg materyalnego rozwoju, potrzeb i braków gospodarki krajowéj stanowi niezbędny warunek trwałego postępu.

To tylko jedna strona. Druga nie jest może bardziéj ważną, ale bardziéj pilną i widoczniéj skuteczną.

Od lat wielu zarysowała się konkurencya już nie przedsiębiorstw pojedyńczych, lecz całych okręgów przemysłowych: moskiewskiego z warszawskim i łódzkim, południowo-zachodniego z uralskim. Z dzienników petersburskich, oraz z odezw urzędowych wiemy, że niektóre z okręgów usiłują interes swój utożsamić z interesem państwa i kołaczą przy każdéj sposobności u władz najwyższych o ulgi i przywileje dla siebie, o ograniczenia dla konkurentów. Okręg, któ-

ry dbać o swoje sprawy nie będzie, który nie wykaże tendencyjności danych i przesady wniosków rywala, naraża się oczywiście na to, że interesy jego mogą być przeoczone.

Łódź—jak to już wyżéj wspomnieliśmy—zrozumiała konieczność obrony wcześniéj, a pomyślne skutki jéj usiłowań przekonały o możliwości téj obrony.

Fakt ten posiada w danym razie dużą doniosłość, zwracamy téż nań szczególną uwagę. Nie można w obec niego bierności pozorować brakiem wiary w skuteczność czynu. To téż nam się zdaje, że jeżeli rozpoczęte narady nie zakończą się zorganizowaniem biura, będzie to jedynie skutkiem niezaradności, lub może... skąpstwa, o które byśmy jednak tych sfer pomawiać nie chcieli.

Nadesłano nam „Program ces.-król. Szkoły politechnicznéj we Lwowie na rok naukowy 1890—1891, XIX;“ oraz „Drugie sprawozdanie c. k. państwowéj Szkoły przemysłowéj w Krakowie.“

Szkoła politechniczna lwowska składa się z czterech wydziałów fachowych: inżynieryi, budownictwa, budowy maszyn i chemii technicznéj. Oprócz tego istnieje przy wydziale budowy machin kurs przygotowawczy dla kandydatów zawodu górniczego, a przy wydziale chemii technicznéj kurs przygotowawczy dla kandydatów zawodu hutniczego.

Uczniowie szkoły dzielą się na zwyczajnych i nadzwyczajnych. Do liczby pierwszych zaliczani są ci tylko, którzy ukończyli szkoły średnie, austryackie lub zagraniczne. Od kandydatów realistów z Rosyi wymagane jest świadectwo z klasy dopełniającéj (siódméj).

Opłata wynosi jednorazowo 5 guldenów (taksa immatrykulacyjna) i co półrocze 15 guldenów (czesne).

W „Programie“ znajdujemy ustawę szkoły i plan nauk, oraz dokładną treść wykładanych przedmiotów. Oczywiście nie możemy tu się wdawać w roztrząsanie ani przepisów, ani kursów. Zwrócimy tylko uwagę, że w szkole téj przeciążani są nadmierną pracą profesorowie. Np. znany ze swoich prac specyalnych i doskonałego podręcznika mechaniki analitycznéj, prof. J. N. Franke przez 7 godzin tygodniowo wykłada „Mechanikę“, przez 3 godziny „Teoryą machin“, przez 3 godziny (w lecie 4) „Encyklopedyę mechaniki i nauki o machinach.“ Prócz tego pr. Franke jest rektorem i członkiem dwu komisyi egzaminacyjnych. Prof. Thulie (statyka budowli, budowa mostów) ma zajętych w półroczu zimowém godzin 29, w letniém—23. Profesor Maryniak (budowa machin) — aż 31 godzin tygodniowo w obu półroczach i t. d. Oczywiście, dla profesora wyższego zakładu naukowego, szczególniéj jeżeli wykłada przedmioty takie, jak mechanika,

budowa mostów lub machin, taka liczba godzin jest bezwarunkowo zadużą. Ani wzory matematyczne, ani rysunki wiecznie się głowy nie trzymają, trzeba lekcyą każdą przygotować; trzeba kurs dopełniać. Zwykle też w uniwersytetach i politechnikach 6 godzin tygodniowo stanowi granicę, która rzadko tylko przekraczaną bywa.

Przyczyną podobnego przeciążenia profesorów jest niewątpliwie ubóstwo szkoły, która nie jest w stanie należycie uposażać pracowników swoich. Tę też okoliczność należy mieć na uwadze przy ocenianiu działalności politechniki lwowskiéj.

Brak środków źle odbija się nawet na wykładach uniwersyteckich, cóż więc mówić o szkole, złożonéj z wydziałów fachowych, gdzie laboratorya, muzea, warsztaty i t. d. odgrywają pierwszorzędną rolę.

Nieobsadzone są dwie katedry: geodezyi kurs I i kurs II, oraz astronomii sferycznéj. Zdaje się, iż stan taki trwa już od lat kilku. Jest to wielka ujma dla wydziału inżynierskiego. Tyle przecież młodzieży kończy rok rocznie wydziały matematyczne w uniwersytetach — może więc winien tu brak odpowiedniéj zachęty ze strony szkoły?

O wiele zdaje się stosunkowo zamożniejsza jest „Szkoła przemysłowa“ w Krakowie [1]. Składa się ona: *A*) z Wyższéj szkoły przemysłowéj (wydziały: budownictwa, mechaniczno-techniczny i chemiczno-techniczny) i *B*) z Uzupełniających kursów wieczornych i niedzielnych dla starszych terminatorów i czeladników. Prócz tego jeszcze w szkole krakowskiéj odbył się już dwa razy „Specyalny pięciomiesięczny kurs rysunkowy dla nauczycielów uzupełniających szkół przemysłowych“, i raz jeden „Specyalny czteromiesięczny kurs dla obsługujących maszyny i kotły parowe.“

„Wyższa szkoła przemysłowa“ ma na celu „drogą systematycznéj nauki zawodowéj przysposobić młodzież do praktycznéj pracy w rozmaitych kierunkach techniczno-przemysłowych, a jednocześnie nadać jéj taki stopień ogólnego wykształcenia, aby sprawy zawodowe i ich dla społeczeństwa doniosłość objąć zdołała obszerniejszym poglądem i z ogólniejszego wytrawnego stanowiska.“

Egzamin wstępny na kurs pierwszy obejmuje arytmetykę, początki geometryi i początki fizyki. Zakres przedmiotów ogólnych, jak matematyka, fizyka, nieco przechodzi zwyczajne programy szkół średnich.

W roku szkolnym 1889/90 na wszystkie 3 wydziały kursu wyż-

---

[1]) Chociaż w sprawozdaniu znajdujemy skargę, iż brak środków materyalnych krępował rozwój szkoły.

szego uczęszczało 99 uczniów, z kursów wieczornych i niedzielnych korzystało 145 rzemieślników.

Sprawozdanie nie wspomina, ilu z pomiędzy powyższéj cyfry 99 studentów zostało w ciągu roku wydalonych. Trzeba bowiem wiedzieć, iż ten środek poprawiania młodzieży ściśle zrósł się z najwcześniejszemi tradycyami szkoły.

Szczególniéj szczodrze szafuje dyrekcya szkoły wydalaniem, gdy chodzi o młodzież, pochodzącą z Królestwa.

Szkoła krakowska jest dla nas najbliższą szkołą tego rodzaju. Dla kogo ona stała się niedostępną, musi szukać gościnności w Saksonii, w Alzacyi lub w Szwajcaryi. Stąd téż napływ do Krakowa młodzieży tutejszéj dosyć znaczny. W roku zeszłym zapisanych z Królestwa było 13-tu. Ale z téj liczby na kursie I 4-ch, na kursie II (wstęp bezpośredni) 6-ciu, na kursie III i IV razem tylko 3-ch.

Żałować należy—powtarzam,—iż niewiadomo ilu i jakich studentów pozostało do końca roku, gdyż zaraz w październiku zaszła jakaś awantura (spowodowana, o ile wiem, nietaktem nauczyciela) i bodaj, czy przy téj sposobności nie zostali zaraz wszyscy uczniowie pochodzenia nie-galicyjskiego wydaleni.

Był to postępek bardzo gwałtowny, bardzo surowy, dotkliwy dla młodzieży i niestety, w Krakowie nie pierwszy. W roku 1883-im w podobny sposób czyściła się wszechnica jagielońska. Trzeba dodać jeszcze, że młodzieniec, wydalony ze szkoły, dostaje się zaraz do policyi (policyi, która od czasu Metternicha nic się nie nauczyła i nic nie zapomniała) i ta każe mu się wynosić z granic państwa, bez względu na to, czy ten ma jaki grosz przy duszy, czy nie. Władze szkolne, wydając wyrok wydalenia, wiedzą doskonale, co się daléj stanie.

Przyczyną takiego postępowania jest nadzwyczajna, niedorzeczna, przechodząca całkowicie w sferę śmieszności obawa socyalizmu, którą z policyą dzielą krakowskie żywioły konserwatywne. Galicyjski policyant pod tym względem jest jaknajwierniejszą kopią nieśmiertelnego Precliczka.

Każdy dwudziestoletni chłopiec, przyjeżdżający tam do szkoły, podejrzany jest, bez żadnéj szczególnéj racyi, o chęć knowań. Jeżeli w dosyć szybkim czasie nie zdoła uzyskać poręczenia ze strony jakiego tamtejszego obywatela, to mu się nawet rozpakować ostatecznie nie pozwolą; bez takiego poręczenia nie przyjmą go również do szkoły.

Dziwić się i żałować wypada, że dotychczas nikt takiego postępowania nie zużytkował w komedyi. Gorzéj jeszcze, że ze strony ogółu

nie było dosyć silnego protestu, aby podobnie szkodliwym praktykom raz nareszcie kres położyć. Dawniéj składało się to na zdziwaczałe całkiem w biuralizmie osobistości namiestników i dyrektora policyi, dziś już we Lwowie rządzi hr. Badeni, w Krakowie nie ma p. Englisza, a wszystko podobno kręci się podawnemu.

Z powodu zabrania głosu w zeszłym zeszycie „Ateneum" w kwestyi zajęć niektórych pracowników fotografii w święta i niedziele, nadesłał nam p. Mieczkowski list, zawierający sprostowanie i pewne wyświetlenie w téj sprawie.

„Co do uwolnienia owych pracowników—pisze p. Mieczkowski—nie zapadła żadna uchwała, każdy albowiem z dziesięciu właścicieli zakładów podawał inny projekt (naturalnie dla siebie dogodniejszy), a wszyscy nie mogli się zgodzić na jedno i tak się rozeszli. Jako specyalista nadto ośmielam się zwrócić uwagę, że uwalnianie retuszerów i kopistów przy pozostawieniu w zajęciu personelu kantorowego, oraz laboratoryum i altany, dla większych zakładów jest niemożliwe, wpływałoby bowiem na powstanie znacznych zaległości w robocie."

Wzgląd ten — musimy wyznać — nie wydaje nam się całkiem słusznym. Nie mielibyśmy wcale nic przeciwko uwolnieniu całego personelu zakładowego od zajęć w święta, sądzimy jednak, że w obec ustalonego zwyczaju wśród najliczniejszych klas ludności miejskiéj fotografowania się głównie w święta, taka radykalna reforma niełatwo i nieprędko da się przeprowadzić. Zaległość zaś w robocie zależy od stosunku liczby pracowników w różnych działach, stosunek zaś ten może być oczywiście zmieniany odpowiednio do potrzeby. Jeżeli dziś istniejącą robotę wykończa 6-ciu retuszerów, to przy święceniu niedziel dla wykonania téjże roboty do następnéj niedzieli potrzebnych będzie 7-miu. Rachunek bardzo prosty. I, o ile my, niespecyaliści, sądzić możemy, wzgląd ten nie powinien wpływać na odroczenie pożądanéj reformy, choćby cząstkowéj.

Ciekawą jest dosyć dalsza część listu p. Mieczkowskiego.

„Słuszną ze wszechmiar jest uwaga pana, dotycząca abstynencyi niektórych właścicieli zakładów fotograficznych, ile razy jakiś projekt do wykonania przez ogół podam. Tak było przy zaprojektowanéj przezemnie wystawie fotograficznéj, tak przy propozycyi co do świętowania, tak wreszcie przy opracowaniu kasy przezorności i pomocy. Właściciele owi dowodzą, że wszystko to robiłem dla zareklamowania się!... Któż im jednak bronił w ten sam sposób zareklamować się dawniéj, przecież kwestye, które podnosiłem, same prosiły się o poruszenie oddawna i właściciele zakładów fotograficznych są również dawniejsi odemnie. Bardzo łatwo jest samemu nic nie robić

a gdy kto inny weźmie się do czynu, nie pomódz mu i manifestować się nieobecnością, żeby tylko zaszkodzić nienawistnemu konkurentowi. Że dobra sprawa przepadnie, o to mniejsza!“

Nietylko brak poparcia dobrych chęci p. Mieczkowskiego ze strony starszych kolegów uważamy za złe, ale także podaną przez nich niby racyę, iż to robi dla reklamy, za powód całkiem niepoważny. Jesteśmy téż bardzo bliscy zgodzenia się z p. M., że to tylko pozór, osłaniający zawiść konkurencyjną.

Każdy czyn ludzki jest rezultatem wielu pobudek, pomiędzy niemi często znajdą się i znaleść się muszą egoistyczne: ambicya, chęć zysku osobistego i t. d. Jeżeli jednak popędy te nie przebrały miarki, to nietylko sprawy nie psują, ale pomagają do jéj pomyślnego zakończenia, stanowiąc bodziec najczynniejszy, najwytrwalszy, najmniéj ulegający zmianom. Gdybyśmy potępiali wszystkie czyny, do wykonania których przyczyniła się miłość własna, możebyśmy korzystać nie mogli z najpożyteczniejszych zdobyczy cywilizacyi.

Analizowanie chemiczne pobudek inicyatora, jest w tym razie rzeczą całkiem zbyteczną, lub może szkodliwą. Należy baczyć, czy zamiar pożyteczny i czy przeprowadzenie dobre i uczciwe. Co do pierwszego — wątpliwości nikt miéć nie może; wykonanie zaś wprost jest zależne od czynnego udziału fotografów, ludzi starszych, wytrawnych, dobrych obywateli.

W końcu listu p. Mieczkowski oświadcza, iż inowacyę świętowania, jeżeli tylko zapadnie odpowiednia uchwała i jeżeli zgodzą się wszyscy właściciele zakładów fotograficznych, pierwszy u siebie wprowadzi.

Lu. S.

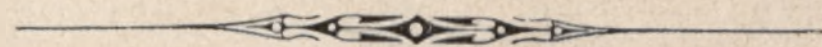


NEKROLOGIA.

† **Arkadyusz Kleczewski**, który od r. 1864—1868 był w Warszawie redaktorem „Kuryera Świątecznego“, przeniósł się następnie do Krakowa i założył tu w r. 1868 pismo humorystyczno-satyryczne, wychodzące do dziś dnia, — zmarł tamże w końcu listopada 1890 r.

† **Edmund Znatowicz**, ur. 1822 w Józefowie (pow. maryampolski) ukończywszy szkoły średnie, wszedł do instytutu agronomicznego w Marymoncie i kształcił się na leśnika. Z początku zawodowi się temu oddał, niebawem wszakże przeszedł na drogę administracyjną jako naczelnik powiatu lubelskiego, a potém jako radca gubernialny w Siedlcach rozwijał użyteczną działalność. W końcu był urzędnikiem w Towarzystwie kredytowém ziemskiém. W czasie wolnym od pracy obowiązkowéj, pisywał udatne poezye, z których pierwsza pomieszczona była w „Wieńcu“ 1857 roku, dalsze zwykle w „Tygodniku ilustrowanym“. Na wyszczególnienie zasługują: „Wierzba“, „Pasorzyt“, „Dziewczyna“, „Zguba i współczucie“, „Biédna Zosia“, „Chwała pieśni“. Zmarł w Warszawie w grudniu r. 1890.

† **Leon Ścisław Śrzednicki** ur. 1845, ukończywszy Szkołę Główną, występował jako patron trybunału, a potém jako adwokat przysięgły w Warszawie; w ostatnich latach oddał się gospodarstwu rolnemu. Oprócz artykułów treści ekonomicznéj i agronomicznéj w pismach specyalnych, pomieścił r. 1886 w „Tygodniku ilustrowanym“ opis podróży po Kurlandyi, gdzie przez lat kilka na praktyce gospodarskiéj przebywał. Zmarl nagle skutkiem nieszczęśliwego wypadku 23 grudnia 1890 r. we wsi Karwinie (pow. miechowskim).



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński* —Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Декабря 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale IV-tym 1890 r.

1. *Józefa Ungra* **Kalendarz illustrowany** na rok zwyczajny 1891, 4-to, str. 4+XXIV+76+56+kart nlb. 62 (cena kop. 50).
2. **Kalendarz powszechny** na rok 1891. (Rok XIII). Warszawa, nakład *T. Paprockiego i S-ki*, 8-o, str. 140+32+kart nlb. 20+str. 7.
3. **Ustawodawstwo sejmu** galicyjskiego 1887—1889. Napisał d-r *Stanisław Starzyński*, prof. uniwersytetu lwowskiego. Lwów, 1890, 8-o str. 166.
4. **Boruta,** dramat z podań ludowych w pięciu aktach z prologiem, przez *Bronisława Grabowskiego*. Kraków, nakł. Anczyca i S-ki (Warszawa, Gebethner i Wolff), 1890, 8-o, str. 187.
5. *Marya Konopnicka.* **Moi znajomi.** Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 318.
6. *Edward Bellamy.* **W roku 2000** (Looking Backward 2000—1887). Powieść. Tłómaczył z oryginału *J. K. Potocki.* Warszawa, wydawnictwo „Głosu", 1890, 8-o, str. 332.
7. D-r *A. Culerre.* **U wrót obłędu.** Studyum psychologiczne. Tłómaczył d-r med. *Ludwik Wolberg.* Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. 326 i II.
8. *Antonina Myszyńska.* **Marnotrawni.** Powieść współczesna. Kraków, nakł. Anczyca i S-ki, 1890, 8-o, str. 203.
9. **Prace matematyczno-fizyczne.** Wydawane w Warszawie przez *S. Dicksteina. Wł. Gosiewskiego, Edw.* i *Wł. Natansonów.* Tom II, zeszyt 2. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1890, wielkie 8-o, str. VII, oraz 245—526.
10. **Wisła.** Tom IV: lipiec, sierpień, wrzesień. Warszawa, skład główny w księg. M. Arcta, 1890, wielkie 8-o, str. 519—750 (z rysun.).
11. **Kalendarz Księgarsko-Literacki** wydany staraniem i nakładem *St. Czarnowskiego* i *G. Centnerszwera.* Na 1891 rok. Katalog książek polskich wydanych w ubiegłym roku. Warszawa, 1890, 8-o, str. 118.
12. **Jak można w małżeństwie** nawet znaleźć szczęście. Przez *autora „Świata kobiety".* Przełożyła z angielskiego *T. Prażmowska.* Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. IV i 318.
13. **Listy do młodzieńca** o wyborze stanu. Skreślił d-r *F. Tchórznicki.* Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. 132.
14. **Ustrój, istota i stanowisko agonu** w komedyach Arystofanesa, napisał *Gustaw Lettner.* Kraków, 1890, 8-o, str. 212.
15. **Zarys teoryi matematycznej** telefonowania na znacznej odległości, przez *H. Merczynga.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 16.
16. *Michał Lermontow.* **Wybór pism.** Przełożony przez *Czesława Mąkowskiego*, a poprzedzony wstępem krytycznym *Włodzimierza Spasowicza.* („Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej"). Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 269.
17. *Adam M-ski.* **Jeden z wielu.** Poemat. Kraków, 1890, małe 8-o, str. 55.

Upraszą się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

